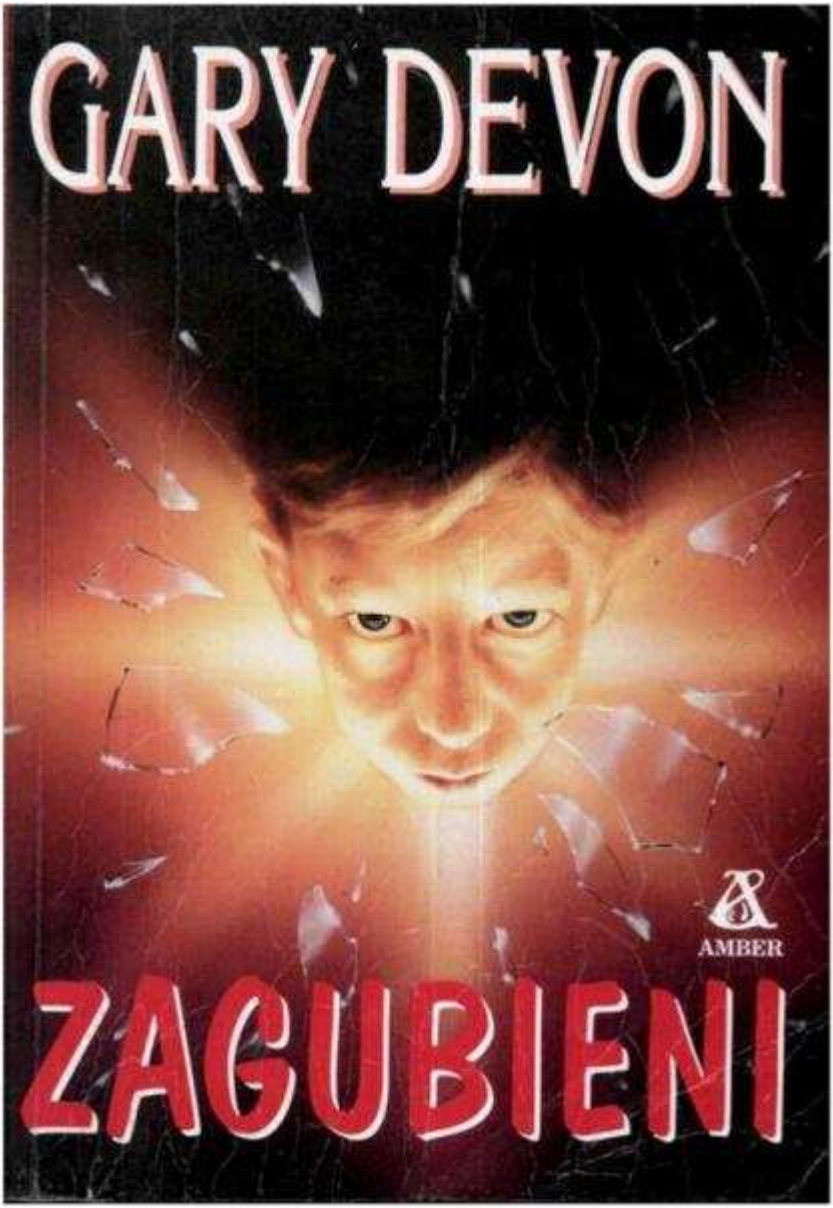
GARY DEVON
AMBER
ZAGUBIENI

GARY DEVON

Znany pisarz amerykański

Gary Devon zadebiutował niezwykle błyskotliwie. Jego powieść **Zagubieni** (1986) wzbudziła wielkie zainteresowanie czytelników i równie wielkie uznanie u krytyki - książka otrzymała nominację do prestiżowej nagrody Edgara. Podkreślano oryginalność pomysłu i precyzję pisarską zaprezentowaną przez początkującego twórcę.

Kolejna powieść Devona, **Fatalne pożądanie** (1990), nie zawiodła oczekiwań recenzentów i wielbicieli nowej literackiej gwiazdy. Książka, w której wątek obyczajowo-kryminalny wzbogacony jest akcentami grozy, znów zaskakuje przemyślną, wyrafinowaną koncepcją rysunku psychologicznego postaci.

ZAGUBIENI

Dwunastoletni Sherman, pochodzący z pozornie normalnej amerykańskiej rodziny, okazuje się psychopatycznym mordercą. W wywołanym przez niego pożarze giną rodzice i brat, z życiem uchodzi tylko mała siostrzyczka Mamie. Dziewczynka zostaje uprowadzona ze szpitala przez Laurie, kobietę, która pragnie stworzyć dziecku szczęśliwy dom. W pościg za Laurie i Mamie rusza policja. Tropi je też, razem ze swym półdzikim psem, Sherman, który kocha siostrę obłąkańczą miłością...

Cena det. zł 9,50 (95 000) AMBER ISBN 83-7082-912-0

GARY DEVON

ZAGUBIENI

Przełożył
ERYK BENNER

AMBER

Tytuł oryginału LOST

Ilustracja na okładce

LARRY ROSTANT

Redakcja merytoryczna

JOANNA ŁUCZYŃSKA

Redakcja techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

JADWIGA PULLER

Copyright © Gary Devon 1986

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-912-0

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1995.

Wydanie I Druk: Finidr, s.r.o., Ćesky Teśin

Książkę dedykuję mojej rodzinie:
Mamie, Tacie i moim trzem siostrom,
ale szczególnie pamięci
mojego brata Rudy'ego (1945-1953)

Wyrażam głęboką wdzięczność
doktor Virginii Lowell Grabill,
bez której życzliwości i pomocy
ta książka nie mogłaby powstać.
I mojej żonie Deborah,
która rozumie to najlepiej.

Strzeż się, by cię nie zwiodła obfitość
I nie zmylił hojny okup.
Spróbuj nie wzdychać do nocy,
w której odchodzą najbliżsi.

— Księga Hioba /36:18,20/

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Kula przeszyła mu czaszkę z tyłu i utkwiła powyżej lewego ucha. Powietrze i huk wystrzału stopiły się w jedno. Zachwiał się. Jego głowa odskoczyła gwałtownie do przodu. Potem wszystko potoczyło się tak szybko jak rozwijająca się szpulka nici. Nazywał się Sherman Abbott, miał dwanaście lat.

Jego ramię wstrząśnięte siłą odrzutu zakołysało się delikatnie. Schylił się jakby w ukłonie i wyprostował gwałtownie. Stał jeszcze. Potem zrobił krok albo dwa do przodu. Rewolwer wysunął się z jego dłoni i chłopiec runął twarzą do ziemi w wysoką trawę.

Wszystko widziała jego siedmioletnia siostra Mamie, najmłodsza z Abbottów. Stała tuż przy nim, bliżej niż trzy metry i wystrzał ogłuszył ją. W ręku trzymała blaszane wiaderko z dziewięcioma jagodami w środku, które wcześniej zbierała i starannie liczyła. Po chwili ruszyła w jego stronę. Była niska jak na swój wiek. Przykucnęła.

— Sherman! — Pochyliła się i popatrzyła w dół. Gdyby ją nawet widział, słyszał czy rozpoznał, to i tak nie mógłby odpowiedzieć.

Pośród żółtych łodyg traw podrygiwał i wił się, jakby próbował się podnieść albo pełzać niczym wąż. Przypominał małą rzucającą się rybę. Nagle znieruchomiał. Głowa opadła mu na ramię. Zraniona strona jego twarzy była bardzo blada, pokryta krwawymi strupkami i drobnym żwirem jak odrapane od upadku kolano. Niebieskie oczy miał półotwarte. Na jego krótkich, twardych włosach i skórze w kolorze białego sera rozerwany guz rany zmieszał się z czarnym pyłem. Powiększająca się kałuża błyszczącej krwi wypełniła ucho i przelała się na policzek.

Mamie znów się odezwała. Teraz z odrobiną lęku w głosie.

— Sherman. Lepiej wstawaj.

Nie pojmowała okropności ani rozmiaru swojego bólu. By uwierzyć w to, co się stało, musiała go dotknąć.

Pomimo strachu wolno opuściła opuszki palców na jego twarz. Skórę miał gorącą i nieprzyjemnie wilgotną jak w gorączce.

— Sherman — szepnęła. — Jak mogłeś to zrobić?

Chciała nim potrząsnąć, ale nagle straciła równowagę. Jej palce dotknęły lepkiej krwi zasychającej na policzku. Ręka drgnęła mimowolnie. Nie mogła złapać oddechu. Kiedy wreszcie chwyciła powietrze w płuca, z jej ciała wyrwał się donośny, przejmujący krzyk. Tętnił w chaotycznym rytmie. Falował i zaginał się bez końca. Nagle, jakby za sprawą jakiejś niewidzialnej siły, odskoczyła od ciała. Rozrzuciła ręce, wstała i zrobiła obrót, potem znowu się odwróciła. Potykała się w bezcelowym zygzaku, a jej krzyk był tak wysoki i przeszywający, jak skrzypienie kredy.

Kręciła się w kółko i nie mogła znaleźć właściwego kierunku. Wciąż natrafiała na niego. Nie przestawała gorączkowo myśleć — powinnam go zanieść do domu. Wiedziała, że nie mogłaby go podnieść, był prawie dwa razy większy od niej. Za każdym razem krzyczała, kiedy patrzyła na swoje ręce. Nie mając już prawie powietrza w płucach, wykrzyczała: — Sherman... Sherman... och, Sherman. Była tak przerażona, że nie mogła wołać pomocy. Zakrwawione ręce trzymała wyciągnięte przed siebie i nie wiedziała, co z nimi zrobić — nie mogła przecież zabrudzić sukienki i poplamić jej krwią. W końcu opadła na kolana i zaczęła wyrywać kępy trawy, a potem wycierać nimi dłonie. Znowu przypadkowo dotknęła go, tym razem jego ręki.

Usiadła. Ciężko oddychając i pojękując otarła twarz ręką. Choć nie chciała patrzeć, widziała krew i różową pianę, cieknące z jego nosa i ust. Gwałtownie zacisnęła powieki, podniosła ręce do góry i splotła je na czubku głowy. Przysiadła cicho, bezwładnie. — Och, Sherman — mamrotała rozpaczliwie — chciałabym, żebyś nigdy nie zrobił tej rzeczy. — Pomyślała, że tak mogłaby mówić jej mama. Nie potrafiła mu pomóc, bo bała się go dotknąć. Obiema dłońmi zakryła oczy, ale nie zdołała zatamować nimi łez. W końcu, trzęsąc się, skoczyła na nogi, obróciła się i popędziła do domu.

Paru mężczyzn z sąsiedztwa przyniosło Shermana do domu i położyło na wiklinowej kanapce w dużym pokoju. Kobiety przygotowały białą wykrochmaloną bieliznę.

Mamie usiadła w połowie schodów, ręce zacisnęła na polakierowanych słupkach poręczy. Przyglądała się krzątaninie. Nad nią, w mroku, w górze schodów w swojej piżamie stał Toddy Abbott. Właśnie skończył osiem lat. Stał bez ruchu, jakby myślał, że jak będzie cicho, to nikt go nie zauważy. Z powodu przeziębienia przez cały dzień leżał w łóżku. Słyszeli, jak ich matka stara się głośno zadecydować, co robić. Zmieniała zdanie i zmieniała znowu, ale żadna z sąsiadek jej nie przerywała. W końcu, szlochając, wyrzuciła z siebie to, co najbardziej chciała powiedzieć.

— Jeśli on ma umrzeć — mówiła płacząc — to niech umrze w domu. — Dalej już nie prosiła, ale błagała. — Chcę, żeby to stało się tutaj, w jego domu, wśród jego rzeczy, a nie w jakimś zimnym szpitalnym pokoju. Chcę, żeby został w domu. Czyż nie jest tego wart?

Przed domem zatrzymał się radiowóz policyjny, potem drugi. Ich czerwone światła odbijały się od frontowych okien domu. Słychać było trzask drzwi i jakieś odgłosy dochodzące z zewnątrz. Przyszli doktor z pielęgniarką. Przecisnęli się

przez grupę sąsiadów w przedpokoju. Doszli bez słowa do dużego pokoju. Lekarz przystanął, otworzył rozsuwane drzwi, a potem zasunął je za sobą. Prawie natychmiast Mamie usłyszała rozdzierający krzyk matki — dźwięk ostry i wysoki niby zacinający wiatr. Jej lament przeszył Mamie jak sztylet. Coraz mocnej ściskała poręcz swoimi małymi rączkami. Nie potrafiła opanować łez.

Głos matki wznosił się i opadał jak głośne uderzenia serca. — Nie... nie rób mu nic złego... proszę... nie rób tego... nieee. — Kiedy Mamie pomyślała, że dłużej już tego nie zniesie, drzwi otworzyły się z łoskotem. Dwie kobiety wyprowadziły matkę z pokoju. Przeszły przez snop światła do przedpokoju, gdzie przyćmione ścienne lampy oświetlały schody. Matka przyciskała do piersi małe prostokątne pudełko. Jej twarz była blada niczym gips.

Ktoś otworzył wszystkie drzwi. Nadciągała gorąca, sierpniowa noc.

Kiedy przybył ojciec, policja dawno odjechała. Biegł przez cały czas. Koszulę miał mokrą od potu. Przecisnął się przez tłum, zobaczył żonę i podszedł do niej chwiejnym krokiem. Ich zachowanie było tak spokojne i powściągliwe, że patrzenie na nich sprawiało fizyczny ból. Matka zacisnęła mocno palce na prostokątnym pudełku. — Och, Ray, wybacz mi — powtarzała. Stali naprzeciwko siebie. Nie potrafili się jednak dotknąć. Oczy miała pełne łez.

Kiedy ojcu wróciła zdolność mowy, zapytał cicho:

— Gdzie on jest? — Głos miał chropawy i zdławiony.

Jakaś kobieta skinęła w stronę rozsuwanych drzwi i powiedziała:

— Teraz jest z nim doktor.

Popatrzył na oświetlone od wewnątrz drzwi, zrobił krok do tyłu i obrócił się. Matka krzyknęła:

— Nie, Ray, pozwól im zrobić wszystko, co tylko mogą.

Nawet na nią nie spojrzał. Ruszył w stronę zamkniętego pokoju i nagle osunął się. Jakiś mężczyzna z głębi domu, z pokoju obiadowego albo z kuchni krzyknął:

— Ray, to ty? — Pośpieszył do leżącego i wyprowadził go na zewnątrz.

Matka pozwoliła się ułożyć na skraju ławy w holu.

Kiedy Toddy zszedł do poziomu Mamie, pielęgniarka wysunęła się z jasnego pokoju. Ignorując pytania, ruszyła do wyjścia. Mamie czuła gorąco promieniujące od ciała Toddy'ego, kiedy niepewnie zbliżał się do niej. Skulił się ze strachu. Przykucnął i zapytał:

— Mogę tu zostać? — Trząsł się jak listek.

Nie potrafiła opisać, jak bardzo źle się czuła. Jej skóra wydawała się napinać coraz mocniej, a strach, żal i cierpienie zapadały się w niej coraz głębiej i głębiej. Wciąż patrząc przed siebie, powiedziała:

— Toddy, ja myślałam, że on nie żyje. On nie żyje naprawdę. Widziałam go. Podeszłam...

Zaczęła cichutko szlochać. Toddy jęknął.

— On nie może umrzeć. Po prostu nie może, wiesz. On nie może umrzeć i ty też nie możesz umrzeć, i ja nie mogę umrzeć, bo my jesteśmy całkiem nowi ludzie. My i on.

Nie zrozumiała niezwykłej logiki tego, co przed chwilą powiedział.

Sąsiedzi wycofali się i rozeszli. Kilku z nich zaryzykowało wymamrotanie niezręcznego dobranoc. Ze swoim przyjacielem ojciec okrążył dom i wrócił na werandę. Odchodzili ostatni goście. Ojciec zapalił papierosa. Koło niego przeszła pielęgniarka. Wróciła dźwigając metalowy aparat z wielkim płóciennym workiem. Dwie sąsiadki zastanawiały się, czy niesie namiot tlenowy.

Matka wstała z ławy, zrobiła krok naprzód, ale znowu usiadła, mrucząc coś w stronę kobiet. Nagle się zorientowała, że wciąż trzyma w dłoniach tamto prostokątne pudełko. Położyła je przed sobą i kciukiem podniosła wieczko. To był szkolny piórnik Shermana — podniszczony, z brzydkimi napisami.

— Było nam tak ciężko, kiedy chodził do szkoły — powiedziała cicho, jakby do siebie. — Dostawałam białej gorączki, kiedy chciałam go czegokolwiek nauczyć. Nic nie pomagało. Zaczął szkołę rok później, przez tę niefortunną datę urodzin. Było coraz gorzej. Nie radził sobie w piątej klasie. Zawsze taki beztroski, bałaganiarz. Nie dbał o nic. — Ciągnęła nieprzerwanie. — Potem zaczęły się te przeklęte problemy. Wiedziałam, że chciał się zmienić, choć wyglądało, jakby wcale o tym nie myślał. Tego lata wysłaliśmy go do szkółki wakacyjnej. Tym razem rzeczywiście próbował. A teraz to... to.

Z trudem łapała powietrze. Znowu wybuchnęła płaczem, ale już nie tak histerycznym. Kiedy starała się zakryć twarz, piórnik wypadł jej z rąk. Poogryzane ołówki z gumkami rozsypały się po podłodze. Kobiety zbliżyły się do niej.

Wszyscy czekali. W końcu Toddy powiedział:

— Boję się na to patrzeć. Denerwuję się. Idę na górę.

Wstał i bez słowa odszedł od Mamie, która kurczowo trzymała się poręczy. Było dobrze po północy, kiedy drzwi otworzyły się głośno. Z oślepiającego światła wyszedł doktor. Ocierał twarz chusteczką. Zanim zasunął drzwi, spojrzał jeszcze raz na wiklinową kanapkę, metalowy aparat i zakryty kształt pod delikatnym namiotem. Obrócił się w stronę holu.

Matka wstała, trzęsła się. Jej chuda twarz była pozbawiona wyrazu. Wyglądała jak strach na wróble.

— Gdzie Ray? — rzuciła.

— Poszedł szukać rewolweru — odpowiedziała najbliższa kobieta.

— W nocy? — zapytała, trzęsąc się jeszcze bardziej. — Po ciemku? — Ruszyła w kierunku lekarza, próbując przygładzić włosy. Z trudem utrzymywała równowagę.

Wtedy Mamie poderwała się i zbiegła szybko w dół schodów. Niespodziewanie wyrosły przed nią dwie sąsiadki. Zdołała tylko uczepić się spódnicy matki. Chciała usłyszeć, co mówi doktor. Mówił ściszonym głosem. Stwierdził, że udało mu się zatrzymać krwotok i że Sherman jest w stanie śpiączki. Matka zapytała najciszej, jak mogła:

— Więc może powinniśmy przewieźć go do szpitala?

Lekarz przez chwilę myślał, potem odrzekł:

— Nie, w każdym razie nie teraz. Jego stan jest bardzo... bardzo niepewny,

powiedziałbym krytyczny. Teraz to zbyt niebezpieczne. Jest pewne ryzyko... że gdy krwotok nawróci, śmierć nastąpi natychmiast.

Był starszym człowiekiem z workami pod oczami i małymi przystrzyżonymi wąsikami, które wydawały się domalowane farbkami.

Kobieta stojąca najbliżej Mamie pochyliła się i odciągając ją na bok, powiedziała:

— Mamie, powinnaś być już w łóżku, powinnaś już spać. My zajmiemy się twoją mamą. Naprawdę wszystko jest w najlepszym porządku. No, idź się położyć.

Ale Mamie wyrwała się i schowała za matkę.

— ...siła odśrodkowa — mówił doktor, masując podstawę czaszki za prawym uchem. — To jest gdzieś tutaj... — próbował wskazać palcem to miejsce. — Możliwe, że kula coś uszkodziła, poruszając się wewnątrz przez parę sekund, jak, jak...

— Jak pszczoła pod kapeluszem — dokończyła oszołomiona matka.

— Tak przypuszczam — pokiwał głową. — Coś w tym rodzaju. Ale proszę pamiętać, jeśli nawet przeżyje, jeśli nawet, to rozmiary urazu nie będą jeszcze długo znane. Może zostać inwalidą... — odkaszlnął. — Nawet najbardziej nowoczesna technika nie pomoże w ustaleniu diagnozy.

— Ale on będzie żył, prawda? — zapytała. Pochyliła się ku niemu, niecierpliwie czekając na odpowiedź.

Twarz lekarza pozostała bez wyrazu. Przez chwilę wpatrywał się w matkę intensywnie. Odwrócił spojrzenie, a potem znowu popatrzył na nią. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

Nogi się pod nią ugięły i kobiety chwyciły ją pod pachy, żeby nie upadła. Postawiła niepewny krok. Zbierała siły, starając się odepchnąć kobiety.

— Ja go muszę zobaczyć. Proszę, ja muszę tam wejść.

Lekarz poszedł za nią bez słowa. Za późno. Mamie biegnąc za matką natrafiła znowu na cztery nogi. Matka krzyknęła.

— Nie, Mamie, nie teraz. Może jutro. Jutro, dobrze? Może jutro. — Poprosiła kobiety, żeby położyły dziewczynkę do łóżka. W świetle pokoju wydawała się prawie przezroczysta.

Mamie słyszała ojca chodzącego wzdłuż holu. Podłoga trzeszczała pod dywanem. Najpierw poszedł do Toddy'ego. Na granicy jawy i snu dobiegł ją niski tembr jego głosu. Zaskrzypiała otwierana, a potem zamykana szuflada.

Gdzieś w pobliżu usłyszała krzyki bawiących się dzieci. Pamiętała rozpacz i zaciętą walkę poprzedniej nocy i teraz wesoły gwar dochodzący zza okna wydawał się jej spokojną i odprężającą muzyką. Zmrużyła powieki i zapadła w drzemkę. Wydawało jej się, że zaraz potem, choć trwało to chwilę dłużej, z mroku jej myśli wyłonił się groźny ryk. To pies z sąsiedztwa szarpał się na łańcuchu, szczekał i warczał. Znowu znęcali się nad nim ci chłopcy. Wyobraziła sobie, jak zakradają się za dom i rzucają kamieniami w psi wybieg. Pies miał nastroszoną sierść, szczerzył zęby, ale uwięziony na łańcuchu nie mógł ich dopaść. To był prawie szalony pies z przyczajonym strachem w oczach. Robili zakłady, kto pierwszy zmusi psa do

zerwania się z łańcucha. Kiedyś się zerwał i powyginał zębami drucianą siatkę ogrodzenia.

— Mój Chińczyk — wyszeptała. Mamie pragnęła natychmiast podbiec do okna i kazać im przestać. Sięgnęła do filaru łóżka, żeby się podciągnąć, ale uniesione ręce opadły i uderzyły ją w podrapaną twarz. Cofnęła się, pochyliła jak krab, próbując się ochronić. Pokój tonął w oślepiającym blasku promieni słońca. Z mocno bijącym sercem przetarła oczy i popatrzyła z ukosa.

— Och, tatusiu — westchnęła — teraz boję się promieni słonecznych. — Siedział na małym krześle przy łóżku.

— Mamie — powiedział łagodnie. Miał znękaną, bladą twarz. — Chciałbym, żebyś mi powiedziała parę rzeczy.

Znowu przetarła piąstkami oczy, znowu popatrzyła. Wyjął trzy zapałki z tekturowego pudełeczka. Pierwsze dwie połamały się w drzazgi. Dym zawirował wokół jego ust. Był nieogolony, ślady grzebienia były jeszcze widoczne na jego czystych, wilgotnych włosach.

Podniosła się, ale nie powiedziała ani słowa.

Z dłońmi ułożonymi na kolanach, z papierosem żarzącym się pomiędzy palcami, zapytał, skąd wziął się ten nieszczęsny pistolet. Skąd Sherman go wziął?

Mamie pomyślała, że Sherman umarł, i wysuwając się spod pogniecionej kołdry wróciła myślami do poprzedniej nocy.

— Po co mu był ten pistolet? — zapytał ojciec. — Wiem, że jest ktoś nie mniej odpowiedzialny za to, co się stało, niż mój chłopak. Muszę wiedzieć, kto to jest.

Teraz to naprawdę on nie żyje — pomyślała Mamie. Oni i tak nie powiedzą mi prawdy. Tępy ból, który nie opuszczał jej przez całą noc, nasilał się z każdym słowem ojca.

— Ja się dowiem — ciągnął — tak czy inaczej. Więc lepiej mi powiedz, Mamie, czy wiesz, skąd on wziął tę broń?

Pokręciła przecząco głową. Pragnęła powiedzieć całą prawdę, że Sherman nie powiedział jej wszystkiego, wymyślając coraz to inne wersje tego, skąd wziął rewolwer, ale tylko potrząsnęła głową.

— Powiedz to głośno.

— Nie wiem — wymamrotała.

Zapytała, czy on umarł. Ojciec spojrzał na gałązkę wiązu obijającą się o szybę.

— Może umrze — odpowiedział. Na chwilę jego oczy zaszły mgłą. — To prawdopodobne.

On na pewno kłamie — pomyślała dziewczynka. Sherman dawno nie żyje.

Ojciec odkaszlnął.

— Mamie, czy coś o tym wiesz?

Nie słuchając go, pokręciła pięć, a może sześć razy głową. Włożył papierosa do ust, ale palce mu drżały. Długi kawałek popiołu spadł na jego koszulę. Przechylił swoją ciemną głowę w kierunku okna.

— Dlaczego on strzelił do siebie? — zmarszczył brwi, patrząc na papierosa.

Przetarł oczy. — Coś złego działo się tu od dawna, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jak on mógł to zrobić? Byłaś tam przez cały czas. Tylko ty możesz to wiedzieć. Ty musisz to wiedzieć.

— Naprawdę go lubiłam — powiedziała Mamie, nie patrząc na ojca.

Kończył papierosa. Ściskał niedopałek między palcami.

— W nocy znaleźliśmy pistolet — powiedział. — Nigdy go przedtem nie widziałem. Dowiem się, kto mu go dał i jak trafił w jego ręce, choćbym musiał obejść wszystkie domy w Graylie.

Nigdy przedtem nie mówił tak głośno i z taką nienawiścią. Wyciągnął z kieszeni spodni mały, plastikowy, zielony pistolet na wodę.

— Proszę — rzucił zabawkę w jej stronę. — Pokaż mi — powiedział twardo — pokaż mi, jak to się stało.

Wzdrygnęła się odruchowo.

— Nie, tato, nie każ mi tego robić. Nie chcę. Proszę, proszę, nie.

Nie zwracał uwagi na jej błagania i w końcu zacisnęła dłoń na uchwycie i umieściła palec w szczelinie plastikowego spustu. Jeszcze raz błagalnie popatrzyła na ojca.

— No, dalej — nie ustępował.

Podniosła zgiętą rękę w łokciu i przystawiła sobie lufę do głowy. Przetarł twarz rękoma i przesunął palcami po włosach.

— Dobrze — powiedział. — Oddaj mi to.

Podała mu bez słowa.

— Jeśli wiesz coś więcej, musisz mi powiedzieć. Powiedz mi prawdę, bo nie chcę się dowiedzieć, że brałaś w tym udział. Będę znał każdy twój krok.

Jak Pan Bóg — pomyślała Mamie.

— Ale ja nie wiem — powtórzyła.

Spuściła stopy z łóżka i skrzyżowała je na podłodze. Po chwili zmieniła pozycję.

Chciał zbliżyć się w jej stronę, ale poderwała się i poszła do garderoby. Kiedy się obejrzała, drzwi były lekko uchylone i tylko dym unosił się nad progiem.

Przez cały dzień podwójne drzwi do dużego pokoju były zamknięte. Otwierały się na chwilę tylko wtedy, kiedy przechodziła przez nie sąsiadka, pani Jackson. Na kolację przyniosła tacę przykrytą wyszywaną chustą. Toddy został w łóżku i brał swoje lekarstwa. Ojciec chodził bez celu po domu. Palił papierosy. Na stole w ciemnym korytarzu w dużym wazonie stały bukiety kwiatów. Następny dzień minął podobnie, drzwi nie otwierały się z wyjątkiem kilku momentów. Dwa razy przychodziła pielęgniarka, doktor pojawił się parę minut po drugiej i został w pokoju dobrą godzinę. Ojciec wchodził i wychodził parę razy, niosąc szklankę wody albo wilgotną szmatkę. Mamie ani razu nie widziała mamy. Teraz pokój musi tonąć w kwiatach — pomyślała dziewczynka.

Kiedy nałożyła piżamę, zapytała ojca, gdzie spała mama. Musiała gdzieś spać, ponieważ nigdy przedtem nie pozostawała tak długo w dużym pokoju. Ojciec zbył ją mówiąc, że kiedy mama się zmęczy, to śpi na kanapie.

Mamie zrobiła sobie miejsce do zabawy na schodach. Przyniosła pudełka po butach z pawlacza, żeby zbudować z nich pokój. Wzięła też swoje papierowe lalki. Od czasu do czasu zerkała na wysokie drzwi przez filarki poręczy. Późnym popołudniem trzeciego dnia ojciec spakował blaszaną walizeczkę Toddy'ego, który miał zostać u Connerlich — mieszkał tam jego kolega z klasy. Mamie obserwowała ojca, który robił rzeczy zwykle pozostawiane matce. Jego ogromne ręce wyglądały tak dziwnie, gdy układał i pakował małe ubranka. Toddy chodził za nim od szafy do łóżka, pytając wciąż, jak ma się Sherman i jak długo będzie chory.

— Naprawdę nie wiem — odpowiadał ojciec. — Niczego nie wiemy na pewno.

Tego wieczoru po raz piąty z rzędu zrobił Mamie kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Nie mogła zjeść więcej niż parę kęsów.

— Kiedy Toddy wróci do domu? — zapytała, ale ojciec zdawał się nie słyszeć jej cichego pytania.

Długo czekała udając zabawę lalkami. Miała nadzieję, że będzie mogła być w końcu sama z mamą. Do domu przyszła noc i pokryła schody mrokiem. Pielęgniarka opuściła pokój o szóstej, przypominając ojcu, że wróci o ósmej. Wyszedł z nią przed dom i odprowadził aż do końca chodnika. Mamie zrzuciła papierowe lalki ze spódniczki i ześliznęła się ze schodów. Stanęła przy oknie przy drzwiach frontowych i zobaczyła, że ojciec i pielęgniarka wciąż rozmawiają. Pośpieszyła w stronę przesuwanych drzwi, przez które przeświwywało słabe światło. Z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Chwyciła za jedną z klamek i odrobinkę odsunęła drzwi, tak że mogła wcisnąć się do środka. Od razu zobaczyła, że w pokoju nie ma żadnych kwiatów.

Jedna lampka nocna paliła się na końcu stołu, jej ciemny abażur pochłaniał większość światła. Zniknął namiot tlenowy. Kanapa była przysunięta do wiklinowej kanapki. Coś poruszyło się na kanapie. Zrobiła pół kroku i zobaczyła mamę. Leżała obok Shermana. Coś właśnie mu szeptała, kiedy zobaczyła Mamie. Popatrzyły na siebie. Cichutko jak kot, Mamie stanęła jakieś pół metra od kanapki. W końcu matka przerwała ciszę.

— Sherman, zobacz kto tu jest — jej zmieniony głos brzmiał całkiem miło. — Mamie przyszła powiedzieć ci dobranoc — Zobacz — zwróciła się do dziewczynki — wygląda coraz lepiej. Kolory pojawiły się na policzkach. Ma się o wiele lepiej. Lepiej, bo jest tu, w domu, gdzie możemy się nim opiekować. Jaki ładny z niego chłopiec. Jaki silny. Mamie, nie obawiaj się. Podejdź bliżej i powiedz mu dobranoc. No chodź. Śpi bardzo mocno. Nic ci nie zrobi.

Dotykając wiklinowej kanapki, Mamie ruszyła wolno do przodu w stronę miejsca, które wskazała matka.

— Sama widzisz. To nie było takie trudne. No dalej. Życz mu dobrej nocy.

Ostry zapach leków zmieszany z potem tworzył mieszaninę, którą trudno było oddychać.

Wszystko wydawało się takie inne i obce. Nie była nawet pewna, czy Sherman oddycha. Prześcieradło pod jego ciałem ani drgnęło, a jego głowa, jego leżąca

nieruchomo głowa, była wyolbrzymiona przez bandaże. Kiedy tak stała drżąca przy łóżku, patrząc na prawie nierozpoznawalną twarz, uderzyła ją myśl, jak wszystko się zmieniło. Nawet jej mama. W ciągu tych trzech dni na jej włosach pojawiły się siwe kosmki. W jej wychudzonej twarzy płonęły błyszczące oczy.

Łzy napłynęły Mamie do oczu.

— Mamusiu — powiedziała obejmując się ramionami. Zająknęła się dla wzięcia oddechu i szepnęła: — Mamusiu, czy on nie żyje?

Ręce matki wystrzeliły przez wąską kanapkę i utonęły we włosach dziewczynki, chwyciły ją za tył głowy i nachyliły gwałtownie parę centymetrów od białego prześcieradła.

— Nigdy nie wymawiaj tego słowa — zasyczała. — Nigdy, przenigdy. On nie umarł i nie umrze. Wiesz, skąd to wiem? Ponieważ — wzdrygając się przed uściskiem, Mamie błagała, żeby matka ją puściła, ale ona ścisnęła jeszcze mocniej — ponieważ Dobry Bóg mówi, że nie da nam tego, czego nie moglibyśmy znieść, a ja, ja bym tego nie zniosła.

Nagle wydała się bardzo zmęczona. Jej palce jakby zwiotczały i odepchnęła Mamie z taką siłą, że dziewczynka upadła na podłogę. Wstała i spojrzała na matkę. Przestała płakać. Odwróciła się i próbowała powiekami strząsnąć łzy z oczu.

Matka zajęła się Shermanem. Coś nuciła i poprawiała jego pościel. Patrząc na nich przez chwilkę, Mamie potarła bolącą głowę. Zrozumiała, że jest zdana tylko na siebie. Chciała pójść do mamy, czekała cale trzy dni, żeby usiąść przy niej i opowiedzieć jej o wszystkim — całą prawdę o tym, co robili razem z Shermanem. Ale teraz nie mogła. Bała się rozmawiać z ojcem, teraz matka ją opuściła i nie było nikogo, komu mogłaby to powiedzieć, może oprócz Chińczyka.

Następnego ranka, godzinę przed świtem, Mamie nagle się obudziła. Czuła kogoś bardzo blisko, kogoś kto ją śledził, prawie żądając, żeby się odwróciła. Wpatrywała się w półcienie, tu i tam, ale nikogo nie było. Stoczyła się z łóżka i zeszła na dół do holu.

Strumień wody uderzał o dno zlewu. Napełniła go. Potem zamoczyła twarz, namydliła i spłukała. Włosy Toddy'ego były ciemne, a ona miała włosy takie same jak Sherman, matka nazywała je blond, a wyglądały jak woda po zmywaniu. Patrząc na swą twarz w lusterku, naciągnęła skórę na nosie i zmrużyła powieki, żeby zbliżyć wygląd swojej twarzy do wyglądu twarzy Shermana. Ale jej nos był cienki i prosty, a jego grubszy z wypukłością — śladem po uderzeniu, jej oczy były szarozielone i długorzęse jego — niebieskie i błyszczące. A oprócz tego, podejrzewała, że jej twarz jest piegowata. Przez wspomnienie twarzy Shermana chciała wrócić do przeszłości.

— Popatrz — powiedział Sherman.

— Co to? — zapytała.

— Guzik.

— Czyj guzik? — śmiała się, zakrywając usta dłońmi.

— Ojca. Wziąłem go, kiedy spał. Teraz twoja kolej.

— Co chcesz, żebym ci przyniosła?

— To co tylko zdołasz wymyślić, cokolwiek. To jest gra.

— Co to za gra? — zmrużyła powieki.

— Musisz przynieść od nich coś, kiedy są bardzo blisko. To taki rodzaj fortelu. Musisz zrobić coś, o czym oni nie mają pojęcia, choć są tuż przy tobie, rozumiesz? Włos nie byłby zły albo coś twardego, jak rzęsa — odparł spokojnie.

Wtedy dom wydawał się nieodgadnionym labiryntem, wszystkie korytarze, tajemne miejsca, gdzie dzielili się swoimi łupami i radością ze zdobyczy. Zawsze wiedzieli, gdzie mają się spotkać — na strychu pod okrągłym oknem, którego szyba wybrzuszała się jak gałka oka. Tam właśnie, szybko łapiąc oddech, wybuchali krótkim śmiechem, zanim ujawniali niespodzianki ukryte w dłoniach: guziki, zasupłane sznurki i włosy. Potem, stojąc na pudłach, spoglądali przez zniekształcającą obraz szybę na miasto. Patrzyli z góry na ulice, na domy prowadzące do wijącej się jak górski potok Main Avenue; patrzyli na to wszystko niby niewidzialni władcy swojego królestwa Graylie na ziemi Pensylwanii.

W tę grę grali tylko oni. Toddy zawsze się bał, że wpadnie w jakieś kłopoty. Przypominając sobie to wszystko, Mamie zeszła z krzesła i odstawiła je na bok. Wiedziała, gdzie Sherman musiał zostawić swoją torebkę. Teraz mogła zrobić to, czego on nie mógł. Jak obiecała.

Nie marnowała czasu. Przebrała się. Nałożyła prostą, luźną sukienkę, zapinaną z tyłu na guziki, ale nie mogła ich dosięgnąć. Ostatecznie nie zdołała zapiąć ich do końca. Bardzo ostrożnie zamknęła sypialnię za sobą. Odrzuciła trochę wilgotne włosy z czoła i ruszyła na dół w samych skarpetkach, niosąc w ręku buty.

Popatrzyła na pokój, który dzielił Sherman z Toddym. Łóżka były porządnie zasłane. Wydało jej się bardzo dziwne, że nie ma Toddy'ego. Pragnęła, żeby już wrócił. Trzy metry dalej był pokój rodziców. Weszła na palcach. Pościel po stronie mamy była nienaruszona. Ojciec miał półotwarte usta, jego policzki poruszały się rytmicznie. Odwróciła się cicho i zamknęła drzwi. Wschodziło słońce.

Popędziła na samą górę schodami. Otworzyła drzwi, które były tak wąskie jak drzwi łazienki. Kiedy odsunęła drewnianą zasuwkę, buchnęło na nią gorące powietrze. Zrobiła krok naprzód i pociągnęła drzwi, zostawiając małą szparę. Słabe linie światła cięły mrok wyłożonego belkami sufitu.

Idąc po omacku, znalazła zasłonę tylnego okna i uniosła ją, wpuszczając do środka poranne słońce. Czyste światło utworzyło kształt trapezu na podłodze. — Znajdziesz to bez kłopotu — mówił jej Sherman. Otworzyła kredens pełen szufladek, gdzie kiedyś składali swoje rzeczy. Przewróciła stos starych gazet i ubrań, ale nic nie znalazła. Zabrała się do drugiej części kredensu. Kawałki narzuty we wzorzystą kratę, ozdobne wzory, nitki jedwabiu, kupy makulatury, gazetowa odbitka Ostatniej Wieczerzy i dużo różności, ale tego nie mogła znaleźć. Kiedy zamknęła drzwi kredensu, opadł ją tuman kurzu. Kichnęła w dłonie.

Wolno obracając się zobaczyła dużą skrzynię. Przesunęła ją odrobinę do siebie, potem cofnęła. Podniosła starą koszulę i wytarła nią pajęczyny i kurz z okna w

kształcie oka wołu. Wyjrzała przez szybę: nowoczesne budynki i wijący się dziewiczy strumień, i jeszcze coś — autostrada i pole jagodowe, gdzie poszli tego wieczoru, kiedy on strzelił do siebie. Cofnęła się i odwróciła głowę. Wtedy to zobaczyła.

Sięgając tak wysoko, jak tylko mogła, wyciągnęła z odkrytej deski zawieszonej nad oknem papierową torebkę z zagiętym końcem. Koniec torebki był zawijany i rozwijany tak często, że była w tym miejscu miękka i elastyczna jak kawałek wełny. Po kolei wyjmowała ukryte w niej skarby i układała je na podłodze.

Połowa paczki papierosów Lucky Strike — jego ostatnia zdobycz. Czerwony wzór pudełka zaczął już blednąc.

Wieczne pióro z wygrawerowanym nazwiskiem J. T. Ivers w kolorze marmuru, pozłacane po obu stronach.

Spinka do krawata w kształcie oceanicznego liniowca, którą zabrał z domu państwa Bledsoe tego samego wieczoru, kiedy ona wyniosła nowiutką szminkę inkrustowaną sztucznym kamieniem. Te rzeczy odłożyła na bok.

Malutki teleskop na paciorkowym łańcuszku z zabawną figurką tancerza w środku.

Dwa papierosy — jeden przełamany, oba z błyszczącym, filigranowym wzorem.

Gumka, o której zastosowaniu nie chciał jej nic powiedzieć. Zwykły kawałek gumki.

Chusteczka z odciskiem czerwonego pocałunku, zabrana z pokoju Marilyn Haupt o trzeciej nad ranem pewnej nocy. Mamie szczególnie pamiętała tamtą noc, bo zegar w sypialni pięknie błyszczał w mroku i chciała go mieć, ale Sherman powiedział, że nie dadzą rady go zabrać. Marilyn Haupt spała w ogóle bez ubrania.

Wielki elegancki pierścionek zawinięty w bardzo delikatną wełnę, z inicjałami R. G.

Czerwono-żółte pudełko naboi.

Pięciodolarowy banknot, cztery dziesięciodolarowe, dwadzieścia siedem jednodolarówek i dwie srebrne dolarówki.

Pocztówka od Everglades. Odręcznego napisu na odwrotnej stronie nie potrafili odczytać, ale podobał im się obrazek z aligatorem. I zabrany tej samej nocy list miłosny, adresowany do panny Peggy Dunnhurst, 273 Stocken Avenue, Graylie, Pensylwania.

Łączyła w myślach piękne spinki do włosów ze śmiejącą się bardzo zabawnie twarzą ich właścicielki pochyloną nad zrabowanymi łupami. Lubiła je najbardziej, ale Sherman zabronił jej je nosić, ponieważ należały do Suzie Rawlings, która mieszkała tylko dwa domy dalej. Odłożyła spinki, żeby z powrotem włożyć je do torebki.

Czarującą bransoletkę z nazwami stolic stanów odsunęła na bok, ale nie po to, żeby ją nosić, tylko żeby na nią popatrzeć.

Trzy różnokolorowe ptasie pióra, które znalazła na ulicy pewnego jasnego ranka.

Diamentowy nóż do szkła w zielonym plastikowym pudełku i zielony plastikowy nóż introligatorski z pojedynczym ostrzem.

W oddzielnym małym woreczku kolekcja starych wojskowych medali i wstążek.

Zawinięte w białe papierki dwie czekoladki, które szybko zjadła. Rozpływały się w cieple tyle razy, że smakowały teraz bardzo dziwnie.

Pusty pancerzyk świerszcza. Wydawał się ogromny w jej małej rączce. Największy, jaki kiedykolwiek znaleźli. Wczepiła jego łapki w sukienkę — wyglądał jak ozdobna szpilka.

Miękkie zawiniątko — para szarych rajstop.

Książeczki papierowych zapałek i drewniane zapałki z czerwonymi główkami.

Części od zapalniczki Zippo i kieszonkowy zegarek Shermana odłożyła na bok, żeby się im lepiej przyjrzeć. I na samej górze — mały, brązowy notes pana Athertona. Stara gumka-recepturka, którą był zawiązany, była całkiem zużyta. Rozerwała się, kiedy chciała ją zdjąć. Śliniąc kciuk, przekartkowała małe strony, aż natrafiła na słowa pisane przez Shermana. Na jednej — powtarzające się jego imię, na następnej — napis:

HCE IH POSABIAĆ WJEM GDZIE JEST PISTOLET
I KULE NIKT NIE JEST DOBRY TYLKO MY ZAGWOŻDZE
OKNA I DŹWI A POTEM PODŁOŻE OGJEŃ

Mamie mogła przeczytać jedynie niektóre wyrazy, ale pamiętała to, co jej wcześniej powiedział. Widziała, jak to pisał — pracował mozolnie nad każdym słowem i powtarzał je głośno. Ojciec pytał, dlaczego Sherman zrobił tamto, teraz starała się przypomnieć dzień, w którym napisał te dziwne zdania, i wszystko, co zdarzyło się wcześniej. Może gdzieś tutaj, na tej kartce kryła się odpowiedź, dlaczego...

Tej wiosny, pewnego wieczora gdy wracał z boiska, Sherman zobaczył ładną blondynkę, wsiadającą do samochodu. Chłopiec ze sklepu spożywczego wkładał na tylne siedzenie torby z zakupami. Zostawił lekko uchylone drzwi, a ona poprawiała sobie makijaż siedząc za kierownicą. Była ubrana w bluzkę bez rękawów z marynarskim kołnierzem i bermudy. Nazywała się Lila Stiles i niedawno wyszła za mąż. Sherman przedtem widział ją kilka razy. Pod wpływem niewytłumaczalnego impulsu podszedł do niskiego samochodu, wsadził głowę przez okno i pocałował ją. Lewą ręką gwałtownie pociągnął ją za biustonosz. Usiłowała coś powiedzieć, ale jego usta mocno naciskały. Udało się jej wcisnąć klakson na kierownicy samochodu. Rozległo się przeraźliwe wycie i Sherman szybko uciekł. Kiedy dobiegł do domu, nie mógł złapać oddechu. Był bardzo podniecony. Później opowiedział o tym Mamie. Czuł, że kiedy całował tamtą kobietę w samochodzie, jego serce mogło się zatrzymać. To jednoczesne uczucie władzy i podniecenia o niebo przewyższało

wszystko, co dotąd przeżył. Było jak uderzenie błyskawicy. Marzyło tym, żeby spróbować jeszcze raz. Mamie zapytała, czy może z nim pójść, ale nic nie odpowiedział. To było zbyt niebezpieczne.

Dwa dni później jakaś kobieta stała na rogu Main Avenue i Grand Avenue. Poprawiała właśnie szminkę na ustach. Przechodnie mijali ją obojętnie. W jednej ręce trzymała lusterko, w drugiej sztyft pomadki. Torebkę trzymała pod pachą. Nagle w lusterku zauważyła jakiś ruch za sobą. Jej spódnica uniosła się gwałtownie odkrywając wszystko — od bioder w dół. Krzycząc, obróciła się w miejscu i zobaczyła uciekającego chłopca. Zawartość torebki wysypała się na chodnik.

Minął tydzień. Było sobotnie południe. Sherman przeciął alejkę i podszedł do końca ogrodzenia. Przychodził tu już trzeci dzień z rzędu. Przez szczeliny płotu przyglądał się leżącej na słońcu kobiecie w opalaczu. Miała ciemne okulary, obok odłożyła książkę, którą właśnie czytała. Myślał, że śpi. Prześliznął się przez bramę i znalazł się tuż obok niej. Nagle kobieta poderwała się. Czarne szkła okularów zwróciły się w stronę chłopca.

— O co chodzi? — zapytała.

Chciała wstać, ale wtedy ją pocałował. Potoczyli się w uścisku na ziemię. Góra opalacza ześliznęła się z niej jak papierek z czekoladki. Uderzyły go jej odkryte piersi. Tak później opowiadał. Jednak nie przyznał się nigdy, że to on zdarł biustonosz. Powiedział, że kobieta obrzuciła go wyzwiskami i nazwała tak, jak bardzo nie lubił być nazywany. Przycisnął ją do ziemi i powiedział, że jeśli piśnie komukolwiek choć słówko, to wróci i uciszy ją raz na zawsze. Twierdziła potem, że podarł jej opalacz, a ją samą pobił.

Kobieta nazywała się Sarah Coveleski. Poszła do jego ojca i to ojciec zawiadomił policję.

— Przebrała się miarka, do cholery — powiedział do Shermana przy Mamie i Toddym. — Same z tobą kłopoty. Chciałem być dla ciebie dobry, ale nic nie pomaga. Nie ujdzie ci to na sucho. Przebrała się cholerna miarka.

Uderzył Shermana w twarz otwartą ręką i chłopiec potoczył się na ziemię. Potem zawiózł go na posterunek policji. Sherman został zidentyfikowany przez dwie kobiety — Stiles i Coveleski — i został przetrzymany na dziewięć godzin. Było prawie wpół do dwunastej w nocy, kiedy wreszcie go zwolniono. Aby nie narażać dobrego imienia poszkodowanych, sprawę zatuszowano. Ale wszyscy w okolicy o tym mówili. Sam Sherman unikał tego tematu.

Później matka starała się wyjaśnić synowi, że chcieli dać mu tylko nauczkę, ale Sherman stracił do nich całe zaufanie. Był przekonany, że ojciec zdradza go przy każdej okazji, a matki nienawidził za to, że nic jato nie obchodzi. Sherman miał już pistolet, kiedy napisał tę kartkę...

Dochodziło wpół do szóstej. Był wczesny sierpniowy poranek. Mamie wyszła z domu przez tylne drzwi. W kieszeni sukienki miała dwie kostki cukru. W lewej

ręce niosła torebkę ze skarbami Shermana. Ostra różnica światła między zacienionym tyłem domu i blaskiem wschodzącego słońca od strony podwórka oślepiła ją. Ściskając torebkę, zasłoniła ręką oczy i ruszyła przed siebie.

Przeszła chodnikiem wzdłuż domu i przebiegła przez wilgotny trawnik. Przy żywopłocie schyliła się i weszła do wąskiego tunelu w ogrodzeniu. Ukryta w żywopłocie przeciskała się wzdłuż metalowego parkanu. W końcu wyszła na otwartą przestrzeń podwórka. Wstała i otrzepała kolana.

Przecięła zachwaszczony pas zieleni.

Usłyszała Chińczyka dużo wcześniej, nim go zobaczyła. Niskie, jednostajne ujadanie. Wybieg był ogrodzony wysoką, podwójną siatką. Kiedy pies zrywał się czasem z łańcucha, potrafił przegryźć jedną warstwę drutu. Z tyłu ogrodzony teren przylegał do niczyjego pasa zieleni, a od przodu otwierał się na dom państwa Ambrose. Więc żeby wejść do środka, musiała okrążyć cały wybieg. Bardzo ostrożnie zbliżyła się do małych drzwiczek w siatce. Pies nie przestawał ujadać.

Ujrzała go dopiero wtedy, gdy podeszła bardzo blisko. Miał nastroszoną sierść wokół szyi, pomarszczony jak u boksera pysk, przekrwione psie oczy bez tęczówek, wyszczerzone, mocne zęby. Ślina ściekała mu po dolnej szczęce i kapała na ziemię. Wściekłość, którą emanował, była tak przejmująca, że Mamie zamarła na chwilę sparaliżowana strachem. Pies wyczuł jej przerażenie, bo z jego gardła dobył się jeszcze groźniejszy warkot. W końcu wolno podeszła do niego. Zabrzęczał łańcuch i Chińczyk usiadł z podkulonym ogonem. Przestał szczekać. Węszył. Nagle rzucił się z jeszcze głośniejszym ujadaniem w stronę dziewczynki. Prawie sięgnął rąbka jej sukienki.

Wolno wyjęła z kieszeni cukier. Pierwsza kostka rozsypała się jej w wilgotnych palcach. Sięgnęła po drugą i pokazując ją psu rzuciła w jego stronę. Kiedy przychodziła tu z Shermanem, przynosiła trochę cukru. Pierwsze minuty były zawsze takie same.

— Chińczyk — powiedziała drżącym głosem. Spróbowała znowu, tym razem rozkazującym tonem. — Chińczyk, przestań. — Pies cofnął się. — Tam jest cukier dla ciebie. O, tam. — Mamie wskazała miejsce, gdzie upadł cukier. — Znasz mnie. Pamiętasz mnie, prawda? Chcę teraz do ciebie podejść. Dobry Chińczyk. Nie ugryziesz mnie. — Pies znowu przestał szczekać. Przeszedł na drugą stronę ciągnąc za sobą łańcuch, potem wrócił i obwąchał cukier.

Chińczyk był prawie tak duży jak ona. Jego potężne, grube łapy były wielkości pięści. Ojciec powtarzał, żeby trzymali się od niego z daleka. Jego zdaniem pies był w połowie psem rasy chińskiej, wskazywał na to kształt pyska i czarny język, a w połowie wilkiem — z powodu dużych rozmiarów. Powiedział też, że nie ma marniejszej krzyżówki niż ta z rasą chińską. Sherman mówił, że pan Ambrose go bije i dlatego pies jest zły, ale ojciec uważał, że takie jest jego prawo jako właściciela. Sherman też przynosił mu cukier. On i pies rozumieli się nawzajem.

Mamie zrobiła krok w stronę Chińczyka, pozwalając mu obwąchać się dokładnie. Po inspekcji dotknął gorącym nosem twarzy dziewczynki i polizał swoim

czarnym językiem. Najpierw lizał jej policzki, potem dłonie, na końcu wnętrze kieszeni z rozkruszonym cukrem. Pogłaskała go i objęła. Powiedziała cicho, dlaczego Sherman nie mógł przyjść. Zamerdał ogonem. Nie przestawała do niego mówić. Na jego skórze pod sierścią wyczuła blizny. Potem ostrożnie weszła do środka psiej budy. Poczuła silny odór. Podniosła słomiankę i ukryła pod nią torebkę. Usłyszała kroki. Był to pan Ambrose. Przyniósł psu miskę z wodą. Wcisnęła się w kąt budy.

— Na — powiedział stawiając miskę obok Chińczyka. Zwierzę cofnęło się. Mężczyzna schylił się i podniósł coś błyszczącego z ziemi. — A niech to! — zaklął głośno.

Z mocno bijącym sercem Mamie zastanawiała się nad tym, co takiego mogła zgubić. Czyżby coś wypadło z torebki? Chciała zaraz wyjąć ją spod słomianki, ale bała się poruszyć. — To największy pancerzyk, jaki kiedykolwiek widziałem — usłyszała. Dotknęła ręką przodu sukienki — nie wymacała niczego. Pancerzyk świerszcza w pięknym brązowym kolorze bezpowrotnie przepadł. Kroki zbliżyły się. Teraz mnie znajdzie, znajdzie torebkę i wszystkiego się domyśli — pomyślała przerażona. Ale kroki oddaliły się. Chińczyk usiadł spokojnie i popatrzył na Mamie. Ziewając, zmrużył swoje niezwykłe oczy.

Wypełzła na zewnątrz. Poczekała, aż pan Ambrose zniknie we wnętrzu domu. Poklepała psa i wróciła tą samą drogą którą przyszła. Przez tunel w żywopłocie do chodnika i prosto do kuchennych drzwi. Bez cienia wahania przeszła przez pokój obiadowy, w którym stół błyszczał jak lustro. Drzwi do dużego pokoju były tak blisko, że prawie słyszała pochrapującą matkę. Zbliżyła się ostrożnie. Było cicho. Wycofała się, pobiegła na palcach do swojego pokoju i szybko wskoczyła w piżamę.

ROZDZIAŁ 2

Od tamtej nocy, kiedy matka tak bardzo zdenerwowała się na Mamie, nikt nie ośmielał się powiedzieć słowa o chorobie Shermana. Był traktowany jak wielebny gość, jakby nie był w ogóle chory.

Z czasem ustalił się nowy zwyczaj, który polegał na tym, że mama całymi godzinami czytała synowi Biblię.

Przez następne osiem miesięcy prawie nie odstępowała jego łóżka. Myła go, delikatnie przewracała na bok, żeby uniknął odleżyn, nauczyła się robić zastrzyki i obsługiwać kroplówkę. Opowiadała mu o różnych sprawach dnia codziennego, o pogodzie, o sąsiadach, o zabawach Toddy'ego i Mamie, bo wciąż wierzyła, że chociaż pogrążony w śpiączce, to jednak Sherman ją słyszy i gdy się obudzi, będzie wszystko pamiętał. Oprócz czytania Pisma Świętego modliła się. Modliła się całymi godzinami.

Z upływem czasu sąsiedzi zaglądali do niej coraz rzadziej. Tylko pani Jackson przychodziła codziennie. Dzieci poszły do szkoły. Toddy do trzeciej klasy pani Shaw, a Mamie do pierwszej — panny Durbin. Ojciec wrócił do pracy na pełny etat. Po pierwszych dwóch miesiącach pielęgniarka ograniczyła swoje wizyty i przychodziła raz na tydzień, żeby pomóc przy zmianie pościeli. Nie było ich stać na większą pomoc. Na początku października doktor zaproponował operację, żeby usunąć skrzep i może wyjąć kulę. Określił stan Shermana jako stabilny, ale niezmienny i podkreślił, że może to trwać w nieskończoność. Matka mu odpowiedziała: — Może za parę tygodni. Zobaczymy. Kiedy nie grozi mu już bezpośrednie niebezpieczeństwo, nie zniosłabym myśli, że mógłby być gdzieś indziej, nie w domu. — I zanim doktor zdążył się odezwać, odwróciła się i zniknęła w pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Na całej rodzinie ciążył jakiś dziwny, niezgłębiony smutek. Dzieci samotnie wracały do domu po skończonych lekcjach. Słyszały szepty za plecami. Kiedy już myśleli, że wszystko powoli wraca do normy, pojawił się nowy problem. Pewnego jasnego, chłodnego ranka, w czasie przerwy w szkole ktoś zawiadomił Mamie, że Toddy jest u dyrektora i płacze. Znalazła go w gabinecie zalanego łzami. Jego nauczycielka stała obok i starała się go uspokoić.

— Wszystko będzie w porządku — mówiła pani Shaw. — Zaraz przyjdzie twój ojciec.

— Co ci jest? — zapytała Mamie, zbliżając się do chłopca. — Co się stało, Toddy[1]?

— Nagle w czasie lekcji zaczął płakać — pani Shaw tłumaczyła szkolnej pielęgniarce. — To chyba... — coś szeptała na stronie.

Minęła dobra chwila, zanim Toddy uspokoił się. Przyjechał ojciec. Nauczycielka i pielęgniarka odciągnęły go na bok i zajęły swoimi wyjaśnieniami. Toddy popatrzył na Mamie i wyszeptał:

— Sherman nigdy mnie nie lubił. Naprawdę nigdy. Od kiedy nie chciałem robić tego, czego chciał — zniżył głos — chodzić i zabierać rzeczy. Sherman wcale mnie nie lubił. Nie był dla mnie dobry. Teraz on jest chory i nigdy nie wyzdrowieje. Nie mogę przestać o tym myśleć. On mnie nigdy nie polubi. — Znowu zaczął szlochać.

— Och, Toddy — wyszeptała Mamie. — Ja cię lubię.

Ojciec wziął go na ręce, a pani Shaw powiedziała:

— Bardzo mi przykro. Toddy jest takim dobrym chłopcem, panie Abbott. Naprawdę potrafi się uczyć. Powinien być pan z niego dumny. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cierpi z powodu choroby brata.

— Tatusiu — odezwała się Mamie. — Czy ja też mogę pójść do domu? — Nie chciała sama zostać w szkole. Odpowiedział, że powinna zostać, bo chciałby spędzić trochę czasu z Toddym.

Wszędzie było pełno opadłych liści. Matka pozwoliła bawić się Mamie w dużym pokoju, żeby mieć ją na oku. Czasem, tkwiąc przy posłaniu Shermana, pomagała Toddy'emu odrabiać lekcje. Mamie nauczyła się szeptać do Shermana tak, że nikt jej nie słyszał. Pewnego razu powiedziała mu, gdzie ukryła ich rzeczy.

Kiedy matka coraz bardziej zajmowała się Shermanem, ojciec skupił swą uwagę na Mamie. Pamiętała, co jej mówił, i bała się, żeby czegoś nie odkrył. Za każdym razem, kiedy wracał z pracy, dziewczynka była szczególnie niespokojna. Co sobotę wychodził z domu i chociaż nic nie mówił, wiedziała, dokąd idzie. Nie dawał jej chwili spokoju — oskarżające spojrzenia, pytania i sugestie, krótkie sprawozdania z tego, czego dowiedział się od pani Graves czy pana Mallory. Dawał jej stale do zrozumienia, że wciąż szuka. Kiedy bawiła się przed domem, dostrzegała jego ukradkowe spojrzenia przez okno czy przesuniętą lekko firankę. Kiedyś, gdy wracała ze sprawunkami, zobaczyła ojca, który wychodził od Iversów. Przypomniała sobie wieczne pióro i przeszedł ją zimny dreszcz. Stała ukryta za drzewem, dopóki nie zniknął za rogiem.

Nosił ze sobą notatnik. Coś zapisywał. Nie dawało to jej spokoju. Czasem patrzyła przez okno w kierunku psiego wybiegu albo wychodziła do Chińczyka z kawałkiem cukru, kiedy ojciec był w pracy. Jeśli pies był w dobrym nastroju, dotykała jego nosa, ale nigdy więcej nie zapuszczała się za ogrodzenie.

Ojciec rzucał przynętę zwykle w czasie kolacji.

— Pan Briggenschmidt powiedział mi, że jakiś czas temu skradziono mu

pistolet. — Jedli w milczeniu, tylko Toddy ukradkiem zerkał na Mamie, która mechanicznie podnosiła widelec do ust. — Ale nie rozpoznał tego, z którego strzelał Sherman.

Po czymś takim Mamie była tak przerażona, że nie mogła spać.

— Dlaczego mu nie powiesz? — któregoś razu zapytał ją Toddy.

— Ponieważ — odpowiedziała zdenerwowana — Toddy, ja tego naprawdę nie wiem.

W końcu któregoś dnia przy kolacji wykrztusiła: — Tato, ja nie wiem, od kogo on dostał pistolet. Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Proszę przestań, przestań pytać. Ja nic nie wiem. — Łzy płynęły jej po twarzy. — Chcę, żebyś przestał. Dłużej tego nie wytrzymam. Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym ci, na pewno...

Ale nie przestawał, a jej strach rósł i rósł.

Pewnego wtorkowego wieczora — osiemnastego listopada — Mamie brała kąpiel. Dolała do wody odrobinę perfum. Potem długo siedziała przed lustrem mamy, pudrując się i wylewając na siebie coraz to inne specjały: wody toaletowe, balsamy, toniki, fluidy, różne śmietanki i mleczka. Przycięła sobie włosy nożyczkami do paznokci i chociaż wyglądała dużo gorzej, to i tak podobała się jej nowa fryzura. Włożyła swoją najlepszą, odświętną sukienkę z kretonu, białe buty i skarpetki, wzięła niebieską plastikową torebkę z trzydziestoma centami w środku. Tego wieczora czekała na schodach, potem zeszła do pokoju obiadowego. Kiedy matka ją zobaczyła, wzruszyła ramionami. Potem ojciec przyszedł z pracy i stwierdził, prawie na nią nie patrząc, że dobrze by było, gdyby się jak najszybciej przebrała i pomogła mu przygotować kolację. Pobiegła do swego pokoju i rozpłakała się. Tego dnia skończyła siedem lat.

Tylko Toddy pamiętał. Kiedy poszli spać, dał jej prezent.

— To na twoje urodziny — powiedział i podał jej stare pudełko po spinkach do koszuli. — No dalej, otwórz.

W środku znalazła pierścionek z trupią główką, taki sam jaki nosił Fantomas w popularnym komiksie. Tego lata Toddy sprzedał trochę nasion ogrodniczych i za zaoszczędzone pieniądze zamówił pocztą wymarzony pierścionek. To było spełnienie jej najszczerszych marzeń.

— Toddy, ale... ja nie mogę tego przyjąć. To jest twój pierścień.

— Musisz — odrzekł i zaczerwienił się odrobinę. — Nie mam nic innego, co byś chciała mieć.

Wziął od niej pierścionek i dopasował go do jej palca. Potem powiedział, że trochę brudzi palce na zielono, ale i tak był dla niej najcenniejszy. Nałożyła go do spania.

Niedługo przed świętami znalazł się niemały powód do kłótni. Ojciec chciał mieć święta jak zawsze z choinką i prezentami, za to matka utrzymywała, że dopóki Sherman jest chory, nie powinno być żadnego świętowania. Dzieci słyszały do późna kłócących się rodziców. W końcu ojciec sam zadecydował. Zabrał Mamie i Toddy'ego do wielkiego, mieniącego się kolorowo magazynu i kupił całe naręcze zabawek i upominków. Ale w wigilię Bożego Narodzenia trzy paczki przeznaczone

dla mamy i cztery dla Shermana zostały pod świątecznym drzewkiem.

Wieczorami słuchali audycji radiowych, teatrzyku dla najmłodszych, Człowieka Cienia i Pierścienia Fantomasa. Nowy Rok również spędzili na wspólnym słuchaniu radia.

Dom podupadał coraz bardziej. Nie było przecież nikogo, kto mógłby się nim zająć. Matka krążyła po pokojach jak duch. Przez jakiś czas ojciec i Mamie utrzymywali kuchnię we względnym porządku. Sprzątali, kiedy Toddy odrabiał lekcje. Ale to nie wystarczało. Ich życie płynęło bez żadnych widoków na przyszłość. Sherman wciąż leżał nieprzytomny na wiklinowej kanapce. Miał już trzynaście lat.

Któregoś dnia, na początku lutego, gdy Toddy nakrywał do stołu a Mamie ustawiała talerze do kolacji, matka przyszła z dużego pokoju. Stanęła w progu tyłem do nich. Kiedy się odwróciła, próbowała coś powiedzieć, ale tylko poruszała ustami. Oczy miała szeroko otwarte. Toddy zapytał:

— Mamo, co się stało?

— On przemówił — wykrztusiła. — Przed chwilą przemówił do mnie. Nasze modlitwy zostały wysłuchane. Powiedział bardzo cicho, ale słyszałam: „Jestem wewnątrz światła, czerwonego światła".

Pobiegli do pokoju. Skupili się wokół kanapki. Sherman leżał w takiej samej pozycji jak wczoraj i nie słyszeli niczego oprócz jego głośnego oddechu. To było jak makabryczny dowcip. Matka popatrzyła na nich uważnie.

— Nie wierzycie mi. Ja też nie mogłam uwierzyć w pierwszej chwili. — Po jej policzkach popłynęły łzy. — Myślicie, że to zmyśliłam. Macie to wypisane na twarzach. Ale ja tego nie zrobiłam. Zobaczycie — lekko tupnęła nogą — zobaczycie.

Następnego popołudnia dzieci asystowały jej przy poprawianiu pościeli.

— Chcę żebyście zobaczyli, jak silna jest jego ręka. Jest coraz lepiej. — Uniosła rękę Shermana i podała najpierw Toddy'emu, a potem Mamie, ale dziewczynka nie wiedziała, z czym ma porównać ten ciężar.

Pod koniec lutego Sherman otworzył oczy. Według matki powiedział wtedy: „Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony". Sprowadzono lekarza i znowu dzieci nie dopuszczono do chorego przez całą noc. Żeby ostudzić ich zniecierpliwienie, ojciec powiedział:

— Zobaczycie go jutro. To i tak o wiele za wcześnie. Doktor powiedział, że to powinno potrwać znacznie dłużej. Mama chce najpierw go wykąpać i ostrzyc.

Zszedł na dół, a dzieci za nim przebrane w piżamy.

— Czy nas rozpozna? — zapytał Toddy.

— Czasem pamięta wszystko — była to trochę dziwna odpowiedź.

Matka zawołała ich do pokoju w południe następnego dnia. Zasłony były podniesione. Czystość jasnego zimowego słońca powiększała pokój, który teraz wydawał się ogromny. Nie było w nim wiele sprzętów. Kanapa była dosunięta do ściany, a jej miejsce zajął wygodny fotel zdrewnianymi prętami na oparciu.

— Toddy, podejdź bliżej — powiedziała mama. — I ty, Mamie. Zamknijcie za sobą drzwi, przecież tak tu wieje. Nie chcemy, żeby nasz Sherman się przeziębił, prawda?

Mamie zamknęła posłusznie drzwi. Dużo sobie obiecywała, choć nie wiedziała dokładnie, czego może się spodziewać. Spokojnie szła za Toddym. Stanęła przy kanapce. Pochyliła nieznacznie główkę i spojrzała niepewnie na ręce matki. Po paru krokach dostrzegła Shermana, który leżał wygodnie wśród poduszek. Zwilżyła suche wargi i z trudem przełknęła.

Matka mówiła bardzo miękkim, przyciszonym głosem.

— Czuje się bardzo dobrze, po prostu świetnie. Zobaczcie, wygląda na zmęczonego. Spał tak długo, że aż się zmęczył. Taki jest zmęczony...

Nieznacznie się poruszył i kiwając się na boki podniósł głowę.

Był zmieniony. Tylko jego nieprawdopodobnie błękitne oczy pozostały te same. Spojrzał na Mamie. Charakterystyczny łobuzerski błysk w jego oczach gdzieś uleciał, a na jego miejsce pojawiło się coś twardego, okrutnego i obojętnego. Chciała krzyczeć. Nie, on wcale nie jest zdrowy, na pewno nie czuje się bardzo dobrze. To niejego oczy. Czemu tego nie widzicie? To nie jest on!

Im dłużej to trwało, tym bardziej przypominało koszmarny sen.

Z widocznym wysiłkiem podniósł rękę i wskazał na Mamie. Głos matki załamał się.

— No, Mamie, nie bój się — powiedziała. — Weź go za rękę i powiedz kim jesteś, bo chociaż cię pamięta, to wygląda na trochę zmieszanego. Wszystko jest dla niego takie nowe. Będziecie mi pomagali go pilnować. Czy mi pomożecie, moje dzieci?

Mamie kiwnęła głową z wahaniem. Pragnęła wziąć go za rękę i mu pomóc i wiedziała, że to zrobi. Wciąż był jej ukochanym bratem, który opiekował się nią i zabierał na nocne eskapady. Tylko on mógł poradzić sobie ze wszystkim, zabrać rzeczy i pozostać nieuchwytnym. Teraz nic nie mogło ich rozdzielić, powrócił do niej, a był wszystkim, co miała.

Wiedzieli, że nigdy nie będzie już taki jak przedtem, ale nikt nie śmiał tego głośno powiedzieć. Matka zdawała się przyjmować do wiadomości tylko to, co dobre, jakby zapominając o wszystkim innym. Ojciec i dzieci kierowali się instynktem. Porozumiewali się spojrzeniami, żeby tylko nie powiedzieć na głos, że się zmienił, że jest inny, że zniknął dawny błysk jego oczu. Brakowało im jego łobuzerskiego uśmiechu, pewności, niespożytej energii. Wokół tej prawdy milczenie utkało gruby kokon — bólu, smutku i poczucia niespełnionych oczekiwań.

W ciągu paru tygodni matka odżyła. Nucąc, zawiązywała sobie fartuch, spinała włosy i sprzątała, wycierała kurze, przygotowywała wystawne kolacje, koniecznie z deserem. Od kiedy Sherman mógł siadać, przymocowała poduszki do oparcia i siedzenia babcinego fotela. I kiedy ojciec przychodził z pracy, przenosił Shermana do stołu obiadowego. W ten sposób Sherman był z nimi każdego wieczoru.

Mrugając swymi błękitnymi oczami Sherman wyglądał bardziej na zdziwionego niż rozumiejącego cokolwiek. Mamie rozpoznawała ten rodzaj tępego spojrzenia, które wywoływało zimny dreszcz bólu i zwątpienia.

Rzadko nie zgadzał się z czymś, a jeszcze rzadziej narzekał. Na początku rozumiał tylko proste czynności. — Czy kanapka jest dobra? — Tak. Jest dobra — odpowiadał, patrząc gdzieś daleko. Kiedy opadał na poduszki, mama pytała, czy jest zmęczony, a on mówił: — Tak, zmęczony — albo — ...senny. Jakby złożenie dwóch wyrazów było dla niego niemożliwe. Zawsze o dziewiątej dawała mu lekarstwa i kładła spać. Z czasem nauczył się ich rozpoznawać po imieniu — najpierw mamę, potem Toddy'ego, Mamie i ojca. Minęło dużo czasu, zanim przypominał sobie swoje dawne upodobania. Każdego dnia wydawał się coraz silniejszy i bardziej świadomy.

Matka była nim zachwycona. Wciąż otaczała go swoją bezustanną gadaniną. Nawet wczesnym rankiem, kiedy ojciec się golił, często słyszał jej głos. — Właśnie przyjechał Jimmy Porterfield, żeby doręczyć codzienne gazety. Widzisz go? O, już jest. Kiedyś i ty będziesz tak jeździł na rowerze. — Dużo czasu spędzała na tym, żeby łagodnie go przekonać do zrobienia jeszcze jednego kroku albo zjedzenia jeszcze jednego kęsa. Chciała, żeby mówił wszystko bardzo wyraźnie. — I będziesz silny — powtarzała — tak jak dawniej. — Jakby zapominała o przeszłości. Mamie myślała, że nie będzie dobrze jeszcze długo, jeszcze bardzo długo.

Podczas tych miesięcy, długich deszczowych miesięcy, kiedy zima wygląda wiosny, Mamie dzieliła się z Shermanem każdą rzeczą, nawet wtedy, gdy rwał jej papierowe lalki albo rozrzucał ołowiane żołnierzyki. Kiedy nie było nikogo w pobliżu, powiedziała mu o Chińczyku. — Zaniosłam mu jedną z twoich starych skarpet — wyszeptała — więc będzie cię pamiętał. — Siadała na krześle o wiele dla niej za dużym i mówiła cichutko, podczas gdy matka tuż obok odkurzała dywan. Kiedy wreszcie mógł chodzić, przystawała przy nim. Bardzo chciała z nim porozmawiać, tak jak dawniej, ale nie było odpowiedniej okazji, a i on nie był szczególnie rozmowny. Nawet nie próbował się dowiedzieć, co się z nim stało. — Jestem niezdrów — mawiał. — Tak — odpowiadała matka — postrzeliłeś się, ale to się da naprawić. Będziesz jak nowo narodzony. — Nikt jednak nie potrafił mu wtedy spojrzeć prosto w oczy, a Mamie znów chciała krzyczeć. Nie, nie, nie to się nigdy nie uda! On się zmienił! I nigdy nie będzie ten sam!

Przy kolacji matka powiedziała:

— On jest chyba silniejszy ode mnie. Zmęczyłam się, kiedy się o mnie opierał. Jest prawie mojego wzrostu i silny jak skała.

— Ma kształt smoczy i niebieskie oczy — uśmiechnął się Toddy.

Parę tygodni później po badaniach lekarz poprosił ojca, by odprowadził go do samochodu. Ale nie doszli do auta doktora. Przystanęli na chodniku, tyłem do domu i stali tam dobrą chwilę. Minął już ponad rok od wydarzenia na jagodowej polanie. Był środek sierpnia. Wkrótce miała rozpocząć się szkoła. Doktor trzymał w jednej ręce swój płaszcz, drugą ocierał twarz chusteczką w wielką kratę. Mamie

obserwowała ich przez okno. W końcu czarna limuzyna odjechała. Kiedy ojciec wrócił, zapytała:

— Co powiedział doktor?

— Tak — odparł zamyślony. — Nic pewnego. Musimy w końcu zadecydować o losach Shermana.

Przez kilka następnych tygodni, kiedy już Toddy i Mamie poszli wieczorem na górę, można było słyszeć dochodzącą z dołu głośną wymianę zdań. Czasem głosy podnosiły się i opadały niby rozmowa zagubionych serc. Kiedy nie mogła spać w nocy, zakradała się na schody i słuchała. Dochodziły ją bardzo niewyraźnie pojedyncze słowa. Pewnej nocy ojciec powiedział:

— Ellie, zamierzam zrobić to, co powiedział doktor, bo może być za późno.

— Nie, jeszcze nie teraz — sprzeciwiła się matka. — Czy nie zauważyłeś, jak on dobrze chodzi. Jest widoczna poprawa. Dzisiaj myślałam, że może by go przenieść na górę. On potrzebuje więcej czasu. Ray, dajmy mu więcej czasu... tylko parę tygodni.

Zobaczyła zbliżający się cień i szybko uciekła na górę. Innej nocy zeszła, żeby posłuchać wszystkiego dokładnie. Światło prześwitywało przez zamknięte drzwi kuchni. Zbliżyła się do nich.

— Doktor Lasher powiedział, żeby zrobić testy, a do tego potrzeba specjalistów. Nawet wtedy nie możemy być pewni. Może on nigdy nie będzie...

— Nigdzie go nie oddam, możesz raczej wyrwać mi serce. Nie mogę... — matka była nieprzejednana.

Nastąpiła po tym długa cisza. Słychać było łyżeczkę obijającą się o porcelanę.

— On znowu wyszedł z domu. Dzisiaj rano sprawdziłem jego buty, były wilgotne. Dobrze o tym wiesz i wciąż upierasz się przy swoim.

Nagle zdała sobie sprawę, że ojciec zbliżył się do drzwi. Okrągła klamka drzwi przekręciła się zgodnie ze wskazówkami zegara. Była jak zahipnotyzowana, nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Czuła, że strach rozrywa jej wnętrzności. Drzwi uchyliły się i jasny pas światła oświetlił ją do połowy, ale zanim zdążyła pomyśleć o ucieczce, zamknęły się z powrotem.

— A jeśli on jest w depresji? — powiedziała matka. — Czy na pewno da sobie radę?

Mamie już była na schodach.

— W depresji! — zaśmiał się ojciec.

Dziewczynka szybko wbiegła do sypialni.

Długo nie mogła zasnąć. W domu było cicho. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest w tym miejscu dla obłąkanych. Zakratowany pokój. Co parę minut budziła się spocona. Musiała mu to natychmiast powiedzieć, musiała go ostrzec.

W najgłębszym miejscu nocy zeszła po ciemku na dół i wśliznęła się do dużego pokoju przez podwójne drzwi, teraz rozsunięte. Matka spała na kanapie. Przez chwilę stała nasłuchując. Podbiegła do białej wyspy wiklinowej kanapki.

Przykucnęła i trąciła ramię Shermana. Nagle otworzył oczy, a były to oczy

przerażonego zwierzęcia obudzonego z głębokiego snu. Położyła mu palec na ustach. Chciał się podnieść na ramieniu, ale mu nie pozwoliła.

— Sherman — wyszeptała. — Musimy stąd uciekać. Daleko, jak to kiedyś planowaliśmy. Bardzo daleko. Włożyłam wszystkie twoje rzeczy do budy Chińczyka. — Nie była pewna, czy ją słyszy. Jego oczy były niczym kobaltowe dyski, bez wyrazu. — Sherman, musimy uciekać jak najszybciej. Dam ci znać, kiedy. Może w sobotę, kiedy oni idą razem spać na górę. Jeśli tego nie zrobimy, oni cię zamkną w domu dla obłąkanych. Wszystko słyszałam.

Choć cichy, jego głos zabrzmiał jak głos mężczyzny.

— Czy zrobili to, czy zrobili?

— Co? — wyszeptała. — Zrobili co?

— Skrzywdzili mnie. Zatrzymali.

— Nie, jeszcze nie, ale zrobią to, jeśli nie uciekniemy. Inaczej podłączą nas do elektrod i będziemy mówili tak jak mówią w audycji Czarny Boston.

— Ja wiem, co oni zrobili — powiedział unosząc głowę. — Staram się sobie przypomnieć... cały dzień. — Słowa jakby wyciekały z niego, przymrużył oczy. — Widziałem to w lustrze. Muszę coś zrobić i ja to zrobię.

— Ale oni chcą...

— Ja wiem, co oni chcą, słyszałem, zobacz. — Włożył rękę pod poduszkę i wyjął parę tabletek. — Oszukałem ją. — Dziwny, nienaturalny uśmiech rozjaśnił mu rysy. Zaśmiał się. W jego oczach błysnęły łzy. — Oszukałem ją — wciąż się śmiał. Przez tę jedną chwilę był dawnym Shermanem. Śmiała się wraz z nim.

— Nie bądź zły na Toddy'ego. Tak się o ciebie martwił.

Sherman zasłonił ręką usta, ale było już za późno. Wypatrzyła ich matka.

— Co wy tutaj robicie? Jest środek nocy.

Popatrzyli na nią bez uśmiechu.

— No, czy ktoś mi powie.

— Opowiadamy sobie dowcipy — powiedziała Mamie.

— Mamie, przecież ty nie znasz żadnych dowcipów. Teraz wracaj do łóżka.

To był poniedziałek.

W czwartek wieczorem wszyscy jak zwykle siedzieli przy kolacji. Usłyszeli pukanie do tylnych drzwi. Jak na odwiedziny pora wydawała się raczej mało stosowna. Ojciec odsunął krzesło i niespiesznie wstał od stołu. Poszedł otworzyć.

Słyszeli, jak mówił: —Dobrze, Russell... no wejdź. Proszę, proszę. — To „proszę" zawsze powtarzał dwa razy. Mężczyzna powiedział, że nie może zostać, i przepraszał, że przeszkodził w kolacji. Zobaczył, jak ojciec wraca z pracy, i pomyślał, że jest coś, co może chciałby zobaczyć. Czy Ray może z nim wyjść na chwilę?

— Kto to jest Russell? — Mamie zapytała Toddy'ego, który wzruszył ramionami i zatopił łyżkę w fasolce.

— To właśnie dlatego wstyd mi za was — powiedziała mama. — Przecież wiecie, kto to jest Russell. To pan Ambrose. Mieszka za nami.

Mamie bardzo ostrożnie usiadła z powrotem na swoim krzesełku. Zostawiła widelec na brzegu talerza i lewą rękę schowała pod połę sukienki. Zwilżyła wargi końcem języka.

— Mamo, czy wiesz, co ten pan chce od taty?

— Dlaczego miałabym to wiedzieć? — powiedziała matka. — Toddy, nie baw się ziemniakami. Niech no tylko przyjdzie ojciec.

— Idę się dowiedzieć — powiedziała Mamie i zeszła z krzesełka, chociaż mama wyraźnie zabroniła jej tego robić. Podeszła do okna. Przybudówka zasłaniała widok. Zawróciła i pobiegła do kuchennych drzwi.

Ojciec trzymał w dłoni brązową torebkę. Była rozchylona. Wyjmował z niej rzeczy. Po jednej. Oglądał uważnie i wrzucał z powrotem. Pan Ambrose coś mówił. Przez chwilę Mamie zakręciło się w głowie. Zawróciła i pobiegła do jadalni.

— Przecież ci zabroniłam. Teraz jedz szybko, zanim ostygnie.

Dziewczynka siedziała ze spuszczonym wzrokiem. Nie ruszała się, patrzyła to na pusty talerz, to na błękitne oczy po drugiej stronie stołu. Minuty przeciągały się w nieskończoność. Wiedziała, że za chwilę drzwi zatrzasną się głośno i wejdzie ojciec. Postanowiła wyglądać zdecydowanie i udawać zdziwienie. To było jak oczekiwanie na kukułkę, która ma za chwilę wyskoczyć z zegara. Kiedy trzasnęły drzwi, dziewczynka podskoczyła, przewracając talerz. Ojciec na chwilę został w kuchni.

O wpół do dziewiątej, kiedy Mamie pomagała sprzątać ze stołu naczynia, usłyszała jego głos z dużego pokoju.

— Toddy, możesz już iść spać.

Toddy powiedział, że nie skończył jeszcze zadań z geografii.

— To dokończ je na górze i zostań tam. Najlepiej idź teraz.

Mamie wzięła głęboki oddech. Słyszała, jak Toddy wchodzi na górę. Ojciec zawołał ją do jadalni i zamknął za nią drzwi.

— Usiądź — zaczął. — Mamie, kiedy było naprawdę źle, prosiłem, żebyś powiedziała mi prawdę. Nie zrobiłaś tego. — Jego słowa przeszywały każdy jej nerw. Utkwiła wzrok na jakimś cieniu na suficie.

— Czy jest coś, co chciałabyś mi teraz powiedzieć?

Nie poruszyła się.

— Mamie, wiedziałaś o wszystkim. Jesteś tak samo winna jak on. Może nawet bardziej. Przez cały czas kłamałaś. Teraz mi powiedz, że nic o tym nie wiedziałaś. — Wysypał całą zawartość torebki na stół — pióro wieczne, srebrne dolarówki, mały teleskop. Wszystko się rozsypało z łoskotem nie do zniesienia. — Co ja mam teraz powiedzieć tym wszystkim ludziom, naszym sąsiadom?

Nie potrafiła dłużej powstrzymywać wybuchu łez. Chciała zerwać się z krzesła, ale mocno ją przytrzymał.

— O nie. Tym razem załatwimy to do końca. Chcę wszystko wiedzieć. Jeśli masz tego więcej, musisz do cholery natychmiast to powiedzieć.

Weszła matka, wycierając ręce o ścierkę. Nie spojrzała na Mamie.

— Kto był z tobą? Nie robiłaś tego sama, nie potrafiłabyś. Więc powiedz, kto ci pomagał. Nie kłam i przestań płakać.

Zakrztusiła się, przełknęła z trudem i wytarła twarz.

Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego zauważył pierścionek właśnie w tej chwili. — To chyba też należy do tego. — Przez chwilę nie wiedziała, o czym mówi. — Cały czas paradowałaś przede mną, mając to na palcu i patrzyłaś na mnie jak na głupca. Czego ty chcesz od tych śmieci?

Nagle chwycił ją za piąstkę, odgiął palec i zerwał pierścionek. Krzyczała błagalnie:

— Tatusiu nie, tatusiu nie! To jest mój pierścionek! Dostałam go od Toddy'ego! On jest mój! Tatusiu proszę, proszę! To jest mój urodzinowy pierścionek! Nie zabraliśmy tego nikomu!

Ojciec podszedł do okna, zamachnął się i pierścień Fantomasa poszybował daleko w noc. Była w szoku. Umilkła, jej głos utkwił w gardle niby kamień. Nie miała już swojego pierścionka.

Ojciec przemierzył jadalnię i otworzył drzwi do dużego pokoju. Skierował się w stronę kanapki, matka za nim.

— Ray, nie, na miłość boską, nie rób tego.

— Ellie, nie zaczynaj znowu od początku — powiedział. — Nie chcę żyć w gnieździe złodziei.

Ojciec przyprowadził Shermana do jadalni. Chłopiec był ubrany w dżinsowe spodnie, bawełnianą koszulę i swoją ulubioną czapkę z daszkiem. Wyglądał jak inni chłopcy w jego wieku, z wyjątkiem zimnych, mrugających oczu. Zauważył nagle rzeczy na stole i przystanął.

— Sherman — zapytał go ojciec. — Czy kiedykolwiek widziałeś to wcześniej?

Mamie zauważyła krótkie wahanie na jego chłopięcej twarzy. Prawie niezauważalnie napiął mięśnie. Zmrużył oczy. Nienawiść zapaliła się w nim na nowo.

— Próbuję sobie przypomnieć — powiedział z wysiłkiem.

— Ty wszystko pamiętasz bardzo dobrze. Masz bardzo dobrą pamięć.

Mamie stanęła pomiędzy nimi.

— Tatusiu, nie rób mu krzywdy — mówiła przez łzy. — Nie bij go, on nie pamięta.

Poczuła coś w gardle kwaśnego i nieprzyjemnego. Zakryła usta, ale nie zdążyła w porę. Zwymiotowała na ręce i na sukienkę. Wszystko się jakby zapadło. Pochyliła się i chciała znowu zwymiotować, ale nie mogła. Nie widziała, skąd wzięła się mama. Przytrzymała ją za biodra i czoło.

— Dobrze, jeszcze raz. Pozwól temu wyjść. — Twarz matki rozmyła się znowu. Nie mogła odnaleźć Shermana. Ojciec chwycił za telefon.

— Ray, zostaw to i pomóż mi — powiedziała matka. — Co tu może poradzić lekarz albo policja?

Mamie nie pamiętała, kiedy znalazła się w swoim łóżku. Pod głową miała poduszkę w kształcie podwójnego serca. Obudziła się ubrana w swój płaszczyk.

Sherman niósł ją na rękach. Główkę trzymała na jego piersiach. Ramiona zawiesiła mu luźno na szyi.

— Sherman, wszystko dobrze? — wyszeptała.

Wyczuła, że kiwnął głową.

— Która godzina? — zapytała znowu.

— Prawie świta — odpowiedział.

— Gdzie mnie zabierasz? — Pokój lekko zawirował. Poruszała głową w rytm jego kroków. Była w półśnie. Popatrzyła na jego koszulkę, potem na spodnie, potem na dywan.

— Gdzieś bardzo daleko — odpowiedział po chwili. Miał ślady trawy na butach.

Mamie zamrugała z całej siły.

— Moja torebka — jęknęła, wciąż nie czując się najlepiej. Wrócili po nią. Chwyciła ją mocno. Drzwi, kiedy je otwierali, zaskrzypiały lekko. Wyszli przez nie. Doszli do schodów.

— Dokąd teraz idziemy?

— Zabieram cię w bezpieczne miejsce — uspokoił ją.

Przeszli pod obrazkami zawieszonymi nad schodami.

— Muszę jeszcze coś zrobić, potem przyjdę do ciebie.

Postawił ją na ziemi i zszedł na dół. Poszła za nim. Kręciło jej się w głowie.

— Coś dziwnie pachnie — jej głos brzmiał nienaturalnie szorstko. — Czuję zapach spalenizny.

— Zaraz wszystko wyleci w powietrze — powiedział. — Wszystko gotowe.

— Ale dlaczego? — ziewnęła. Wciąż walczyła ze snem. — Gdzie jest Toddy? Idzie z nami?

— Śpi na górze, wszystko w porządku.

Kiedy mijali przedpokój, klęknął. Poruszał się tak, jakby szedł po drabinie.

— Przykryj się tym — okrył ją kołdrą.

— To jest wilgotne — powiedziała.

— Nieważne — odrzekł.

Wzdrygnęła się mimowolnie pod wpływem lodowatego chłodu. Poczuła krople czegoś mokrego i ciepławego na policzku. Wytarła to dłonią. Zostawiło plamy. Po chwili rozpoznała krew. — Sherman, znowu się skaleczyłeś?

Wychodzili przez kuchnię.

— To nic takiego — uspokoił ją. — Taka mała ranka.

Potem nie pamiętała, że kazał jej zasłonić sobie usta wilgotną kołdrą. Wychodzili przez drzwi w piwnicy. Zamknął je dokładnie za sobą. Powietrze pociemniało od czarnego dymu. Ich buty postukiwały na posadzce. Popatrzyła sponad kołdry.

Ostry dym szczypał w oczy i nie mogła dokładnie rozróżniać przedmiotów.

W ostatnich minutach nocy, wśród wędrujących nisko białych obłoków porannej rosy, eksplozja wypełniła powietrze niby wybuch wulkanu. Zakołysały się

fundamenty domu. Szyby na parterze rozsypały się w drobny mak. Pani Weatherholt, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, pierwsza zawiadomiła straż pożarną. Opowiadała potem, że jej łóżko mało się nie rozpadło. — Myślałam, że to trzęsienie ziemi — mówiła. — Z początku widać było tylko kłęby dymu, wydobywające się przez szczeliny w fundamentach, potem niewielkie płomienie. Na pierwszy rzut oka palący się dom wyglądał na opuszczoną ruderę.

Ogień dotarł bardzo szybko do piętra, otaczając okna kłębami dymu. Nie mogła mówić spokojnie o tym, jak zobaczyła nagle panią Abbott, mocującą się z oknem, którego nie była w stanie otworzyć. Nie słyszała jej krzyku. Po chwili widać już było tylko dym i słup ognia. Pani Weatherholt krzyczała jak mogła najgłośniej: — Rzuć coś przez to okno, rzuć coś! — ale nic nie pomagało. Nie było ratunku. Przerażona pani Abbott nie myślała racjonalnie. Wszystko wydarzyło się tak nieprawdopodobnie szybko. Kiedy strażacy wyważyli drzwi, buchnął ogień — płomienie rozpełzły się aż do końca chodnika przed domem.

W koszulach nocnych, szlafrokach, narzutach, kapciach — wyrwani z łóżek — sąsiedzi otoczyli ogrodzenie z plastikowej taśmy wykonane naprędce przez policję. Modlili się głośno, szukali świadków wśród gapiów.

Kiedy było wiadomo, że nic nie uda się już uratować, zajął się dach obłożony łatwopalną papą. Patrzyli na buchające płomienie i nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego budynek się jeszcze nie zawalił. Nagle na oczach całego zbiegowiska ukazała się mała Mamie Abbott. Szła alejką od strony domu, okryta mokrą kołdrą. Robiła wrażenie kogoś, kto jeszcze się nie obudził. Trzymała w ręce niebieską plastikową torebkę. Włosy, brwi i rzęsy z jednej strony twarzy były nadpalone. Kaszlała, jakby chciała zwymiotować. Oprócz kołdry miała na sobie tylko krótkie spodenki. Jeden ze strażaków zabrał ją do ambulansu. I pogotowie odjechało po chwili, z jednym tylko pogorzelcem. Ktoś z tłumu krzyknął: — Widzę tam kogoś, we frontowym pokoju, to jest Ray, jak Boga kocham! — Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Trudno było orzec, czy to była rzeczywiście postać człowieka, czy tylko słup dymu. Nie miało to większego znaczenia, bo w chwilę później dom runął z ogłuszającym hukiem, rozrzucając wokół palące się kawałki drzewa, papieru i szmat.

Strażacy polewali wodą sąsiednie budynki, żeby stłumić ogień. Dom Abbottów spłonął, ale jeszcze długo w powietrzu unosił się swąd pożaru i słodkawy, trupi odór. Później, tego samego ranka, ludzie, którzy przeszukiwali pogorzelisko, znaleźli za domem rower i stos gazet Jimmy'ego Porterfielda, którego zaginięcie zgłoszono dzień wcześniej. O znalezisku powiadomiono posterunek policji.

O godzinie piątej po południu zameldowano o odnalezieniu czterech niezidentyfikowanych, zwęglonych ciał — dwojga dzieci i dwojga dorosłych. Mamie Abbott ulokowano w szpitalu św. Bartłomieja z poparzeniami drugiego i trzeciego stopnia, obejmującymi około trzydzieści procent ciała.

Pierwsza noc w szpitalu była dla dziewczynki najcięższa. Pozostała w jej pamięci do końca życia.

Budziła się z krzykiem: — Proszę, nie, nie proszę... proszę. — Jej usta wciąż się układały w te same słowa. Kiedy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła tylko ciemność. Umilkła na chwilę. Gdzie ja jestem — myślała. Nie potrafiła opanować mdłości.

Mrugając odwróciła głowę w jedną, potem w drugą stronę. Nie mogła do końca otworzyć oczu. Wszystko ją bolało. Zwilżyła końcem języka wysuszone wargi. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność.

Próbowała się podnieść, ale przy każdym ruchu przeszywał ją świdrujący ból. Czuła się jak umarła, chociaż serce biło mocno w jej malutkiej piersi. Obandażowane ręce wyglądały jak rękawiczki. Kiedy dotykała się nimi, nie czuła kompletnie nic. Nie wiedziała, do czego służą urządzenia podłączone do jej rąk.

Gdzie są wszyscy? — myślała. Wydobywała z pamięci jakieś strzępy obrazów tamtej nocy. Gdzie jest Toddy? Idzie z nami? Pamiętała, że ktoś wziął ją na ręce, pamiętała palący się dom. Wszyscy odeszli. Mamo! Mamo! Mamo! Poczuła nieprzeniknioną pustkę na myśl, że została sama... na zawsze. Wszyscy umarli! — Nie żyją — powiedziała, a z jej oczu pociekły łzy.

Wzięła głęboki oddech, kiedy przypomniała sobie słowa Shermana. W jej głowie pojawiły się dwie myśli. Wszyscy umarli... oprócz Shermana. Musiał stamtąd uciec. Wpatrzyła się w ciemność, ale dojrzała tylko malutkie kropeczki światła. Ostrożnie, pamiętając o urządzeniach przyczepionych do rąk, wytarła twarz o ramię. Wyszeptała: — Gdzie jesteś, Sherman? — Jej głos zabrzmiał obco i niewyraźnie. Gdyby mogła siebie usłyszeć, nie rozpoznałaby tego głosu na pewno.

Chciała się znowu rozpłakać, ale zamiast tego jeszcze raz wpatrzyła się ciemność. Zawołała: Sherman... — gniew i złość były tak silne, że zacisnęła zęby do bólu. — Czemu nie wziąłeś mnie ze sobą? — Poruszyła się bezradnie, zdradzona i opuszczona. Pragnęła przegryźć słowa na pół, wstać i poszukać wyjścia, wydostać się stąd jak najszybciej.

Drzwi otworzyły się i strumień światła rozlał się na podłodze. Radośnie zamigotały cienie, niby duchy prosto od Pana Boga.

— Zostawcie mnie! — jęknęła. Groziła im, wymachując bezładnie rękoma jak ptak ze złamanym skrzydłem. Ale one przycisnęły ją lekko i poczuła igłę. Usłyszała niewyraźnie:

— To te leki tak na nią działają. Mamie, nic nie mów... To nie ma sensu. Chyba nie chcesz, żeby ktoś pomyślał, że zwariowałaś, prawda?

Od tamtej pamiętnej nocy minęło bardzo dużo czasu, zanim Mamie odważyła się powiedzieć komukolwiek o swoich nadziejach, strachu, miłości i nienawiści.

ROZDZIAŁ 3

Widziała kiedyś w kinie, jak operator pomieszał szpule filmu i wyświetlał wszystko od końca, rozbite skorupy filiżanki z kawą sklejały się w całość i wracały na swoje miejsce na poręczy wersalki. Myślała, że jeśli to jest tam możliwe, to jest też możliwe w jej prawdziwym życiu, w życiu Leony Hillenbrandt. A była pewna, że obraz Mamie trzymającej ją za rękę tamtej nocy w szpitalu od dawna istniał w mrokach jej pamięci.

Jako trzydziestoczteroletnia kobieta Leona wierzyła, że wszystko, co się jej przydarza, jest z góry zaplanowane i kierowane przez jakąś nieznaną, tajemniczą moc. Wierzyła w tę prawdę nawet w najgorzej wyglądających okolicznościach, jak szesnaście lat temu, kiedy jako osiemnastolatka musiała opuścić swój dom rodzinny, zapomnieć o studiach i wszystkich swoich marzeniach.

Nie chciała ukrywać się u ciotki Suid do czasu rozwiązania, jak doradzała jej rodzina, i na dworcu poprosiła o bilet do najdalszego miejsca, do jakiego mogła dojechać za dwa dolary. Po dniu podróży znalazła się w Livingstone w Kentucky, miasteczku położonym nad rzeką z czterema czy pięcioma tysiącami mieszkańców. Potykając się, ze złamanym sercem, krwawiąc, doszła do mieszkania miejscowego lekarza, starszego pana Merchassena. Powiedziała mu, że nie może zapłacić gotówką. Z domu wzięła tylko trochę ubrań i złotą pięciodolarówkę, z której wydała już dwa dolary. Chciała pracować.

Doktor i jego żona przyjęli ją bardzo dobrze. Opiekowali się nią do czasu rozwiązania. Dziecko urodziło się martwe — jak przewidywano. Z wdzięczności została u nich dłużej. A potem jeszcze dłużej, bo obiecała, że zostanie z żoną doktora aż do jej śmierci. Miała wrażenie, że coś ją odwiodło od samobójstwa, że nie przypadkiem trafiła do drzwi lekarza i po latach odrodziła się jako osoba z nowym i lepszym życiem.

Nie wierzyła w przypadki, wiedziała, że wszystko jest połączone jakąś mistyczną równoległością zdarzeń. Jej ogłoszenie w sprawie opon samochodowych miało się ukazać lada dzień, następnego dnia mogła znaleźć mieszkanie, mógł do niej zadzwonić stary znajomy i umówić się na wieczór. Nie potrafiła jednak

przewidzieć tych zdarzeń. Mogła tylko zdawać sobie z nich sprawę i gromadzić je w pamięci.

Jakiś zbieg okoliczności zagnał ją do Graylie w Pensylwanii, żeby zamieszkać z siostrą Emmą i jej mężem. Cornelia Dunham, ich wspólna przyjaciółka, powiedziała Leonie, że zdrowie Emmy coraz bardziej podupada i Leona postanowiła odwiedzić siostrę.

Dzień po tym jak przybyła do Graylie, po hucznym powitaniu, po prawie czteroletniej rozłące, kiedy Emma odkurzała dywan, Leona powiedziała:

— Nie chcę, żebyś czuła się w obowiązku mnie zabawiać.

— Bawić cię w Graylie? To chyba niemożliwe. Obawiam się, że to ty mogłabyś mnie bawić — odpowiedziała z udanym zdziwieniem i obie szczerze się roześmiały.

Emma starała się włączyć siostrę w swoje zwykłe rozrywki, jednak Leona nigdy nie dawała się namówić na pójście do kościoła, grę w brydża z sąsiadami czy wizytę u przyjaciół. Doceniała gościnność Emmy, ale nie chciała spędzać swojego czasu z ludźmi, których nie znała. Przyjechała do chorej siostry i ucieszyła się, że siostra czuje się świetnie.

Do końca lata wiele razy nie skorzystała z zaproszeń Emmy i czuła się z tego powodu trochę winna. Tamtego wieczoru, bardzo niechętnie, zgodziła się odwiedzić z siostrą chorą sąsiadkę, panią Rosie Caldwell, która wolno przychodziła do zdrowia po przebytej niedawno operacji.

W szpitalu zapytały o numer pokoju pani Caldwell. Mijały oddział intensywnej terapii, kiedy zobaczyły Mamie. Dziewczynka obwinięta brudnymi bandażami wyszła właśnie na korytarz ze swego pokoju. Leona do niej podeszła. Wzięła dziecko za rączkę i powiedziała: — Chyba zgubiłaś drogę. — Zaprowadziła ją z powrotem do jej pokoju. Pojawiły się pielęgniarki. Słuchając ich, uświadomiła sobie, że to właśnie ta dziewczynka przeżyła ten okropny pożar. Parę minut później, kiedy Mamie leżała już w łóżku podłączona do kroplówek, Leona pochyliła się nad nią i powiedziała dobranoc. Dziecko chwyciło ją za kciuk. Leona poprosiła Emmę, żeby do pani Caldwell poszła sama.

Przyrzekła sobie, że nie wróci do szpitala. Jednak rano czy po południu pod byle jakim pretekstem przychodziła pod szpital, zastanawiając się, które okno jest oknem Mamie. Czuła się jak nowo narodzona.

W ostatnim miesiącu Leona myślała o wyjeździe, ale nie miała dokąd wracać. W końcu Emma powiedziała:

— Zostań, pomożesz mi się zająć ogrodem. Zawsze mam więcej pracy, niż mogę sama zrobić.

Teraz czekała na wiadomość, kiedy Mamie zostanie przeniesiona z oddziału intensywnej terapii na ogólny, otwarty dla odwiedzających. Pięć dni po otrzymaniu tej wiadomości Leona poszła do szpitala.

W wąskim, pojedynczym pokoju zastała Mamie, tak jak przedtem dokładnie obandażowaną. Obok leżała narzuta, którą z siebie zrzuciła. Miała utkwiony wzrok w jakimś punkcie, zawieszonym gdzieś w powietrzu. Leona poczuła nieznośny zapach — mieszanina płynu do podłogi, przypalonego prasowania i rozkładającego

się moczu. Gdy siadała na prostym krześle obok łóżka, straciła cały dobry nastrój, z jakim przyszła.

Na korytarzu, z tacy z brudnymi naczyniami wzięła kubek, umyła go mydłem do rąk i napełniła zimną wodą. Wyjęła swoją chusteczkę z torebki, zamoczyła w wodzie i wycisnęła. Potem przetarła dziewczynce czoło, policzki i usta, na których pozostały ślady mleka.

— Nic się nie martw — powiedziała. — Zostanę z tobą.

Znowu zamoczyła chusteczkę, wycisnęła i złożyła na pół. Tak długo trzymała ją na czole Mamie, aż nabrała tej samej temperatury co rozpalona skóra dziewczynki. Potem zrobiła to jeszcze raz i jeszcze raz, powtarzając czynność, dopóki szeroko otwarte oczy dziecka nie zamknęły się. — No dobrze — mruknęła Leona. — Już chyba lepiej. Teraz musisz spać.

Kiedy minęły godziny odwiedzin o ósmej wieczorem, siostry powiedziały jej, że musi opuścić szpital. Po czwartym upomnieniu wstała i zapytała:

— Czy możemy porozmawiać na korytarzu? Tutaj śpi dziecko. — Wyszły na zewnątrz.

— Zastanawiałam się, co zrobić w tej sytuacji — powiedziała Leona — i zadecydowałam, że zostaję.

— Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe — wyjaśniła jedna z pielęgniarek.

— Oczywiście, że możliwe. Widziałam wiele razy, jak rodzice czuwają w szpitalach przy swoich dzieciach w nocy. To nic nadzwyczajnego.

— No tak, ale rodzice Mamie... Czy pani jest krewną?

— Nie, ale istnieją inne okoliczności.

Dyskusja zaczęła się od początku. Leona postanowiła ją skończyć.

— Proszę działać zgodnie ze swoimi zasadami, ja pozostanę przy swoich. A tak przy okazji, to doprawdy nie sądzę, że zapewniacie tu panie dostateczną opiekę chorym. Chociaż wcale nie muszę robić z tego głośnej afery.

Odwróciła się i wróciła do pokoju. Dziesięć minut później jedna z pielęgniarek przyniosła lekarstwa, ale nie powiedziała już ani słowa. Leona zmieniła wodę na świeżą i znowu chłodziła twarz dziewczynki, aż na jej pięknej twarzyczce pojawił się lekki wyraz zadowolenia.

Mamie miała twardy sen. Dopiero kiedy nad ranem wzeszło słońce, Leona zauważyła leżące na podłodze zabawki, które przynieśli współczujący sąsiedzi. Kilka lalek było jeszcze nierozpakowanych, inne bezładnie rzucone jedna na drugą. Były tak nieprawdopodobnie smutne i przygnębiające, że Leona odwróciła wzrok. Drżąc w chłodnym, porannym powietrzu, przeciągnęła się, przetarła twarz i podeszła do okna. Na parapecie stało siedem flakonów, a w każdym tkwiła róża. Uderzyło to ją swoją nienaturalnością wydało jej się dziwne i nieodpowiednie, żeby wysyłać dziecku róże — symboliczny kwiat kochanków. Poszukała jakiejś karty, ale była tylko wizytówka z kwiaciarni. Usłyszała szybkie kroki pielęgniarek na korytarzu. Schowała wizytówkę do kieszeni, chwyciła sweter i szepnęła do śpiącej Mamie:

— Do widzenia, na razie.

Tego ranka idąc do domu w wilgotnym od rosy powietrzu przypomniała sobie

dziecięce zabawy wśród porozwieszanego na sznurkach prania — jak przyjemnie było dotykać twarzą mokrych, białych prześcieradeł! Była bardzo zmęczona. W domu czekała ją aromatyczna, gorzka, gorąca kawa.

— Zobacz, co przyniósł kot — powiedziała Emma, ale Leona nie miała siły na rozmowę.

Parę dni później pojechała samochodem do kwiaciarni Niezapominajka. Wystawa była zastawiona kwiatami. Za kasą siedziała kobieta, która robiła wieniec z zielonych gałązek. Leona przedstawiła się zdawkowo i zapytała, kto przesyła kwiaty Mamie Abbott do szpitala. Kobieta uśmiechnęła się znacząco.

— Ja mogę tylko zgadywać, jak pani — odpowiedziała. — Zamówienie przyszło pocztą. Mam gdzieś ten list.

Prze wertowała stertę papierów i wyjęła małą kartkę wyrwaną z notatnika. Zapisana była niezgrabnym, dziecięcym charakterem pisma. PROSZĘ PRZESŁAĆ 1 RUŻE CO DZIENNIE DLA MAMIE ABBOTT ASZ SIE SKOŃCZĄ PIENIONDZE. BĘDĘ WIEDZIAŁ JAK TEGO NIE ZROBIŻ. Żadnego podpisu czy daty.

— Dlaczego miałabym tego nie zrobić? — powiedziała kobieta, nie odrywając się od wieńca. — Więc zrobiłam. Teraz przypominam sobie, że to nie przyszło pocztą, ale ktoś podrzucił tę kartkę pod drzwi razem z dziesięciodolarowym banknotem.

— I co? — Leona zamyśliła się.

— Pomyśleliśmy, że to może jakiś dzieciak, jej kolega ze szkoły. Wie pani, to pismo. Koperta była bardzo stara.

Kobieta się rozgadała i zaczęła opowiadać o pogrzebie Abbottów. Leona słuchała jej z grzeczności, aż wreszcie przyszedł jakiś klient. Nie próbowała dalej rozwiązywać tej zagadki, choć całe zdarzenie zachowała głęboko w pamięci.

Kolacje u Emmy były teraz bardziej milczące niż zwykle, ciszę przerywało tylko lekkie postukiwanie sztućców o chińską porcelanę i wiadomości wieczorne z nowego telewizora Emerson, który Frank kupił niedawno. Kiedy Emma siadała wygodnie w swoim różowym fotelu, żeby zająć się robótką Leona wymykała się przez kuchenne drzwi i szła (albo jechała samochodem, kiedy było ciemno) do szpitala. Wspinała się w górę ulicy, spiesząc na spotkanie z Mamie.

W piątek Emma była umówiona z Frankiem. Po jego pracy mieli pójść do pobliskiej restauracji, a potem zagrać w bingo. Znając odpowiedź, Emma przestała proponować Leonie wspólne wyjścia wieczorem. Popołudnie Leona spędziła robiąc zakupy, w szpitalu zjawiła się trochę wcześniej niż zwykle.

Siedzieli przy łóżku jak w kościele — mężczyzna w czarnym garniturze i kobieta w sukience o wyblakłym wzorze. O mało się nie potknęła. Jedno spojrzenie na ich wychudzone, ogorzałe twarze wystarczyło, żeby wiedzieć, kim są i skąd przyjechali. Stanęła po drugiej stronie łóżka i spytała, czy są krewnymi Mamie.

Skinęli twierdząco. Potem kobieta powiedziała, że przyjechali z Redland w Teksasie. Mężczyzna położył swe twarde, zniszczone ręce na kolanach. Kobieta ściskała czarną torebkę w swych kościstych dłoniach. Mamie nie ruszyła się z posłania, jej twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

— Czy ona was pamięta? — zapytała Leona.

Przecząco pokręcili głową.

— Zastanawiam się, ile ona może mieć lat?

Kobieta zmarszczyła brwi.

— O ile pamiętam pierwsza, czy druga klasa. Charles, czy tak?

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy.

Zwiędłe róże były już wyrzucone, ale dziesięć wazoników nadal stało na parapecie.

— Mamie dostawała takie wspaniałe róże — powiedziała Leona. — Czy to wyście je przysyłali?

— Nie — odrzekła kobieta. — Chcieliśmy, ale nie mogliśmy być na pogrzebie.

Po chwili Leona zapytała o ich pokrewieństwo z Mamie. Okazało się, że kobieta jest daleką ciotką dziewczynki ze strony ojca.

Nie byli błyskotliwi — tępi, brudni farmerzy z Redland w Teksasie. Przyjechali zabrać Mamie. Wieczorne światło nabrało ciemnoczerwonego, a potem purpurowego odcienia. Zapadła długa cisza. Chociaż Leona postanowiła nie mówić im kim jest, póki nie zapytają, wyjaśniła, że przyszła, żeby Mamie nie była sama po tym, co się stało. Poczuła się lepiej. Kobieta odpowiedziała:

— Doceniamy to. To bardzo miło z pani strony. — Wstali, kobieta wygładziła tył sukienki i oboje skierowali się ku wyjściu.

— Kiedy zabieracie państwo Mamie ze sobą? — Leona zapytała pospiesznie.

— Teraz mała czuje się już dobrze — odpowiedziała po krótkim namyśle kobieta. — Doktor powiedział, że wypisze ją w przyszłą środę.

— Mamy swoje zasady — dodał mężczyzna.

Wyszli, zostawiając Leonę w mrocznym pokoju, z zakupami w ręku. Słychać było tylko głośny oddech śpiącego dziecka. — Dobry Boże, co oni z tobą zrobią. Mamie?

Z korytarza dochodziły kroki pielęgniarek. Kiedy Leona spojrzała na zegarek, była druga nad ranem. Przesiedziała całą noc na krześle. Nie mogła sobie poradzić zmyślą, że Mamie może odejść. Ogarnęły ją wspomnienia. Przypomniała sobie, jak miała cztery lata, a Emma — ile? Jedenaście? Ich matka zapadła na poważną dolegliwość gardła. Nim rozpoznano chorobę, obie dziewczynki wysłano do ciotki Cory, która mieszkała na wsi dwanaście kilometrów od miasta. Leona do dziś pamiętała ponury, mroczny dom, nigdy nie podnoszone zasłony, stare fotografie braci i krewnych ciotki, którzy zginęli w czasie pierwszej wojny światowej. Były tam przez dwa i pół miesiąca i były to najczarniejsze miesiące ich życia. Nie darzyła ciotki żadnym ciepłym uczuciem i nie potrafiła zrozumieć tej srogiej, neurotycznej kobiety. Leona modliła się, żeby zachorować i móc wcześniej wrócić do domu. Matka zaraz potem umarła. To było jedno z jej najwcześniejszych wspomnień. Zastanawiała się wtedy, co się z nimi stanie, jeśli mama umrze. Nawet dziś, na samo wspomnienie tamtych dni wpadała w zły nastrój. Nie mogę na to pozwolić — zdecydowała. Gdyby doświadczenia Mamie z tą rodziną były podobne, życie

okazałoby się nie do zniesienia. Kobieta powiedziała, że w przyszłą środę. Mam cztery dni — myślała Leona. Tylko cztery dni. Było tyle do zrobienia.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że następnego dnia pielęgniarki zabronią jej odwiedzać Mamie. Tłumaczyły, że Leona jest zbyt mocno związana z małą i stwierdziły, że krewni dziewczynki skarżyli się z tego powodu. I tak w to nie uwierzyła. Potem jeszcze długo perorowały o zaangażowaniu uczuciowym, poświęceniu i równowadze. Ale ona już nie słuchała.

Nocą babie lato skończyło się i pogoda posmutniała. Przymrozek spustoszył grządki w ogrodzie Emmy. Delikatne łodygi i liście nagle poczerniały. Od samego rana Emma pracowała w ogródku, ubrana w grube swetry i spodnie. Tam ją spotkała Leona.

— Cieszę się, że wyszłaś — powiedziała Emma, odgarniając liście grabiami. Jej policzki poczerwieniały, a w oczach pojawiło się parę łez. — Chciałam pójść po ciebie, żeby coś ci pokazać.

Leona poszła za siostrą. Minęły poletko z ogórkami i doszły do metalowego zbiornika na wodę. Ziemia wokół była podeptana — rozsypane pudełko zapałek, kawałki szmat, dwa wypalone papierosy marki Lucky Strike. Wszystko to wyglądało jak zniszczone gniazdo.

— Co o tym myślisz? Ktoś tu był. — Pochyliła się i przewróciła parę szmat, jakby czegoś szukała.

Leona uśmiechnęła się szeroko. Wcześniej widziała, jak Frank przeszukiwał ogród, ale żeby uspokoić siostrę, powiedziała:

— Wygląda na to, że znaleźliśmy miejsce, z którego Tom nas obserwuje.

— Bądź poważna, Leono — powiedziała Emma. — Jak możesz wymyślać takie bzdury? Po co ktokolwiek chciałby nas podglądać?

Popatrzyły na siebie, wymieniając spojrzenia i mrugnięcia, i wybuchnęły dźwięcznym śmiechem. Jakie były różne. Emma — zawsze realistka, trochę bezbarwna, przy kości, porządna niemiecka matrona. A Leona — młodsza o siedem lat, żywsza, wyższa, o ciemniejszych włosach, o wiele ładniejsza. Tylko oczy miały takie same, po matce, ciepłe, brązowe. Zatańczyły dziki taniec w oszronionych trawach ogrodu. Emma prowadziła, Leona posuwała się za nią. Śmiały się beztrosko i perliście. W końcu pochwyciły się za ramiona, żeby nie upaść.

W poniedziałkowe południe w czasie wizyty u prawnika Leona nie zdziałała więcej niż w szpitalu. Przesiedziała w poczekalni jakąś godzinę, zanim brodaty mężczyzna w średnim wieku przyjął ją w swoim gabinecie.

— Nie ma żadnych wątpliwości — powiedział — że o adopcji nie może być mowy, biorąc pod uwagę, że jest pani samotna i niezamężna. Jeśli krewni chcą ją rzeczywiście zabrać, żaden sąd nie rozpatrzy pani wniosku pozytywnie.

— Rozumiem — skinęła głową.

Wciąż rozmyślając, zjechała windą na dół. Pomyliła wyjścia i znalazła się na tyłach budynku. Drzwi zatrzasnęły się za nią automatycznie. Stała na brudnej alejce.

Powiew mroźnego wiatru zmiótł jej jasny kapelusz z głowy i poniósł gdzieś wysoko. Poszła do banku w Scaranton i wycofała pieniądze ze swojego konta w Livingstone w Kentucky.

Po powrocie do Graylie zdała sobie nagle sprawę, że znowu ktoś połączył wszystkie zdarzenia ostatnich dni i miesięcy w logiczną całość, jak klocki domina w chińskiej układance. Oczywiście, nie miała wyboru, musiała to zrobić.

ROZDZIAŁ 4

Wszystkie rzeczy, które postanowiła zabrać, Leona poukładała na łóżku w swojej sypialni. Były wśród nich ubrania dla Mamie, jeszcze nierozpakowane, buciki nie większe niż długość otwartej dłoni, para sandałków z otworami na palce, czerwone mokasyny, czarne niedzielne lakierki, lawendowe kowbojskie buty z żółtymi frędzlami, brązowy płaszczyk, dokładnie taki sam jak ten, który nosiła w dzieciństwie, i para jaskraworóżowych kapci, skarpetki, w większości białe, jedna para niebieskich z różowym, wymyślnym wzorem, błękitna bielizna, łabędzioszare, brzoskwiniowe i zielone spodnie dżinsowe, spódniczki, czerwony kostium marynarski, kolorowe podkoszulki, sweterki i golfy, na końcu elegancki atłasowy kostium. Rozłożyła go na łóżku i powiedziała cicho z nieukrywanym zadowoleniem: — No popatrz. To jest coś. — Jeszcze jedna walizka i gotowe. Nie miała dużo czasu na rozmyślania, pragnęła jak najszybciej odjechać.

Nagle usłyszała metaliczny zgrzyt dochodzący z dołu. Zamarła nasłuchując. Wstrzymała oddech. Nic. Podeszła do drzwi i wyjrzała na hol. Nic. W panice pomyślała, że to złodziej, który mógłby pokrzyżować jej plany. Emma dowiedziałaby się wszystkiego.

Czekała na ten dzień przez trzy ostatnie doby, minuty płynęły jak spadające krople wody na głowę skazańca w chińskiej komnacie tortur. Emma miała iść najakiś obiad, ale zrezygnowała i w końcu wybrała się na spotkanie organizacyjne balu na Święto Dziękczynienia. Mąż Emmy, Frank, poszedł do znajomych pograć w karty. Chodził tam systematycznie w każdy wtorek i nic nie mogło tego zmienić. I była to jego jedyna wada.

Leona planowała wszystko z najwyższą ostrożnością. Jak zwykle wymówiła się od wspólnego wyjścia z Emmą. Potem śledziła siostrę zza firanki, kiedy ta, będąc już przy bramce, odwróciła się w stronę domu, przełożyła parasolkę z jednego ramienia na drugie, poprawiła torebkę i zniknęła za rogiem. Teraz dochodziła siódma. Pakowała walizki do bagażnika swojego samochodu.

Kiedy otwierała ostatnią walizkę, drzwi do sypialni otworzyły się wolno. Odruchowo zamknęła pokrywę i zastygła w bezruchu. Emma stała w półotwartych

drzwiach. Najpierw popatrzyła na opustoszały pokój, potem na walizkę i stos niespakowanych jeszcze rzeczy, leżących na łóżku.

— Boże! — krzyknęła Leona. — Ale mnie przestraszyłaś. — Czuła, że się czerwieni. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękoma. — Wcześnie przyszłaś.

Emma wzięła głęboki oddech, jej twarz pokrył rumieniec. Kiedy weszła do pokoju, zagryzła wargi. Torebka zakołysała się na jej ramieniu. Głos jej drżał.

— Nie chcę cię pytać, co zamierzasz — powiedziała. Z rezygnacją machnęła ręką. Chwyciła najbliższą sukienkę i rzuciła nią ze złością. — Oczywiście nie chcesz naprawdę tego zrobić, prawda?

Ten hałas na dole to była Emma, nie żaden złodziej — pomyślała Leona. Na pewno głośno kładła parasolkę na metalowej półeczce przy drzwiach. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa, żadna nie ruszyła się z miejsca. Patrzyły to na walizkę, to na ubrania. Leona nie mogła dłużej stać, przesunęła rzeczy na łóżku i usiadła.

— Chciałam wcześniej o tym z tobą porozmawiać — zaczęła Emma. — Od początku wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Skulona na brzegu łóżka, Leona przymknęła powieki. Emma usiadła obok niej i ciągnęła: — Wszystko zaszło za daleko. — Jakby w oczekiwaniu na odpowiedź, szybko dodała: — Nie rób tego, Leono. Proszę, nie rób tego.

Leona popatrzyła na łagodną ciepłą twarz, na przepełnione smutkiem brązowe oczy siostry, ale nic nie odpowiedziała.

— Nie miałaś pojęcia, co robisz codziennie chodząc do tego szpitala. Co ci się stało? Jesteś przemęczona i nie potrafisz już myśleć racjonalnie.

Emma pochyliła się i opuściła ręce pomiędzy kolana. Dotknęła swoich butów. Leonę uderzyła niepohamowana fala miłości do siostry, jak do nikogo innego na świecie. Odczuwała szczerą, gorącą miłość do tej czterdziestoletniej kobiety, starszej siostry, z okropnym gustem, który pozwalał jej nosić takie brzydkie tanie pantofle. To było skrywane, wzajemne uczucie. Leona chciała objąć Emmę i uczynić ją szczęśliwą. Zaschło jej w gardle.

— Jest jeszcze czas, żeby się zastanowić — powiedziała Emma, wciąż patrząc na swoje buty. — Możesz jeszcze...

— Nie, nie mogę. Naprawdę nie mogę.

— Oczekujesz o wiele za dużo.

Przez chwilę Leona nie potrafiła zebrać myśli.

— Nie. Chcę wszystkiego... dla niej. I nie chcę, żeby cierpiała tak jak ja kiedyś.

— Więc jest już za późno. Tracę tylko czas.

— Emmo, znaczysz dla mnie bardzo dużo i nie chcę, żebyś cierpiała. Wiem, co robię.

— No tak. Nie wierzę, że naprawdę wiesz i nic na to nie poradzę, ale się martwię. — Wstała i podeszła do drzwi. Kiedy dotknęła klamki, odwróciła się. Popatrzyły na siebie.

— Myślałam, że się zmieniłaś — odezwała się Emma — ale nie, ani trochę. Trudno cię przekonać, tak jak dawniej. Patrzę na ciebie i widzę tę samą pannicę o

gorącym, bezmyślnym sercu. Pamiętasz, co mówiłyśmy, kiedy miałaś szesnaście lat? Jestem gorąca jak sztuczne ognie, mój miły panie. A nasz ojciec uśmiechał się, a potem umarł z takim samym uśmiechem, niech spoczywa w pokoju, pamiętasz? A teraz patrzę na ciebie i widzę tę samą szesnastolatkę, gorącą jak sztuczne ognie, która zrujnowała naszą rodzinę i pragnie rujnować ją dalej.

Leona była załamana. Odwróciła głowę.

— Co masz zamiar zrobić, kiedy cię złapią?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała Leona, nie odwracając się. — Postaram się nie dać złapać.

— To dobre. Posłuchaj. Poślą cię za kratki, a ja będę musiała się nauczyć z tym żyć.

Leona odwróciła się i zobaczyła, jak Emma ze łzami w oczach wychodzi z pokoju.

— A niech to wszystko — zaklęła i opadła na łóżko. Usłyszała zgrzyt i trzaśnięcie drzwiami. To były drzwi kuchenne.

Leona dobiegła do Emmy, kiedy ta była przy sznurze na bieliznę, który ciągnął się wzdłuż domu. Szła chwiejnie, jakby pochylona pod jakimś ciężarem. Kiedy przystanęła, Leona zatrzymała się tuż za nią. Emma otarła twarz dłonią. Ten widok sprawił Leonie prawie fizyczny ból.

— Jeśli nie przestaniesz płakać, to zaraz rozpłaczę się z tobą.

Głos Emmy zabrzmiał głucho i pusto, jakby mówiła przez zatkany nos.

— Nie, nie będziesz płakać, jesteś zbyt silna.

Leona czekała, drżąc z zimna. Poczuła w powietrzu smak zielonych, kwaśnawych jabłek. Patrzyła na drewniany słupek, podtrzymujący sznur na bieliznę. Chciała się zbliżyć do Emmy, ale ta się cofała. Na jej policzkach błyszczały łzy. Jej opuchnięta twarz drżała. Podniosła róg swojego fartucha i wytarła nim oczy, potem zgniotła go w dłoni.

— Nie rozumiem — powiedziała i zakrztusiła się. — Nic z tego nie rozumiem. To przekracza moje możliwości. Czy powinnam się martwić o ciebie, czy raczej o tę biedną dziewczynkę, którą zabierasz w nieznane, gdzieś tam daleko, a wszystko tylko dlatego, że tak lubisz? Jej starszy brat jakiś czas temu próbował popełnić samobójstwo. Zastrzelić się. To coś znaczy. Coś złego działo się w tamtym domu. — Rozprostowała róg fartucha i za chwilę zmięła go znowu. — Dlaczego samotna kobieta chce wziąć odpowiedzialność za takie dziecko, które prawdopodobnie — podniosła brwi i pochyliła się ku Leonie — nie jest całkiem zdrowe. — Zrobiła znaczący gest. — Jeśli wiesz, co mam na myśli. Ja się na tym nie znam. Nie rozumiem. Możesz zrobić cokolwiek ci się spodoba — potrząsnęła głową — z tymi całymi pieniędzmi Merchassenów.

Emma ruszyła niezgrabnie w drugą stronę i podeszła do dwóch solidnych pojemników stojących przy drewnianym pomoście podtrzymującym róże. Przeciągała pożegnanie z Leona.

Jeśli ktoś z sąsiadów przypadkowo nas obserwuje, to musimy wyglądać żałośnie — myślała Leona. Zastanawiała się jednocześnie, co też ci ludzie o nich myślą. Była o głowę wyższa od siostry i lepiej zbudowana. Leona wiedziała, że starsza

siostra jest raczej brzydka. Tego popołudnia odczuła szczególnie piekący ból z tego powodu, kiedy przyglądała się sobie, przymierzając nową spódnicę i jedwabną bluzkę. Związała w luźny kucyk swoje czerwonawobrązowe włosy, które teraz rozwiewał wiatr. To ją drażniło. Wiele lat temu ich ojciec powiedział: — Leono, kiedy przechodził Bóg z darami, tobie dał urodę, a Emmie dostały się resztki i zdrowy rozsądek. — Wtedy to była prawda i Leona pamiętała tę prawdę niby ostrzeżenie. Od tego czasu chciała jakoś zrekompensować ten podział, jakby była odpowiedzialna za brzydotę siostry. Teraz też w jakiś sposób próbowała to robić.

— Przestań, Emmo. Daj spokój. Proszę. Nie ma na to czasu.

Ale jej wysiłki, żeby uspokoić siostrę, nie zdawały się na nic. Od dnia, w którym zaczęła wypełniać to, co postanowiła, poczuła się silna i pełna nadziei. Teraz nie chciała tak po prostu zapomnieć o wszystkim i postąpić wedle nakazów zdrowego rozsądku i Emmy. Pragnęła chwycić siostrę i potrząsnąć nią z całych sił.

— Emmo, przestań płakać, jeśli na czymś ci w ogóle zależy, to ta rozmowa jest zakończona i za parę minut będę daleko.

Twarz Emmy wykrzywił nieprzyjemny grymas.

— Wiem, że to zrobisz. Teraz już wiem, z kim męczyłam się tak długo.

— Emmo, ja muszę to zrobić.

Oczy Emmy stały się nieprzeniknione niczym głębokie studnie. Wyrzucała z siebie pojedyncze wyrazy, mówiła z wysiłkiem. — Powinnam ci powiedzieć coś wcześniej, ale nie chciałam się mieszać do twoich osobistych spraw. Myślałam, że jak nic nie powiem, to zostaniesz dłużej i zaczniesz zachowywać się normalnie. Przez cały czas miałam wrażenie, że coś tu nie gra, że coś tu jest nie w porządku. Za każdym razem, kiedy wychodziłaś ukradkiem do szpitala, czułam się strasznie. Nie wiedziałam dokładnie, dlaczego. Po prostu zły nastrój.

Zimny wiatr poruszył hortensje, odbił się od płotu i zakręcił sznurem od bielizny. Leona odwróciła się.

— Emmo, nie chcę rozmawiać o tym tutaj. Możemy wejść do środka?

Emma nie poruszyła się. Wciąż trzymając koniec fartucha, skrzyżowała ramiona.

— Dobrze więc — westchnęła Leona. — Spróbuj to zrozumieć. Ta dziewczynka potrzebuje kogoś. Ona potrzebuje kogoś, żeby z nią był, kiedy się budzi ze złego snu, kiedy chce się napić wody, potrzebuje kogoś, kiedy idzie spać, musi wiedzieć, że nie jest samotna i opuszczona, że ktoś o nią dba. A, Emmo, nikt o nianie dba. Oni tego nie robią. Do tego dnia, w którym do niej przyszłam, jej stan nie polepszał się. Powinnaś była to widzieć. Skóra i kości. Jej stan nie polepszał się ani odrobinę!

Czy to z powodu zimna, czy z rozpaczy głos Leony zaczął drżeć. Kiedy umilkła dla złapania oddechu, Emma jej przerwała:

— Ale ty przesadziłaś, po prostu przesadziłaś.

Leona objęła się ramionami, żeby się ogrzać. Rozmowa o Mamie była jak czar. Powróciła myślami do wszystkich tamtych nocy w szpitalu.

— Ona nie dałaby sobie rady. Emmo, ona nie chciała jeść, nie chciała mówić, płakać też nie chciała, nie chciała iść do toalety, moczyła łóżko, każdego dnia, każdej godziny, ona patrzyła tylko na, na, nie wiem na co, na jakiś punkt zawieszony w górze, w powietrzu. Czy wiesz, czym oni ją karmili? Jakąś kaszką, jak niemowlaka.

Emma wolno potrząsnęła głową.

— Już wiem — powiedziała. — Ci ze szpitala mieli rację.

— Wiesz, co oni mi powiedzieli, kiedy ostatni raz ją widziałam? Powiedzieli, że przestała moczyć się w łóżku i zaczęła sama chodzić do toalety. Większość bandaży jej zdjęto. Ale powiedzieli mi także, że robię więcej złego niż dobrego, że jestem zbyt zaangażowana. Tylko że oni nie potrafią jej pomóc, bo oni nie są w ogóle zaangażowani.

— Ale Leono, musisz przyznać, że to obłąkany pomysł.

— Nie — odpowiedziała pewnym głosem. — Nie. Nie muszę niczego przyznawać. Przemyślałam to. Jej krewni nie mają niczego, są biedni. To było wypisane na ich twarzach. Oni jej nie chcą, jest po prostu dla nich jeszcze jednym kłopotem. Ale zabierają ją ze sobą, bo — jak się wyrazili — „mamy swoje zasady" i — jak podejrzewam — z powodu wypłaty ubezpieczenia. Nie zostało dużo czasu. Zabierają ją jutro. Emmo, oni ją zabierają. Nie mogę ich zatrzymać w żaden inny sposób. A jeśli jej nie zabiorę? Zaadoptują ją. Nie mogę nic zrobić, nie mogę ruszyć palcem, żeby ich powstrzymać. Ja jej nie mogę zaadoptować, ponieważ nie jestem mężatką. A jakie to ma znaczenie? Czy dlatego nie mogłabym się nią dobrze opiekować? Każdy chciałby zaadoptować idealne dziecko, ale ona nie jest już dzieckiem i nie jest idealna.

— To właśnie najbardziej mnie martwi — odrzekła Emma. — I dlatego ja nie mogłabym tego zrobić. A jeśli ona naprawdę nie jest całkiem zdrowa? — I znowu ten sam znaczący gest.

— Przestań.

— Muszę ci powiedzieć, co o tym myślę.

Leona zatrzęsła się z zimna i napięła mocno mięśnie. Coś wierciło ją w nosie i kichała co chwilę.

— Tak czy inaczej, Emmo, co mi zostaje? Jakie mam perspektywy? Co będzie ze mną? Z moim życiem? Nigdy nie będzie lepiej. Wszystko jest bardzo niepewne, a czas biegnie szybko. Postaw się na moim miejscu i powiedz mi, co powinnam zrobić. Zostawić to wszystko, jak mówisz? Nie mogę, Emmo, po prostu nie mogę. Muszę jej pomóc.

Emma pokiwała głową i gorzki uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— Leono, wiesz, co mi to przypomina? Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy w ukryciu, kiedy byłyśmy dziewczynkami i jedna z nas zakochała się bez pamięci. Gadałyśmy wtedy bez końca — czy on mnie lubi, myślisz, że on mnie naprawdę lubi? Mój Boże, Leono, tym razem chodzi tylko o ciebie. To ty się zakochałaś.

— Och, Emmo... — chciała się roześmiać, próbowała, ale zbyt dużo już powiedziała. — Nie bądź żałosna.

— Wyglądasz tak ładnie. Nikt by nie zgadł, w jakich byłaś tarapatach i jakie nieszczęścia przeżyłaś.

— Możesz myśleć, co ci się podoba, Emmo. Dłużej tego nie zniosę. Muszę iść na górę i skończyć pakowanie — objęła siostrę. — Nie jest ci zimno?

Skierowały się w stronę domu, ale Emma wciąż mówiła.

— Będę jedyną, o której ludzie będą gadać. Jestem jedyną, która będzie musiała to jakoś wytrzymać. Mieszkałaś u mnie, więc to ja będę za wszystko odpowiedzialna... Może zostałabyś z nami do Święta Dziękczynienia? Chłopcy przyjadą do domu. Jest taka brzydka pogoda, a ty, Leono, nie jesteś najlepszym kierowcą.

— Wiem, że chciałabyś, żebyśmy spędziły święta razem, ale powinnaś spędzić je ze swoją rodziną, beze mnie.

— Jesteś częścią naszej rodziny — powiedziała Emma. Przez chwilę jej głos znowu zabrzmiał głucho i niewyraźnie.

— O nie, przecież wiesz, że to nieprawda. Ile lat mają twoi chłopcy? Osiemnaście? Dwadzieścia? Są dorośli. I ja ich prawie nie znam.

— Tak nie powinno się stać.

— Może i nie powinno, ale tak się stało. Smutne, ale prawdziwe. Emmo, dlaczego nie chcesz mi pomóc?

— To jesteś cała ty! Jeśli myślisz, że przyłożę do tego rękę, to się grubo mylisz.

Ale kiedy zbliżyły się do drzwi, Emma wzięła Leonę za ramię.

— Chcę powiedzieć tylko jedną rzecz. Powinnyśmy być zawsze ze sobą tak, jak przez te ostatnie miesiące, zanim nadeszły te kłopoty. I nie chcę, żebyś właśnie teraz odeszła, kiedy spróbowałyśmy być razem... Czuję, że nie zobaczymy się już nigdy.

Dlaczego, Emmo May Mattingly? Myślę, że jesteś po prostu zazdrosna.

Zostało jeszcze pół godziny. Było kwadrans po ósmej, zapadł zmrok. Łazienka na górze, której używała przez ostatnich pięć miesięcy, została posprzątana, ostatnia walizka zapakowana do bagażnika niebieskiego buicka — wszystko było gotowe do podróży. Skarżąc się i narzekając, Emma chodziła z góry na dół i znowu na górę więcej razy niż Leona, dokładnie wszystko licząc i przynosząc rzeczy, których Leona wcale nie potrzebowała. Wciąż zadawała pytania, jakby nie mogła się zdecydować.

— Nic na to nie mogę poradzić, przecież wiesz. Mogłabym zadzwonić do szpitala i ich ostrzec, że zamierzasz porwać pacjentkę. Ale mogą mnie wtedy podejrzewać o współudział.

— Możesz zadzwonić anonimowo — powiedziała Leona z uśmiechem.

— Nie trzeba geniusza, żeby zgadnąć, kto jest w to zamieszany. Ale nie kuś mnie.

Leona weszła do sypialni na górze po raz ostatni.

— Chcę sprawdzić wszystko jeszcze raz — powiedziała. — Zawsze mam wrażenie, że czegoś zapominam.

Prawdziwym powodem, dla którego wróciła do sypialni, była czarna walizeczka

z cielęcej skóry. Zostawiła ją pod łóżkiem. Trafiła do jej rąk jako część majątku Merchassenów. Przypominała jej wszystkie te lata, które przeżyła w domu doktora, najpierw jako gospodyni-sprzątaczka, potem sekretarka i pielęgniarka, a w końcu przyjaciółka Helen Merchassen. Do czasu kiedy ta zmarła w wieku osiemdziesięciu dwóch lat, latem zeszłego roku.

Czarna walizeczka, którą doktor pieszczotliwie nazywał najskrytszą tęsknotą szmuglera, była bardzo sprytnie skonstruowana. Otworzyła ją do połowy i płasko położyła na łóżku. Po jednej stronie znajdował się rządek kieszonek zamykanych na zasuwki, które zgrabnie wypełniały wewnętrzną przestrzeń. Ale pod nimi było ukryte miejsce — głębokie na co najmniej pięć centymetrów. Tam Leona trzymała malutkie fiolki z medykamentami zawinięte delikatnie w watę i kilka instrumentów, które zabrała z gabinetu przed aukcją. Zatrzymała też osobiste dokumenty doktora i jego żony, bo nie chciała, żeby trafiły w obce ręce. Umieściła je w kieszonkach i szczelinach wśród leków, których nie miała prawa posiadać.

Z drugiej strony walizeczki był fałszywy guzik, a w jej podstawie ukryta szczelina. Za pomocą scyzoryka podważyła zatrzask i otworzyła jedną stronę pokrywy, pod nią znajdowała się trzycentymetrowa przestrzeń. Tam trzymała duże nominały banknotów po tym, jak wycofała wszystkie pieniądze z banku. Wyciągnęła trzy banknoty tysiącdolarowe i zamknęła fałszywą podstawę walizeczki.

Kiedyś mówili o tym z doktorem Merchassenem i doszli do wniosku, że iluzję fałszywej grubości tworzył kształt walizeczki. Górę fałszywego dna pokryła starymi wycinkami z gazet, które znalazła w okolicach zgliszczy domu Abbottów, na to położyła kawałek serwety na stół, którą w tajemnicy szydełkowała, i szydełko. Na końcu automatyczny browning doktora.

Na rączce pistoletu wyryta była inskrypcja FABRIQUE NATIONALE D'ARMES DE GUERRE HERTAL BELGIQUE. Leona nie rozumiała, co to znaczy. Wiedziała, że broń pochodziła z wojny — doktor dostał pistolet od kuzyna, który przeżył lądowanie w Normandii. Dobrze pamiętała, jak pokazywał jej, w jaki sposób odbezpieczyć broń przez odsunięcie tulei, potem można było oddać trzynaście strzałów. Nie widziała jednak, by pistolet był kiedykolwiek używany, i trochę się go bała. Wyobrażała sobie, jak wypala jej w rękach, gdy przypadkowo pociąga za spust. Ale zatrzymała go, bo mógł się przydać.

Zawinęła odłożone trzy tysięczne banknoty w pięciodolarówkę i zamknęła walizeczkę. Wzięła ją i zgasiła światło.

Jej perspektywa widzenia zmieniała się w miarę jak schodziła na dół. Wszystko jakby gdzieś odpływało — prostokąt drzwi na dole, stół do pisania, na którym ustawiono wazę z jedwabnymi chryzantemami, Emma ubrana w pomarańczowy fartuch. Czuła lekki ból głowy. Schodziła bardzo ostrożnie. Trzymała się poręczy schodów dłonią, w której trzymała zwitek banknotów, w drugiej ręce niosła walizeczkę.

— Chciałabym, żebyś została, przynajmniej do powrotu Franka. Wiem, że chciałby się z tobą pożegnać.

Leona mogła rozmawiać z Emmą, ale nie z jej mężem. Dobrze wiedziała, co mógłby zrobić w takiej sytuacji. Chciała wyjechać, zanim Frank wróci ze swojej gry w karty. Stosunki z mężem Emmy układały się poprawnie, chociaż trudno było je nazwać przyjacielskimi. W głębi duszy Leona była przekonana, że nie bardzo był zadowolony z tego, że mieszkała u nich tak długo.

— Jeśli zaczekam, to może być za późno, żeby dokądkolwiek się dostać po nocy. To moja jedyna szansa. — Poczuła, że jej słowa ranią siostrę, i dodała z wymuszonym uśmiechem:

— Tak czy inaczej, jeśli będę musiała zostać i znowu oglądać ten tasiemcowy serial telewizyjny, to chyba umrę z nudów.

Emma wolno odwróciła wzrok i stanęła za drzwiami kuchennymi na zewnątrz. Kiedy Leona podeszła, pocałowała ją w policzek, jedną ręką mocno przytrzymując ją za ramię.

— Życz mi szczęścia, Emmo — wsunęła niedostrzegalnie zwitek banknotów do kieszeni fartucha siostry.

— Dokąd teraz chcesz jechać?

— Wszędzie, gdzie ona zapragnie.

To nie była odpowiedź, ale Emma nie nalegała.

— Daj mi znać, gdzie będziesz. — Jej szyja i podbródek pofałdowały się i przez chwilę wyglądały jak pestka brzoskwini. Nie powiedziała nic więcej.

Kiedy odjeżdżała, postać Emmy traciła ostrość, aż zmieniła się w falującą sylwetkę, otoczoną framugą drzwi i oświetloną żółtym światłem.

Wolno jechała ulicą, tak samo jak przez wiele ostatnich nocy. Zapamiętała wszystko tak dokładnie, że mogła iść tą drogą z zamkniętymi oczami. Wiedziała, gdzie chodnik wybrzuszał się pod wpływem korzeni, gdzie był zapadnięty albo otoczony gęstą trawą. Mijała domy, które nigdy nie będą jej domem, mijała rodziny w pokojach pełnych światła. Jak długo czekało jej serce na podobne miejsce — i na własną rodzinę.

Wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Emma mogła zacząć histeryzować i wszystko powiedzieć Frankowi, Frank mógł zadzwonić i powiadomić szpital, a jeśli któraś z pielęgniarek zejdzie do poczekalni, kiedy będzie tam Leona, to zderzą się z sobą w ciemności... Ale nie, Leona nie martwiła się o to. Przez ostatnie dni przemyślała wszystko i po wielekroć wyobrażała sobie, jak wchodzi i wychodzi ze szpitala. Wystarczyło, że zamknęła oczy i zaraz widziała drogę, jaką miała pokonać: jasną żółtobrązową podłogę, nagie białe ściany, które odpłyną, gdy będzie szła dalej — z mrocznej poczekalni przez metalowe drzwi, sześć albo osiem stopni w górę na podest, aż dojdzie do dobrze oświetlonego korytarza, gdzie pięć drzwi dalej, pięć drzwi po lewej, znajdzie pokój Mamie.

Nie było nic do roboty tylko czekać, czekać w starym buicku zaparkowanym w najciemniejszym miejscu parkingu, tuż przy wejściu do poczekalni. Dwa razy cofała samochód, żeby uciec od światła księżyca, odjechała najdalej jak mogła, ale blady blask księżyca odbijał się wciąż na jej ozdobnym kapturze.

Zapatrzyła się w okno z zapalonym światłem i kolorowymi cieniami figur na firankach.

Parę tygodni temu kupiła lampkę nocną z kloszem, w którym powycinane były malutkie gwiazdki. Chciała rozjaśnić odrobinę pokój Mamie. Wtedy nie myślała, że okno będzie się wyróżniało z zewnątrz. Kupiła ten klosik, bo pomyślała, że fruwające po ścianach figury mogą wywołać odrobinę uśmiechu na smutnej twarzy Mamie. Teraz czekała, a szyba zaparowała od jej oddechu. Czekała pod rozświetlonym oknem. To miała być pierwsza kostka domina w zaplanowanej sekwencji.

Informacje o pracy szpitala zebrała przypadkowo, podczas nocnych wizyt u Mamie. Teraz mogła użyć tej wiedzy. Godziny odwiedzin na dziecięcym oddziale kończyły się o ósmej, dorosłych można było odwiedzać do dziewiątej, potem pojawiały się pielęgniarki. Roznosiły lekarstwa na noc, poprawiały poduszki i gasiły światła, mówiły dobranoc i życzyły kolorowych snów. Ten codzienny rytuał był prawie niezmienny, chociaż czasami przedłużał się odrobinę. Potem siostry gromadziły się w głównym pokoju (gdzie łączyły się wszystkie korytarze), wypijały ostatni łyk kawy, poprawiały makijaż, czesały włosy, przypominając sobie nawzajem o ciszy nocnej, wciągały swetry i płaszcze, martwiąc się, czy nocna zmiana przyjdzie na czas. Jeżeli żaden z pacjentów nie naciśnie dzwonka, korytarze powinny być puste aż do szóstej rano następnego dnia. Wtedy dopiero mogą zauważyć zniknięcie Mamie.

Chociaż zawsze ją denerwował swoimi postukiwaniami i trzaskami, kiedy zamykał wszystkie zewnętrzne drzwi, o mało nie przeoczyła nocnego stróża, który robił obchód zawsze po przyjeździe nocnej zmiany. Dziesiąta trzydzieści była godziną zmiany personelu, ale jeszcze przed obchodem stróża. Musiała zacząć działać.

Kolorowe światło w pokoju Mamie zgasło. Leona włączyła radio w samochodzie. Sprawdziła godzinę na zegarku przy mdławym świetle lampki z radia. Było dziesięć po dziesiątej, dobry czas. Zgasiła radio i słabe światło znikło. Dwie niebieskawe powierzchnie szyby pokryły się mgiełką oddechu, nie mogła niczego dojrzeć na zewnątrz. Ale pocieszała się, że i jej nikt nie może zobaczyć. Nałożyła na głowę szkocką czapkę, potem siedząc wciąż za kierownicą, zmieniła zimowy płaszcz na biały przeciwdeszczowy z ceraty, zbyt cienki na wczesny listopad, ale bardzo podobny do uniformu pielęgniarki. Na siedzeniu obok siebie położyła torbę z nowymi rzeczami dla Mamie. Wyjęła nieprzemakalny ciepły płaszczyk, ale pomyślała, że nie zdąży przebrać dziewczynki w szpitalu. Wyszła z samochodu. Było zimno. Lekko zamknęła drzwi.

Przez asfalt drogi, w płóciennych bucikach, takich jakie noszą pielęgniarki, do ciemnej poczekalni, przez drzwi do ocienionego pustego podestu, potem schodami w górę, gdzie zaczynał się korytarz na piętrze. Rozejrzała się, czy nikogo nie ma za rogiem. Przy końcu korytarza stała pielęgniarka z wózkiem z lekami, inna wyszła z jakiejś odległej sali. Po chwili oddaliły się w stronę głównego pokoju.

Idąc szybko, ale nie za szybko, żeby nie wzbudzić podejrzeń, Leona weszła w

korytarz z pootwieranymi drzwiami. Z sal dobiegały jęki, pomrukiwania, cicho grające radio. Policzyła piąte drzwi i wśliznęła się do środka. Wyszła z kręgu światła, które wpadało przez uchylone drzwi. Stała cicho oparta plecami o ścianę, z trudem łapała oddech. Mrugając, starała się przyzwyczaić do ciemności.

Wpadało trochę światła przez wielkie okno z parkingu i kładło się na rogu łóżka. W pośpiechu, zanim cokolwiek zobaczyła, imię dziecka uformowało się na jej ustach i wymówiła je, łapiąc oddech:

— Mamie?

Minęło kilka chwil i już rozpoznawała kształty w mrocznym pokoju, poczuła lęk i niepokój. W pokoju było zimno, niemożliwie zimno. W oknach zawieszono zasłony, które mogły zakryć dwa duże okna, ale tym razem były do połowy podniesione i wiatr wiał w jej stronę, i w stronę oświetlonego wejścia. Zdała sobie sprawę, że jedno z okien jest otwarte. Cienkie zasłony podnosiły się, falowały i opadały targane podmuchami wiatru, ale najdziwniejszy był zapach powietrza — jakby ktoś rozlał flakon tanich perfum. Wyglądało na to, że pielęgniarka je rozlała i zadecydowała, że raczej wywietrzy pokój, niż go posprząta. Dobry Boże, pomyślała, co oni zrobili.

Zajmując mniej niż połowę łóżka, skulona postać przykryta prześcieradłem leżała na boku. Górny koniec prześcieradła przylepił się do jej piersi. Szeroko otwarte oczy były zapatrzone gdzieś w linie sufitu. Leona, jakby nie mając pewności, sprawdziła numer drzwi jeszcze raz. To ten pokój — pomyślała — czy Mamie nie została przeniesiona do innej sali? A jeśli wypisali ją wcześniej? Musiała to jak najszybciej sprawdzić.

Zrobiła niepewnie krok do przodu.

— Mamie? — wyszeptała przez zaciśnięte gardło w mroczną głębię pokoju. — Wróciłam, jak obiecałam — jej głos się załamał.

Zasłony zatrzepotały.

Omijając krąg światła, ruszyła dalej w stronę łóżka. Zauważyła, że bandaż, którym zawinięto ramię Mamie, mocno się zsunął. Widziała jego postrzępione końce, zaciśnięte usta dziewczynki i jej wychudzoną twarz. Twarz, która odzyskiwała utraconą delikatność, miękkość i zdrowe kolory, teraz znowu wydawała się chuda i wymizerowana.

— Mamie, co oni ci zrobili? Boże!

Kiedy pochyliła się nad dzieckiem, zimny powiew wiatru owionął cały pokój. Połowa zasłona wypełniła się powietrzem i opadła, wydając głośny odgłos. Ciało Leony przeniknął dreszcz, ale odezwała się już spokojniej.

— Mamie, tak mi przykro, że zabrało to tak dużo czasu, zanim się tu dostałam. Zaraz poradzimy sobie z tym wiatrem. — Popatrzyła na zasłony raz jeszcze, a potem wciąż patrząc na uchylone drzwi, w których w każdej chwili mogła pojawić się pielęgniarka, zrobiła parę kroków w kierunku okna, pchnęła je i zatrzasnęła. — No, zrobione — powiedziała, cofając się szybko.

Usłyszała wolne postukiwania butów w korytarzu. W panice szukała miejsca do ukrycia. Pomyślała o zasłonach, ale to nie było bezpieczne miejsce, jeśli

przypadkowo poruszy zasłonę, cały jej domek z kart gwałtownie runie. Pomyślała o ukryciu się za oparciem krzesła, ale i to wydało się dziecinne i ryzykowne. Potem spojrzała na drzwi do łazienki, obok lewej nogi łóżka. Były wpół otwarte. Wsunęła się cichutko do pomieszczenia.

Ukryła się w najciemniejszym kącie łazienki. Dotykając brzegu drzwi, popatrzyła na wejście do sąsiedniego pokoju. Nagle całe światło wpadające przez drzwi pokoju Mamie przesłoniła ogromna czarna kobieta w białym fartuchu. Ze zdziwieniem wpatrywała się w zamknięte okno. Wzięła się pod boki.

Leona wstrzymała oddech. Czuła się jakby zawieszona w powietrzu na sznurze przywiązanym do monstrualnego haka jej własnych marzeń. Dusiła się. W końcu otworzyła usta i bardzo cicho wypuściła powietrze. Wokół unosił się mdły, drażniący odór czegoś rozkładającego się. Był ostry, ale rozpoznawalny i znajomy. Nie mogła go jednak umiejscowić.

Pielęgniarka podniosła wysoko głowę i Leona usłyszała jej głos.

— Używasz tu perfum? Co? Daję słowo, że czuć tu perfumami.

Czarną błyszczącą twarz oświetlała mieszanina światła i cienia. Głowa kobiety wydawała się o wiele za mała w stosunku do reszty ciała. Wydawało się, że patrzy prosto na Leonę.

Przytrzymując się drzwi Leona poczuła, że bolą ją palce mocno zaciśnięte na framudze. Bała się poruszyć. Wtem, z oczami utkwionymi w sylwetkę pielęgniarki, kiedy wszystkie jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości, poczuła coś na swojej szyi, coś pełzającego po końcach jej włosów. Co to jest? — pomyślała. Chciała to strzepnąć, ale nie mogła. Drżała. W nagłym błysku poczuła każdy milimetr swojego ciała. Wolno nabrała powietrza, oddychała jakby przez słomkę. Bezgłośnie.

Pielęgniarka podeszła do łóżka, kiedy z korytarza dobiegł inny głos:

— Zwróciłaś uwagę dzieciakowi Whartonów, żeby wyłączył radio? — Czarna siostra wciągnęła głęboko powietrze i pokręciła głową, pomrukując do siebie. — Musiałam chyba przynieść ze sobą ten zapach perfum, z pokoju pani Carruther. — Odwróciła i wyszła.

Leona ruszyła zza drzwi, trzęsąc się z zimna i masując kark. Miała wrażenie, że pije powietrze. Marszcząc brwi, odwróciła się i zbadała wzrokiem ciemny kąt łazienki za drzwiami i zasłony, ale wszystko było w porządku. Na korytarzu postukiwały buty pielęgniarek. Omijając łóżko, pośpieszyła do drzwi wejściowych i zamknęła je wolno. Światło w pokoju skurczyło się. Obróciła się do Mamie. Stanęła przy oknie, żeby dziewczynka mogła ją dobrze widzieć.

— Przecież oni nie dbają o ciebie wcale — powiedziała.

Mamie drżała, ale jej oczy pozostały nieruchome. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Leona mogła nareszcie normalnie oddychać.

Poczuła się bezsilna. Zdała sobie sprawę, chyba po raz pierwszy, że Mamie jej nie zna. I nigdy nie znała. Może przez te wszystkie noce, które spędziły razem, bała się jej tak samo jak dzisiaj. Leona poczuła się zagubiona. Wszystkie te bezsenne noce, marzenia i nadzieje, wszystko na nic. Teraz chciała tylko jakiegoś znaku rozpoznania. Stojąc nad łóżkiem dziewczynki, przez te ciągnące się w nieskończoność

sekundy, Leona pragnęła nagle zapomnieć o wszystkim, odwrócić się, odejść i nigdy nie wrócić.

Ale Mamie... Nawet jeśli nie chciała teraz popatrzeć na Leonę, ani wymówić jej imienia, nawet jeśli nie wiedziała, kim jest kobieta, która przychodziła do niej każdego dnia, mówiła do niej, czytała bajki i trzymała za rękę, całowała rano na pożegnanie, kiedy pod poduszką spała lalka liliput, którą tak bardzo lubiła, nawet gdyby Mamie niczego nie zauważyła, to przecież jej wargi nabrały koloru purpury, jej policzki rumieńców, ajej stan się polepszał. Nie była jeszcze zdrowa, ale coraz zdrowsza. Kiedy Leona wyciągnęła spod dziecka szary koc, żeby zawinąć dziewczynkę, powiedziała:

— Jeśli nawet wszystko zacznie się od początku, pewnego dnia przypomnisz sobie swoje imię, Mamie, i wymówisz moje.

Mamie drżała. Leona musiała odginać po kolei jej małe palce kurczowo zaciśnięte na prześcieradle, żeby zawinąć ją w koc.

— To cię ogrzeje — wyszeptała. — Nie chcemy, żebyś złapała zapalenie płuc. — Pociągnęła prześcieradło do dołu. Część, potem całe. Mamie była prawie ubrana. Ubranie było na nią za duże. Wszystko przeznaczone dla dziewczynki, ale numer albo dwa za duże. Dżinsowe spodnie i stare tenisówki.

— Och, Mamie — powiedziała zdziwiona. — Gdzie chciałaś uciekać? Czy jest ci naprawdę aż tak źle? Gdzie znalazłaś to ubranie?

Rozpostarła koc i okryła nim dziewczynkę. Podniosła ją i wtedy zobaczyła unoszące się lekko zasłony, a pod nimi czyjeś buty. W tej właśnie chwili wszystko — szpitalny pokój, Mamie, nawet ona sama — wydało jej się surrealistyczne. Zanim to uczucie minęło, w świetle padającym od okna ukazał się jakiś poruszający się kształt, kształt człowieka. Próbowała coś powiedzieć, ale jej gardło było zbyt suche, aby mogła wypowiedzieć choć jedno słowo. W końcu złapała oddech i wykrztusiła: — Kim jesteś? Czego chcesz? — zasłona drgnęła i zaczęła się rozsuwać. Nie potrafiła rozpoznać osoby. Wysuwająca się postać była w cieniu. Przez chwilę myślała, że jej serce stanęło.

Trzymając Mamie na rękach, wybiegła z pokoju, pozostawiając otwarte drzwi. Spojrzała w stronę głównego pokoju sióstr i ruszyła wzdłuż korytarza, schodami w dół, przez metalowe drzwi do poczekalni, a potem w czystą zimną noc do samochodu. Ruszyła, zanim zdołała zapalić światła.

Kiedy to zrobiła, oślepił ją blask pełzający po żywopłocie otaczającym parking i nagle z głębi ulicy ukazały się błyszczące oczy, bardzo dziwne oczy. Łapały światło świdrującym spojrzeniem. Buick zbliżył się do nich, ale fosforyzujące oczy nie poruszyły się. To było jakieś zwierzę, jakiś pies albo coś podobnego. Jej dłonie ścisnęły kierownicę z całych sił tak, że na skórze pojawiły się ścięgna. Nie potrafiła zareagować wystarczająco szybko, żeby zabrać nogę z gazu. Cokolwiek to jest, muszę się z tym zmierzyć...

W miejscu uderzenia poczuła mocne odbicie. Skręciła kierownicę, drugą ręką przytrzymała Mamie. W tej chwili, kiedy nagle zmieniła kierunek, to coś poderwało się i zbliżyło od strony jej okna. Widziała wyraźnie wyszczerzone zęby, rozpryskującą się ślinę, powietrze rozdarło ogłuszające wycie. Zobaczyła, że to coś

ześliznęło się po masce, ale zanim wyjechała na prostą to zaatakowało znowu, uderzając w okno z taką siłą że szyba pękła. Czarna postać z błyszczącymi zębami była tak blisko, że wydawało się, że ją dosięgnie. Podniosła ramię jakby w obronie i z całej siły nacisnęła pedał gazu. Z głośnym skowytem kształt uderzył w okno po raz trzeci, a jego pazury zsunęły się ze zgrzytem po szybie. Wtedy buick szybko ruszył. Ocierając się o niski murek samochód podskoczył i Mamie wpadła na Leonę. Wyciągnęła rączki w stronę okna, jakby chciała objąć zwierzę, zasłaniając Leonie cały widok.

— Zniż się, Mamie! Zniż się! Na miłość boską, zniż się, Mamie! Proszę! — Jakieś gałęzie szurały po masce samochodu. Krzaki i zarośla przesunęły się po przedniej szybie. Z trudem panowała nad kierownicą. Buick przejechał na drugą stronę i znowu wpadł na przydrożny pas zieleni, uderzył o krawężnik i zahaczył o zaparkowany obok samochód. Zapiszczały opony. Kiedy mocowała się z kierownicą, zobaczyła we wstecznym lusterku biegnącą postać i coś jeszcze. Psa. Teraz bezbłędnie rozpoznała. To był pies, cholerny, szalony pies. Była roztrzęsiona, bolały ją mięśnie ramion i nóg. Udało się jej jednak skręcić i ruszyć z maksymalną prędkością do autostrady.

Wyjechały z Graylie i przejechały z dziesięć kilometrów, zanim Leona zaczęła rozmasowywać bolące mięśnie. Poprawiła Mamie na siedzeniu obok siebie. Kto to był? — myślała. Pacjent? Ale który? Który, do cholery! I nagle przypomniała sobie bardzo wyraźnie to dziwne wrażenie czyjejś obecności w szpitalnej łazience. Czuła, jak to coś dotykało jej włosów. Teraz wiedziała, co to było. Oddech. Ktoś tam był, oddychał stojąc za nią podglądał ją i na coś czekał. Był tak blisko, podszedł tak blisko... ale kto? Na co czekał? Teraz już umiała zidentyfikować tamten specyficzny odór, to było takie oczywiste — zapach sierści mokrego psa. Nie mogła opanować drżenia. Prawą ręką pogładziła małą główkę leżącą na jej sukience. Lewą trzymała kierownicę, prowadząc buicka ciemną autostradą.

ROZDZIAŁ 5

Nie miał żadnych szans, żeby teraz, w nocy, złapać tę kobietę. I Sherman dobrze o tym wiedział. Mógł tylko pobiec do jej domu. Ruszył przez pas zieleni rozciągający się za szpitalem. Biegł tak szybko jak potrafił. Przed nim podążał Chińczyk, węsząc nisko przy ziemi. Zniknęli w cieniu drzew. Sherman myślał tylko o jednym — jak najszybciej dostać się do tamtego domu. Myślał o tym nawet wtedy, gdy się zatrzymał, żeby zmienić kierunek, albo podnieść zardzewiałe druciane ogrodzenie, albo wspiąć się na murek. Nienawiść rosła w nim, jak szybko działająca trucizna, opanowująca jego wszystkie zmysły. Był pod wpływem szoku, nie mógł uwierzyć w to, co zaszło. Czuł pulsującą krew. Dziwka — wciąż powtarzał w myślach. Wszawa dziwka.

Minął trawnik i wpadł w zarośla.

Tam, w ciemnym pokoju, myślał, że to pielęgniarka, która przyszła powiedzieć jego siostrze zwykłe dobranoc. Chciał skończyć ubierać Mamie, zaraz po wyjściu tamtej kobiety. Ubranie ukradł ze sznura na bieliznę. Potem chciał ją zabrać i uciec w noc. Ale jego plan, tak jak wszystkie inne, nie wypalił. Tylko że tym razem było gorzej, o wiele gorzej.

Nawet kiedy kobieta podeszła do zasłony i prawie go dotknęła, nie domyślił się, co ona zamierza zrobić. Bał się, że odkryje jego obecność, co musiałoby się skończyć na posterunku policji. To dlatego nie ruszył się, nie zrobił niczego, żeby ją zatrzymać. Potem było za późno. To było jak patrzenie na zwinięty sznurek od latawca, który rozwija się na początku wolno, a potem szybciej i szybciej, aż wreszcie umyka spod kontroli parząc palce. To, co zrobiła tamta kobieta, budziło w nim bezsilną, mściwą nienawiść i nie mógł tego pojąć. W jego umyśle wszystko sprowadzało się do prawd i uczuć prostych i wyraźnych. Zabiłby, gdyby ją dostał. Zrobił to w myślach. Już nie żyła.

Przesadził gęste zarośla i gnał dalej starą dróżką, którą zwykle chodziły krowy. Obok znajdowały się poukładane w stosy drewniane belki. Przystanął na ścieżce i chwycił się za kolana. Jego oddech był gorący i chrapliwy, a głowa trzęsła mu się jak w febrze. Długie igły bólu przeszyły ramię, to odezwała się dotkliwie poparzona ręka. Na wschodzie kwarta księżyca połyskiwała rdzawoczerwonym blaskiem, jak

obwód nadpalonego emaliowanego wiadra. Podbiegł do niego Chińczyk. Obwąchał, zmrużył swoje ciemne oczy i zwinął ogon w dużą kulę futra.

— Dobry pies — powiedział Sherman pomiędzy jednym a drugim oddechem. — Zrobiłeś, co do ciebie należało.

Jakby reagując tylko na głos Shermana, zwierzę spokojnie położyło się na ziemi. Ale Sherman nie zatrzymał się na dłużej — odwrócił się i pobiegł dalej. Chińczyk popędził za nim.

Gałęzie drzew skrzypiały ponad nimi. Biegli obok siebie, ale w pewnej odległości. Chińczyk prawie leciał nad zaroślami. Z drugiej strony pasa drzew Sherman słyszał szum samochodów na autostradzie. Pomiędzy pniami widział ich migające światła. Jechały w tę samą stronę co ta kobieta, do Scranton. Pochłonięty tą myślą o mało nie wpadł na metalową palisadę ogradzającą cmentarz. Końce jego buta uderzyły w kamienną podstawę, zaczepiły o coś wystającego i usłyszał trzask rwącego się materiału. Prawie odpadła podeszwa jednego buta. Nie miał czasu, żeby o niej pomyśleć. Przez płot, nagrobki i figury nagrobne migotały słabo światła odległych domów.

Znowu przejechał jakiś samochód. Silnik głośno zawarczał, potem ciszej, wreszcie umilkł. Światła reflektorów przepłynęły i zamigotały na parkanie. Kiedy światło zgasło, Sherman przeszedł przez dziurę w żelaznej palisadzie i wszedł na miękką ziemię cmentarną. Poruszał się od nagrobka do nagrobka, teraz po znajomym terenie. Ostatnio codziennie chodził tą trasą kiedy śledził kobietę wracającą do domu. Przystanął za białym pomnikiem, potem pognał alejką w stronę mostu Sand Creek. Chińczyk wyprzedził go i zniknął mu z oczu. Gdy przejeżdżał następny samochód, wspinali się wzdłuż nasypu, biegnąc w dół rzeki.

Pięć minut później na rogu Battery Street i Columbia Avenue Sherman zatrzymał się, patrząc uważnie na biały dom wyróżniający się w ciemnym szeregu innych budynków. Podbiegł parę kroków, potem zwolnił, idąc przez podjazd. Podchodził wolno do domu. Przyspieszył, kiedy dotarł do trawnika, gdzie jego kroki były prawie niesłyszalne. Widział palące się światło na schodach w środku domu. Z początku pomyślał, że to telewizor, ale światło nie mrugało, miało wciąż to samo natężenie. Słabe światło dochodzące z holu albo kuchni. Kiedy mijał dom, zauważył, że duży pokój jest ciemny, rozświetlała go poświata z drugiego pokoju.

Droga do garażu była pusta, a garaż zamknięty. Niebieskiego samochodu nie było. Spóźnił się — pomyślał. Nie wydał żadnego dźwięku. Usiadł na ziemi. Chińczyk przybiegł z drugiej strony ulicy. Język zwisał mu z jednej strony pyska. Sapał głośno wydychając strumienie białej pary. Jeżeli samochód nie został ukryty w garażu, to wszystko wskazywało na to, że ona to zrobiła. Zabrała Mamie i nikt o tym nie wiedział.

Tylko ja — myślał Sherman. Tylko ja.

Jakiś samochód jechał w jego stronę. Szybko podbiegł do palisadowego parkanu i całym ciałem przywarł do ziemi. Samochód odjechał. Zagwizdał cicho na Chińczyka. Pies położył się na grzbiecie, jakby czekając na zabawę. Jego pysk był zakrwawiony po ataku na samochód, wąsy miał pozlepiane zakrzepłą krwią.

Spokojnie leżał, kiedy Sherman głaskał go po futrzastej piersi. Bieg nie zmniejszył gniewu Shermana, ale jego ciało napięło się jeszcze bardziej z powodu tego, co odkrył przed chwilą. No to po wszystkim, pomyślał. Nic już nie da się zrobić. Zaczął dygotać tak mocno, że musiał chwycić zębami bandaż. Znowu zaczęła mu dokuczać rana na ręce. Kiedy pas światła następnego samochodu oddalił się, wstał i skinął na Chińczyka. Popatrzył na ulicę.

Poszedł do rogu i skręcił nagle w mało uczęszczaną, pełną wyboi alejkę. Zimny wiatr smagał jego spoconą skórę. Ostrożnie skradał się przez zarośla, wiedząc, co może go zdradzić. Przechodził tą alejką już wcześniej, ale tylko z drugiego końca. Za tylną ścianą szopy, która stała obok, przystanął, zwolnił oddech i wytarł twarz. Kiedy stąpnął do tyłu, spod nóg wyskoczył mu kot i błyskawicznie wspiął się na dach szopy. Warcząc i kłapiąc zębami Chińczyk próbował go złapać, ale Sherman go odciągnął. Z alei, a potem z sąsiednich podwórek, dobiegały powtarzające się poszczekiwania. Po paru krokach puścił Chińczyka i pobiegli w stronę niskiego ogrodzenia państwa Mattingly, potem przecięli nierówny ogród i zatrzymali się za cichym kurnikiem.

Okno na górze żarzyło się różowym światłem, ale nie w pokoju kobiety, tylko w drugiej sypialni. Szkło w tylnych drzwiach przeświecało słabą poświatą, którą widział od strony frontu. Więc gdzieś w domu, w dużym pokoju albo w holu, zostawiono zapaloną lampę. Kobieta, która zabrała Mamie, odjechała. Zniknął ostatni cień nadziei. Ale musiał ją znaleźć. Ktoś przecież wiedział, dokąd pojechała, ktoś kto był blisko niej... a taki ktoś był właśnie w domu.

Stał blisko betonowych pojemników, w ciemnym łuku kraty, która podtrzymywała róże. Patrzył na światło na górze i podejmował decyzję. Rozgrzewał dłonie ciepłym oddechem. Przemarznięty, drżący, stawiał wolno kroki na stosy liści. Nie dostrzegł żadnego ruchu ani zmiany w pokoju na górze. Pojedyncze ujadanie połączyło się w jedno przeciągłe wycie.

Kiedy tam stał, wiedział, że pojedzie za Mamie i za tamtą kobietą, znajdzie je i zabierze siostrę. Wierzył, że mu się uda. Potrzebował tylko paru rzeczy. Mogła mu pomóc jakaś fotografia kobiety. Wiedział, gdzie jest jedna — na półce nad kominkiem. Jakiś list do niej mógł podpowiedzieć, gdzie się udała. I pieniądze. Musiał znaleźć trochę pieniędzy.

Dostanie się do środka było proste. Był już tam przedtem. Przeszukał kieszeń kurtki i poczuł się bezpieczniej, kiedy natrafił na starą pałkę policyjną, którą zabrał pewnej nocy z biurka. W drugiej kieszeni miał latarkę w kształcie długopisu. W kieszeni spodni — nóż składany z dwoma ostrzami, jedno było wyłamane. Chińczyk ziewnął, wstał i znowu usiadł.

— Zostań tutaj — powiedział Sherman. — Nie pozwól nikomu tam wejść. Nie pozwól nikomu. — Chińczyk zmrużył swoje błyszczące ślepia i oblizał się.

Czekając aż zgaśnie światło, Sherman wyciągnął z kieszeni kurtki dwie tabletki przeciwbólowe i połknął je bez popijania. Wiedział, gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami — może będzie musiał wyłączyć światło. Lek zadziałał szybko. Doszedł do

mózgu i zmniejszył nieznośny ból ręki i w tyle głowy. Poczekał chwilę. Potem pewnie ruszył w stronę domu.

Emma otworzyła oczy. W pokoju było ciemno. Otrząsnęła się z ledwie zapamiętanego, nieprzyjemnego snu. Zamrugała i przetarła oczy. Nie widziała wiele. Chociaż wszystko było na swoim miejscu, ogarnął ją niepokój. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zgasiła lampkę przy łóżku, nie pamiętała też, jak zasnęła. Resztki snu wciąż w niej żyły. Kiedy spała, miała wyraźne uczucie, że coś czai się w pobliżu, jakby kot, który zakradł się, żeby skraść jej oddech. Intensywność tego uczucia nie dawała jej spokoju.

Stare przesądy z dzieciństwa nagle wróciły. Przez mrożącą krew w żyłach chwilę pomyślała: — O mój Boże, to Leona została zamordowana i przyszła do mnie. Potem zganiła się w myślach za takie niedorzeczności. Ale nie mogła się uspokoić. Nie potrafiła się pozbyć instynktownego uczucia strachu, z jakim się obudziła.

Podnosząc się wyżej na poduszce, sięgnęła podstawy lampki i nacisnęła przełącznik. Nic, ciemność pozostała nienaruszona. Szybko nacisnęła przełącznik jeszcze dwa razy. Znowu nic. Popatrzyła na klosz lampki z niedowierzaniem.

Leżąc w ciemności zastanawiała się, czy zostawiła zapasową świeczkę w łazience, kiedy tam ostatni raz sprzątała. Zadecydowała, że nie, a to znaczyło, że musi zejść aż na dół, żeby jakąś znaleźć. Zawahała się. Bała się, ale nie chciała się do tego przyznać. Wstała i nałożyła szlafrok. Kiedy się podnosiła, książka, którą czytała przed snem, upadła na podłogę z głośnym trzaskiem. Na stoliku po stronie Franka stał budzik z podświetlaną tarczą, odczytała dwadzieścia po jedenastej. Frank powinien już być w domu — pomyślała.

Pamiętała, żeby zostawić dla niego światło w dużym pokoju i na schodach. Było trochę po dziesiątej, kiedy na półeczce z medykamentami w łazience znalazła tabletki na nerwy, które dała jej Leona. — Są bardzo łagodne — powiedziała wtedy Leona. — Możesz tego potrzebować w jakiś deszczowy dzień. — Dzisiejszej nocy, martwiąc się i denerwując, jak powie Frankowi o złych nowinach, Emma zażyła aż dwie tabletki. Potem przebrała się w nocną koszulę, ułożyła dwie poduszki i opierając się na nich usiadła, trzymając przed sobą otwartą książkę. Wtedy lampka się paliła.

Pomyślała, że może żarówka się przepaliła, kiedy spała i może dlatego się obudziła. Pamiętała, że bardzo dawno zmieniała tę żarówkę. Wtedy dostrzegła jakiś ruch w w ciemnym przejściu drzwi. To Frank — pomyślała, starając się rozluźnić. Ale nie słyszała wcześniej jego samochodu na podjeździe. Nagle znalazła wyjaśnienie. To musi być Leona — pomyślała i ta myśl podniosła ją na duchu. Spotkało jącoś niedobrego, w ostatniej chwili straciła zimną krew, zmieniła zdanie i przyjechała z powrotem do domu. Niezmiernie szczęśliwa zdecydowała, że pójdzie do pokoju siostry, żebyją pocieszyć — pokonaną i załamaną.

Emma położyła się na łóżku. Nasłuchiwała. Dom stał się wielką studnią ciszy. Z jej dna dochodziły niewyraźne hałasy, cichutkie postukiwania i podejrzane dźwięki.

Okrągła klamka w drzwiach obok przekręciła się z leciutkim skrzypnięciem. Wyraźnie było słychać odgłos buta z oderwaną podeszwą. To na pewno Leona — pomyślała raz jeszcze. Tylko to mogło wszystko wyjaśnić.

Zakrywając się kołdrą usiadła na łóżku. Mocowała się z bawełnianym szlafrokiem, nie mogąc sobie poradzić z jego opadającą górą. Skoczyła na podłogę, szukając w pośpiechu kapci, których nie mogła wyczuć, i jej noga natrafiła na coś zimnego jak lód, oślizłego i wilgotnego. Odskoczyła, ale to coś przyczepiło się do końca jej stopy. Krzycząc i piszcząc chwyciła stopę rękami. Schyliła się i zdjęła to drżącymi palcami. Poczuła w całym pokoju intensywny odór gnijącego drewna i deszczu. Trzymała w dłoniach jakąś kleistą maź. Przysunęła rękę do oczu, żeby zobaczyć co to jest. Wilgotny pognieciony liść. — O Boże — krzyknęła padając na łóżko. Odetchnęła i rozluźniła się, spokojnie nabierając powietrze w płuca. Śmiała się z zażenowaniem. Liść, po prostu zwykły liść. Pan Bóg jest miłosierny.

Zabrało jej parę chwil, żeby pomyśleć i poradzić sobie definitywnie z absurdalnością całej tej sytuacji. Znowu usiadła na łóżku poprawiając szlafrok. Kiedy wstała i ruszyła do drzwi, w połowie pokoju natrafiła na drugi liść. Znowu się zdziwiła i znany strach przebiegł ją wzdłuż kręgosłupa. Popatrzyła na długie zasłony w oknach. Prześwitywał przez nie błyszczący i zimny blask księżyca. Gdyby je odsłoniła, mogłaby z pewnością więcej zobaczyć. Podeszła więc szybko do okna i podniosła zasłony. Popatrzyła na cienki rogalik księżyca i zadziwiła się, jak mało daje światła.

Ślad liści prowadził od łóżka poprzez drzwi do schodów. Czarne błyszczące liście. Czuła pulsującą krew w skroniach. Ani Frank, ani Leona nie weszliby w tak zabłoconych butach. Musiała się czegoś przytrzymać. Sięgnęła na ślepo do jednego z filarów łóżka. Przypadła do dębowego ornamentu.

Nie mogła się ruszyć, zmrożona własną myślą. Nie wiedziała, dokąd pójść ani co robić. Telefon był na dole. Żeby się wydostać z domu, także musiała zejść na dół. Ktokolwiek to był, znajdował się na drodze jej ucieczki. Wiedziała, że jej krzyku czy wołania o pomoc i tak nikt nie usłyszy, chyba że ten obcy dowie się o jej panicznym strachu. Jeśli będzie cicho, może weźmie to, co chce wziąć i odejdzie. Oddychała bezgłośnie. Stała bez ruchu, wciąż trzymając się kurczowo filaru. Zawieszona jakby w powietrzu, czekała na odgłos odchodzących kroków albo na zatrzaśnięcie drzwi na dole, ale było cicho. Czekanie przedłużało się w nieskończoność. W końcu znowu go usłyszała, ale jej serce biło tak głośno, że nie potrafiła zlokalizować kroków. Przez otwarte drzwi do sypialni widziała światła samochodów przejeżdżających koło domu, jasne pasy wznoszące się i opadające w dół.

Teraz jej gość poruszał się o wiele szybciej. Mogła słyszeć jego pospieszne kroki tak wyraźnie, że oceniła, iż musi być na górze, ale nie potrafiła określić, gdzie. Ciemność wydała się jej wielkim mrowiskiem malutkich, czarnych, ruszających się pośpiesznie stworzeń. Nocne powietrze nabrało konsystencji czarnego kleju. Chodził po pokojach — przez chwilę była pewna, że wchodzi po pokoju Leony — głośno postukując odpadającą od buta podeszwą. Jego zbliżające się ruchy paraliżowały ją.

Usłyszała tłuczone szkło, powtarzające się nieskończoną ilość razy odgłosy czegoś rozpryskującego się o podłogę. Tym razem dochodziły z dołu. Suwanie otwieranej szuflady, potem następnej. Wydawało się oczywiste, że szuka czegoś pośpiesznie. Pozwolić mu wziąć co chce, a potem sam wyjdzie. Pomyślała, że zrobi wszystko, byleby tylko odszedł, kiedy przypomniała sobie, że na dole pod wazą z kwiatami na stole schowała trzy tysiące dolarów. Poczuła ból w całym ciele i chciało jej się płakać.

Drzwi od pokojów nie miały żadnych zamków. W jej sypialni nie było nawet krzesła, żeby mogła zablokować klamkę, tylko mały stołek przy toaletce. Chciała krzyczeć i wybiec jak najszybciej przed dom, na podwórko, ale nie była w stanie oderwać się od dębowego filaru. Była w pułapce oświetlonej srebrną poświatą księżyca.

Nagle wszystkie hałasy ucichły. Jakby we śnie, lekko podniosła głowę. Było cicho. Żeby nie krzyczeć, zasłoniła dłońmi usta. Światło samochodu błysnęło w oknach na dole. Zobaczyła głowę i tors sylwetki, która się do niej zbliżała. Miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Warkot silnika samochodu cichł z wolna i zamierał przy garażu. To Frank — pomyślała. Och, dzięki Bogu, Frank, szybciej...

Zaczęła poruszać się bezładnie po pokoju szukając czegoś, czym mogłaby się bronić. Znowu usłyszała kłapiącą podeszwę. Potem — cisza. Wtedy na zewnątrz trzasnęły otwierane drzwi do garażu. Jeśliby tylko zdołała podejść do okna i je otworzyć, mogłaby zawołać Franka, krzyknąć, żeby się pospieszył. Zrobiła krok w stronę okna, potem drugi. Drzwi samochodu trzasnęły i silnik zamilkł. Jej nogi wydawały się ciężkie jak z ołowiu. Potem drzwi garażu zatrzasnęły się z hukiem. Jednocześnie usłyszała gniewne sapanie w progu drzwi. Drżała. Wszystko w niej zamarło.

Wydawało się, że postać nie poruszyła się. Była jak cień, który pochłania gęstość mroku. Zobaczyła, że kształt się przesuwa i zbliża do niej. Strach rósł jej w gardle i załamywał się na ustach w bezgłośnym grymasie. Nie była w stanie krzyknąć, ani zrobić żadnego ruchu, nie mogła nawet myśleć. Zobaczyła, że intruz miał owiniętą rękę i był o wiele niższy, niż sobie wyobrażała. Kiedy przemówił, jego głos był chrapliwy, dobywał się z głębi gardła. Czuła, jakby ktoś chlusnął w jej twarz wiadrem wody z lodem.

— Gdzie jest ta kobieta? — zapytał. — Dokąd zabrała Mamie?

O nie, tylko nie to — pomyślała. Jego zdrowa ręka uniosła się, trzymał w niej coś, co wyglądało na dziecięcą zabawkę. To coś kiwało się w jego zaciśniętej pięści. Słyszała kroki Franka, zbliżające się do zewnętrznych drzwi i nagle dziwne przeraźliwe wycie.

— Nie powinieneś tego robić — odezwała się z trudem. — Jesteś w niewłaściwym domu. — Światło księżyca rozświetlało pokój. Zbliżał się. Nie mogła oddychać. — Dlaczego? Przecież jesteś jeszcze chłopcem.

W tej chwili ruszyła, chcąc go ominąć. Cios dosięgnął jej policzka z niespodziewaną siłą. Poczuła jakby ktoś uderzył ją kawałkiem skały. Jej dolna szczęka i zęby

eksplodowały. Intensywny błysk białego światła przemknął przed jej oczami niby kawałek rozpalonego węgla, niewyobrażalny ból poraził jej mózg. Jedna strona jej twarzy zaczęła mocno i gwałtownie puchnąć. Miała wrażenie, że gdzieś się zapada. Czuła zapach sierści jakiegoś zwierzęcia. Palce chłopca zacisnęły się na jej gardle, oplatając jej szyję i potrząsając głową we wszystkie strony. Usłyszała trzask i poczuła w tyle czaszki coś przeraźliwie zimnego i niemożliwego do wyczucia. Poczuła, że coś się w niej łamie.

Jej głowa przechyliła się luźno na jedną stronę. Chciała się ruszyć, ale nie mogła, chciała poruszyć palcem — też nie mogła. Parę centymetrów od oczu zobaczyła poszarpany but i nogę w skarpetce. Światło księżyca odbijało się na jej twarzy. Zatrzymał się, pochylając nad nią. Odsłonił w uśmiechu idealnie białe zęby.

— Już jesteś martwa — zasyczał. — I ta kobieta... Wszyscy jesteście martwi. — Cedził szybko słowo po słowie. — Powieszę ją i wypatroszę, jak cholernego psa.

Potem powiedział, żeby zamknęła oczy. Z zewnątrz dochodziło ją wściekłe wycie i szczekanie, a ponad tym może jeszcze donioślejszy głos Franka.

Emma usłyszała, jak się poruszył. Jego kroki cichły z wolna. Zmusiła się nadludzkim wysiłkiem, żeby otworzyć spuchnięte powieki. Zobaczyła kształt oddalający się od niej, jego sylwetkę odbijającą światło.

I rąbek cienia, który umykał przed nim, jak duch prowadzony na smyczy.

ROZDZIAŁ 6

Zatrzymały się tylko raz, żeby się przebrać. Pierwszej nocy przejechały około stu sześćdziesięciu kilometrów, na południe od Scranton. Gdyby nie zaszła żadna nadzwyczajna okoliczność, Leona obliczała, że ma od sześciu do ośmiu godzin, zanim nieobecność Mamie będzie mogła być zauważona. Wtedy zaczną szukać dziewczynki w Graylie.

Potwierdziła rezerwację w Hotelu Claypool-Chase i zarejestrowała się jako pani Arnoldowa Merchassen z córką. Wytłumaczyła, że jej mąż dołączy do nich później. Było kwadrans po północy. Główna sala z recepcją hotelową wyglądała jak masywny rokokowy tunel. Obsługa była szybka i bezbłędna.

Zapłaciła z góry za kilka dni, potem włożyła swoją portmonetkę do torby podróżnej. Miała uprzednio przygotowane dwadzieścia pięć centów dla chłopca hotelowego. Wniósł na górę dwie z jej siedmiu walizek. Ona niosła tylko czarną walizeczkę. Mamie przyglądała się wszystkiemu uważnie. Wydawała się szczególnie zainteresowana kobietą obsługującą windy, grubą Murzynką, która siedziała na niskim, rozkładanym krzesełku. Zamknęła kratę windy z głuchym trzaskiem, potem drzwi i nacisnęła odpowiedni guzik, nie odrywając wzroku od kolorowego magazynu, który właśnie czytała. Winda ruszyła na piąte piętro.

Kiedy wyszedł chłopiec hotelowy, Leona zamknęła drzwi na klucz, opuściła zasłony i rolety, potem odwróciła się do Mamie. Szarozielone oczy dziewczynki wpatrywały się w nią uparcie.

— Mamie, powiedz teraz, co o tym wszystkim myślisz?

Nie oczekiwała odpowiedzi i, jak przewidywała, dziewczynka nie odezwała się słowem. Zdjęła płaszcz, prezent od pani Merchassen, który dostała jakieś osiem lat temu. Wyjęła z kapelusza szpilkę z diamentowym oczkiem i położyła go na toalecie.

— Nie jest ci za gorąco? — zapytała. — No, zdejmij płaszcz. — Ściągnęła z małych ramionek Mamie jej nowy płaszcz. — Teraz lepiej, prawda? Tak. Jestem pewna.

Ze zdziwieniem zauważyła, że Mamie jeszcze ma na ręce identyfikacyjną

szpitalną bransoletkę z paciorków. Nie zauważyła jej, kiedy przebierały się w samochodzie. Co by się mogło stać, gdyby ktoś z recepcji to zauważył — pomyślała. Czy wiedzieliby, że to ze szpitala? Nie, to było nieprawdopodobne. Zdecydowała, że jest nazbyt podejrzliwa.

Bransoletka składała się z paciorków, które układały się w literki z nazwiskiem dziewczynki. Leona rozluźniła i zdjęła z nadgarstka Mamie jej identyfikator. Ta ostatnia rzecz, która łączyła dziecko z tamtym okropnym miejscem, rzecz bardzo mała, była dla Leony realnym zagrożeniem.

— Mamie, teraz jesteś wolna — powiedziała. — Nie musisz już nigdy więcej tam wracać.

Mamie stała wpatrzona w swój nagi nadgarstek. Leona włożyła bransoletkę do jednej z kieszonek swojej walizeczki.

— Posłuchaj, dlaczego nie pójdziesz i nie usiądziesz tam, na krawędzi łóżka. Przebiorę cię do spania. Teraz lepiej. Wiem, co zrobimy. Czy lubisz napoje gazowane?

Żadnej odpowiedzi.

Leona nie potrafiła opanować podniecenia. Chciała się uspokoić i uczcić nadzwyczajną okazję. Nie wiedziała tylko, co zamówić. Podeszła do telefonu i poprosiła martini i gazowany napój pomarańczowy.

— Nie — powiedziała. — Nie będziemy mieszali napojów.

W łazience wyłożonej białymi i czarnymi płytkami przebrała się w koszulę nocną i szlafrok.

Kiedy wróciła, zobaczyła, że Mamie drapie blizny po oparzeniach na udzie. Podeszła i wzięła ją za ramiona.

— Mamie — powiedziała — co robisz? Wiem, że to musi bardzo swędzieć, ale nie można tego robić.

Mamie przestała się drapać, ale odwróciła głowę. Ta reakcja wydawała się jakimś niewyraźnym znakiem rozpoznawczym. Tak bardzo na to czekała. Ściągnęła z dziewczynki golfik.

— Porobisz sobie blizny — wyjaśniła.

I wyjęła z torby słoiczek z maścią na oparzenia, marki Pond. Powiedziała, jak używać maści, kiedy zaczyna swędzieć, a swędzenie znaczy, że rana się goi. Wzięła palec dziewczynki i wsadziła go do słoiczka, a potem kierując nim pozwoliła Mamie posmarować sobie policzek.

Usłyszała pukanie do drzwi. Wszedł chłopiec w ozdobnej, czerwonej czapeczce na głowie. Przyniósł napoje. Nie miało dla Leony żadnego znaczenia, że kiedy wnosiła tacę do salonu zobaczyła, że Mamie ma policzki, włosy i przód sukienki wysmarowane kremem. Nie, to nie miało znaczenia. Śmiejąc się, zapytała:

— Mój dobry Boże, Mamie, czy wszędzie cię swędzi?

Szybko wytarła dziewczynkę. Potem sprawdziła, czy zamknęła drzwi. Szklanka pomarańczowej wody sodowej ze słomką w środku wydawała się ogromna w małych rączkach Mamie. W kieliszku Leony pływała zielona oliwka z czerwoną główką, pokryta masą mikroskopijnych bąbelków. Spróbowała łyk, wzdrygnęła się i

odstawiła na bok. Mamie wciąż trzymała swoją szklankę w rączkach. Patrzyła na powierzchnię, z której wydobywały się bąbelki.

— W porządku — powiedziała Leona. — To nie był dobry pomysł.

Wyjęła szklankę z rąk dziewczynki i postawiła obok swojego kieliszka z martini. Potem pomogła Mamie wstać i zaczęła ją rozbierać. Zdejmowała po kolei sukienkę, koszulkę, buciki i białe skarpetki.

— Czy chcesz sama zdjąć majteczki? Mam dla ciebie nowiutką piżamę. — Mamie jak zwykle nie odpowiedziała. Bez wyrazu patrzyła na stosik ubrań, leżących na podłodze. — Spokojnie, ja się tym zajmę.

Nagle zdała sobie sprawę, że są same. Chciała chwycić dziewczynkę i zatańczyć. Ale Mamie uciekała gdzieś wzrokiem. Leona poczuła się bardzo niezręcznie. To było głupie — przyznała w myślach — ale nic nie mogę na to poradzić. Oczekiwała choć jednego spojrzenia, jednej przyjaznej odpowiedzi. Ale niczego takiego nie było. Zacisnęła dłonie do bólu i potem je otworzyła.

Musiała objąć Mamie ramionami, żeby zdjąć jej majteczki. Kiedy dotknęła dziewczynki, ogarnęła ją fala uczucia i zwątpienia. Może Mamie była rzeczywiście za bardzo chora? Może postąpiła pochopnie, nawet jeśli miała trochę doświadczenia, opiekując się dziećmi różnych ludzi, gdy pomagała doktorowi? Może tak naprawdę chciała ukraść uczucie, jak mówiła Emma. To ciałko, które trzymała, było tak delikatne i kruche. Leona nie potrafiła wziąć małej rączki bez świadomości, że dotyka kogoś idealnego, perfekcyjnego. A jednak czegoś brakowało — dziewczynka tkwiła w nieznanym, zamkniętym dla Leony świecie. Czy ona wciąż wędrowała po tamtych zadymionych pokojach, słyszała krzyk i modlitwę matki? Jej bracia prawdopodobnie już martwi i ojciec przykrywający ją mokrą kołdrą? Kim ona dla niego była, kiedy ją ratował? Leona poczuła wewnętrzny nakaz, że musi ocalić Mamie za wszelką cenę, wszystko jedno jak. To jedno miała w głowie.

Nie wiedziała dokładnie, jak długo klęczała kołysząc dziecko na kolanach. Trzymała Mamie przyciskając ją do siebie, kiedy długi dreszcz przebiegł małe ciałko i Leona ścisnęła ją jeszcze mocniej.

— Nie martw się — powiedziała. — Nic się nie zdarzy, nie dopuszczę, by coś cię kiedykolwiek zraniło. Jeśli cokolwiek ode mnie zależy.

Potem pomyślała, że Mamie zmarzła. Pomogła nałożyć jej piżamę. Odsunęła narzutę i ułożyła dziecko w łóżku. Usiadła obok.

— Teraz śpij — odgarnęła włosy z małej twarzyczki. — Wiem, że chciałabyś być w domu — mówiła szeptem. — Ja też nie mam domu. Więc musimy go stworzyć.

Przez parę minut myślała jeszcze, jak to wszystko jest nowe i obce dla tej małej dziewczynki. Kiedy Mamie zatopiła twarzyczkę w poduszce i zamknęła oczy, Leona wstała i odeszła od łóżka. Była już o wiele spokojniejsza. Poczuła, jak bardzo jest śpiąca. Pozostało tylko parę rzeczy do zrobienia. Pozbierała rozrzucone na podłodze ubranie i włożyła je do jednej z walizek. Jeszcze raz sprawdziła drzwi. Wyjęła klucz z dziurki i schowała go sobie pod poduszkę. Zgasiła lampkę nocną. W łazience wciąż paliło się światło. Postanowiła zostawić je na całą noc. Uchyliła drzwi od

łazienki, żeby Mamie, jeśli obudzi się w nocy, widziała gdzie jest i nie bała się. Podniosła rolety — chciała, żeby zbudziło je poranne światło.

Kiedy stała tak samotnie przy ciemnym oknie, poczuła niepokój i piekący żal. Zrobiła coś nie do pomyślenia. Popełniła przestępstwo, stała się osobą wyjętą spod prawa. Teraz wróciły do niej słowa Emmy o nadciągającym nieszczęściu. — Nie masz pojęcia, co robisz! Co ty naprawdę o niej wiesz?

Popatrzyła na nocne niebo, na czarne chmury ciągnące w stronę jakiegoś niejasnego przeznaczenia i gwiazdy — zimne, połyskujące, obce i martwe. Nie mogła dłużej żyć w tej pustce. Wśród tych gwiazd nie było miłości. Więc to co zrobiła, wszystko jedno dokąd ją zawiedzie, jest o wiele lepsze niż samotny, gwiezdny los.

Emmo, cóż innego mi pozostało? — pomyślała. Postaw się na moim miejscu.

Mamie Abbott miała zamknięte oczy i leżała bez ruchu. Czekała na sygnał, o którym myślała, że nigdy nie nastąpi. Głęboki i rytmiczny oddech śpiącej kobiety. Poczekała jeszcze chwilę, żeby mieć pewność, że kobieta śpi. Potem po cichutku dotknęła końca łóżka i ześliznęła się na podłogę.

Cienki pas światła przecinał ciemność pokoju. Nasłuchiwała. Prześcieradło na łóżku obok podnosiło się i opadało z niedostrzegalną prawie regularnością. Pochyliła się ostrożnie i wzięła walizeczkę. Stąpając na palcach zaniosła ją na kraniec łóżka, gdzie bezpośrednio padało światło z łazienki. Klęcząc na dywanie, otworzyła mały schowek. Starała się robić to prawie bezgłośnie. Sięgnęła do środka i znalazła szpitalną bransoletkę. Potem zapięła kieszonkę i sięgnęła do drugiej, szukając ołówka. Znalazła żółty z ciemnym końcem. Kobieta jęknęła i podniosła się we śnie. Mamie zastygła w bezruchu. Jednak tamta nie obudziła się. Spała dalej mocnym snem. Dziewczynka zamknęła walizeczkę. Odniosła ją na miejsce obok stolika przy łóżku.

Musiała jeszcze mieć coś, na czym mogłaby pisać. Trzymając szpitalną bransoletkę i ołówek w piąstce, wolno weszła do ciemnego pokoju. Stanęła przy stole z kwiatami w wazonie. Wśród kwiatów tkwiła mała, biała, niezaklejona koperta. Otworzyła ją powoli. Była tam kolorowa pocztówka. Odwrotna strona była pusta. Tam Mamie napisała: POSTSZYMAICIE JĄ ONA ZAPRAŁA MIE ZE SZPIDALA. Po czym włożyła kartkę z powrotem do koperty i wsunęła do niej bransoletkę, składając ją tak, żeby się zmieściła. Pośliniła i zakleiła kopertę.

Jej płaszczyk wisiał na oparciu krzesła. Mamie wspięła się na krzesło i włożyła kopertę do najgłębszej kieszeni z przodu. Teraz, kiedy nadarzy się okazja, będzie gotowa. Pobiegła do łóżka, trzęsąc się z podniecenia na myśl, że niedługo to wszystko się skończy. Do rana nie mogła zasnąć.

Pokój hotelowy opuściły o wpół do ósmej. Zjechały windą na dół i przeszły przez recepcję. Leona w jednej ręce niosła walizkę, drugą trzymała Mamie za rękę.

Szły wolno. W recepcji siedział inny mężczyzna niż wieczorem. Nie mógł więc niczego podejrzewać. Leona ominęła go. Podeszła prosto do chłopca hotelowego i oddała mu klucz do pokoju. Poprosiła o przyprowadzenie samochodu i poleciła, żeby jej bagaże zniesiono na dół. Powiedział coś do przestarzałego mikrofonu.

W jasnym świetle holu czuła się nieswojo. Chwyciła Mamie za rączkę i przeszła przez obrotowe drzwi, aby poczekać przed hotelem, pod osłoną małego zadaszenia. Było wietrznie, choć nie bardzo zimno. Niebo pokrywały jasne chmury. Zaczęło padać.

Kiedy szofer z obsługi przyprowadził jej samochód, zauważyła, że patrzy na nią podejrzliwie. Otworzył bagażnik. Chłopiec hotelowy załadował walizki i odszedł szybko. Zastanowiła się, dlaczego nie czekał na napiwek. Gdy podeszła do drzwi od strony kierowcy, znała odpowiedź. Musiał widzieć popękaną szybę, ślady zarysowań na niebieskim lakierze i zaschnięte plamy śliny pomieszanej z krwią.

Wróciły wspomnienia poprzedniej nocy. Tamten pies chciał mnie, zabić — myślała. Albo gorzej... chciał zabić Mamie. Postanowiła przywołać bagażowego i coś skłamać, ale zamiast tego dogoniła go i dała mu dolara.

Padał śnieg, ale zaświeciło słońce i śnieg, gdy stykał się z ziemią, wolno topniał. Długą, niebieską przednią maskę buicka pokryły topniejące płatki. Kiedy tylko minęły przemysłowe opłotki Scranton, Leona zjechała na pobocze. Wyjęła chusteczkę z torebki, zamoczyła ją w roztapiającym się śniegu i zaczęła gwałtownie ścierać ślinę i krew z karoserii. Moczyła chusteczkę parę razy, zanim częściowo przynajmniej wyczyściła samochód. Zniszczoną chusteczkę wyrzuciła za siebie.

Zaczekała, aż przejedzie półciężarówka i wjechała z powrotem na drogę. Jechała wciąż na południe, wzdłuż rzeki Susquehanna przez Pittston, Cromwell, Kingston i Plymouth.

Po paru kilometrach Leona włączyła radio. Znalazła stację, która nadawała standardy Benny Goodmana — od wielkiego przeboju Show Boat po popularną Oklahomę. Jeśli zdołała przypomnieć sobie słowa, podśpiewywała, a kiedy muzykę przerywały wiadomości, nadawane co pół godziny, wyłączała radio i śpiewała sama.

Mijały nagie wiązy i lipy rosnące wzdłuż rzeki. Wielkie kupy liści fruwały i uderzały w szybę buicka. Jechały przez otwarte, jasne przestrzenie. Było prześlicznie, ale pęknięcia na szybie przecinały krajobraz na pół, psując cały efekt. Zastanawiała się, kim był ten obcy, ukryty za zasłoną w pokoju szpitalnym. Mamie wyglądała przez szybę. Siedziała na dwóch poduszkach, ręce trzymała w kieszeniach płaszczyka, a jej nogi kołysały się w rytm jazdy.

Kiedy zatrzymały się na stacji benzynowej Sheila, żeby zatankować i pójść do toalety, Leona nie zauważyła małej rączki kładącej ostrożnie kopertę na krześle, na którym siedział pracownik stacji czytając gazetę. Była odwrócona.

ROZDZIAŁ 7

Miękkie kroki Chińczyka zakłócały nocną ciszę. Sherman obejrzał się w tył i patrząc na ciemny krajobraz, przeklinał. — Cholerna baba — mruczał pod nosem. — Do diabła z tą cholerną babą — słowa przecinały powietrze w rytm jego kroków. Tabletki zmniejszyły ból, czuł teraz lekkie bzyczenia gdzieś w tyle mózgu.

Trzymali się wysokiego pobocza wzdłuż drogi do Scranton. Kiedy pies zbliżał się do rowów, Sherman przywoływał go do siebie. Nie chciał, żeby Chińczyk gdzieś się zawieruszył. Ruch na drodze był niewielki, co jakiś czas mijał ich pojedynczy samochód. Obawiał się tylko, żeby nikt ich nie zauważył w pobliżu tamtego domu. Czasami mówił coś do Chińczyka. Używał latarki w kształcie długopisu tylko gdy musiał: kiedy coś w ciemności blokowało drogę albo gdy pies wpadał do dołu z deszczówką.

Poruszając się szybko, przechodzili przez pastwiska, ogrodzenia, stosy drewna. Kiedy wstało słońce, Sherman wyjął z kieszeni kurtki dokumenty i zdjęcia, które zabrał z domu Mattinglych. Większość zdjęć pożółkło ze starości. Musiał je powyrywać z ramek. Na jednym z nich były dwie kobiety — jedna, którą zostawił ranną w domu i druga — ta, która wzięła Mamie. Tę właśnie fotografię zgiął na pół i przedarł. Część fotografii, na której widniała Emma Mattingly — podarł na strzępy i rozrzucił je, jak konfetti. Na tym kawałku, który zachował, kobieta wyglądała o wiele młodziej niż w rzeczywistości. Zacisnął zęby do bólu. Wyjął odbitkę szkolnego zdjęcia Mamie, którą wydarł z gazety, i obydwie fotografie schował do kieszeni.

Metodycznie przerzucał stosik papierów, który zabrał z tamtego domu. Większość wczorajszej poczty — zgadywał. Wszystkie koperty były otwarte. Szybko je posortował — oddzielił ulotki reklamowe i rachunki od reszty, zatrzymał dwie koperty adresowane do Leony Hillenbrandt. Niepotrzebne papiery podarł na kawałki i idąc rozsypywał za sobą. Jeden z listów, które zostawił, pisany na ekskluzywnym, pachnącym papierze, był od Cornelii Durnham, Ridgefarm Road Brandenburg Station Kentucky. Druga koperta, z Banku Citizen National ze Scranton, zatrzymała jego uwagę. Włożył listy do kieszeni kurtki.

W przesyłce z banku parę razy powtarzało się nazwisko Leony Hillenbrandt, Scranton. To musiało być tam, dokąd zabrała Mamie. Inne rozwiązanie nie miało sensu. Podarł list na kawałeczki. Małe zawiniątko pieniędzy, które znalazł pod wazonem w domu Mattinglych, trzy tysiące dolarów zawinięte w pięciodolarówkę, trzymał w kieszeni dżinsów.

Było bardzo wcześnie rano, kiedy stojąc na wzgórzu zauważył drogę i stację benzynową. Zastanowił się, czy może zaryzykować zatrzymanie jakiegoś samochodu. Szedł całą noc i doszedł o wiele dalej, niż wcześniej planował. Kiedy patrzył na dół, dostrzegł dwa mijające się samochody. Zawołał psa i zaczął schodzić w dół po stromym zboczu.

Policzył cztery zaparkowane samochody, żaden z nich nie był wozem policyjnym. Nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Kiedy przechodzili drogę, przez poranną mgłę dostrzegł tablicę informacyjną. Odczytał napis: SCRANTON 110 KM. Pomyślał o stu dziesięciu kilometrach, które będzie musiał pokonać, i o minutach, które minęły, od kiedy zniknęła Mamie. Wyciągnął kawałek paska z kieszeni i przymocował go do obroży Chińczyka. Przebiegł przy wielkiej planszy reklamowej, która przedstawiała renifera i osła, ciągnących wozy i wodopój. Wśliznął się pomiędzy zaparkowane samochody.

Nisko nad jezdnią opadała poranna mgła. Wzeszło słońce. Kiedy byli już przy stacji benzynowej, z południa nadjechał samochód, kierował się na północ, w kierunku Graylie. Pracownik stacji wyszedł z garażu, nalał benzynę i wrócił do pracy. Zmarszczył brwi, kiedy spostrzegł Shermana i Chińczyka. Nie było klientów. Przez parę minut nic nie poruszyło się na drodze.

Nie poddawaj się — pomyślał Sherman. Dodawał sobie otuchy. Usiadł na betonowym słupku, potem wstał i otrzepał spodnie.

Podjechały dwa samochody i zatrzymały się po dwu przeciwnych stronach dystrybutorów. W chwili, kiedy człowiek z obsługi załatwiał samochód jadący na północ, Sherman zapukał w szybę od strony pasażera ciemnoczerwonego auta, które jechało na południe. Kierowca przechylił się przez siedzenie i opuścił szybę na pięć centymetrów. Sherman poprosił o podrzucenie do Scranton. Mężczyzna zastanawiał się. Wreszcie skinął głową.

— Dla niego też potrzebuję trochę miejsca — powiedział Sherman. — On jest ze mną — i gwizdnął na Chińczyka. Mężczyzna podniósł szybę i odwrócił się, spoglądając na drogę.

Po chwili podjechał stary, niebieski coupé. Sherman zapukał w szybę i znowu był prawie pewien, że się zabierze, dopóki nie wskazał wielkiego, groźnego psa. Kierowca odpowiedział: — Przykro mi — i zajął się przeglądaniem mapy rozłożonej na kierownicy. Radio było ściszone, ale Sherman dosłyszał słowa spikera: — Policja z Graylie prowadzi śledztwo w sprawie napadu i ciężkiego pobicia kobiety w Graylie o nazwisku Emma Mattingly, zamieszkałej przy 210 Columbia Avenue. Pani Mattingly jest wciąż w stanie krytycznym…

Sherman wycofał się szybko, obserwując uważnie człowieka, który studiował mapę. Poczuł dreszcz strachu. Więc ona żyje — pomyślał. Jeśli poda policji jego

rysopis, to złapanie go będzie tylko kwestią czasu. Odkryją, kim jest i co zrobił — nie tylko ostatniej nocy, ale też inne rzeczy, dowiedzą się na przykład o tym roznosicielu listów, który zajął jego miejsce w pożarze. Powinienem ją wykończyć — pomyślał. Wykończyć.

Samochód coupé odjechał, ale Sherman wciąż rozglądał się nieufnie. Nie widział żadnego niebezpieczeństwa, z wyjątkiem pracownika stacji, który zbliżył się do nich. Był ubrany w czarny, roboczy kombinezon. Wycierał zasmarowane ręce.

— Nie możesz się tutaj wałęsać — powiedział. — Najlepiej będzie, jak się stąd wyniesiesz. — Chińczyk poderwał się i zaczął warczeć.

— My tylko czekamy na okazję — odrzekł niepewnie Sherman, przytrzymując psa za obrożę. Krzyknął na Chińczyka, żeby się uspokoił.

— Będzie lepiej, jak poszukasz sobie jakiegoś innego miejsca. Chcę tu mieć czysto — zakończył mężczyzna. Odwrócił się i poszedł do garażu.

Sherman wolno otrzepywał spodnie. Przejechał jakiś samochód, ale zmierzał na północ. Pracownik stacji groźnie zmarszczył brwi. Patrząc na nich, trzymał rurkę od dystrybutora benzyny. Wciąż się przyglądał, kiedy wtoczyła się biała półciężarówka. Jechała na południe. Okienko kierowcy było otwarte, jego ramię wystawało na zewnątrz. Sherman zwrócił się do niego uprzejmie. Twierdził, że musi się dostać do Scranton, bo tam jest jego siostra. Musi zabrać ze sobą psa, i czy nie mogliby jechać z tyłu. Mechanik podszedł do samochodu.

— Jeśli nie przestaniesz się tu wałęsać i nagabywać moich klientów, to zadzwonię po szeryfa.

Sherman otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

— Żadnych ale. Albo odejdziesz stąd spokojnie, albo dzwonię po gliny. Więc się zabieraj.

Sherman odciągnął psa od samochodu. Odchodził spokojnie. Miał łzy w oczach. Karty zostały rozdane. Wiedział, kiedy wycofać się bez słowa. Przyciągnął psa do siebie i przeszedł na drugą stronę drogi. Skoczył do przydrożnego rowu, żeby puścić Chińczyka. Zdrową ręką mocno ścisnął palkę policyjną w kieszeni. Chciał ją wyjąć i walić, aż zabiłby skurwysyna. Nie odszedł daleko, kiedy usłyszał klakson i zobaczył białą półciężarówkę, która zatrzymała się na poboczu. No, w ostatniej, cholernej chwili — pomyślał.

Skoczył na bagażnik, kuląc się w rogu skrzyni samochodu. Pociągnął psa za sobą. Widział jakieś domy, wzgórza i chylące się nad nim gałęzie drzew, tworzące tunel. W końcu zasnął.

Do czasu kiedy Sherman wyskoczył z ciężarówki, nie myślał o niczym. Trzymał Chińczyka za obrożę, drugą ręką zamachał w podziękowaniu dla kierowcy. Patrzył za odjeżdżającym samochodem. Była środa po południu. Stali samotni w dziwnym miejscu. Ogarnęła go panika. Minęły ich trzy patrole policyjne. Powietrze było przesiąknięte czymś nieprzyjaznym. To nie jest dobre miejsce — pomyślał.

Główna droga zakręcała w dół do miasta. Dalej ulice zwężały się. Cały horyzont zajmowało miasto Scranton. Wyglądało jak stos przypadkowo rzuconych na siebie budynków i samochodów pod słupami i sieciami przewodów wysokiego napięcia.

Przez środek płynęła rzeka. W powietrzu czuł zapach elektryczności i siarki. Rozległy się strzały z jakiegoś gaźnika samochodowego. Niebo mieniło się — niby zielonozłote skrzydła much. Dźwięczały gwizdki fabryk, dudniły dzwony kościoła, syreny wyły przerywanym sygnałem. Poczuł, że spełniły się jego najgorsze przeczucia. Jeśli Mamie tu jest, to jak ją znajdzie?

Stał przez chwilę w bezruchu. Czuł, że się robi coraz mniejszy i mniejszy. Trzęsąc się z nienawiści, mamrotał: — Musimy się stąd wynosić. Masz się mnie trzymać. Damy radę. — I poprowadził psa do najbliższej stacji benzynowej.

Sherman czekał na cementowym podwyższeniu. Wreszcie mechanik się odezwał. Potem Sherman zapytał, czy nie widział przypadkiem ciemnoniebieskiego samochodu, przejeżdżającego ostatniej nocy.

— Tutaj jest bardzo dużo niebieskich samochodów — odparł mężczyzna. Trzymał klucz w brudnych rękach. — Co to za samochód?

Sherman gestem opisał auto. Dwudrzwiowy, bagażnik łagodnie łączący się z dachem. Z przodu zderzaki z wielkimi ozdobami i otwierany dach. Mężczyzna chwilę patrzył na chłopca i powiedział:

— To mi wygląda na chevy albo buicka. — Przewrócił kartki kalendarza z nagimi dziewczynami reklamującymi różne marki samochodów. — Taki?

Sherman potrząsnął głową.

— Ten jest bardzo podobny, ale tamten był niebieski.

— No. Bingo. Szukasz buicka roadmaster — ale nie widział żadnego.

Drugi mechanik w garażu zmieniał właśnie przewody zapłonu. Sherman podszedł do niego.

— Czy widziałeś ciemnoniebieskiego buicka, który tu przejeżdżał koło jedenastej w nocy?

Człowiek popatrzył na Chińczyka i potrząsnął głową. Sherman odwrócił się, żeby odejść i wtedy mężczyzna krzyknął za nim:

— A kto prowadził tego buicka?

— Kobieta — Sherman zawrócił. Wyjął fotografię i pokazał mężczyźnie w uniesionej ręce, tak żeby nie mógł dosięgnąć. — To ona — powiedział. — A ta mała dziewczynka była z nią.

Mechanik zmrużył oczy i poprawił czapkę.

— Nie — powiedział.

Krok po kroku przemierzał obie strony drogi pokryte kapslami butelek, jak zgubionym skarbem idioty. Przechodził zygzakiem tam i z powrotem pomiędzy pędzącymi samochodami od jednej stacji benzynowej do drugiej. Wszędzie powtarzał swoje pytanie. Może widział ktoś niebieskiego buicka, jadącego tędy około jedenastej wczoraj w nocy? Opisywał samochód, mówił dlaczego go szuka, pokazywał zdjęcie kobiety, a czasem zdjęcie Mamie. Chociaż trochę się martwił, czy zdjęcia Mamie nie przedrukowano w lokalnej gazecie, bo wtedy ktoś mógłby wszystko połączyć w całość. Nikt nie pamiętał niebieskiego buicka, prowadzonego przez kobietę. Popołudnie z wolna mijało.

W końcu przyszedł do stacji, gdzie nie było żadnego samochodu na podjeździe.

Sherman podszedł do mechanika, który wydawał się przyjacielsko nastawiony.

— Tak sobie myślałem, czy nie mógłby mi pan tego rozmienić? — Wyciągnął z kieszeni jeden ze swoich banknotów i pokazał go trzymając w dłoni.

— Niechże się temu przyjrzę — mężczyzna wyciągnął rękę.

Sherman niechętnie położył banknot na jego grubej dłoni. Wziął głęboki oddech i wstrzymał na chwilę.

— Skąd to masz? — zapytał mechanik.

— Po prostu znalazłem — odpowiedział pewnie i poczuł, że się poci. — Rozmienisz, czy nie?

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

— Nie mam tu takich pieniędzy — zwinął banknot między swoimi paluchami. — To jest ciężka forsa, jak na takiego dzieciaka. Prawie nowe. Nigdy nie leżały na ziemi. — Zniżył twarz i wciąż bawiąc się banknotem, przyjrzał się bacznie Shermanowi. — To nie są twoje pieniądze, co? Skąd je masz?

Sherman wyrwał mu banknot.

— Oddawaj tę cholerną forsę! — Chińczyk skoczył przednimi łapami na szklaną obudowę budki. Jego szczekająca morda zbliżyła się do mężczyzny, który odruchowo odskoczył do tyłu. Podstawka na czipsy przewróciła się razem z torebkami. Sherman chwycił sznurek i odciągnął psa.

— To są dobre pieniądze! — krzyknął i wycofał się wolno, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mężczyzny.

* * *

O wpół do szóstej tego wieczora Sherman i Chińczyk stali obok siebie w progu kościoła, niedaleko centrum Scranton. Szukał cały dzień i nie dowiedział się niczego. Teraz musiał zdobyć trochę pieniędzy, które mógłby wydać. Wkrótce miała nadejść noc, bolała go głowa. Wiedział, że powinien wziąć tabletkę i że nie powinien ich oszczędzać. Poważnie martwił się o jakieś miejsce do spania. Musiał rozmienić jeden z tych tysiącdolarowych banknotów, zanim wszystko pozamykają. Kiedy układał plan, jak tego dokonać, przed dom po drugiej stronie ulicy zajechała żółta taksówka. Kierowca wysiadł z samochodu, przekręcił do tyłu swoją czapkę z daszkiem, otworzył boczne drzwi i wyjął torbę z zakupami. Podszedł do frontowych drzwi domu i sięgnął po kołatkę.

Przytulając się do boku Chińczyka, żeby się ogrzać, Sherman uważnie przyjrzał się kierowcy. Był młody i poruszał się z uniżoną uczynnością. Kobieta otworzyła drzwi, zamienili parę słów i kierowca wszedł za nią do domu. Parę minut później znowu się pojawił, a potem wrócił do taksówki, wziął drugą dużą torbę z zakupami i znowu udał się do domu. Po chwili wyszedł z kobietą, która mu płaciła. Rozmawiali przez chwilę. Sherman zszedł ze schodów kościoła na ulicę. Kierowca szybkim krokiem przeszedł bramkę i podszedł do swojego auta.

— Ej — rzucił Sherman, przechodząc przez jezdnię.

Kierowca prawie nie zwrócił na niego uwagi.

— Jak leci?

Mężczyzna usiadł za kierownicą, ale nie domknął drzwi. Jedną nogę opierał na chodniku. Przez chwilę mówił coś do małego, czarnego mikrofonu, zapisał coś w książce i zapalił papierosa. Sherman stanął przy otwartych drzwiach.

Kierowca sięgnął po klamkę.

— Hej — znowu zagaił Sherman. — Robisz przysługi ludziom, nie? No wiesz, dostarczasz zakupy i takie rzeczy? Co nie?

Dostawca uśmiechnął się. Miał niezdrowe uzębienie. Kawałeczki tytoniu poprzylepiały mu się do ust.

— Tak — odpowiedział. — Ale nie robię niczego za darmo. Płacą mi. — Chwycił za klamkę. Uśmiechał się chytrze i nie wyglądał na łatwowiernego. Miał chudą, kościstą twarz, na ramieniu niebiesko-czerwony tatuaż. Przypominał lisa i to się Shermanowi podobało.

— Mam pewną robotę — powiedział Sherman. — Zapłacę jak tamta kobieta — i skinął w kierunku domu.

Dostawca popatrzył na niego uważnie.

— Słuchaj no, chłopcze. Nie mam czasu, żeby go na ciebie tracić. Czas to pieniądz, a ja teraz tracę forsę. — Wyrzucił papierosa, przydeptał niedopałek i zatrzasnął drzwi. Sherman wciąż stał przy oknie. Podniósł duży banknot.

— Popatrz — powiedział przez szybę. — Czy możesz mi pomóc to rozmienić? Zabrać do sklepu albo gdzie indziej i rozmienić? Jeśli to zrobisz, dam ci dziesięć dolarów.

Słońce prawie zachodziło. Drzwi samochodu otworzyły się i błysnęło na nich ostatnie odbicie słonecznego blasku. Dostawca wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Skąd to masz, co? — zapytał.

— To jest tysiąc dolarów — powiedział Sherman. — Prawdziwy banknot.

— No dobrze, ale skąd go masz? — udawał zdziwionego.

— Znalazłem.

— Poważnie?

— Tak jest.

— A gdzież to znalazłeś?

— Gdzieś na trawie. Wygląda na całkiem nowe.

— Czy mieszkasz tu w pobliżu?

— Możesz mi to rozmienić, czy nie? — Sherman popatrzył mu prosto w oczy.

— Właśnie myślę.

— Chciałbym, żebyś mógł. Ja muszę to rozmienić.

— Spokojnie, spokojnie — powiedział kierowca. — Muszę wykonać jeden telefon. — Chwycił mikrofon i schował głowę do środka samochodu. Sherman słyszał, jak mówi: — Centrala — a potem coś jeszcze. — Wciąż jestem na South Hampton. Chyba wyskoczę na jakąś kawkę. — Radio trzeszczało i usłyszał niewyraźny głos kobiecy. Dostawca popatrzył na Shermana, puścił do niego oko i ciągnął: — Powiedz jej, żeby tak trzymać i nie dawać sobie ściągać majtek. — Śmiał się ze swojego dowcipu, potem wyłączył radio i odłożył mikrofon.

— No dobrze — powiedział, odwracając się w stronę Shermana. — To cholerna masa forsy i trudno ją będzie teraz wytrzasnąć. Praktycznie wszystko już jest pozamykane — banki i wszystkie takie miejsca. A w żadnym sklepie nie rozmienią.

Sherman schował z powrotem banknot do kieszeni.

— Wiem — odparł.

— Nie powiedziałem, że to niewykonalne — ciągnął kierowca. — Mówię po prostu, że to nie będzie łatwe. Znam parę takich miejsc... Znam takie jedno szczególne miejsce, gdzie mój znajomy ma zawsze trochę gotówki. To nas może uratować. Ale to cię może trochę kosztować. Pewną sumkę pieniędzy.

— Ile?

— Pewna sumka pieniędzy to sto dolarów. Ja sobie wyobrażam, że to będzie jego działka. — Dostawca usiadł na brzegu swojego siedzenia. Już się nie spieszył — oparł łokieć na kolanie, a stopę postawił na chodniku.

— Niemało — wycedził Sherman.

— Wiem — mówił wolno i prawie przyjacielsko. — Pewnie, że niemało. Ale z taką forsą jak ta, stać cię. Ja ci mówię tylko o faktach. Proponuję ci wyjście — wciąż przyglądał się Shermanowi. — To jest oczywiście po drugiej stronie miasta i zajmie trochę czasu, żeby się umówić i tam dojechać. Ja cię podwiozę za jakieś piętnaście, dwadzieścia dolarów, w to wliczam mój czas i wydatki. Myślę, że to jedyny i całkiem sensowny sposób, żeby rozwiązać nasz problem.

Sherman próbował szybko obliczyć, ile będzie musiał zapłacić, a ile mu zostanie, ale nie potrafił zebrać myśli. Wszystko stało się o wiele za szybko. Wydawało się, że ma bardzo dużo do zapłacenia. Pamiętał, że nie widział jeszcze w życiu studolarówki, a to o wiele mniej niż tysiąc. Obliczył, że jeśli zapłaci tyle ile tamten żąda, to i tak zostanie mu kupa szmalu.

— Ile czasu to potrwa? — zapytał.

— No... jakieś pół godzinki, biorąc wszystko pod uwagę.

— Jak to zrobisz?

— Prawdopodobnie najprościej będzie tam pojechać. Ty dasz mi forsę, ja ci wymienię i spotkamy się tutaj z powrotem.

— A co, jeśli się tu nie zjawisz?

Dostawca wyszczerzył zęby, a potem się roześmiał.

— Do diabła, dzieciaku, pojawię się, jeśli ty zapłacisz mi za moją robotę. Co jest?

— Jeśli rzeczywiście zamierzasz to zrobić — powiedział Sherman — to ja też muszę jechać z tobą.

— OK.

— On też — wskazał na Chińczyka.

Mężczyzna popatrzył na psa i odwrócił się.

— Coś ci powiem, chyba nic z tego. Jeśli ktoś zobaczy psa w mojej bryczce, to jest tak, jakbym już stracił pracę. Tak bywa. Przepisy BHP. Chyba nic z tego.

— On jedzie albo ja nie jadę — Sherman potrząsnął głową.

Kierowca wyciągnął rękę i poklepał chłopca po ramieniu. Chińczyk szczeknął raz i zaczął ujadać. Kierowca cofnął rękę.

— Chwilunia, zobaczmy, co się da zrobić. No, czemu nie wsiadacie?

Przemierzali miasto. Lampy wzdłuż ulic żarzyły się, a potem gasły w oddali.

Przekroczyli rogatki kolejowe i przejechali przez ciemne ulice, wzdłuż opuszczonych wielkich składów hurtowni. Wjechali na długi, czarny most i włączyli się w ruch uliczny, a wokół pełno było restauracji samochodowych. Całość wyglądała jak wnętrze monstrualnego mrowiska. Sherman i Chińczyk siedzieli z tyłu. Od kiedy ruszyli, kierowca nie przestawał mówić. Zapytał Shermana, co się stało z jego ręką. Sherman był zajęty zapamiętywaniem drogi i długo nie odpowiadał.

— Skaleczyłem się — powiedział po namyśle. — Pracowałem przy starym samochodzie.

— Nie był to kwas akumulatorowy?

— Nie.

Kierowca zgodził się, że potem odwiezie ich z powrotem. Ale Sherman mu nie dowierzał i dalej rozglądał się niespokojnie, starając się zapamiętywać drogę i kierunki. Taksówka skręciła i wjechała w prostą ulicę. Zatrzymała się na czerwonych światłach, a potem szybko ruszyła. Kierownica miała specjalny uchwyt, umożliwiający kierowcy prowadzenie jedną ręką. Radio trzeszczało, nadawano reklamówki i sygnały lokalnych stacji. — Witajcie, cześć i czołem, zaczynajcie każdy dzień od naszego szamponu, on uczyni wasze włosy wspanialszymi...

Taksówka zwolniła przed niskim budynkiem pokrytym papą. Nad gładkimi, czerwonymi drzwiami migał świetlny napis: ALIBI BAR & GRILL. Żarzył się w mroku wściekłą czerwienią i wyblakłą żółcią.

— OK — powiedział taksówkarz, odwracając się na przednim siedzeniu. — Znam to miejsce. Nie przepadam za nim, ale tylko ci tutaj mają forsę. Na zapleczu można czasem pograć w pokera. No to... jedziemy. Pokaż mi tę forsę.

Sherman nie ruszył się.

— Niech to wszyscy diabli — zaklął głośno mężczyzna i poklepał górną część fotela. Chińczyk przekręcił się i odwrócił, węsząc w stronę nagłego ruchu. — No dobrze, nie widzę, żebyście byli bardzo zmęczeni, a ty wyglądasz na grzeczne dziecko. Ja chcę tylko moją działkę. No, dzieciaku, daj spokój, nie mogę czekać tu całą noc.

— Musimy to zrobić razem — powiedział Sherman.

— Ale przecież robimy to razem. Proszę bardzo, pokażę ci wszystko. — Zgasił silnik, otworzył drzwi i wysiadł. Potem wypuścił Shermana. — Jesteśmy na miejscu — pochylił się usłużnie. — Jak widać to mała knajpeczka. Ale nie możecie wejść do środka z pewnego powodu — nie masz odpowiednio dużo lat. Przecież wiesz o tym, prawda? W dodatku jestem pewien, że nikt nie wpuści tego psa do środka. Dlaczego nie chcesz dać mi tej forsy? Wejdę, rozmienię szybko i zaraz wracam. Poczekacie w taksówce. Do tej pory nikogo jeszcze nie zostawiłem samego w mojej taksówce. Nikogo, rozumiesz? Ta taksówka to moje życie. Ale że jesteś tak miły dla mnie, to pozwolę ci tu zostać, w moim samochodzie, dopóki nie

wrócę. A jak coś ci nie pasuje, znaczy nie odpowiada, to zabieraj manatki i się stąd wynoś. — Taksówkarz nie kontrolował już swego głosu, prawie wrzeszczał.

Sherman popatrzył na niego. Twarz miał czerwoną, głos krótki i urywany.

— O ile pamiętam, to powiedziałeś, że zabierzesz nas z powrotem do miasta.

— Zgadza się, ale pod warunkiem, że dostanę moje dwadzieścia pięć dolarów. No, daj spokój. Trzeba jakoś skończyć to, co już zaczęliśmy. — Splótł palce.

Sherman zesztywniał, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że od początku mu nie ufał. Podobała mu się usłużność taksówkarza, ale kiedy przyszło do oddania pieniędzy, stracił ochotę do robienia z nim interesu. Jakiegokolwiek interesu. Ale z drugiej strony nie miał wyboru. Wyciągnął banknot z kieszeni i podał mężczyźnie. Nagle poczuł się bezbronny. Natychmiast pożałował, tego co zrobił.

Widział, jak taksówkarz wchodzi do knajpy i coraz bardziej podejrzewał, że coś tu nie gra. Jeszcze nie potrafił zgadnąć co. Mimo wszystko siedział w jego samochodzie i kierowca musiał do niego wrócić wcześniej czy później. Światła reklamy piwa żarzyły się na zaparowanej szybie, tuż nad chodnikiem. Zrobiło się zimno. Chińczyk siedział blisko chłopca. Sherman wpatrywał się w ciemność. Ale dostawca nie wracał.

Zaczął się denerwować. Minęło już prawie pięć minut, zanim pojął, że powinien pójść za taksówkarzem, dowiedzieć się, co go zatrzymało i odebrać swoje pieniądze, w taki czy inny sposób. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nie należy opuszczać samochodu. Dlaczego tak długo? Usiadł z powrotem na kanapie siedzenia, huśtając nogą kopał schowek w przednim fotelu. Pomyślał, że mógłby zostawić Chińczyka w samochodzie, a sam wejść do knajpy. Ale pies zacząłby szaleć i pewnie pogryzłby tapicerkę w środku i Sherman musiałby za to zapłacić. Czas mijał. Nie potrafił się na nic zdecydować. Rozbolała go głowa. W końcu zaklął, chwycił sznurek psa i wysiadł z samochodu.

Prowadząc przy sobie Chińczyka, podszedł do drzwi knajpy i wszedł do środka. Paru klientów mocowało się z trzema automatami. W końcu pomieszczenia, w rogu, zobaczył niewyraźny kształt szafy grającej. Ogłuszający hałas tętnił w powietrzu — dźwięki muzyki, głośne rozmowy, odgłosy maszyn do gry i postukiwanie kufli. Pomieszczenie było długie i ciemne, z rzędem czerwonych żarówek pośrodku sufitu. Zwykłe światło paliło się tylko nad barem. Dym papierosowy i zapach skwaśniałego piwa tworzyły gryzącą miksturę. Wśród czerwonawego światła postacie były niemożliwe do rozróżnienia. Ludzie patrzyli z zainteresowaniem na małego chłopca i dużego psa.

Jeden z graczy odwrócił się, kiedy Sherman przechodził obok niego. Minął długi rząd krzeseł zajęty przez mężczyzn, którzy rechotali i głośno dowcipkowali. Wszyscy świetnie się bawili. Ktoś zaczął zabawnie naśladować szczekanie. — Hau, hau, hau! — Chińczyk naprężył się, jakby chciał skoczyć. Nagle przed Shermanem wyrosła kelnerka, trzymała ręce na biodrach. Miała na sobie czerwoną sukienkę z frędzlami na przodzie. Musiała krzyczeć, żeby usłyszał jej głos.

— Moje złotko, nie możesz tu wchodzić. — Kiedy się pochyliła, ktoś gwizdnął z aprobatą. Chińczyk odwrócił się w tym kierunku.

— Szukam taksówkarza, który tu wchodził — powiedział Sherman przekrzykując zgiełk. — On ma coś, co należy do mnie. — Jego oczy wciąż wędrowały, w poszukiwaniu tamtej, znajomej twarzy.

— Synku, nikt tu nie wchodził w ciągu ostatnich piętnastu minut.

— On był ostatni, który tu wchodził. Widziałem go dokładnie.

Mężczyzna za barem głośno żartował z Chińczyka. Pies wyrywał się i warczał. Ktoś usiłował dać mu trochę piwa ze swojego kufla. Kelnerka pochyliła się do Shermana.

— A tak, jeden chciał skorzystać z łazienki parę minut temu, ale już wyszedł. No, a teraz idź sobie. Nie możesz tu zostać, w dodatku z tym psem, bo stracę pozwolenie.

— Ale nikt nie wychodził na zewnątrz. On nie wychodził. Widziałem. — Sherman musiał się wysilać, żeby cokolwiek usłyszeć. — On mówił, że idzie porozmawiać z właścicielem.

— Mój drogi, to moja knajpa i nikt ze mną nie rozmawiał, w każdym razie nie przypominam sobie.

— A ten człowiek, który poszedł do łazienki, gdzie on jest?

— Nie mam pojęcia. Nie przyglądałam mu się zbyt uważnie. Mógł wyjść tylnymi drzwiami.

— Więc tu są inne drzwi? — poczuł suchość w gardle.

— Pewno.

— Czy mogę tam pójść, żeby je zobaczyć?

— Nie widzę przeciwwskazań — odpowiedziała. — Możesz oglądać wszystko, na co masz ochotę. Chodź za mną.

Poprowadziła go na tyły wśród stosów pudełek, opakowań i skrzynek z piwem do drzwi, które otworzyła za pomocą długiego metalowego uchwytu. Kiedy wyszedł na dwór, ciągnąc za sobą Chińczyka, drzwi zatrzasnęły się. Nie było żadnego uchwytu na zewnątrz. Chodnik przed barem był ciemny i pusty. Wtedy to usłyszał — ryk silnika i pisk opon. Zobaczył fruwające liście. Szybko odwrócił się krzycząc: — Chińczyk! — Ruszył pędem przed siebie.

Po taksówce nie było ani śladu. Nie było. Jego tysiąc dolarów poszło do diabła. Do diabła. Czuł pulsującą krew. Ten cholerny sukinsyn. Splunął w kierunku czerwonych drzwi knajpy. W oczach poczuł łzy — tępy ból w środku głowy narastał z każdą chwilą. Oni wszyscy byli w zmowie. Teraz się z niego śmieją i mają dobrą zabawę. Każdy z tych tam w środku to parszywy oszust. Facet wyszedł tylnymi drzwiami i go obserwował. Tak było na pewno. A potem wskoczył do taksówki i szybko odjechał. Sherman pobiegł do końca chodnika, do miejsca, gdzie kończyła się droga. Nie potrafił powiedzieć, w którą stronę pojechał samochód. Ulica była pusta — tylko kilka porzuconych na parkingu aut. Stare gazety walały się po ulicy i chodnikach.

Sherman nienawidził tej pieprzonej, brudnej ulicy, całego tego cholernego miejsca. Nienawidził tych słupów przydrożnych opasujących ulicę, odoru zamulonej rzeki, którym było przesiąknięte powietrze, chociaż żadnej rzeki nie widział, nienawidził tych kawałków śmieci, które pokrywał padający śnieg.

Wrócił przed knajpę. Stary gniew odżył nagle, teraz ze zdwojoną siłą. Zimny wiatr bił w oczy, a kolorowe znaki reklamujące piwo migały, jak zapowiedź niepewnej nocy. Wciąż słyszał tę idiotyczną reklamę szamponu. Witajcie, cześć i czołem... Witaj, skurwysynu! — miał ochotę powiedzieć. Myśli wirowały mu w głowie. Chodził tam i z powrotem. Usiłował poukładać w całość rozsypane słowa i znaczenia. Pies chodził za nim. Chciał zemsty. Widział bezkształtny tłum za wielkim oknem. Zrobił parę kroków i zawrócił. Potem odszedł.

Nie było go jakieś piętnaście minut. Znowu pojawił się na chodniku przed knajpą. Odkręcił kwadratową blaszaną puszkę z benzyną. Należała najprawdopodobniej do człowieka, który strzyże trawniki. Powoli rozlewał płyn na chodniku w kierunku drzwi knajpy. Potem zapalił zapałkę i rzucił ją w stronę kałuży. Spokojnie patrzył, gdy strzelił wysoki ogień. Niebieskawy płomień powoli podchodził do drzwi. Więc, witajcie, cześć i czołem skurwysyny, wszystkiego najlepszego! Popielniczka wyleciała przez okno wśród migających, kolorowych świateł. Z wewnątrz dochodził brzęk szkła. W świetle pożaru jaśniały stłoczone postacie. Ktoś krzyczał: — Pali się! — Dziura w szkle wyglądała jak czarne, zniszczone usta. Wewnątrz wybuchła panika, ale on był już daleko, mijał zaparkowane samochody. Gnał przez podwórka, aż do uliczki. Zostawił kanister w jakimś garażu.

Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajdował.

Był już ranek, kiedy określił swoje położenie. Zęby mu szczękały. Drżąc z zimna, zawołał psa. Siedział w jakimś opuszczonym wraku zdemolowanego samochodu. Tam spędził noc. Mroźna mgła wisiała w powietrzu. Przeszedł przez zdeptany trawnik i podniósł z ziemi walający się kawałek porannej gazety. Zmięty strzęp papieru włożył pod pachę. Posuwali się wzdłuż chodnika do całodobowej stacji benzynowej, gdzie poprzedniej nocy udało mu się ukraść kolację. Dwie paczki czipsów i korzenny napój gazowany. Słońce wysuwało się zza odległych gór, kiedy weszli do męskiej toalety na tyłach budynku.

Popijając wodą z zardzewiałego kranu, połknął poranną tabletkę. Zauważył, że buteleczka z lekarstwem jest więcej niż w połowie pusta. Wytarł usta rękawem kurtki. Ogrzał się ciepłym strumieniem powietrza z otworu klimatyzacyjnego. Bolała go poparzona ręka. Rozpuszczające się w muszli klozetowej różowe kostki zapachowe wypełniły powietrze. Rozwinął gazetę. W rogu na górze pierwszej strony zobaczył artykuł o Mamie, ale nie była to historia, której oczekiwał.

PORWANA DZIEWCZYNKA WIDZIANA Z KOBIETĄ

GAMBRIA. POLICJA STANOWA W GAMBRI WŁĄCZYŁA SIĘ DO ŚLEDZTWA OSTATNIEJ NOCY. TRWAŁY POSZUKIWANIA MAMIE ABBOTT, SIEDMIOLETNIEJ DZIEWCZYNKI PORWANEJ ZE SZPITALA ŚW. BARTŁOMIEJA W GRAYLIE. ZAGINIĘCIE ZGŁOSZONO O PIĄTEJ RANO W ŚRODĘ.

W CZASIE WIZJI LOKALNEJ INSPEKTOR STANOWY JAMES T. WHALEN USTALIŁ NOWE OKOLICZNOŚCI, KTÓRE MOGA, POMÓC W USTALENIU MIEJSCA PRZETRZYMYWANIA

DZIEWCZYNKI. ALE DLA DOBRA DALSZEGO ŚLEDZTWA SZCZEGÓŁÓW NIE UJAWNIONO.

ZGODNIE Z RELACJĄ NAOCZNYCH ŚWIADKÓW DZIEWCZYNKA OPUŚCIŁA SZPITAL W TOWARZYSTWIE NIEZIDENTYFIKOWANEJ KOBIETY. POLICJA TWIERDZI, ŻE WIDZIANO JE W CZARNYM ALBO CIEMNONIEBIESKIM BUICKU.

Niżej podano rysopis poszukiwanej kobiety. Około trzydziestu pięciu lat, 175 centymetrów wzrostu, średniej budowy ciała, rude włosy i piwne oczy. Była ubrana w elegancki futrzany płaszcz. Zdjęcie Mamie zamieszczono powyżej. Dziewczynka ma blond włosy i zielone oczy. Ubrana w białą kurtkę.

OSOBY, POSIADAJĄCE JAKIEKOLWIEK INFORMACJE O MIEJSCU POBYTU MAMIE ABBOTT I OPISANEJ KOBIETY, PROSZONE SĄ O NATYCHMIASTOWY KONTAKT Z NAJBLIŻSZYM POSTERUNKIEM POLICJI.

To ona — pomyślał Sherman. Wiedział to. Przejrzał jeszcze raz artykuł odczytując pojedyncze słowa. Inne zgadywał, aż mniej więcej zrozumiał treść artykułu. To ona. Ta sama kobieta. Tak właśnie wyglądała. Popatrzył na tekst po raz trzeci. W nagłym przypływie energii chciał ruszać jak najszybciej. Gambria. Musiał zdobyć mapę. Wciąż potrzebował pieniędzy, drobnych pieniędzy. Wyrwał artykuł z gazety, złożył go i wsadził do kieszeni kurtki.

Wyjął z dżinsów jeden z dwóch pozostałych mu tysiącdolarowych banknotów. Obejrzał go uważnie. Coś jest nie tak z tymi pieniędzmi? Pewnie to brak szczęścia — prześladuje mnie od samego początku. To po prostu nie-dobre-szczęście — pomyślał. Tak mówiła Mamie, kiedy była małą dziewczynką. Muszę się tego jak najszybciej pozbyć. Chciał po prostu wyrzucić pieniądze. Powiedział coś do psa i otworzył drzwi.

Wzeszło słońce. Na drodze był dość duży ruch. Chińczyk i Sherman szli szybko przed siebie, przez wąskie chodniki i alejki. Prowadził psa w dół do dużej sutereny. Kolorowe piłki toczyły się po zielonym stole. Chłopak ustawiał bile za pomocą plastikowego trójkąta. Zaśmiał się i pokręcił głową.

— Dzieciaku — odezwał się, jakby usłyszał dobry żart. — Chyba zwariowałeś.

— To gdzie mogę to rozmienić?

— Spróbuj w lombardzie. Może tam będzie taki szmal.

— A gdzie to jest? — zapytał Sherman.

Sherman i Chińczyk mijali wystawy sklepów — instrumenty muzyczne, stara biżuteria, książki pokryte kurzem, maszyny do pisania, gramofony. Właściciel lombardu palił grube cygaro. Wziął banknot i obejrzał pod małą okrągłą lupą.

— Dam pięć stów.

— Ale to jest tysiąc dolarów.

Mężczyzna wypuścił cztery kółka dymu w powietrze. Połączyły się w jedno duże i uleciały.

— Mogę ci dać pięć stówek — powtórzył kaszląc. — Nie wiem, skąd to masz. Jeśli przyjdzie tu policja i znajdzie to u mnie, to kto dostanie po głowie? Ty? Nie, ja. Więc nie pytam o nic, a ty nie opowiadasz mi żadnych kłamstw. Pięć stów. Ani centa więcej — złożył banknot i podał go Shermanowi przez zakratowane okienko.

— Zgoda — powiedział Sherman. — Jeśli rozmienisz mi to na forsę, którą będę mógł wydać.

Teraz musi zdobyć mapę.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 8

Był siedemnasty listopada, południe. Lodowy grad zamienił się w śnieg. Chociaż była sobota, prawie wszystkie sklepy były zamknięte, na ulicach panował niewielki ruch. Śnieg spadał na chodniki i brukowaną jezdnię, bębniąc jak uderzenia paznokci o kartkę papieru. Pod smutnym, chmurnym niebem główna droga wiodąca przez Fielding Heights w Pensylwanii gubiła się w ponurym krajobrazie. Niebieski buick wolno przekraczał obrzeża miasta.

Jechały bez przerwy, od kiedy rano opuściły motel. Monotonia podróży uśpiła Mamie. Zwinęła się w kłębek pod kocem. Leona obserwowała ruchy zimowego słońca i słuchała szumu padającego śniegu. Jak uderzenia malutkich skrzydeł — myślała. Chciało jej się spać. Zbliżyła się do krawężnika i zatrzymała wóz. Zamknęła oczy i wygodnie rozłożyła się w fotelu.

Wydarzenia ostatnich trzech dni wyczerpały ją fizycznie i nerwowo. Jechały już czwarty dzień, ale drogi były śliskie, więc posuwały się wolno. W takim tempie chyba nigdy nie dojadę do bezpiecznego miejsca — myślała Leona. Nie wiedziała, jak długo potrwa ta podróż. Nie spała dobrze w motelach. W nocy i w ciągu dnia nie dawały jej spokoju wspomnienia tamtej nocy. Droga stawała się coraz bardziej niebezpieczna i wiedziała, że nie powinna dalej jechać. Ale równie niebezpiecznie było zatrzymać się gdzieś w mieście, w jasnym świetle dnia. Musiała szybko znaleźć miejsce, gdzie mogłaby odpocząć, nie nagabywana przez nikogo, żeby odzyskać siły i zdolność do trzeźwej oceny sytuacji.

Monotonne uderzenia padającego śniegu odbierały jej zdrowy rozsądek. Z zamkniętymi oczami słuchała łagodnego oddechu Mamie. To było jak hipnotyzująca muzyka. Bezwolnie płynęła z prądem rzeki współczucia i zapomnienia. Przez następne parę minut śniła, że nie jest sama... To było stare wspomnienie i nawiedzało ją bardzo rzadko.

Pierwszy raz zobaczyła go wiele lat temu, kiedy była w drugiej klasie liceum, na zabawie Andrzejkowej. Od razu zwróciła na niego uwagę. Nigdy nie wiedziała, dlaczego. Chociaż nie powiedzieli do siebie ani słowa do końca wieczoru, to czuła, że odkryli wspólnie jakąś tajemnicę. Jakby dotknęli tego, co było ukryte kiedyś dawno, w jakiejś bajkowej, mitycznej krainie. Jakby ich losy zostały połączone

przed wiekami, a ich serca miały setki lat. Potem jej powiedział, że czuł to samo. Jeszcze nie znali swoich imion, kiedy spotkali się na ławeczce w parku. Była późna jesień. Ciepło. On był trochę pijany, choć przyjechał do parku na rowerze. Tego dnia były imieniny jego najlepszego przyjaciela. Siedział obok Leony. Usiłował umówić się z nią na następny dzień. Nie przyszła, bo nie sądziła, że on będzie pamiętał. Pamiętał. Czekał długo. W końcu zadzwonił. I tak to się zaczęło. Zupełnie oszaleli na swoim punkcie. Ich szczęście wydawało się tak wielkie, że budziło lęk. Alfred chciał studiować literaturę francuską ona filozofię. Pamiętała, jak się śmiali, gdy kiedyś przeczytali artykuł o tym, że jednym z kryteriów przyjmowania na wydział filozofii powinna być uroda studenta. Według pewnego uczonego filozofa, powinno się przyjmować nie tylko mądrych, ale i pięknych. Brzydcy nie mieliby żadnych szans. Śmiali się, bo byliby idealnymi kandydatami. Obiecał, że będzie przychodził na jej zajęcia.

Słyszała siebie mówiącą jego imię — Alfredzie... — Czuła uderzenia serca i jego ciepłe ramiona. Drżąca z podniecenia, chciała powiedzieć mu o dziecku. Nowina, która mogła na zawsze odmienić ich życie, ale on zasłonił jej usta i poddała się ogarniającej ich fali pożądania. Szczęśliwa, że jest z nim, szczęśliwa, że ma go w sobie. Wtedy głęboko, w jej gwałtownym westchnieniu, poruszyło się ogromne pragnienie, odwieczne pragnienie szczęścia, którym zaczynała się cieszyć. Nie zapomniała o tym nigdy. Jednocześnie wiedziała, że jeśli podda się tym wspomnieniom, to zapadnie w sen o wiele głębszy niż ten, jakiego potrzebowała w tej właśnie chwili. Jej pożądanie zmniejszyło się do słabego bólu. Dawne, zapomniane podniecenie skryło się w niej jak na chwilę ożywiona fantazja. Obudziła się.

Przycisnęła dłonie do oczu. Otrząsnęła się i poprawiła koc na Mamie. Kiedy ruszyła, była już przytomna. Wyprzedziło ją tylko kilka samochodów. Jechała powoli, opony miękko zanurzały się w śniegu. Na środku każdego rozwidlenia, pod świecącymi światłami drogowymi, stały masywne ochraniacze. Wiele wystaw sklepowych było wciąż udekorowanych krasnoludkami i czarownicami — pozostałościami po niedawnym święcie duchów.

Po paru minutach Leona wiedziała, że nie może jechać dalej — pogoda była okropna, a ona bardzo zmęczona. Mamie się obudziła. Wciąż szukając miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać, Leona zauważyła światła neonu Old Mill Run, niedużego kina i grupkę ludzi przed kasą. Gene Autry występowała w filmie „Wspaniały, piękny Joe". Właśnie miał się zacząć popołudniowy seans.

— Czemu nie pójść do kina? — rzuciła w przestrzeń. Ostrożnie zawróciła samochód. — Tak — powiedziała po chwili. — Myślę, że powinnyśmy pójść do kina.

Przecierając oczy, Mamie podniosła się. Bez słowa wyglądała przez szybę.

W holu kina Leona kupiła bilety i torebkę kukurydzy dla Mamie. Trzymała dziewczynkę za rękę. Nie umiała być z dzieckiem w miejscu publicznym. Ale nie mogę jej prowadzić jak więźnia — pomyślała. W tłumie poczuła się bezpieczniej. Ubrany w uniform pracownik kina wskazał im miejsca. Leona wybrała środkowy fotel dla Mamie, a sama usiadła z brzegu. Skończyła się krótka kreskówka. Potem

reklamówka i wreszcie zaczął się film i występ orkiestry Jana Garbera. Muzyka była łagodna i romantyczna. Może jedna trzecia krzeseł była zajęta, ale w intensywnym świetle ekranu pojawiały się cienie spóźnialskich, twarze tylko do połowy widoczne. Teraz, w mroku salki kinowej, były bezpieczne. Leona zamknęła oczy.

Zapadła w półsen. Kolorowe figury ogromnej wielkości migały pod jej powiekami. Błądziła myślami gdzieś daleko. Podczas przerwy zaprowadziła Mamie do toalety. Potem dała jej gumę do żucia, którą wyjęła z torebki. Mała nie wydawała się wcale zmęczona. Pod koniec filmu Leona posłyszała skrzypiący hałas zza ekranu i zobaczyła smugę światła w drzwiach wyjściowych. Ktoś szybko otworzył drzwi i zaraz je zamknął. Posłyszała szepty. W wyjściu mignął cień, i znowu. Co się dzieje?

Wyprostowała się na siedzeniu. Przez chwilę widziała dwoje małych dzieci, wyłaniających się od strony drzwi. Jedno coś trzymało. Stanęły, szeptały coś do siebie i ruszyły do przodu w kierunku rzędu krzeseł. Na wielkim ekranie było widać zarysy ich główek i ramiona. Wśliznęły się tutaj— pomyślała Leona zadziwiona i poruszona. Wydawały się zbyt małe wobec ryzyka, jakie podjęły. Nie dajcie się złapać — chciała powiedzieć — tylko spokojnie, nic się nie martwcie. Były takie małe i bezradne. Śledziła je wzrokiem, aż zniknęły w ciemnościach.

Dzieci stały bardzo cicho, patrząc na ekran, którego blady blask oświetlał puste siedzenia i twarze widzów w najbliższych rzędach.

— Nie widać go — wyszeptała mała dziewczynka. — Tu jest za dużo ludzi.

Chłopiec odwrócił się do niej trzymając w dłoni pogniecioną fotografię. — On tu musi być — powiedział. — On tu musi być. Musimy go znaleźć.

Podszedł do końca rzędu i zawahał się przy mężczyźnie, siedzącym z brzegu. Popatrzył na niego, potem na fotografię. To nie był on. Potem zobaczyli kobietę i dziewczynkę siedzące razem i przyglądające się im. Kobieta zapytała:

— Czy coś się stało? O co chodzi?

Nie było odpowiedzi. Wciąż trzymając fotografię przed sobą szli dalej wzdłuż przejścia. Szukali tej jednej jedynej twarzy, która mogłaby wszystko doprowadzić do szczęśliwego końca, oddać miniony czas.

* * *

Listy, na które czekali, nie były podobne do tych, które ich matka wcześniej otrzymywała. To były cienkie niebieskie koperty i musieli otwierać je za pomocą ostrego noża, żeby móc je przeczytać. Koperty były puste. Słowa napisano na wewnętrznej stronie koperty, dlatego musieli być bardzo ostrożni. Były dla nich jak czary. Dla Patsy i Waltera.

Kiedy przychodził list, ich matka rozrywała go nerwowo, w pośpiechu. Potem musiała sklejać kartkę w przedartych miejscach. Czytała zachłannie z błyszczącymi oczami. Niektóre fragmenty odczytywała na głos, inne po cichu, tylko sobie.

— No, to teraz, tylko przez chwilkę — tłumaczyła — on pisze tylko do mnie — potem czytała dalej. Dzieci stały przy niej i słuchały, jak akcentuje pojedyncze wyrazy. Jeśli pytały o coś lub kiedy widziała, że nie rozumieją, zatrzymywała się i tłumaczyła — co to jest kantyna, albo gdzie leży Korea. Na końcu ojciec zawsze dodawał, że ich kocha, a ona czasem płakała, i przytulała dzieci do swojej miękkiej i słodko pachnącej sukienki.

Potem szli do oprawionego zdjęcia zawieszonego na czerwonozłotym sznurze nad łóżkiem. Gra, w którą grali wciąż na nowo. Mówiła Walterowi, że ten mężczyzna na zdjęciu w wojskowej czapce to jego ojciec, szeregowy Jereme Aldridge. Pytała, czy pamiętają swojego tatę.

— Ja go pamiętam — odpowiadała Patsy . — Walter, pamiętasz, prawda?

Była starsza o rok. Miała już iść do szkoły. Lubiła wyręczać we wszystkim młodszego brata. Walter pamiętał tatę i mamę. Jak wracali z kina. Innym razem ten sam mężczyzna, ubrany w mundur, przyniósł złotą rybkę w białym pudełku pełnym wody. Pamiętał, jak zrobili akwarium z wielkiego słoja. Następnego dnia ten sam mężczyzna zawołał ich do łóżka mamy, żeby poczytać im wesołe artykuły z niedzielnej gazety. Czasem Walter, który miał prawie pięć lat, udawał, że nie wie, kim jest ten człowiek na zdjęciu, bo lubił, jak matka mówiła:

— Oczywiście, nie możesz pamiętać, ale będziesz. Przypomnisz go sobie, przypomnisz sobie, jak ojciec wróci na dobre do domu. Tylko mocno go kochajcie.

— Ale kiedy przyjedzie, to pójdziemy wszyscy na dworzec, żeby go spotkać? — pytała Patsy.

— Tak właśnie będzie — zapewniała ich mama. — Tam będą setki tłoczących się ludzi, człowiek na człowieku, ale my wypatrzymy go w tłumie, i będziemy zawsze razem.

— A co, jeśli nie znajdziemy się nawzajem? — powątpiewał Walter.

— Wtedy po prostu weźmiemy to zdjęcie i będziemy je wszystkim pokazywać, aż w końcu spotkamy naszego tatę.

— Mamusiu, jak ja wyglądam? Czy będę wyglądała jak ty? — mówiła Patsy.

— O nie! — odpowiadała matka z uśmiechem. — Z twoimi płomiennymi włosami będziesz o niebo ładniejsza ode mnie, będziesz jak... jak Hedy Lamarr — i czasem brała magazyn z małego stolika i pokazywała zdjęcie pięknej, o kociej urodzie, kobiety.

W soboty dzieci bardzo się śpieszyły. Nie mogły się spóźnić, bo przychodziły po nie dziewczynki Turnbullów. Matka pomagała dzieciom wkładać płaszczyki, a potem stała na werandzie machając, gdy wszystkie szły na popołudniowy seans do pobliskiego kina. Kiedy wychodziły po skończonym filmie, mrugając oczami, ona czekała pod kinem wśród oślepiającego blasku świateł. Szybko opowiadały wszystko — kreskówkę, western, opisywały zdjęcia z prawdziwej dżungli i relacjonowały najświeższe wiadomości. W tej opowieści musiał wystąpić pociąg i setki wesoło uśmiechających się, stłoczonych ludzi, a dworzec był zupełnie taki sam, jak w jej opowieści o spotkaniu z ojcem. Najchętniej słuchała o westernie.

— O nie, nie, jakże mogli to zrobić! Och, na pewno nie! — i śmiała się, kiedy wracali do domu późnym popołudniem. — I co dalej? — Patsy i Walter opowiadali. — Mój mały, założę się, że się bałeś, co? A co było potem?

Śmiali się, a dzieci opowiadały na zmianę. To były najpiękniejsze chwile ich życia.

Przez całą wieczność, bo przez dwa czy trzy tygodnie, nie przyszedł żaden list. Kiedy gniewała się na nich, mówiła, że już nie wie, co ma z nimi robić i że się gubi w tym wszystkim. W końcu powiedziała, żeby przestali czekać na listy, i tylko udawali, że czekają. Wtedy przyszedł inny list. Kiedy go czytała, zbladła i opadła na krzesło. Przeczytała jeszcze raz. Jej ręce bardzo się trzęsły. Nagle zgniotła kartkę. Z kredensu wyjęła butelkę pokrytą kurzem. Butelka była pełna do połowy. Nie mogła jej jednak otworzyć, bo drżały jej ręce. Mrugała oczami i płakała. Dzieci pytały: — Mamusiu, co się stało? Od kogo? — Szarpnęła swoją sukienkę i oderwała z niej ozdobną falbanę. Piła, aż opróżniła butelkę. Chodziła z pokoju do pokoju, jak złota rybka w słoiku, a dzieci chodziły za nią. I wciąż pytały. Odpowiedziała wreszcie.

— Powiem wam. Ale proszę... dajcie mi trochę czasu, żeby to przemyśleć.

Rozprostowała kartkę, potem złożyła i schowała ją do torebki. Posadziła Patsy i Waltera na łóżku i poprawiła ich ubrania.

— Słuchajcie uważnie — powiedziała — mamusia musi teraz wyjść. Nie mogę was zabrać ze sobą. Nie mam czasu, żeby znaleźć kogoś, kto by was popilnował. Siedźcie tutaj. Nie ruszajcie się. Czy możecie to dla mnie zrobić? — Kiwnęli głowami. — Przyjdę, albo przyślę kogoś tak prędko, jak tylko będę mogła. Ale zostańcie tutaj, w tym miejscu. Przyrzekacie? Powiedzcie, że przyrzekacie.

— Przyrzekam — powiedział Walter pochylając głowę. Patsy też powiedziała, że przyrzeka.

Pochyliła się i pocałowała dzieci. Weszła do łazienki i szybko pojawiła się z powrotem — upudrowana, pachnąca perfumami. Nie wzięła płaszcza. Pośpieszyła do drzwi i wyszła, zaciskając dłonie na torebce.

Było cicho. Przez zasłony w oknach prześwitywał blask reflektorów przejeżdżających samochodów. Tykały dwa zegary — jeden na półce w dużym pokoju, drugi w sypialni mamy. Dzieci czuły jej nieobecność w całym domu, w każdym miejscu. Walter myślał tylko o jednym, stało się coś złego i mama już nigdy nie wróci. Nie potrafił opanować się i pozbyć tej myśli. Powiedział o swoim dziwnym niepokoju Patsy, która była przerażona zupełnie tak samo jak on.

— Powiedziała, że wróci — wyszeptała.

Ale tak było pierwszy raz. Zapadał wieczór. Odgłosy ulicy ucichły — pulsujący szum samochodów, okrzyki dzieci wracających ze szkoły. Nikt nie przychodził. Przerażony Walter poczuł, że musi pójść do toalety.

— Lepiej nie idź — powiedziała Patsy. — Przyrzekłeś!

Ściemniało się coraz bardziej. Próbował czekać, ale nie mógł już wytrzymać ani chwili dłużej.

— Muszę — powiedział i ześliznął się z łóżka, było jednak za późno. Poczuł

gorący, wolny strumień spływający po nodze. Na nogawkach pojawiły się ciemne, wilgotne paski. Rozpłakał się, płacz i poniżenie próbował ukryć w dłoniach. Nie usłyszał, jak wchodzili. Zapaliły się światła i zobaczył wujka Barneya i ciocię Maggie. Była cała rodzina i wszyscy krewni. Patsy podbiegła do nich.

— Walter się zsikał w spodnie.

— Ja się tym zajmę. No chodź, mój mały — powiedziała mama. Przeszła przez pokój, zaczepiając o stoliczek. Nachyliła się nad nim. Twarz miała spuchniętą i czerwoną.

— Już dobrze, Walter, dobrze.

— Nie było nikogo — powiedział szlochając.

— Wszystko dobrze. To nic. Naprawdę nic się nie stało — uspokajała.

— Ale przyrzekłem, że nie...

— Wiem, że tego nie chciałeś. Mamusia wie. A teraz chyba już czas pójść spać. Chodź, tylko my.

W drugim końcu pokoju zobaczył Patsy, siedzącą na kolanach wujka Barneya.

— Ale ja nie jestem wcale zmęczony — płakał dalej.

— Ja to wszystko wiem — powiedziała. — Ale ja jestem zmęczona, i to bardzo. Zobaczysz, od razu poczujesz się lepiej.

Pomogła mu się umyć mydłem i gąbką. Nałożył piżamę. Położyła go do łóżka i została przy nim, aż zamknął oczy.

W nocy obudził się z nogą wystającą poza kołdrę. Drzwi do dużego pokoju były otwarte. Przez szczelinę padał wąski pas światła. Słyszał niewyraźne głosy.

— Wszystko co tu napisali to to, że zaginął w czasie akcji.

— W jakiej akcji?

— Wiem, że zginął. Czuję to.

Kiedy Walter podszedł do drzwi i pojawił się w progu, zapadła cisza. Siedzieli na łóżku, na krzesłach i w fotelach. Głowy mieli pochylone. Wszystkie światła były zapalone. Milczeli. Patsy, jak zauważył, spała na rękach u cioci Maggie.

— Mary, zabierz go stąd — ktoś powiedział. — Biedny chłopak, nie jadł kolacji. Musi być głodny.

— Wszystko w porządku — matka wzięła go na ręce. — Nie wiemy tego na pewno, ale ja nie wierzę, by twój tata wrócił kiedykolwiek do domu — zwróciła się do chłopca.

Może dzieci myślałyby, że to był sen, ale następnego ranka w każdym miejscu dużego pokoju stały spodeczki i filiżanki — na parapetach, na podpórkach foteli, na podłodze. Patsy i Walter pomagali mamie w ich zbieraniu. Nie było żadnego pogrzebu, tylko czarna aksamitka, którą okręcili sznur od ramki fotografii. Przez całe lato mama wciąż czekała na listonosza. Od tamtego czasu była wciąż podenerwowana i zirytowana na dzieci. Każdego dnia zbierała koperty z podłogi pod drzwiami. Po ich obejrzeniu jej twarz stawała się jakby z kamienia.

Pewnego gorącego dnia zdechła złota rybka. Matka powiedziała, że woda nie była za dobra. Wiedzieli, że nie lubiła złotej rybki. Po prostu zapominała ją karmić

i rybka umarła z głodu. Słój pełen wody, kolorowe kamienie, które tworzyły pokryty glonami rybi zamek, malutkie pudełeczko na pokarm — to wszystko zniknęło. Chcieli pochować złotą rybkę, ale ona wyrzuciła ją do śmieci. Nigdy nie widzieli już małego ciałka. Walter zapytał, czy nie mogą mieć drugiej, ale powiedziała, że nie. Nie chciała się nią opiekować. Walter zaproponował, że sam mógłby o nią zadbać, ale się nie zgodziła.

Do lipca każdego dnia piła whisky. Nie obchodziło ją jak wygląda — całymi dniami nie zdejmowała lokówek, nie chciało się jej robić makijażu. Wydawało się, że zbyt mocno myje twarz, jej dawne rysy powoli rozpływały się i zamazywały. Były takie dni, że nie zdejmowała koszuli nocnej i szlafroka. Nie krzyczała na dzieci. Pozostawiała je samym sobie, bez opieki. Widziały, że nie chce, by ktoś jej przeszkadzał. Przez większą część dnia była zła na cały świat. Wtedy wiedziały, że nie chce ich widzieć. Każdego dnia, kiedy wstawały i ubierały się nawzajem, Patsy pytała, co chce, żeby robili tego dnia. Zwykle odpowiadała:

— Dajcie mi święty spokój. Idźcie się pobawić. Znikajcie mi z oczu. — Potem mówiła:

— Patsy, uważaj na niego. To twój młodszy braciszek.

Nie chciała już słuchać ich opowieści o filmach. Kiedyś, pewnej soboty, zapomniała o ich wspólnym popołudniu. Powiedziała im, żeby wrócili do domu z dziewczynkami Turnbullów.

Jakiegoś pochmurnego dnia, kiedy nie mogli wyjść przed dom, pozwoliła, żeby przygotowywali jej drinki. Wiedzieli, jakie lubi. Walter stał na stoliku w kuchni, żeby sięgnąć szklankę, a Patsy wchodziła na krzesło, żeby dosięgnąć kostek lodu. Cztery kostki lodu w szklance zalać whisky, potem wyjąć czerwoną kandyzowaną wiśnię z wąskiego słoika i położyć na wierzchu. Patsy zeskakiwała z krzesła i w obu rękach niosła szklankę do sypialni. Kiedyś, kiedy byli w progu pokoju, Walter poprosił:

— Daj mi choć raz to zanieść. — Bardzo ostrożnie, nie rozlewając ani kropli wziął szklankę. Potem matka wyjęła mu ją z dłoni i prawie nie patrząc, rzuciła o ścianę. Szklanka rozsypała się w drobny mak, a żółty płyn porozlewał się wszędzie.

— Nigdy nie podawaj mi mojego drinka w niskiej szklance — wrzeszczała, wymachując papierosem. — Chcę zawsze w wysokiej szklance. Dawać mi tu mojego drinka i lepiej zróbcie go dobrze.

Innego dnia, kiedy późno przyszli do domu, wylała na twarz Patsy zawartość szklanki, tak szybko, że ta nie zdążyła nawet mrugnąć i whisky zapiekła ją w oczy. Potem powiedziała, że to była wina Patsy i kazała dziewczynce posprzątać.

Robili rzeczy, na które wcześniej nigdy im nie pozwalała. Wspinali się na wysokie drzewa za domem, zawieszali się na gałęziach winorośli, a kiedyś nawet Walter poszedł nad rzekę ze starszymi chłopcami. Patsy go ostrzegała przed matką. Ale on nie wpadł do rzeki, żaden prąd go nie porwał.

Kiedy jej zdaniem byli bardzo niegrzeczni, chwytała ich mocno za ręce, a oni

błagali ją, żeby przestała. Ale ona bezlitośnie trzymała ich za palce wykręcając je tak, że o mało nie wypadały ze stawów, a oni piszczeli i piszczeli. — Widzicie — mówiła wtedy — tak piszczą złe, małe myszy. — Pewnego razu Walter poszedł nad rzekę i ona zapytała go, gdzie był. Nie skłamał. Powiedział jej, że nie wpadł do wody, tak jak przewidywała. Tego wieczoru, kąpiąc go, chwyciła go za głowę i zanurzyła pod powierzchnię wody. Trzymała go tak długo, że nie mógł już złapać oddechu. Wyrywał się i kopał. Woda rozpryskiwała się, a jego ciało wiło się i prychało na dnie wanny. Patsy stała w progu krzycząc, ale bała się ruszyć, więc tylko krzyczała do matki, żeby nie zrobiła mu nic złego.

— To się zdarza niegrzecznym chłopcom, którzy nie są posłuszni — odpowiedziała matka, kiedy kaszlał i rozlewał wodę starając się uwolnić. — Następnym razem utoniesz.

Nieoczekiwanie wzięła go w objęcia. Przyciągnęła Patsy do siebie drugą ręką. Przytulała ich i prosiła o przebaczenie.

— Ale ja mówię prawdę — powiedział Walter przez łzy. — Zawsze powtarzałaś, żeby nie kłamać.

— Proszę, zachowujmy się, jakby nic się nie stało. Dobrze? Zapomnijmy o wszystkim. Niech będzie tak jak było dawniej. Dobrze? Co mówił tata?

Ale ona już nie potrafiła powrócić do przeszłości i wydawało się, że mieli dwie matki. I nie umieli powiedzieć, która z nich była tą prawdziwą. Próbowali trzymać się od niej z daleka, uciekali od niej.

— Walter, ja będę cię szukać — mówiła Patsy. — Jeśli krzyknę, masz się schować.

Kiedy matka chciała znowu go wykąpać, schował się i w końcu obiecała, że nie będą więcej używać wanny, tylko prysznica. Potem w ogóle zapomniała o myciu dzieci.

Czasem sąsiedzi zapraszali Patsy i Waltera. Dawali im wtedy kolację. Dzieci lubiły te wizyty, z wyjątkiem tych dni, kiedy matka po nie przychodziła. Uśmiechała się do sąsiadów i długo się tłumaczyła, ale zmieniała się już po powrocie do domu. Którejś nocy kazała im pójść do komórki za domem. Drzwi do domu zamknęła na zasuwkę. Była w takim stanie, że sama nie wiedziała, do czego jest zdolna. Chowali się pod domem, gdzie nie mogła ich dosięgnąć. Kiedy indziej wracali do domu przerażeni, że spotkają matkę krzyczącą albo chodzącą przez pokój tam i z powrotem, albo że będzie bardzo zła na nich i zbije ich po twarzy dłonią z obrączką ślubną, która zostawiała krwawe pręgi na skórze.

Pani Pétrie, wielka, gruba kobieta z końca ulicy pojawiała się bardzo często, żeby, jak to mówiła „zmoczyć se gwizdek" szklaneczką albo dwiema szklaneczkami whisky.

— Adele, moje złotko, musisz się pozbyć tych wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Dlaczego nie pójdziesz ze mną do Capri Club, albo dalej, do Delacroix? Mogłybyśmy się razem nieźle zabawić.

Matka odmawiała.

Ale pani Pétrie potrafiła być przekonywająca. Wkrótce zdjęcie taty zostało zdjęte, czarna wstążka i ozdoby zniknęły, tak samo jak złota rybka — „odłożone tylko

na razie" — jak powiedziała matka. W miejscu, w którym wisiała fotografia, została plama na tapecie. — To nie wygląda bardzo dobrze — oceniła pani Pétrie.

Nawet kiedy dni były już krótsze i ciemniejsze, bawili się na podwórku tak długo, póki nie dokuczyło im przeraźliwe zimno. Chodzili do sąsiadów — do Turnbullów lub Snyderów. Matka zaczęła popołudniami wychodzić do Capri Club. Nakładała czystą sukienkę, myła włosy i malowała usta, które były tak czerwone, jak czerwony ford coupé taty, którym, jak przyrzekła, nigdy nie będzie jeździć — jeździła teraz codziennie.

Przeniosła telefon do swojej sypialni. Spędzała tam godziny na wesołych rozmowach. Pierwszego dnia szkoły poszła z Patsy, by poznać jej nauczycielkę. Waltera zostawiła w domu.

Patsy chodziła do szkoły z dziećmi sąsiadów. Któregoś wieczoru Suzie Turnbull powiedziała, że jej mama zabroniła Patsy i Walterowi przychodzić do ich domu, bo ich mama uprawia seks z obcymi.

— Ty ją zapytaj — powiedziała Patsy, kiedy weszli do kuchni.

— Nie, ty zapytaj — wyszeptał Walter i zaczęli się sprzeczać.

Na ogół Patsy sprawiała kłopoty, ale to Walter był karany przez matkę.

— Mamo, co to znaczy seks? — przełamał się Walter.

— Nie wiem, a co się stało?

— Czy to jest jak gorączka?

— Chyba tak. — Kiedyś powiedziała, że mieli zły sen, gdy jakieś hałasy obudziły ich w nocy i wśliznęli się do jej pokoju. — To po prostu zły sen — powtarzała. — Po prostu zwidy-niewidy. A teraz wracajcie do łóżek.

Ale kiedy słyszeli te hałasy, to wcale nie kończyły się jak sen. Coś syczało, posapywało, turkotało niby przejeżdżająca gdzieś daleko wielka lokomotywa.

— Co to może być? — zapytał Walter, patrząc w ciemnościach na siostrę.

— Myślę, że to jakiś potwór.

Schowali się pod kołdrami, potem zdecydowali, że to na pewno pociąg. Odgłosy pociągu, którym wraca tata. Wsłuchiwali się w sapiący rytm i słyszeli gorączkowe krzyki. Oho-oho, znowu i znowu, i coraz szybciej, aż to było głośniejsze od pociągu.

— To jest mama! — powiedziała Patsy. — Ona jest ranna! — Walter poczuł, że musi natychmiast pójść do toalety.

Księżyc w kształcie ziarenka grochu oświetlał hol. Ich stopy głośno uderzały o podłogę z twardego drewna. Spieszyli do drzwi jej sypialni. Zerknęli przez dziurkę od klucza. W pokoju paliło się słabe światło. Patsy przekręciła klamkę i pchnęła drzwi. Poczuli zapach wosku dopalającej się świecy. Plecy jakiegoś mężczyzny poruszały się rytmicznie. Słyszeli pojękującą matkę. Patsy powiedziała: — Nie rób krzywdy mamie. — Ale jej głos zginął gdzieś w ciemnościach. Walter też chciał coś powiedzieć, lecz za bardzo się bał. A w dodatku bardzo chciał siusiu i nie czuł się na siłach, by iść dalej w stronę łóżka. Mężczyzna przesunął się na bok, i zatrzeszczał materac. Usłyszeli jego cichy głos. Matka usiadła na łóżku. Zasłaniała się prześcieradłem.

— No dobrze, koteczki. My się tylko tak bawimy. To nic takiego. Wszystko w porządku. Naprawdę.

Patsy zrobiła krok do przodu, ale wzięła szybki oddech i cofnęła się. Nagle Walter przypomniał sobie, że tego dnia, kiedy ojciec przyniósł to pudełko z dziurką, żeby złota rybka miała przez co oddychać, słyszał takie same hałasy — nad ranem, zanim zaczęli czytać wesołe opowieści z gazet. Matka ukrywała ojca w swoim pokoju — to była niespodzianka. Zrobił nieśmiały krok w stronę łóżka i wyszeptał:

— Mamo, czy tata jest w domu?

— Nie, moje dziecko... Och, Davy, nie bądź zły, nie bądź zły, to tylko dziecko. Ono niczym nie wie... mówiłam ci, kochanie... mówiłam ci. Do cholery, kurwa, Walter... — Zasłoniła dłonią usta, bo powiedziała bardzo brzydkie słowo. Przetarła oczy nadgarstkami, w taki sposób w jaki to robiła, gdy miała brudne ręce. Była przeziębiona. — No, wracajcie do łóżek.

— Ale ja muszę do toalety.

— Idziemy, Walter. No chodź — wyszeptała Patsy, chwyciła go za ramiona, ale się wyrwał.

— No dobrze, idź sobie. No, na co czekasz. Możesz to zrobić sam — odezwała się matka.

— Nie mogę, jak jest ciemno.

— Możesz zapalić światło. Po wyjściu zamknij drzwi, a potem zgaś za sobą światło. Wiem, że to potrafisz.

— Nie mogę dosięgnąć.

— Ależ możesz. Zawsze to robiłeś. Zrób to i tym razem, dla mamusi.

— Nie mogę dosięgnąć — mówił głośniej, popatrzył za Patsy, która już wyszła do holu.

— No dobrze — matka podniosła z podłogi koszulę nocną. Przechylając się na boki włożyła ją.

— No chodź, no pospiesz się.

Włączyła światło w łazience, które oświetliło zabawny kształt w łóżku. Wszedł do łazienki. Zamknęła za nim drzwi.

Po drugiej stronie ściany słyszał podniesione głosy. Mówił mężczyzna.

— Właśnie tak, Adele, właśnie tak.

I zanim Walter skończył, głos tamtego zamarł. Pewnie wychodzi — pomyślał Walter i spuścił wodę. Pas do ostrzenia brzytwy zniknął z gwoździa. Zdjęła go, gdy sięgała do kontaktu.

Poczuł nagłe swędzenie w kroczu. Wszedł na sam wierzchołek poskładanych na kupkę płytek glazury, zgasił światło i zszedł z podwyższenia. W sypialni paliło się różowe światło. Matka siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przyciskając szklankę z żółtawą substancją i kostkami lodu do czoła.

— Powinieneś być z siebie dumny — powiedziała. — Nie potrafiłeś sięgnąć do wyłącznika? Pewno.

Miała na nogach kapcie z dużymi piórami. Poruszała nogami i palcami i wtedy

kapcie huśtały się i uderzały o pięty. Przy niej na łóżku leżał pas do ostrzenia brzytwy.

— To nie były żadne zwidy-niewidy — powiedział, a jego głos jakoś zapiszczał. — Kłamałaś — popatrzył w kierunku holu. W drzwiach do sypialni nie było nikogo. — Gdzie poszła Patsy?

— Walter — jej głos był niski i złowieszczy. — Jeśli będę musiała cię łapać, będzie dwa razy gorzej. Prosiłeś się o to od dawna.

Teraz mężczyzna opierał się o framugę drzwi. Papieros zwisał mu niedbale z kącika ust. Matka wstała z łóżka. Przez koszulę przeświytywał odsłonięty, malutki skrawek ciemnych włosów i piersi. Zbliżyła się do niego. Chwyciła go za ramię, kiedy próbował uciekać. Rzuciła na łóżko i przytrzymała za ramiona. Nie opuściła mu nawet spodni od piżamy, ale to nie miało znaczenia. Pas świszczał. Poczuł ostry ból.

Kiedy pozwoliła mu się podnieść, odchodził powoli. Krztusił się, z trudem wydobywał słowa. — Już cię nie lubię — powiedział. — Kłamałaś, to ty zabiłaś złotą rybkę. Teraz nie możemy już chodzić do Turnbullów.

— Nigdy tego nie powiedziałam — zawiesiła pas na swoje dawne miejsce. Rozchyliła koszulę. Zobaczył jej piersi z małymi ciemnymi sutkami.

Postanowił powiedzieć wszystko.

— Ale to oni powiedzieli. Oni powiedzieli, że nie chcą nas widzieć, bo ty uprawiasz seks, to dlatego! — Chlipał trzymając się za bolące pośladki. — Zobacz — powiedział — ty to zrobiłaś.

Zasłoniła się szlafrokiem. Dygotała.

— Tak, to stara plotka. Jeśli tak mówią, to się cholernie dobrze składa. Ale kto cię uczył tak mówić do swojej matki? Susie? Mówisz o rzeczach, o których nie masz zielonego pojęcia. — Przesunął się w stronę drzwi. — A teraz wracaj do łóżka i daj mi spokój.

Ruszył, ale to, co powiedział, było tak prawdziwe, że odwrócił się i podniósł błagalnie ręce.

— Teraz nie mogę z nimi chodzić do kina. — Popchnęła go.

— No, wynocha.

Poniżony i obolały pobiegł do swego pokoju, gdzie leżała Patsy zasłonięta kołdrą.

Położył się obok niej. Płakał i łzy padały na poduszkę. Opłakiwał listy, które nie przychodziły, złotą rybkę w śmieciach i setki szczęśliwych ludzi, pokazywanych na kronice filmowej, której nie mógł już nigdy zobaczyć. Usiadł, wytarł twarz i mocno pociągnął nosem. Nagle górne światło zapaliło się, a Patsy zaczęła krzyczeć.

— Schowaj się, Walter! Schowaj się! — Wyskoczył z łóżka. Chciał uciekać, ale mężczyzna był szybszy.

— Tutaj mamy małego rozrabiakę, co? — Na jego twarzy malował się bezlitosny uśmiech. — Wygląda mi na to, że tu sobie odpoczywasz. Masz z tego dużo zabawy, he? Nie dajesz ludziom spać. Miałbyś ochotę na coś, po czym naprawdę mógłbyś płakać?

Mężczyzna miał stalowe palce. Chwycił Waltera za ucho, najpierw za jedno, potem drugie. Wykręcał je mocno. Stało się to tak szybko, że chłopiec na początku niczego nie poczuł, potem — przeraźliwy płomień bólu. Miał otwarte usta, ale brakowało mu śliny. Pokój tonął w półmroku. Matka była obok. Prawie nie słyszał, co mówi.

— Zrobiłeś mu coś złego.

Ale mężczyzna wziął ją za ręce, zgasił światło i wyprowadził ją na korytarz.

Krzyk wyrwał się z małego ciała chłopca przypływającymi falami bólu.

Walter został w łóżku przez większą część ranka. Przytrzymywał dłonią lewe ucho, które nie przestało boleć. Patsy nie poszła do szkoły, została przy nim w pokoju, próbując jakoś go rozweselić.

— Musimy znaleźć tatusia — powiedziała i ułożyli sekretny plan.

Matka rozmawiała przez telefon. Kiedy Walter wszedł do łazienki, powiedziała mu, żeby nigdy więcej nie wchodził bez pukania do jej sypialni. Nie poszła do Capri tego wieczora, ale następnego dnia po południu powiedziała, żeby zostali w domu i grzecznie się zachowywali. Niedługo wróci.

Kiedy zamknęła za sobą frontowe drzwi i w domu zapanowała cisza, Patsy chciała wyjść natychmiast, ale Walter poszedł jeszcze do sypialni matki. Popatrzył na szufladki w stoliku pod dużym lustrem, potem otworzył szafę. Poczuł zapach wełny.

— Idziemy. Szybciej — przynaglała Patsy.

Na samym dnie szuflady, w rogu znalazł zdjęcie z zakurzoną wstążką i z wyblakłym sznurem. Oprawione w szkło było dość ciężkie, ale wziął je i odwrócił się. Kiedy wychodził z pokoju, zaczepił butem o gruby dywanik i przewrócił się. Zdjęcie wypadło mu z rąk. Spadło na podłogę. Nadeszła Patsy. Szkło, w które była oprawiona fotografia, rozprysnęło się na drobne kawałki.

— Ojej — westchnął Walter.

— Och nie — krzyknęła Patsy.

Pochylili się oboje, patrząc na drobne kawałeczki szkła i porysowaną powierzchnię zdjęcia. Teraz chcieli mieć tylko jego twarz.

Zdjęcie wysunęło się jednym końcem na zewnątrz i myśleli, że uda im się wyjąć je całe, ale kiedy próbowali to zrobić, Walter skaleczył się w rękę. Krople krwi polały się na fotografię. Rana nie bolała, tylko trochę piekła. Przez cienkie szramy sączyła się krew.

— Tego właśnie chciałeś — powiedziała Patsy.

Walter jęknął i wyjął zdjęcie. Ostre kawałki szkła porysowały białymi śladami twarz ich ojca. Otarł krew ze zdjęcia rękawem koszuli, ale teraz krew była na odwrotnej stronie. Patsy pobiegła do łazienki i przyniosła plaster. Zalepiała po kolei skaleczenia na trzech palcach i jedno na czole, jak bokserowi, którego widzieli w kronice filmowej.

Walter zwinął zdjęcie i włożył je do tylnej kieszeni spodni. Pobiegli po swoje płaszczyki.

Wspinając się na występ przy ścianie, przekręcili mosiężną klamkę i udało im

się otworzyć ciężkie drzwi wejściowe. Pobiegli przed siebie — w zimne popołudnie, a lodowaty śnieg smagał ich twarze. Na przejściu dla pieszych przeszli przez jezdnię i pobiegli wzdłuż zaparkowanych samochodów. Na ulicy leżał brudny śnieg. Zobaczyli z daleka słabe światło neonu kina. Walter wyjął zdjęcie z kieszeni i trzymał je w dłoni. Biegł coraz szybciej, za nim podążała Patsy. Kierowali się w stronę niskiego murku z cegły na tyłach budynku.

— A co, jeśli nas nie wpuszczą? — zapytał Walter. — Zapomnieliśmy o pieniądzach.

— Inne dzieci tak robią — powiedziała Patsy. — A teraz bądź cicho, bądź naprawdę cicho. Ty wejdziesz pierwszy.

— Nie, ty — odparł Walter. — Ja się trochę boję. — Walter popatrzył jeszcze raz na fotografię. Chciał ją zapamiętać. Patsy wcisnęła palce w szparę i otworzyła drzwi. Nagle pchnęła go w ciepłą ciemność i wcisnęła się za nim, zamykając drzwi za sobą.

Ekran oświetlał dziwnym blaskiem wszystkie siedzenia i twarze — zimne światło księżyca. Patsy przytrzymała się filaru, który wyrósł przed nią. Walter szukał ojca, bo przecież wiedział, że on będzie na widowni. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała „kuku na muniu", kiedy wyznał jej, w co wierzy. Właśnie tutaj mógł przyjechać pociąg, bo tutaj zgromadziły się setki wesołych ludzi z kroniki filmowej, wielki rozradowany tłum. Próbując patrzeć na pokryte promieniami księżyca twarze, poszli w górę przejścia i usłyszeli jakąś kobietę, która coś do nich szeptała. Ale film się kończył, ludzie wstawali, nakładali swoje ubrania. A jeśli wszyscy wyjdą, to jak go znajdą? Skierowali się do wewnętrznego holu, do drzwi drugiego przejścia i utknęli w gąszczu nóg.

Po paru minutach tłum się przerzedził. Spóźnili się. Walter odwrócił się w stronę fontanny i zakrył oczy. Szlochał pokonany.

ROZDZIAŁ 9

Zanim Leona wstała ze swojego miejsca, większość ludzi już wyszła. Czuła przypływ nowych sił. Było piętnaście po czwartej. Przez chwilę przyglądała się jaskrawemu wystrojowi sali. Kiedy film miał się ku końcowi, straciła z oczu dwójkę dzieci i zastanawiała się, co też się z nimi stało. Czy złapali je bileterzy i wyrzucili? Mogłabym za nie zapłacić — pomyślała. Było jej przykro, że nie pomyślała o tym wcześniej. Poprawiła płaszcz i wzięła Mamie za rękę. Skierowały się ku wyjściu. Kiedy przechodziły przez hol kina, znowu ich zobaczyła — małego chłopca i trochę starszą dziewczynkę. Stali blisko siebie przy fontannie. Chłopiec płakał, a dziewczynka usiłowała go uspokoić. Mamie nie powiedziała ani słowa, ale popatrzyła na Leonę i energicznie pociągnęła ją w kierunku dzieci. Chłopiec trzymał w dłoni pogniecione zdjęcie. Kiedy Leona zapytała, co się stało, odpowiedziały, że szukają swojego ojca.

— Gdzie jest wasz tata?

— Na zdjęciu — powiedział mały chłopczyk.

— Czy był tutaj w kinie? Gdzie jest teraz?

— Tutaj — wyjaśniła dziewczynka, wskazując twarz na fotografii.

Hol kina opustoszał i trzy nastolatki kupowały słodki prażony ryż. Kręciło się kilku bileterów w uniformach. Mamie wskazała na skaleczone czoło chłopca i na plastry, potem pociągnęła Leonę za rękaw i wyciągnęła palec w kierunku poplamionej krwią koszuli chłopca. Leona pomyślała, że pewnie przypomina dziewczynce kogoś z jej rodziny.

— Czy on się sam skaleczył? — zapytała.

— Y-hy — odpowiedziała Patsy. — Kiedy zabierał zdjęcie z szuflady.

Rozmowa z nimi, z tymi zagubionymi i cierpiącymi dziećmi była tak łatwa i naturalna, że Leona zapomniała na chwilę o swojej własnej sytuacji. Poczucie niebezpieczeństwa poczuła dopiero wtedy, gdy zauważyła, że zwracają na siebie uwagę choćby dlatego, że stoją sami w pustym holu. Bileterzy patrzyli na nich podejrzliwie. Ale dzieci były tak zagubione i zrozpaczone, że nie mogła odmówić im odrobiny ciepła. Zapytała chłopca, skąd wziął się fioletowy siniak na jego czole.

Po chwili zrozumiała. Ktoś zrobił mu krzywdę. Ucho było opuchnięte i posiniaczone.

— Co zrobiłeś sobie w głowę?

— To nie ja — powiedział. — To Davy mnie uderzył.

— Kto to jest Davy? Czy to jest twój tata?

Wziął głęboki oddech i szybko wypuścił powietrze.

— Niee... to tylko jakiś gość. — Chłopiec patrzył na swoje stopy. — On czasem przychodzi do naszego domu. Przychodzi, żeby spać.

— Ale dlaczego cię uderzył?

— Nie wiem — chłopczyk wzruszył ramionami. — Powiedział, że nie daję mu spać. Tak właśnie mówił.

— Teraz powiedz mi prawdę — nalegała Leona. — Czy boli cię jeszcze ucho?

— Nie — odpowiedział i potrząsnął głową. — Nie boli mnie wcale.

Leona popatrzyła przez szybę na ulicę. Nisko, na wieczornym niebie słońce kryło się za chmury, tworząc długie głębokie cienie. Kąt promieni powiększał padające płatki śniegu, rozpryskujące się białe wstążki. Była już najwyższa pora, żeby zabrać Mamie i odejść. Wiedziała, że nie może poświęcić więcej uwagi tym dzieciom. Stawka była zbyt wysoka.

— Czy mieszkacie w pobliżu? — Pokiwały twierdząco głowami.

— Więc powinniście pójść do domu. — Popatrzyły na nią z powątpiewaniem. — Naprawdę powinniście. Wasza mama i tata będą się o was niepokoić. Mamie, idziemy. — Nie czekała na odpowiedź. Musiała odejść. — No, idźcie do domu. To najlepsze, co możecie zrobić.

Chciała wziąć Mamie za rękę, ale nagle dziewczynka wyrwała się i położyła ręce na ramionach chłopca.

— Mamie, dlaczego? — spytała Leona. — Co robisz?

— Nie, oni nie mogą odejść. Nie ma już domu — powiedziała Mamie.

To było pierwszy raz, gdy usłyszała głos tego dziecka. Był słaby, ale dźwięczny i miły. Poczuła dreszcz. To był głos Mamie.

— Och, Mamie — odezwała się łagodnie, przytulając ją do siebie. — Nie możemy tu zostać.

Mamie jeszcze raz odwróciła się do dzieci.

— Ale nie ma już domu — powtórzyła.

Ona pamięta o tym strasznym ogniu — pomyślała Leona. Wyobraziła sobie głębię zagubienia Mamie.

Prowadziła ją po chodniku w stronę buicka. Dochodziła piąta, był czas kolacji. Prawie za godzinę zapadnie ciemność, za cztery godziny powinna zacząć szukać miejsca na nocleg. Leona nie chciała wracać do samochodu. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła żarówkowy, łagodnie pulsujący neon. Reklamował: FILIŻANKA KAWY Z CUKREM i LODY WYŚMIENITE.

Zdecydowana, żeby zapomnieć o dwójce dzieci, wpatrywała się w neon. Muszę się napić kawy — pomyślała. Mamie musi coś zjeść.

— Y-hym — mruknęła. — Duże lody. Co ty na to? Zjedzmy coś, zanim pojedziemy dalej.

Mamie popatrzyła na nią w milczeniu. Na ulicy nie było nikogo. Niczego podejrzanego. Przecięły jezdnię. Wilgotny śnieg przylepiał się do butów.

W restauracji panował leniwy spokój. Dwie kelnerki, ubrane w czerwono-białe uniformy, przeglądały się w dużym lustrze. Poprawiały ubranie, plotkowały i malowały sobie paznokcie. Leona prowadziła Mamie do długiego stołu w kształcie litery L. Pomogła jej usiąść, a sama zajęła miejsce naprzeciwko. Było dość chłodno. Leona zdecydowała, że zostaną tu tylko chwilę.

— Posłuchaj, Mamie — powiedziała łagodnie. — Wiem, że możesz mówić, ponieważ dopiero co to zrobiłaś. Więc teraz musisz mi powiedzieć, jaki rodzaj lodów lubisz.

Szaroniebieskie oczy dziewczynki pozostały nieruchome, zapatrzone w jakiś odległy punkt. — Które lubisz najbardziej, czekoladowe czy truskawkowe? — nalegała Leona. — Ja wezmę chyba czekoladowe.

Kelnerka, bardzo brzydka szesnastolatka, podeszła do ich stołu, żeby przyjąć zamówienie. Leona poprosiła o filiżankę kawy, jedne lody czekoladowe i jedne truskawkowe. Dziewczyna odeszła. Dwie kobiety w trzeszczących kaloszach wstały od stołu i wyszły.

Leona starała się przyjąć strategiczną pozycję. Nad głową Mamie widziała wejście do restauracji, po drugiej stronie ulicy widziała tabliczkę z numerem 211. Za dużą szybą wszystko wydawało się spokojne. Tuż obok stały dwie puste budki telefoniczne, osłonięte gęstymi gałęziami lipy. Jeśliby zdarzyło się coś podejrzanego na ulicy albo na chodniku, to bez wątpienia zobaczy to odpowiednio wcześnie. Obserwowała idących pospiesznie przechodniów. Śnieg wciąż padał. Po ulicy przejeżdżały samochody. Nieznośny odblask światła odbitego od srebra chromu poraził jej oczy. Mrugnęła i wszystko stało się nagle czerwone. Broda Mamie była na poziomie blatu stołu.

— Poprosimy, żeby przyniesiono poduszkę dla ciebie — powiedziała mrużąc oczy.

Po chwili odzyskała zdolność widzenia. Drgnął dzwonek przy drzwiach. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła dwójkę dzieci z kina. Weszły do środka i stanęły przy drzwiach. Musiały iść za nami — pomyślała. Może przyszły tutaj dlatego, żeby do nas dołączyć. Nie mogę tego zrobić... tylko co im powiem?

Ale wcale nie przyszły tu za Leona i Mamie. Przez chwilę lustrowały niepewnie salę, potem wspięły się na siedzenie przy wielkiej szybie. Podnosząc się na kolanach, Mamie popatrzyła na nie i pomachała do chłopca. Chłopczyk odpowiedział takim samym gestem. Ciekawe, kto się nimi zajmuje? — myślała Leona. Kiedy tak się zastanawiała, popatrzyły na nią i uśmiechnęły się. Przechodziła kelnerka i Leona powiedziała do niej :

— Proszę dać im wszystko, co tylko będą chciały. Ja zapłacę.

Minęło kilka minut i w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Podeszła chwiejnym krokiem do dzieci. — Więc o to chodzi — Leona mruknęła do siebie. Pomyślała,

że to musi być ich matka. Blondynka o niebieskich oczach. Kobieta mogłaby być ładna, gdyby o siebie zadbała. Mała dziewczynka była jej córką. Nie było co do tego żadnych wątpliwości — duplikat matki o ciemno-płomiennych włosach.

— Czemu nie usiądziesz, Adele? — zapytała kelnerka, przynosząc dzieciom coca-colę, o którą prosiły. — Może filiżankę kawy?

Kobieta bez słowa usiadła naprzeciwko dzieci. Mała coś powiedziała i przekręciła się na plastikowym siedzeniu.

— Tylko mi nie kłam — mruknęła kobieta. Jej głos był szorstki i przepity.

Rytmicznie uderzała paznokciami o blat stołu. Podniosła głowę, rozglądając się za kelnerką.

Weszła grupa nastolatków. Szurali nogami i poklepywali się po plecach. Podeszli do lady — zamówili wiśniową czekoladową i waniliową coca-colę, zagadując wesoło do kelnerek. Jeden z chłopców wrzucił monetę do szafy grającej. Nastrój w barze zmienił się w jednej chwili. Powietrze wypełniło się muzyką i wesołym gwarem automatu. Jeden z chłopców zaczął nawet tańczyć. Przeginał się w rytm muzyki — rozkładał szeroko ramiona, i głośno powtarzał słowa piosenki: *Smutny księżycu widzisz mnie, stoję tu sam. Wiedziałeś po co byłem tam, słyszałeś o co modlę się...*

Kelnerka podeszła do Leony. Podała lody. Leona poprosiła o poduszkę. Dziewczyna przyniosła ją niechętnie. Leona podniosła Mamie i wsunęła pod nią poduszkę. Niewiele pomogło.

— Kawę zaraz podam — powiedziała kelnerka, odchodząc.

Blondynka siedziała nieruchomo. Ręce złożyła przed sobą i rozmawiała z dziećmi. Leona nie słyszała, o czym mówili. Ulica była ciemna. Słońce dawno zaszło. Leona widziała ruchliwe dłonie kobiety. Kiedy uniosła ręce do włosów, na jej napiętej szyi uwidoczniały się nabrzmiałe żyły. Kelnerka zauważyła badawczy wzrok Leony.

— Nie zwracaj na nią uwagi — powiedziała podając kawę. — Ona trochę pije.

Zażenowana Leona opuściła wzrok. Muzyka ucichła.

— No dobrze — powiedziała do Mamie. — Jak myślisz, które lody są lepsze — czekoladowe czy truskawkowe? — Mamie znowu się odwróciła, żeby spojrzeć na dzieci. — Więc ja wybiorę. Co tu mamy. Myślę, że wezmę... czekoladowe — Mamie wyciągnęła rękę i wzięła czekoladowe.

Leona była zdumiona. Pierwszy raz zetknęła się taką zdecydowaną, złośliwą reakcją u dziecka. Mamie słyszała wszystko, o czym mówiła Leona. Wszystko rozumiała. Leona podniosła truskawkową kulkę do ust i spróbowała.

Chłopczyk siedzący naprzeciwko miał ten sam problem co Mamie — z trudem dosięgał stołu. Trzymał szklankę coli w obu dłoniach. Próbował uklęknąć. Wsunął pod siebie jedną nogę, potem drugą i wtedy niespodziewanie szklanka wypadła mu z ręki. Napój się rozlał.

Kobieta błyskawicznie podniosła się i bardzo mocno uderzyła dziecko w twarz. Rozległ się głuchy trzask. Leona drgnęła. Filiżanka z kawą wywróciła się i zawartość

wylała się na podstawkę. Chłopczyk zakrztusił się i przez chwilę walczył ze łzami.

Kobieta krzyczała:

— Już ci to mówiłam, mówiłam nie raz! — w jej głosie brzmiało okrucieństwo. — Teraz popatrz na mnie! Ty kupo gnoju. Godzinami ci powtarzałam.

— Mamo, on nie chciał — odezwała się dziewczynka.

— Za późno, już za późno — odrzekła kobieta, a jej ręka przecięła ze świstem powietrze. Chłopiec nawet się nie bronił, tylko krzyknął, wciąż krzyczał. Mamie zerwała się i stanęła w przejściu, niezdolna do ruchu.

— Jego ucho! — błagała siostra chłopczyka. — Mamusiu, jego ucho! Nie bij go w ucho! — Kobieta podniosła się i uderzyła dziewczynkę w twarz. Siła uderzenia popchnęła dziecko aż do oparcia krzesła. W odpowiedzi, jakby to ją uderzono, ręka Mamie opadła na talerzyk z lodami i lody rozprysnęły się po podłodze. Kobieta podniosła się. Miała plamy po coca-coli na sukience. Rzuciła na stół dolara.

— Trochę tu poczekacie, zanim wejdziecie do domu! — Wyszła z restauracji.

Przez chwilę nikt się nie ruszył. Dzieci płakały. Leona popatrzyła na kelnerki, ale one odwróciły wzrok. Lokal nagle opustoszał — wszystko rozegrało się bardzo szybko. Dziewczynka przytuliła się do brata. Wstała i powoli podeszła do Leony. Na jej policzku pojawił się czerwony ślad po uderzeniu. Krztusiła się. Chciała coś powiedzieć.

— On nie czuje się dobrze! On potrzebuje pomocy! — popatrzyła na Leonę. — Proszę! — krzyczała. — Jego ucho! On potrzebuje pomocy!

Chłopiec siedział skulony. Płakał.

Leona była zbyt poruszona, by mogła zrobić cokolwiek. Łzy spływały jej po policzkach. Mamie wciąż patrzyła na chłopca. Nagle odwróciła się i powiedziała:

— Proszę! Musisz tam podejść.

— Jemu coś się stało — mała dziewczynka o rudych włosach wciąż płakała. — Jemu naprawdę coś się stało.

— Musisz! Musisz! — Mamie wskoczyła na krzesło. Pochyliła się w stronę chłopca, który się nie poruszał. Podbiegła do niego. Leona ruszyła za nią. Usłyszała płacz chłopca. Nie potrafiła tego znieść.

— Masz jakąś wilgotną chustkę, cokolwiek? — spytała kelnerkę.

Dziewczyna przyniosła wilgotną ścierkę kuchenną. Leona zwróciła się do rudej dziewczynki.

— No, teraz już nie płacz, jak się nazywacie?

Patsy odpowiedziała.

Kiedy Leona dotknęła chłopca, drgnął i mimowolnie się odsunął. Skulił się jak jeż. Płakał, zakrywając twarz ramionami.

— Mamie, odsuń się — powiedziała Leona.

— Pozwól mi... zobaczyć, co się stało.

Leona starała się uspokoić chłopca, potem spróbowała go podnieść. Ale był za ciężki.

— Dobrze się czujesz?

Nie poruszył się. Usiadła obok i objęła go.

— No już dobrze — powiedziała cicho, tak żeby tylko on słyszał. Brakowało jej słów. — Teraz już wszystko w porządku. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. — Delikatnie pogładziła jego rozwichrzone włosy i przycisnęła jego głowę do piersi. — Nie martw się. Nie płacz już, dobrze? — Przytulił się do niej — nieruchomy, zastygły w bólu.

Leona musiała odwrócić głowę, żeby się nie rozpłakać. Musimy stąd wyjść — pomyślała. Musimy natychmiast stąd wyjść.

Nikt nie wszedł do środka. Kiedy się poruszyła, żeby się podnieść, małe ramiona ścisnęły ją mocniej. Mamie wpatrywała się w nich, jakby chciała coś powiedzieć. Jej słowa nabierały widzialnych kształtów:

— Popatrz, jaki jest ładny.

Leona stała, patrząc na dziewczynkę o rudych włosach, na jej wilgotne policzki, rzęsy i na krew, która zastygła na górnej wardze. Po chwili podała jej mokrą szmatkę.

— No dobrze, Patsy. Musisz się trochę wytrzeć. Nie możemy pozwolić, żeby taka ładna dziewczynka tak wyglądała.

— Nie umiem tego sama zrobić — powiedziała Patsy.

Mamie poruszyła się wolno i popatrzyła na chłopca, który już prawie nie płakał. Schował się w połach płaszcza Leony. Leona popatrzyła ze współczuciem na Patsy. Potem na Mamie. Odłożyła szmatkę i przytuliła małą mocno.

— Patsy, myślę, że powinniście pójść z nami. Możemy pojechać moim samochodem. Potem zadecydujemy, co robić dalej. Zgoda?

— Zgoda — odpowiedziała zaintrygowana Patsy. — Czy twój samochód jest bardzo szybki?

— Nie — odparła Leona. — Nie bardzo.

— Ej, gdzie je zabierasz? — krzyknęła jedna z kelnerek.

— Zabieram je do domu — powiedziała Leona nie patrząc jej w oczy.

Sześć kilometrów za Fielding Heights Leona o mało nie straciła panowania nad kierownicą, kiedy wreszcie uświadomiła sobie, co zrobiła. Od czubka głowy po palce u nóg, przez każdy nerw ciała, drżała, jakby trzymała się liny, która miała być jej jedynym ratunkiem. Ostatkiem sił skręciła kierownicę i zjechała z drogi. Zakryła twarz trzęsącymi się dłońmi.

— Ja chyba zwariowałam — wymamrotała. — Chyba nie wiedziałam, co robię. To wstrętne. — Ale nie mogła już niczego zmienić. Przynajmniej jakiś czas będą bezpieczne. Nie mogła ich po prostu wysadzić na środku drogi i zostawić jak niepotrzebne zabawki. Powinna wcześniej pomyśleć. Gdyby tak można było odwrócić się i odejść, żeby odmienić wszystko, dosłownie wszystko — pomyślała.

Zobaczyła swoje odbicie w bocznej szybie. Gruba rysa na szkle poraziła ją gwałtownym dreszczem. I już wiedziała, że nie ma odwrotu. Nie wolno jej się cofnąć, bo zdarzy się coś jeszcze gorszego. To najgorsze zło wciąż na nią czyhało.

Patsy, która siedziała obok Mamie, stanęła na podłodze samochodu.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy? — żądała odpowiedzi, nie prosiła. — Czy coś się stało z silnikiem?

— Nie, nie — odpowiedziała Leona. — To nic wielkiego. — Ale nie potrafiła się uśmiechnąć. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Nic się nie stało. Wcisnęła kluczyk jeszcze mocniej, do oporu, i z całych sił nacisnęła pedał gazu. Wolno opuściła sprzęgło i droga została gdzieś w tyle.

Wycieraczki walczyły z płatkami śniegu. Zielonkawe światełko konsoli rzucało słabą poświatę i ośmielało Waltera i Patsy Aldridge — lat pięć i sześć. Nie tylko odpowiadały na pytania Leony, ale z wolna zaczęły opowiadać o wszystkim. Jakby znały ją od bardzo dawna.

Ich ojciec nie żyje — pomyślała Leona, ich matka musi odchodzić od zmysłów. Na razie nie chciała wiedzieć więcej. Mijali małe, barwne miasteczka Eberlie, Hazelett Grove i Deer Creek Landing, położone wzdłuż czarnej wstęgi nocy.

ROZDZIAŁ 10

Policjanci obserwowali go przez cały tydzień listopada, kiedy mijał kolejne osady wzdłuż rzeki Susquehanna. Nieuczesany, trochę obdarty chłopiec z wielkim groźnym psem. Nie mieli powodu, by go zatrzymać, choć niektórzy poważnie się nad tym zastanawiali. Patrole zwalniały przy nim. Chłopiec szedł dalej. Trzymał wysoko podniesioną głowę, jego twarz była napięta. Zaczepiali go tylko po to, żeby sprawdzić, czy nadal jest taki hardy. Zwykle pytali: — A dokąd to idziemy? — tylko po to, żeby uzyskać odpowiedź. Chłopiec wahał się, patrzył na nich i odpowiadał: — Tak sobie chodzę. — Mieli wrażenie, że coś jest z nim nie w porządku. Uśmiechał się, albo próbował się uśmiechać, a jego usta zastygały w nagłym, lekkim zakłopotaniu. Jego niebieskie oczy były jakby zatrute — odpędzały intruzów. Czuli jego nienawiść — bezwzględną, zimną i niszczącą. Co też usiłował ukryć? — zastanawiali się potem. Nawet ci bardziej zdecydowani nie śmieli o nic pytać — patrzyli i czekali, aż opuści miasteczko. Był mimo wszystko dzieckiem, ale oni widzieli w nim kogoś innego — kogoś, kogo trzeba się obawiać. I wycofywali się.

Dotarł do Gambri. Właściciel stacji benzynowej chciał właśnie zamykać interes, kiedy zobaczył kształt odbity na szybie tylnych drzwi. Odstawił filiżankę z kawą chwycił kawałek żelaznego pręta i wybiegł za cieniem. Ale parę domów dalej nie mógł już złapać oddechu. Tracił grunt pod nogami. Powiedział żonie, że widział chłopca i psa, ale pomyślał, że goni jakiegoś szkolnego żartownisia, i dał sobie spokój.

Chłopiec i pies pojawiali się i znikali, pojawiali się i znikali. Skąd się wzięli, gdzie spali i co jedli, nikt nie wiedział. Pewnego ranka widziano ich, jak wygrzebywali się z przydrożnych zarośli. Chłopiec strzepywał liście z ubrania. Rolnik, który wrócił na farmę z zebrania swojej kongregacji religijnej, zastał nieporządek w domu i splądrowaną lodówkę. Zginęło ubranie robocze jednego z jego synów i stara para butów, ale nic więcej. Trzydzieści kilometrów dalej na południe pewna kobieta wytarła ręce o fartuch i poprawiała wysoko upięte włosy, które podtrzymywała opaską na głowie. Otworzyła drzwi młodemu, wychudzonemu przybłędzie. Prosił o szklankę wody. Chciał popić tabletkę od bólu głowy.

Popatrzyła na jego zniszczone, brudne ubranie i powiedziała, żeby zaczekał na ganku. Potem była pewna, że wchodził do jej domu. Miała dziwne uczucie, jakby rzeczy były nie na swoich miejscach. Długo utrzymywał się charakterystyczny odór zatęchłej, brudnej sierści psa.

Każdemu, kto tylko chciał poświęcić mu chwilkę czasu, pokazywał dwa zdjęcia.

— Czy widział pan tę kobietę? — pytał. I pokazywał podartą fotografię.

— Czy zatrzymywała się tutaj? Czy przejeżdżała starym buickiem? Była z nią mała dziewczynka. Mam jeszcze to... — pokazywał zdjęcie wydarte z gazety. — To jest moja siostra. Nazywa się Mamie. Czy widział ją pan z tą kobietą? Ona ją po prostu zabrała. Nie pytała nikogo. Zwyczajnie to zrobiła. Muszę je znaleźć. Jadą starym buickiem. — Wciąż i wciąż zadawał te same pytania, tymi samymi słowami.

Mężczyzna właśnie układał opony na podstawce przed stacją benzynową, którą właśnie otwierał. Zza budynku zbliżył się do niego chłopiec i pies.

— Taa — odpowiedział mężczyzna na pytanie Shermana. — Wieczorem, dwa dni temu. W miasteczku, w dużym sklepie Woolworthsa.

Chłopiec chodził od stoiska do stoiska, wypytując sprzedawczynie. Jedna z nich powiedziała: — Tak, chyba ją widziałam, ale nie było z nią żadnej dziewczynki. — Kiedy zadawał te swoje pytania, w jego oczach czaiło się coś dziwnego, jakiś złowrogi błysk, a może tylko nieprzebrana, trudna do opanowania nienawiść. Jego pies zawsze był przy nim.

Byli brudni, cuchnęli. Poruszali się jak para duchów. Śmierdział jak pies — kwaśnawo-słodkim odorem zgnilizny wilgotnego drewna. Ludzie omijali ich z daleka. Chłopiec wydawał się tego nie zauważać. Jedli w przydrożnych restauracyjkach i budkach, zawsze wynosili kanapki i talerze na zewnątrz. Kiedy nie mogli inaczej, kradli co tylko się dało. Spali razem przytuleni do siebie, gdzie popadnie, w niedomkniętych samochodach, w toaletach przydrożnych stacji benzynowych, w zaroślach. W ciągu dnia, gdy poprzedniej nocy udało im się złapać samochód i przejechać kawałek, chłopiec spał w opuszczonych szopach, ruderach i pod mostami. Wspinał się po stromych rowach obok głównej drogi i zatrzymywał auta, podnosząc do góry kciuk. Czekał, kiedy jakiś samochód zjedzie na pobocze, żeby widzieć, jak rozpryskują się kamienie i żwir pod oponami w chwili, gdy z zarośli wynurzała się morda Chińczyka. Było trudno złapać okazję. Ostatnio coraz trudniej.

W cieplejsze dni policjanci widzieli go, jak się wałęsał przy stacjach benzynowych, w pobliżu wejść do restauracji, przy wystawach sklepowych z telewizorami — zatrzymywał się na chwilę i uciekał. Patrzyli na to, ale nie widzieli, jak uważnie wsłuchiwał się w wiadomości. Żebrał na stacjach, gdy samochody stały na podjeździe. Osaczał kierowców błagalnymi prośbami. Kiedy nie miał szczęścia, oferował pięć albo dziesięć dolarów za podwiezienie. Czasem ktoś mówił: — No dobra. Wsiadaj z tyłu, ale trzymaj lepiej to cholerne psisko.

Prosił, żeby kierowca włączył radio. Mówił, że miał kiedyś stare radio, ale nigdy nie odbierało jak należy. A potem, kiedy wysłuchał już wiadomości, przyglądał się

bardzo uważnie, jak się prowadzi samochód. Zapamiętywał czynności kierowcy. Patrzył na ruchy nóg na sprzęgle, hamulcu i gazie. Ktoś powiedział mu, jak kontrolować odległość na drodze. Inny objaśnił sposób mijania samochodów w nocy, żeby nie oślepiać się nawzajem. Młody kierowca pozwolił mu pozmieniać biegi. Kiedy się ośmielił, mówił: — Jeśli ktoś by mnie podsadził, jeśli mógłbym tego wszystkiego dosięgnąć, to myślę, że potrafiłbym prowadzić samochód. Wiem, że mógłbym. Patrzyłem na to dokładnie. Jeśli mi pan pozwoli, to mogę poprowadzić samochód nawet teraz.

Dwie noce od Gambri, w mroźnym deszczu, Sherman i Chińczyk wyskoczyli spod plandeki ciężarówki. Kierowcy ogrzewali się gorącą kawą w małej restauracyjce, ozdobionej migającym, kolorowym neonem. Sherman stanął między głównym wejściem a stosem pojemników po oleju, prosząc o podwiezienie, kiedy kierowcy wracali do swoich wozów. Było po drugiej nad ranem i bardzo zimno. Miał na sobie podwójną warstwę ubrań — w każdej chwili, gdyby ktoś zaczął coś podejrzewać — mógł zdjąć warstwę zewnętrzną i wyglądać zupełnie inaczej. Kiedy większość samochodów odjechała, wszedł do przedsionka, żeby się trochę ogrzać, i usłyszał koniec wiadomości radiowych — ...Policja z Fielding Heights przypuszcza, że istnieje związek pomiędzy zniknięciem ostatniej niedzieli wieczorem Patsy i Waltera Aldridge, w wieku sześciu i pięciu lat, dzieci pani Adele Aldridge, i podobnym zaginięciem siedmioletniej Mamie Abbott z Graylie, na północ od Scranton... Policja uruchomiła specjalny numer telefonu...

Na odwrotnej stronie pudełka z tabletkami Sherman napisał ADELE. Zapytał, jak się pisze Aldridge.

Wrzucił dwie pigułki do ust i połknął je. Policzył te, które zostały. Tylko sześć. Pudełko włożył z powrotem do kieszeni. Podwójna dawka lekarstwa sprawiła, że poczuł się lepiej — bardzo dobrze. To podniosło go na duchu. Wyprostował się. Widział wszystko wyraźniej. Światła restauracji Mill Run Drive w Fielding Heights zalśniły jasnym blaskiem. Poklepał Chińczyka po głowie i zszedł z krawężnika. Nad nim wystrzeliła błyskawica. Dwie wstęgi światła zatańczyły na rozjaśnionym niebie. Krople deszczu rozbijały się o chodnik. Poczuł dreszcz, kiedy leki przedostały się do mięśni.

Dom był cichy i zaciemniony. Przeciął scyzorykiem druty linii telefonicznej. Wszedł na werandę i podszedł do okna. Przesunął zaczep w dół. Chwycił framugę i podciągnął ją do góry. Wolno podniósł okno i wśliznął się do środka. Stanął za zasłonami i zamknął za sobą okno. Nic nie drgnęło. Chińczyk przyglądał mu się przez szybę. Sherman pokazał mu, żeby warował. Wyszedł zza zasłony i rozejrzał się wokół.

Kontury mebli połyskiwały w świetle lamp ulicznych. Zauważył dwie szklanki i butelkę jakiegoś napoju na stoliku. Na podłodze — parę kapci na koturnie. Na brzegu stolika leżały rozłożone magazyny Look i Photoplay. Pościel była poskładana na kupę na kanapce. Sherman był przemoczony do suchej nitki. Wytarł włosy o pościel i rzucił ją na podłogę. Plamka ołówkowej latareczki prześlizgiwała się po

ścianach i wejściu. Zatrzymała się przez chwilę na biało-czarnym zegarze. Lekko uśmiechnął się w ciemności. Trzecia trzydzieści. Zgasił latarkę. Jego cień przesunął się po meblach.

Kiedy zszedł z dywanu w dużym pokoju, usłyszał swoje kroki na nagiej podłodze. Wsłuchując się w ciszę, bardzo wolno przeszedł przez hol w kierunku wnętrza domu. Otworzył drzwi. W łazience na sznurku wisiało mnóstwo rajstop i pończoch, strasząc niby pasy skóry pozostawione do wysuszenia. Dotknął pierwszej z brzegu. Pończochy były suche. Jego twarz mignęła w lusterku szafeczki z medykamentami, kiedy ją otwierał. Zobaczył swoje rysy podświetlone dalekimi lampami z ulicy. Zawrócił do holu.

Zatrzymał się za uchylonymi drzwiami sypialni. Usłyszał odgłosy przesuwanej kołdry i poduszek. Czekał. Po chwili wśliznął się do środka. Zasłony były podniesione. Przez zalane deszczem szyby było widać kołyszące się, jakby ożywione latarnie uliczne. Stąpając po miękkim dywanie zbliżył się do centralnie ustawionego łóżka. Jej twarz zanurzona była w poduszce. Włosy miała upięte. Odszedł od niej bezszelestnie.

Powrócił do słabo świecących okien w dużym pokoju. Przez ocienione przejście drzwi zobaczył suszarkę do naczyń błyszczącą w półmroku i poszedł w jej kierunku. W kuchni przygotowana była uczta — paszteciki, ciasteczka, pajdki chleba, szynka z ananasem i wiśniami. Chwycił plasterek ananasa, włożył do ust i poszedł szukać bezpieczników.

Nie zauważył jej, dopóki nie usłyszał szelestu koszuli nocnej. Stała tuż przy nim.

— Davy? To ty? — jej głos brzmiał miękko i pociągająco. — Davy... Kim jesteś? Jerry? O Boże!

Podniósł głowę i popatrzył w jej przestraszone oczy. Słyszał jej ciężki oddech. Stał na podeście prowadzącym do piwnicy. Wszedł wyżej dwa kroki i znalazł się na jej poziomie. Burza uciszyła się. Promień z okna rozdzielił ich. Jego podniecenie było tak duże, jak jej strach. Stali nieruchomo. Powietrze przepływało pomiędzy nimi. Musiał wziąć głęboki oddech. Odkryła go. Zamarł. Nie mógł pozwolić jej krzyczeć. Jeżeli spróbuje — będzie musiał temu zapobiec.

Adele Aldridge patrzyła na niego skamieniała. Potem przełknęła i szybko zamrugała. Jej mięśnie twarzy drgały niekontrolowanie. Ze strachu była biała jak kreda. Nawet jej rozpostarte ramiona bielały w ciemności. Robiła się coraz bledsza i bardziej nieruchoma z każdą chwilą. Jak żona Lota, kiedy zamieniła się w słup soli.

To go martwiło. Tak sobie tego nie wyobrażał. Ale było już za późno — nie mógł ot tak sobie zniknąć.

— Nikt cię nie skrzywdzi — powiedział w końcu, próbując zmienić głos.

Stał nie więcej niż półtora metra od niej. Patrzył na jej ciało prześwitujące przez przezroczystą koszulę nocną. Chciał, żeby jego głos brzmiał spokojnie i stanowczo. — Nie przyszedłem, żeby cię skrzywdzić — ciągnął, wiedząc, że jeśli nic nie powstrzyma jej od krzyku, wyjmie nóż. Musiało być, jak chciał. Mówił szeptem: — Tylko nie krzycz.

Wtedy ona krzyknęła. Mimo strachu, który w niej narastał, wydała długi jęk. Opuściła ramiona i spuściła oczy. Zwilżyła wargi końcem języka. Zatrzęsła się gwałtownie.

Znowu zaczął do niej mówić. Przerwała mu

— Proszę... Czego chcesz? Jak się tu dostałeś? Proszę... przecież jesteś dzieciakiem. Co tu robisz? Weź wszystko, co chcesz. Ale proszę wyjdź stąd, wyjdź stąd natychmiast.

— Nie chcę cię skrzywdzić — powtórzył. — Ale musisz mi przyrzec, że będziesz posłuszna i nie będziesz niczego próbować. Słyszysz? Pozwolisz mi powiedzieć, czemu tu przyszedłem? Dlaczego musiałem tu przyjść. Nie chcę zabrać stąd niczego. Nie jestem tu po to, żeby kraść, ale... bo wiesz, ktoś wziął coś, co należało do mnie, może ta sama kobieta, która zabrała twoje dzieci. Chcę tylko, żebyś mnie posłuchała. Tylko nie krzycz. Dobrze, pani Aldridge?

Wspomnienie jej dzieci i to, że znał jej nazwisko, trochę ją uspokoiło. Ale nie dał jej dużo czasu. Kiedy nie odpowiedziała natychmiast, odezwał się znowu: — Mogę to wszystko szczerze wytłumaczyć, pani Aldridge. Czy pani słucha?

Mówił, a jego głos ani na chwilę nie milkł, aż skinęła głową. Chociaż zakładał, że może go nie zrozumieć, wyjął sfatygowane zdjęcie z kieszeni spodni i rozłożył je.

— To jest fotografia mojej siostry. Nazywa się Mamie. — Potem wyciągnął inne fotografie. — Ta kobieta zabrała ją ze szpitala. Wiem, że to ona. Prawdopodobnie zabrała też twoje dzieci. — Twarz Adele była trochę spokojniejsza. Podał jej zdjęcia, pozwalając, żeby przyjrzała im się uważnie. Czekał, ale nagle oprzytomniała. Zaczęła wyjmować szpilki z włosów. Rozpuściła je, a szpilki rzuciła na podłogę. W końcu zapytał jeszcze raz:

— Czy mnie słyszysz? — Kiwnęła głową, ale jej głos drżał, kiedy powiedziała:

— Jeśli nie chcesz odejść, to czy mogę nalać sobie drinka?

Przeszła obok niego w stronę kredensu. Wyjęła tacę z dwiema szklankami i butelką whisky. Ręce jej drżały. Odkręciła butelkę i nalała całą szklankę rozlewając odrobinę. Zapach whisky rozniósł się po pokoju. Wypiła. Potem drugi raz i znowu napełniła szklankę. Nie wiedział, co zamierza. Odwróciła się z pochyloną głową. Był wilgotny od potu i deszczu. Jego ubranie można było wyciskać.

— Tamtą kobietę — powiedział Sherman — muszę znaleźć, muszę. Prawdopodobnie to ona zabrała pani córkę i syna.

Adele westchnęła i popatrzyła na niego.

— Nikt nie wie, co się stało Patsy i Walterowi. — Jednym ramieniem zasłoniła pierś, w drugiej ręce trzymała szklankę z whisky.

— Ja wiem — powiedział. — Wiem, co się stało. I wcześniej czy później ją dopadnę. Dlatego tu przyszedłem. Może policja powiedziała coś, co mi pomoże. Wiem, że wyprzedza mnie o dzień, góra dwa. Mogę odzyskać twoje dzieci.

Usłyszał jej szybki oddech, jej twarz pozostała bez wyrazu. Pokręciła głową i przycisnęła szklankę do policzka.

— Nie — powiedziała. — Nie wiem. Mówię prawdę. Nie sądzę, że kiedykolwiek

je odzyskam. Myślę, że teraz jest im lepiej.

Zaczęła głośno szlochać. Jej płacz wypełnił mroczny pokój. Zasłoniła twarz ręką, ucichła. Uczucia kobiety dotknęły go tak głęboko, że przez chwilę przeżył jej samotność jak swoją własną i współczuł jej cierpieniu. Podniosła szklankę do ust. Pochlipywała. Jej ciało trzęsło się w spazmach. Poczekał, aż się uspokoi. Patrzył na krople deszczu, bębniące w szybę.

— Proszę pani — w końcu powiedział. — Im nie będzie lepiej. Na pewno. I ja ją dopadnę. Naprawdę. Nie będę szukał w nieskończoność, w końcu ją złapię.

— Chciałabym ci wierzyć — powiedziała zmęczonym i sennym głosem. Po jej twarzy płynęły łzy. — Patsy czekała na listonosza... Tak bardzo było im brak ojca. A teraz ich nie ma. — Popatrzyła przez zalane deszczem okna. — Policja nie powiedziała niczego. Nie wiem, czy oni cokolwiek robią. Dla nich jestem tylko kłopotem.

— Ale przecież musieli coś pani powiedzieć.

— Nie więcej, niż napisali w gazecie. Nie wiem. Wszystko mi ulatuje. Wszystko co wiem, to od pewnej kelnerki, że zabrała je jakaś kobieta, tak jak mówiłeś, była z dziewczynką.

— Wiem — powiedział. — To ona jest wszystkiemu winna. Ona jest szalona. Nie mam pojęcia, dlaczego to robi. Choć nie wygląda na nienormalną. Mam tu jej zdjęcie.

— Otrzymuję mnóstwo zwariowanych telefonów. Cholernych telefonów. Właśnie ktoś dzwonił, że widziano Waltera na południe stąd w Deaconsville, ale kiedy zadzwoniłam na policję, powiedzieli mi, że to niepotwierdzone. — Wyprostowała się i otarła twarz.

— Zaczekaj — powiedziała. — Chcę ci coś pokazać.

Usłyszał, jak przechodzi do dużego pokoju. Poszedł za nią, ale jej nie ufał. Zawróciła niosąc swoją torebkę. Przekręciła przełącznik światła, żeby zapalić główną lampę. Potem znowu — i popatrzyła na niego. Przekręciła jeszcze parę razy.

— Co się dzieje? Zrobiłeś coś z moim światłem?

— Nie, proszę pani — odpowiedział. — To pewnie burza. Przewody są zerwane.

Wzięła jeszcze łyk whisky.

— Coraz bardziej nie cierpię tego miejsca. Wszystko tu popsute. Nie wiem, dlaczego tu mieszkam. Znajdę jakieś światło. Poczekaj, zaraz będę.

Znowu wyszła. Kiedy wróciła, miała ułożone blond włosy jak Veronica Lake i pachniała perfumami. Przyniosła zapalone świeczki. Pogrzebała trochę w torebce — małe kluczyki samochodu, drobiazgi do robienia makijażu, wreszcie wyciągnęła mały album ze zdjęciami.

Wyrywała zdjęcia z plastikowych okładek i podsuwała mu je blisko oczu.

— To jest Walter, jak miał trzy lata, a to jest Patsy na jej czwarte urodziny, tu na kocyku, a to jest całkiem nowe zdjęcie ze mną i Jerrym, zrobione w kwietniu tego roku. To jest Jerry, mój mąż. Ale lepiej poszukam coś z dziećmi — powiedziała, przerzucając zdjęcia jakby tasowała karty. Prawie spadały na podłogę. Wstała,

przechylona w jedną stronę. Jej ciepłe, pełne ciało w jedwabnej koszuli odciskało się na materiale, kiedy się poruszała. Czuł prawie gorączkowe ciepło bijące od niej. Był zafascynowany jej urodą.

— Weźmiesz to z Patsy i Walterem. Będziesz mógł ich rozpoznać. Jak je zobaczysz, możesz powiadomić... — zdjęcie położyła na stole. Powoli wstała i popatrzyła na niego. — Czy mogę zobaczyć zdjęcie tej kobiety jeszcze raz? Tam było ciemno i nie mogłam się jej dobrze przyjrzeć. — Wyjął zdjęcie i podniósł tak, żeby mogła je obejrzeć. Sięgnęła po nie, ale cofnął rękę. Po chwili podał jej wolno. Tym razem zbliżyła fotografię blisko świeczki i długo na nią patrzyła. Jej ręka na oślep szukała szklanki, aż natrafiła na nią. Wypiła whisky i oblizała wargi. — Jesteś pewny, że to ta kobieta?

— Tak, jestem. — Ona jest pijaczką pomyślał. To jest tutaj problemem. I to od dawna.

Sączyła swoją whisky, łyk za łykiem.

— Wiesz o tym dostatecznie dużo, prawda? Jak na dzieciaka. Tak czy inaczej to, kim jesteś? Jak się tu dostałeś? Czy zostawiłam te cholerne drzwi otwarte, czy co?

Nic nie mówił, tylko dokładnie się jej przyglądał.

— Zaraz, zaraz — powiedziała. — O czym to ja myślałam? Musimy zawiadomić policję. Zaraz tam zadzwonię.

— Lepiej niech pani to odda — odparł szybko. — Ja wychodzę.

Sięgnął po fotografię, ale wyrwała mu ją, rozlewając drinka.

— Nie, teraz nie możesz odejść — powiedziała. — To jest bardzo ważne.

Brakowało mu słów, żeby mógł wyrazić strach i nienawiść do policji. Wsunęła fotografię pod łokieć, wzięła świeczkę i wyszła z pokoju. Tańczący płomień oświetlał jej twarz. Poszedł za nią. Weszła do sypialni i podeszła do telefonu. Zobaczył, jak wykręca numer. Parę razy naciskała przycisk, wreszcie rzuciła ze złością słuchawkę. Przekroczył próg sypialni.

— Pieprzony telefon też nie działa — pokrzykiwała rozdrażniona. — To ta cholerna pogoda wszystko niszczy.

— Niech pani odda mi moje zdjęcie — powiedział. — Muszę iść.

— O nie, posłuchaj — zwróciła się do niego. — Teraz, kiedy wszystko wiem, nie możesz odejść. Oddałabym życie, żeby odzyskać moje dzieci. Musisz ze mną iść. Możemy wziąć mój samochód. Na posterunku będziemy za dziesięć minut. Proszę, musisz ze mną iść — pociągnęła go za sobą, prowadząc do ciemnego, dużego pokoju. — Daj mi pięć minut. Muszę się tylko przebrać. Będę za pięć minut. Obiecuję.

Poczuł przejmujące dreszcze. Wszystko wokół niego i w nim waliło się. Nawet jej niebieska, przezroczysta koszula straciła swój nieodparty urok. Gdyby tylko zmieniła zdanie i oddała zdjęcie. Ale nie zrobiła tego. Wiedział, że tego nie zrobi. Ogarnął go niewytłumaczalny niepokój. Musiał zacząć działać. Wszystko działo się za szybko, wymykało się spod jego kontroli. Kręciło mu się w głowie tak, że zamknął powieki. Wolno uspokajał się. Czuł, że wypadki przybierają zły obrót, jak wtedy z kierowcą taksówki. Tym razem stawka była o wiele większa. W żadnym

razie nie mógł iść z nią na policję. Ale nawet jeśli nie pójdzie, ona opowie tam o nim. Musiał odzyskać zdjęcie. Jeśli trafią na jego ślad — dowiedzą się wszystkiego i zamkną na zawsze. Ze strachem rozpiął zamek swojej kurtki. Scyzoryk wypadł na podłogę. Podniósł go, otworzył i włożył do tylnej kieszeni. Chciał otrząsnąć się z rosnącego podniecenia, ale poczuł się gorzej. Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Trzymał rękę na trzonku noża w kieszeni. Przekręcił klamkę zabandażowaną ręką i wśliznął się do pokoju.

Stała naga, w butach na wysokim obcasie. Przez moment w migoczącym świetle jej obraz był taki, jak jego marzenia. Linia jej ciała, drgające piersi. Zatrzymał się w oniemieniu. Wysokie obcasy podkreślały kształt nóg. Jej biodra otworzyły się, kiedy pochylona sięgnęła po majteczki z niskiej szuflady. Majaczyła w niewyraźnym świetle. Czuł, jak chwile rodzą się i umierają jedna po drugiej. Kiedy kobieta się podnosiła, zabandażowaną ręką przycisnął knot świeczki. Płomień mignął i zgasł.

— Ej, no co robisz? — W jej głosie można było wyczuć irytację, ale jego ruchy zaniepokoiły ją. Kiedy otoczyła go ciemność, usłyszał jej przerywany oddech.

Dopóki jego oczy nie przystosowały się do nocy, widział ją tylko jak ciemny, ruszający się kształt. Poczuł wszystkie mięśnie, pot wystąpił na czoło. Plama latarni ulicznej oświetliła jego twarz. Zrobił krok w jej kierunku i wytarł pot rękawem, szybko obliczając odległość do miejsca, w którym stała.

— Ty, co jest? Nigdy nie widziałeś rozebranej kobiety? — Jej głos był napastliwy, wręcz obraźliwy. — Co, ty jesteś może jakimś zboczeńcem? Przyszedłeś się zabawić? — Przybrała pozę braku zainteresowania. — Czemu się więc nie doprowadzisz do porządku, żeby jakoś wyglądać. Może mógłbyś coś zobaczyć. Ale teraz zjeżdżaj stąd.

Miała jaskrawy makijaż. Nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zdjęcie. Tylko to się liczyło. Nie rozumiała, czego może od niej jeszcze chcieć.

— Spokojnie, mały — powiedziała. — Nie martw się o to stare zdjęcie. Ono będzie tutaj. A teraz wynocha stąd, won z mojej sypialni! Słyszysz? Won, WYNOCHA! WON! WYNOCHA! WYNOCHA! JUŻ!

— Mówiłem, żebyś nie krzyczała — zasyczał. — Gdzie jest to przeklęte zdjęcie?

Gdy mówił, przewróciła się na łóżko i zaplątała we własnej koszuli.

— Nie będziesz mi mówić, co mam robić w moim własnym domu. Idę na policję. A ty idziesz ze mną.

Zamarł.

— Nie zabierzesz mnie na policję — wykrzyknął gniewnie. — Nikt tego nie zrobi.

Zbliżył się do niej.

— Tak? Więc ja to zrobię — powiedziała. — Możesz mi wierzyć. Oni będą musieli nas posłuchać i pokażemy im to zdjęcie.

Wtedy zdała sobie z tego sprawę, że wciąż się do niej zbliżał. Ogarnięta panicznym strachem, szukała drogi ucieczki.

— Nie pójdę na żadną przeklętą policję — powtórzył donośnym głosem. — Gdzie moje zdjęcie? — Jeszcze parę kroków i mógł ją dosięgnąć. Cisnęła w niego podręcznym lusterkiem. Gdy uciekała, jej pięty dziwnie obijały się o buty. Obrócił się i rzucił za nią. Sięgnął jej włosów, kiedy była przy samych drzwiach. Pociągnął ją do tyłu tak, że straciła grunt pod nogami. Upadła na podłogę. Z zadziwiającą szybkością jego ramię przecięło powietrze i nóż zatopił się głęboko w jej szyi. Jej nogi zatrzepotały, rzęziła, ramiona bezsensownie uderzały powietrze. Krew popłynęła mocną strugą. Kolejny cios i jeszcze, i znowu, znowu. Kiedy padała tyłem na podłogę, potknął się i zatoczył na nią. Uderzyli mocno o podłogę. Zaczął ją dusić. Czerwona, gorąca krew wyciekała z jej ust i z nosa — zalewała twarz.

Mijały minuty... i dłużej... a on nie przestawał. Pod ciężkim uściskiem dłoni czuł jej ostatni zanikający oddech. Kiedy puścił, gwałtowne drgawki przeszyły jej ciało. O wiele bardziej gwałtowne niż wszystko to, co było wcześniej. Otwarte oczy kobiety patrzyły gdzieś daleko. Jej twarz była nieruchoma. Nie oddychała. Na jej wargach pokazały się krwawe bąbelki. Koniec języka wystawał z okrwawionych warg. Zaczął drżeć, bardzo mocno drżeć.

Rozejrzał się po mrocznym pokoju. Nagle poczuł się bardzo źle. Był pobrudzony jej krwią. Pochylił się nad łóżkiem, chwycił cieniutkie prześcieradło i wytarł jej twarz. Przykucnął przy niej. Kiedy wpatrywał się w noc, zobaczył setki mieniących się oczu wpatrzonych w niego — oczy ryby wynurzającej się z czarnej wody magicznego stawu, odbijające w swoim wzroku rozbitą cząstkę jego samego. Wstał i przykrył ciało prześcieradłem. Wytarł ostrze o spodnie i zamknął nóż. Schował go do kieszeni.

Trzymając zawiniętą rękę z dala od boku, rozpiął trzy środkowe guziki koszuli i wyciągnął kolekcję papierów — artykułów z gazet, mapę, fotografie. Rozłożył wszystko na biurku. Zdjął zakrwawioną koszulę i wytarł nią twarz. Rzucił na podłogę. Potem zdjął koszulkę bez rękawów i cisnął na koszulę. Wytarł się swetrem i odrzucił go na kupę ubrań.

Poczuł ogromne zmęczenie. Podszedł do drzwi i wpuścił Chińczyka. Zachłysnął się zimnym powietrzem i założył łańcuch przy drzwiach. Pies wyczuł krew — zaczął wyć. Sherman szybko zamknął drzwi do sypialni. Potem, w dużym pokoju, Chińczyk otrząsnął się, rozpryskując wokół krople wody. Był już prawie suchy. Wyglądał jak kupka wełny, kiedy szedł za Shermanem do kuchni. Jedli szybko i dużo. Pies połykał kawałki szynki i czekoladowe ciasto dużymi kęsami, a jego sierść poruszała się na kościstej konstrukcji.

Na kuchennym stole leżały porozrzucane zdjęcia, które pani Aldridge pokazywała Shermanowi. Brał jedno po drugim i oglądał w blasku księżyca. Patrzył na uśmiechnięte twarze nieznajomych. Odwaliłem niezłą robotę, żeby dostać się aż tutaj — pomyślał. Odłożył ostatnią fotografię, na której cała rodzina pozowała na tle tekturowych palm.

Zmęczenie osłabiło w nim wściekłość. Kiedy już się najadł, siedząc przy dużym kuchennym stole, wsłuchiwał się w pomrukujący głos wiatru i patrzył na ostatnie krople deszczu bębniące w okno. Nagle wszystko wydało się znajome. Wolno

podniósł głowę — usłyszał trzask zamykanych drzwi, śmiech Mamie, głosy matki, ojca, Toddy'ego... Siedzieli wszyscy przy stole nakrytym do kolacji. Poczuł ból. Ale zaraz obraz domu znikł, jak sen, który wybucha gwałtownie, żeby zniknąć tak samo nagle i szybko. Wydał zduszony szloch, ale wszystko było stracone. — My nie mamy domu — powiedział do Chińczyka. — Nie ma go. Nie ma. Wszystko spalone.

Stał na niepewnych nogach. Potem zszedł na dół do piwnicy i wkręcił korki. Wrócił do dużego pokoju i kazał Chińczykowi położyć się na kanapie. Pies ułożył łeb na łapach i szczeknął. Sherman chwycił zabrudzone końcówki bandaża i odbandażował rękę.

Pod światłem w łazience widok jego poparzonej ręki zemdlił go. Spuchnięta, zaczerwieniona skóra była popękana — i wyglądała jak trędowata. Cuchnęła. Tak delikatnie, jak tylko mógł, prawie nie dotykając rany, umył rękę. Krzywił się z bólu i obrzydzenia. Potem wykąpał się. Leżał w gorącej wodzie. W powietrzu unosił się delikatny zapach mydła. Brud wszystkich nocy spływał z porów jego skóry. Potem osuszył się i wyszczotkował wilgotne włosy szczotką kobiety. Fotografię Leony znalazł obok buteleczek z perfumami. Zrobił opatrunek i owinął rękę bandażem, który znalazł w podręcznej apteczce.

Wyczyścił starannie ubranie, ale ani swetra, ani spodni nie udało mu się uratować. Te, które znalazł w domu kobiety, były na niego za duże. Pod spodem miał drugą parę dżinsów. Nie były mocno zabrudzone i mógł je nosić. W szafie znalazł czystą bieliznę i biały sweter poplamiony żółtą farbą — też za duży. Założę się, że jej męża — pomyślał. Nie miał wyboru, musiał je wziąć. Znalazł kluczyki do samochodu w jej torebce i zabrał je. Przy pierwszym blasku poranka — on i Chińczyk wyszli z domu.

Szarówka. Powietrze było wilgotne i chłodne. Mroźny deszcz zamienił się w śnieg. Obszedł dom i kamiennym chodnikiem doszedł do garażu. W ciemnych oknach odbijały się cienie drzew. Szedł wolno, machając bezwładnie rękoma. Tego ranka jak nigdy dotąd czuł ciężar swoich rąk.

Było cicho. Pomiędzy drzewami znajdowało się parę grządek, pokrytych oszronionymi liśćmi. Padał śnieg. Sherman wsłuchał się w jakiś odgłos. Nasłuchiwał. Nic. Otworzył szeroko bramę garażu zwisającą na skrzypiących zawiasach. Otworzył bagażnik i wrzucił do środka kupę zakrwawionych ubrań i bandaży. Zatrzasnął pokrywę bagażnika i poszukał odpowiedniego klucza, który pasował do stacyjki. Zawołał Chińczyka.

Usiadł za kierownicą, patrząc na nieznany układ zegarów i przełączników na tablicy rozdzielczej. Podniósł dźwignię na luz. Z nogą na sprzęgle przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik jęknął i zapulsował. Wolno przesunął dźwignię biegów na wsteczny. Kiedy puszczał sprzęgło i naciskał leciutko gaz, samochód gwałtownie ruszył do tyłu, zaczepił o brzeg drzwi garażu. Na czerwonej farbie karoserii została głęboka rysa. Wytoczył się w ciemny poranek. Poćwiczył jazdę do tyłu i do przodu, zanim skierował się w stronę miasta.

Na drodze River Road Drive kilka samochodów wiło się wzdłuż pokrętnych serpentyn. Światła migotały i połyskiwały, jak oczka meteorów na bladym niebie. Szybko minął pomnik, który znajdował się po jednej stronie Hoover Drive — kilku odlanych z brązu Indian z czasów minionej epoki. Antyczni ojcowie miasta Coolidge w Pensylwanii. Mógł poczuć wiek miasta. Stare cegły rozkruszały się w atomy czerwonego kurzu — popiół, dym i zapach stęchlizny. Przejechał przez most, pozostawiając w tyle fosforyzujące w śnieżnym świetle poranka kontury oddalającego się miasta.

ROZDZIAŁ 11

— Maamie... hej, Maamie, czas na kolację.

— Już idę!... Teraz dziewczynki zachowujcie się grzecznie, póki nie wrócę — oj, Elsie, twoja sukienka jest znowu dla ciebie za ciasna. A wstydź się. Bardzo nieładnie. Nieładnie...

— Maamie! Odłóż swoje papierowe lalki i chodź tu zaraz.

— Mamo, już idę!

— Cha, cha — zaśmiał się Toddy. — Zobaczcie. Jak się wystroiła.

— To moja najlepsza sukienka. Mama mi ją dała. Odczep się.

— Świetnie, wszystko na stole, proszę jeść.

— Łeeeeee!

— Ej, tak nie można.

— Zobacz, kto to jest — powiedział Sherman. — To Loretta Young.

— Cześć tato.

— Cześć Loretto.

— To jest królowa Saba — powiedział Toddy. — Ale oszukuje.

— Phipiphipipik!

— Loretto, natychmiast schowaj język. To nie wypada damie.

— Tato, to mu powiedz, żeby się ze mnie nie naigrawał. Powiedz mu, tato.

— Myślę, że jej należy się lanie — stwierdził Sherman.

— O nie! Jihiiiiii! Hahahahaha haha hahahahahaha.

— Sherman, Toddy — powiedziała matka. — Dosyć tych wygłupów, chodźcie zaraz na kolację. Ray, przyprowadź Mamie.

— Tato, weź mnie na ręce, weź mnie na ręce. Proszę, proszę tatooo.

— No to w górę, no chłopie trzymaj się. Jak tam?

— Hej, co to jest? Tato? Mamo, czy to mój tort urodzinowy? Ale wielki! Popatrz! Tu są malutkie ptaszki... tato... tato, popatrz tylko na te ptaszki ze wstążeczkami w dzióbkach. To jest jak Calineczka. Ojej Mamo! Skąd wzięłaś takie ptaszki?

— A kogo kocham najbardziej, co? Czyją jesteś małą dziewczynką?

— O mamo! — przekrzykiwała wszystkich. — Jestem twoją dziewczynką. Jestem specjalnie dla ciebie grzeczna, mamusiu... jestem twoją dziewczynką...

— Mamie? Mamie obudź się. Majaczysz. — Kobieta potrząsała nią delikatnie. — Czy śniło ci się coś złego?

Mamie obudziła się mrugając powiekami, jej dłonie sięgnęły po niebieskie ptaszki. Słowa, które mówiła we śnie, wciąż były na jej ustach. Musiała nagle wycofać się z własnego wnętrza, żeby się nie rozpłakać. Oddychała szybko. Próbowała przypomnieć sobie sen, ale uleciał gdzieś niepostrzeżenie.

Tylko ten sen był realny — jej rodzina przy stole. Wszyscy żywi i zdrowi, żadnych ran, żadnych bandaży. Sherman jak zwykle oszukuje, ale nie bardzo. Wszystko jest jak należy. I tylko to było prawdą choć nie wydawało się prawdziwe, kiedy jechała samochodem tej kobiety. Myślała, że powinna teraz pojechać do domu, nawet jeśli wiedziała, że jej domu już nie ma. Ktoś brał ją na ręce, a ona widziała ogień. I nawet to wspomnienie nie zmniejszało jej pragnień, żeby tam wrócić.

Za każdym razem, kiedy zasypiała, oczekiwała, że się obudzi we własnym łóżku. Usłyszy dzieci bawiące się na podwórku za domem, Chińczyka wyrywającego się na łańcuchu i szczekającego ochryple. Chciała poczuć chłodne płytki podłogi, kiedy półśpiąc szła do łazienki, a potem myła twarz zimną wodą, mydłem i gąbką. Czasem otwierała oczy i prawie czuła zapach mydła, którego kiedyś używała. Ale budziła się z pustymi rękami, krajobrazy uciekały za szybą i słyszała monotonny szum silnika. Wszystko, czego naprawdę chciała, to mieć zamknięte oczy i pozostać w swoim śnie. Spała o wiele więcej, niż powinna. Za dużo — stwierdziła kobieta — jak na dziewczynkę w jej wieku.

Z początku wierzyła, że kobieta zrozumie, jaki błąd popełniła, i odwiezie ją z powrotem. Wpatrywała się w głowę kobiety przed sobą i po prostu nienawidziła jej za to, co ta zrobiła. Chciała krzyczeć, to jest złe! Wszystko jest złe! Chciała powiedzieć, co mianowicie jest złe, ale kobieta nie była osobą, do której należało cokolwiek mówić. Była obca. A przecież pielęgniarka powiedziała jej, żeby nic nie mówić, bo ludzie pomyślą że jest nienormalna.

Dobrze wiedziała, co się robi z nienormalnymi ludźmi. Zamykają ich gdzieś razem z innymi, tak samo nienormalnymi, i nigdy nie wypuszczają. Była przekonana, że kobieta popełniła jakąś straszną pomyłkę, chociaż odkąd wzięła tamte dzieci, to już nie był błąd. Cieszyła się teraz, że Patsy i Walter jechali z nimi. Na początku myślała, że Walter jest taki jak Toddy. Ale on nie był Toddym. To też była pomyłka. Czuła przejmujący strach, kiedy o tym myślała, a bała się przez prawie cały czas. Nie chciała być zamknięta z innymi nienormalnymi ludźmi.

Odczytywała nazwy miasteczek. Jak książka, której kartki zbyt szybko się przesuwają. Na początku chciała zapamiętać te nazwy w kolejności, ale było ich za dużo i nie potrafiła. Próbowała liczyć mijające dni, ale były do siebie zbyt podobne. Nigdy nie wiedziała, gdzie są ani dokąd jadą. To nie dawało jej spokoju i nie mogła sobie z tym poradzić.

Wciąż jej się zdawało, że widzi Shermana. Chłopiec przy wystawie sklepowej — odwrócił się, żeby przyjrzeć się modelom samolotów. Pomyślała, że to Sherman.

Jej serce waliło szybciej. Podchodziła do szyby, a potem odchodziła rozczarowana.

Ostatni raz, kiedy widziała Shermana, pochylał się nad nią w szpitalu. Wciąż miał ten sam dziwny grymas ust. Były jakby wycięte w jego policzkach. — Szybko, szybko — mówił. — No już, ubieramy cię i uciekamy. — Mocował się z nią, próbując wciągnąć na nią spodnie dżinsowe, które przyniósł dla niej. Chciała mu pomóc, tak samo jak kiedyś, ale tak bardzo chciała spać. Cieszyła się okropnie, że w końcu go widzi. — Jest ze mną Chińczyk — powiedział jej. — Znam miejsce, gdzie możemy się ukryć. — Potem usłyszeli pospieszne kroki na korytarzu. Gdyby jej nie wspomniał o Chińczyku, to pewnie nie brałaby każdego chłopca z psem za Shermana i Chińczyka. Myślała, że to oni, że przyszli ją uratować. Tak bardzo pragnęła ich spotkać.

Szpitalna bransoletka zostawiona na stacji benzynowej nie pomogła.

Myślała, że powinna zostawiać ślady, jak pewna bohaterka filmu uwięziona przez Indian, która pozostawiała strzępy swego ubrania na gałęziach krzewów. Musi tak właśnie zrobić! Pochyliła się do podłogi samochodu i otworzyła książeczkę „Mała Lulu". Niebieską kredką napisała na górnym marginesie: ONA NAS ZABRAŁA, przesunęła książkę i dopisała u dołu: MAMIE. Zamknęła książkę. Następnym razem, kiedy zatrzymali się, żeby zatankować benzynę, wyrzuciła książkę i widziała, jak wiatr porwał ją na drugą stronę ulicy. Innym razem napisała: POMOCY. SHERMAN. ODSZUKAJ MNIE na wewnętrznej stronie papierka od gumy do żucia i podpisała się. Złożyła papierek w malutki kwadracik i kiedy kobieta kupowała cukierki, włożyła karteczkę do środka opakowania papierosów leżących na ladzie. Potem szybko położyła z powrotem metalową zapalniczkę na pudełku i odwróciła się. Na każdym postoju zostawiała gdzieś krótkie wiadomości — porzucała je albo gdzieś ukrywała. I czekała na przyjście Shermana. Czekała, aż pomyślała, że dłużej już nie wytrzyma. Musiała komuś powiedzieć.

Trzy dni po tym, jak zabrali Patsy i Waltera, bardzo późno w nocy kobieta krzyknęła: — Albo źle widzę, albo nasze światła gasną.

Wciśnięta w róg tylnego siedzenia, Mamie ją usłyszała. Dzieci zasypiały, ale na dźwięk jej głosu nagle poderwały się i wyjrzały przez przednią szybę.

— Tak, chyba tak — powiedział w końcu Walter. — Czy widziałaś to miganie? — Patsy popatrzyła uważnie. — Tam. Znowu mignęło. — Mamie przysłuchiwała się ich cieniutkim głosom. Byli tak podekscytowani, jakby czekali na to przez cały dzień.

— Mamy wypadek — powiedział Walter, patrząc na nią wielkimi oczami. — Chcesz zobaczyć?

— Macie bardzo rozwiniętą wyobraźnię — uspokoiła ich kobieta. — Nie mieliśmy i nie będziemy mieli żadnego wypadku. Pewnie jest coś nie w porządku z akumulatorem — to wszystko.

Jechali w milczeniu. Droga uciekała spod kół. Jeśli coś się stanie z samochodem, to może spotkam kogoś, kto mi pomoże. Mamie stanęła na podłodze za Walterem.

Śnieg zakrywał przednią szybę, a wycieraczki pracowały niestrudzenie. Minęli jaśniejącą tablicę informacyjną: BURDETTE, 903 MIESZKAŃCÓW. Samochód toczył się siłą rozpędu, coraz wolniej. Spod maski dochodziły groźne wybuchy. Wjechali do małego miasteczka. Minęli cztery sklepy — wszystkie zamknięte. Ciemny kształt buicka odbijał się w szybach wystawowych. Przednie reflektory były teraz wielkości ziarenka. Zapaliły się i zgasły. Osiemset metrów za centrum zobaczyli świecący znak strzelający w górę: HORSESHOE COURT, a obok: DOMKI DO WYNAJĘCIA.

Buick wjechał w boczną drogę. Koła obijały się na wybrukowanej nawierzchni i trzeszczały przejeżdżając po zamarzniętych kałużach. Zatrzymali się. Kobieta wyłączyła wycieraczki, ogrzewanie i radio, zanim przekręciła stacyjkę. Silnik wydał ostatni, niski pomruk i ucichł.

— No świetnie — powiedziała Patsy. — Co teraz robimy? Rozbijamy obóz?

— To niedaleko — odpowiedziała kobieta. Zdjęła szalik i zawiązała go sobie na głowie. — Może dostaniemy pokój. — Powiedziała, żeby nie opuszczali samochodu i nie dotykali żadnych przycisków ani przełączników. Patrzyli za nią, jak znika w ciemnościach. Jeszcze nie teraz — pomyślała Mamie.

Potem Leona zabrała z samochodu walizkę, torbę z zakupami i podręczną torebkę. Zamknęła drzwi domku za dziećmi. Jak większość miejsc, jakie wynajmowała do tej pory, domek numer 12 nie rzucał się w oczy i był bardzo skromnie umeblowany. Ale z powodu burzy szalejącej na zewnątrz wydawał się prawie przytulny. Tutaj byli bezpieczni. Podeszła do okna, jak zawsze sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Zepsuty samochód i padający śnieg — to „wszystko w porządku”? Zasłoniła okno, zrobiła krok do tyłu. Poczuła ogromne zmęczenie, jakby pracowała ciężko przez cały dzień. Jakiś samochód pojawił się i przejechał koło ich domku. Odjechał. Wtedy odeszła od okna i wyobraziła sobie niewidoczną stąd drogę. Długa, wijąca się droga, prowadząca do rzeki Monongahela, a potem do Hastings, Zachodnia Wirginia. Droga, którą musieli odjechać.

Ostatnio jechali powoli. Musiała być teraz ostrożniejsza. Omijała autostrady, wybierając boczne drogi, gdzie praktycznie nie zdarzały się policyjne patrole. Te drogi nie były jednak dobrze utrzymane i przez to bardziej niebezpieczne. Rzadko szybkościomierz buicka wskazywał więcej niż sześćdziesiąt. Jutro zamierzała dojechać do Zachodniej Wirginii. Od tego miejsca droga powinna być lepsza. Ale zanim na dobre miną Pensylwanię, powinna spróbować coś napisać do tej nieszczęsnej kobiety. Wciąż nie była w stanie tego zrobić. Droga Pani Aldridge... Nie będę oszukiwać. Powiem tylko to, co uważam za słuszne. Taki list może sprawi, że zdoła się pani opamiętać. Droga Pani Aldridge, piszę, żeby zawiadomić, że pani dzieci są bezpieczne... Droga Pani Aldridge... Nie. Po co to wszystko. Po co mam się tłumaczyć. Czy ona mogłaby cokolwiek zrozumieć?

Nie. Gdyby pomyślała choćby przez chwilę, musiałaby przyznać mi rację. Powinnam zmienić ubrania dzieciom i przygotować je do spania.

Droga pani Aldridge... — podeszła do dzieci — przebacz mi, proszę... Patrzyły na nią, czekały na swoje piżamy. Klęknęła przy walizce i wyjęła potrzebne rzeczy.

— No, Walter, pamiętaj, zanim się umyjesz, chcę zbadać ci ucho — powiedziała. Walter spojrzał na nią smutnymi oczami, wzruszył ramionami.

— Dobrze.

Przebacz mi tę okropną wiadomość, jaką ci przesyłam...

— Ty i Patsy przebierzecie się teraz w łazience, proszę. — Pochyliła się nad łóżkiem. Musiała odpocząć. Mamie patrzyła z przedziwną odrazą na piżamę, którą trzymała w zaciśniętych dłoniach. — Mamie — powiedziała Leona — pomogę ci za chwilę.

Wyjęła własną koszulę nocną i zatrzasnęła walizkę. Zatrzymam je na razie... Mamie nie powiedziała do niej ani słowa od czasu, kiedy opuścili tamtą restaurację.

Walter oparł głowę o drzwi łazienki.

— Ej — powiedział. — To chcesz zobaczyć?

— Tak — odparła Leona. — Już idę.

Jeszcze raz spojrzała na Mamie, która stała z boku, samotnie, zawsze samotnie. Co musi zrobić, żeby do niej dotrzeć. Patrzyła na nią, aż ściany, pozawieszane obrazki czapli, lusterko i świeczniki na ściennych uchwytach, wszystko zaczęło wirować wokół niej. Ostatnim odruchem świadomości poderwała się na nogi. Wiem, że nie jest ci łatwo... Może będziesz dla nich lepsza, kiedy je oddam...

Weszła do łazienki. Odwróciła głowę Waltera do światła i spojrzała na ucho. Patsy stała bardzo blisko przy nich, jakby chciała go chronić. Przyglądała się każdemu ruchowi Leony. Obrzęk zmniejszył się. Wiązadła dolnej szczęki wyglądały lepiej niż parę dni wcześniej.

— Czy to boli? — zapytała cicho i zdała sobie sprawę, nie po raz pierwszy, że chłopiec ma kłopoty ze słyszeniem. — Walter — powiedziała odrobinę głośniej, patrząc na niego. — Czy boli cię ucho? Jeśli tak, to je zabandażuję.

Wzruszył ramionami i odwrócił głowę. — Niee — odpowiedział. — Jak to wygląda?

— Wszystko jest w porządku — uśmiechnęła się. Zobacz, jest ze mną mała dziewczynka, która bardzo potrzebuje innych dzieci... — Czy jesteście już gotowi do spania?

Patsy pokiwała główką z nieukrywanym, radosnym zniecierpliwieniem. Walter patrzył z powątpiewaniem. Leona znała takie dzieci. Spotykała je przez całe swoje życie. To były dzieci, jak te, które pamiętała ze szkoły. Było coś w ich twarzach, coś co ją poruszało, coś przerażająco smutnego, przejmującego — jakby nigdy nie byli dziećmi, jakby urodzili się już dorośli. Teraz były z nią. I ona kładła je spać. Czasem to wydawało się nierealne.

— To bardzo dziwne — powiedziała. — Nie jesteś jeszcze gotowa. Patsy, umyj

twarz i wyczyść zęby. A może mogłabyś pomóc Walterowi? — Zrobiła krok ku wyjściu. — Mamie, chodź tutaj. Ja też nie jestem jeszcze gotowa. Mamie...

Mamie weszła do łazienki, kiedy Leona podawała dzieciom ręcznik. Walter nalegał, żeby go nie wycierać, ale Leona nie pozwoliła. W końcu byli gotowi. Zmieniła ubranie Mamie, sprawdzając bandaże na jej biodrze i ramieniu. Oceniła, że jutro będą mogły już wszystko zdjąć. Zamknęła się z Mamie w łazience i podniosła ją do półki przy zlewie. Dziewczynka wciąż nie chciała na nią popatrzeć. Leona odwróciła jej małą twarzyczkę i zbliżyła do siebie.

— Więc nie chcesz do mnie mówić ani słowa? Wiem, jakie to wszystko jest dla ciebie obce, Mamie, ale one też dużo cierpiały, widziałaś. Może nie tak jak ty, ale wszystko co złe, jest do siebie podobne. Chciałabym ci coś powiedzieć, Mamie. Musiałyśmy je zabrać ze sobą. — Dziewczynka zaczęła lekko drżeć. Drżenie narastało w miarę, jak Leona mówiła. Wtedy poczuła, że musi komuś się wytłumaczyć z tego, co zrobiła. — Tak, to prawda. Zrobiłyśmy to i teraz musimy się nimi zaopiekować.

Chciała powiedzieć o wiele więcej, ale rączka Mamie uniosła się i zbliżyła do jej twarzy. Nie dotknęła jej, zatrzymała się jak ręka niewidomego. Poczuła słabiutkie dotknięcie koniuszków palców. Były chłodnawe. Mamie wyrwała się i wybiegła z łazienki.

No sama pani widzi, moja droga, kochana pani Aldridge, nie wiem, co mam robić...

Tej nocy ciesząc się widokiem dzieci, Leona usiadła na brzegu łóżka.

— Jesteście na pewno zmęczeni — powiedziała. — Ja też jestem zmęczona. Ale znam miejsce, gdzie nasze kłopoty się skończą. Bezpieczne miejsce, gdzie nas nigdy nie znajdą, w każdym razie nie tej zimy. Rozumiecie?

Mamie po prostu patrzyła na nią. Patsy i Walter pokiwali główkami.

— No dobrze — mówiła dalej. — Wyobraźcie sobie wyspę. Wspaniałą wyspę na środku rzeki. To jeszcze kawałek drogi. Będziemy musieli popłynąć łódką. Inaczej nie można się tam dostać. Nie ma tam żadnej drogi, nawet przy brzegu rzeki. Na tej wyspie jest dom, zbudowany z kamienia. Czysty, ładny, mały domek, a wokół sosnowy las — patrzyła na ich twarze. — To jest naprawdę wspaniałe miejsce. Kiedyś przyjeżdżałam tam na wakacje z przyjaciółmi. To taka mała twierdza. Możemy narąbać drzewa i ogrzać się. Będę dla was gotować. Mogę robić wszystko, co lubicie. A kiedy przyjdą deszcze, będziemy spać do woli. Co o tym myślicie?

Leona w wyobraźni widziała tę wyspę. Obraz był tak sugestywny, że prawie poczuła zapach sosen. Potem roześmiała się, bo Patsy i Walter zaczęli szeptać, szeptali zresztą już od jakiegoś czasu. Wyglądało to bardzo zabawnie — jakby prowadzili poważny spór o to, czy chcą tam jechać, czy nie, zbijając nawzajem swoje argumenty.

— Moi drodzy — powiedziała Leona. — Tam właśnie się wybieramy.

Patsy pokręciła głową i spojrzała na nią. — Ale tam na pewno nie ma żadnych małych kotków.

— Nie — odparła Leona. — Myślę, że znalazłoby się tam kilka małych kotków. One mieszkają gdzieś za domem. Są trochę dzikie i kryją się przed ludźmi. Musisz być bardzo ostrożna, bo mogą podrapać, a potem znikają. — Dla efektu znacząco pstryknęła palcami.

— Takie właśnie uwielbiam — z nieukrywaną radością odparła Patsy.

Leona pocałowała dzieci na dobranoc, zgasiła światła i podeszła do kanapki, ustawionej przy oknie, którą przerobiła na łóżko dla siebie. Prawie zasypiała, kiedy usłyszała kroki. Rozpoznała Waltera, który pochylił się nad nią.

— Proszę Mapani... — zaczął. — Zwracali się tak do niej — on i Patsy.

Było to połączenie w jedno słów „mama" i „pani". Nie używali go bardzo często. Uniósł się na paluszkach i nachylił do jej ucha. — Ja chcę chyba do domu.

Nie wiedziała, co powiedzieć. — Och, Walterze, ja również — wyszeptała. — Jestem taka samotna, nie mam domu, że mi wstyd. Brakuje mi tak wielu rzeczy. To dlatego opowiedziałam wam o tej wyspie. Zobaczysz, tobie też się tam spodoba, Walterze. Zobaczysz.

— No tak — mówił dalej, jakby nie rozumiał jej słów. — Ale ja naprawdę chcę do domu.

— Tęsknisz do mamy prawda? — Wzięła go na kolana. — Tak, wiem, że tak. Nawet jeśli ona cię czasem biła, to wciąż za nią tęsknisz — mówiła to samo prawie każdej nocy. — Ale myślę, że będzie lepiej, jeśli zostaniesz z nami trochę dłużej. A potem wszystko będzie lepsze, zobaczysz.

— Mapani, nie śpij na kanapce, chodź do nas — powiedział po chwili.

— Nie. To ty zostań ze mną — zobaczyła zbliżającą się Patsy. Zachęciła ją, żeby podeszła bliżej.

Mamie wiedziała, że kobieta zaraz odprowadzi dzieci do łóżek. Odszukaj mnie, Sherman — myślała. Odszukaj mnie, proszę, bo odejdę na zawsze. Czuła przytłaczającą samotność, jakby miała w sobie pustkę, jakby była przepełniona pustką. Proszę, niech ktoś mnie odnajdzie. Nie chcę jechać na żadną wyspę, tam jest woda. Wpatrywała się w noc, łzy napływały jej do oczu. Potem skryła twarz w poduszce. Bez najmniejszego odgłosu jej usta wymawiały to jedno zdanie modlitwy, jedno zdanie, które zapamiętała: Aniele, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój... Wciąż i wciąż w nieprzejednaną noc.

Następnego ranka, kiedy Leona rozmawiała z mechanikiem o samochodzie, Mamie napisała ostatnią wiadomość w magazynie „Field and Stream": ONA ZABIERA NAZ NA WYZPE. Siedziała na plastikowej ławce przed garażem. Patrzyła na dzieci, które teraz przyglądały się, jak kobieta daje mechanikowi pieniądze. Włożyła z powrotem kredkę do kieszeni płaszczyka i położyła magazyn wśród wielu innych.

Właśnie wtedy kobieta otworzyła szklane drzwi i wyszła razem z mechanikiem na zewnątrz... — Ma pani szczęście. To tylko akumulator — powiedział mężczyzna. Leona zapytała, czy może zatrzymać klucze od bagażnika, jeśli nie będą mu potrzebne. Mężczyzna wzruszył ramionami i wszedł do ciemnego pomieszczenia

obok. Po chwili wrócił. W ręce trzymał bloczek z rachunkami. Coś zapisywał. Zapytał o nazwisko. — Merchassen. Helen Merchassen. — Przeliterowała. Zachowywała się swobodnie, ale była zbyt gadatliwa.

— To nie zajmie dużo czasu. Może pół godzinki. Czy zaczeka pani? — zapytał mechanik.

— Nie — odpowiedział Leona. — Zrobię jakieś zakupy. Niedługo wrócimy.

Leona obejrzała uważnie wystawy sklepów, zanim ruszyli dalej wzdłuż chodnika. Zapytała dzieci, czy jeśli da im trochę pieniędzy, to ich nie zgubią, i czy może powinna je zawiązać w węzełki. — Ja chcę węzełek — powiedziała Patsy. — Ja też — Walter skinął głową. — Zawsze gubię pieniądze.

Wyjęła z torebki trzy monety dwudziestopięciocentowe i trzy małe chusteczki. Zawiązała w każdą po monecie i rozdała dzieciom. Niebo było szare i pochmurne. Szli po brudnym śniegu. Zbliżyli się do wejścia jednego ze sklepów.

— No dobrze — powiedziała Leona. — Możecie wydać te pieniądze na wszystko, co kosztuje nie więcej niż dwadzieścia pięć centów. Jak przedtem. Dacie sobie radę.

— Musimy dać sobie radę — wyszeptał Walter.

— Walterze, czy wiesz, że musisz być grzeczny?

Przytaknął.

— Chcę, żebyście dobrze się zachowywali i przyjemnie spędzili czas. A jeśli będziecie niegrzeczni, nie dostaniecie więcej pieniędzy. Mamie, uważaj na siebie. No, a teraz idźcie. Będę blisko.

Stała przy wejściu, patrząc na nich, jak rozeszli się w różne strony. Walter szybko odnalazł stoisko z akwarium i stojąc bez ruchu wpatrywał się w złotą rybkę. Ręka Patsy dotykała długiego słoja z kolorowymi cukierkami.

Ściskając mocno lawendową chusteczkę, Mamie poszła wolno w kierunku działu z lalkami. Odwróciła się. Leona patrzyła na dzieci — były w nie większej odległości od siebie niż dwa metry. Mamie poruszała się bardzo wolno i cicho, ledwo unosząc stopy. Leona zarzuciła torebkę na ramię i odeszła o jedno stoisko dalej. Mamie widziała, jak zbliżyła się do materiałów dziewiarskich. Leona była teraz dość daleko, oglądała jakiś niewidoczny przedmiot, którego Mamie nie mogła dojrzeć. Widać było tylko jej sylwetkę ubraną w ładne futro. Widok zasłaniały półki.

Mamie jeszcze raz popatrzyła na dzieci. Walter stał z rękoma złączonymi z tyłu i uważnie oglądał czołgi. Patsy zatrzymała się przed słojem z okrągłymi galaretkami. Obok była kasa i dwie sprzedawczynie w średnim wieku, które rozmawiały ze sobą. Jeśli pójdzie w tę stronę, to dzieci pójdą za nią i będzie musiała wyminąć sprzedawczynię. Znowu odwróciła się. Futro Leony było nadal widoczne przez prześwity między półkami. Mamie spojrzała na stosy ładnych towarów i zobaczyła kobietę w turbanie dwa stoiska dalej, pochyloną nad jakimś pudełkiem.

To była jej szansa. Cicho, na palcach zaczęła się zbliżać do robiącej zakupy kobiety. Przecisnęła się przy bukiecie sztucznych kwiatów, minęła deski do prasowania i wysoką półkę ze środkami czystości. Serce waliło jej w piersi. Wreszcie udało

się jej dotrzeć do kobiety. Kiedy usłyszała zbliżającą się Mamie, podniosła głowę i wyprostowała się. Dziewczynka bez wahania przebiegła ostatnie metry i zaczęła krzyczeć w biegu.

— Pomocy! Pomóż mi stąd wyjść! — wskazała w kierunku Leony. — Ona nas zabrała. Zabrała, a ja chcę wrócić do domu. Muszę zaraz do domu. Proszę pomóż mi, pomóż mi! Ja... — potykając się, stanęła przy kobiecie. Ledwo łapała oddech, zbyt roztrzęsiona, by wyrazić całe swoje cierpienie. Zaczęła szlochać. Po jej twarzy płynęły łzy i poczuła, że kręci jej się w głowie.

— Zaraz, zaraz, kochanie, powoli i spokojnie. Powiedz to jeszcze raz — odezwała się kobieta w turbanie.

Mamie otarła łzy i próbowała jeszcze raz tłumaczyć.

— Ja wcale nie chciałam, ale ona zabrała mnie ze szpitala i zatrzymała. Ale ja nie chciałam, nie chciałam odjeżdżać z nią samochodem. — Poczuła dotyk na ramieniu. Drgnęła. Za nią stali Walter i Patsy, a nad nimi górowała Leona. Mamie jęknęła i odskoczyła do ściany z wiszącymi trzonkami od szczotek. Leona zrobiła krok do przodu i powiedziała do kobiety w turbanie: — Proszę wybaczyć Mamie. Ona opowiada takie niestworzone historie. Ma taką żywą wyobraźnię. Czyż nie, Mamie?

Ale to twarz Leony była napięta i przestraszona, twarz Mamie spokojna. Leona podeszła szybko do dziewczynki i wyciągnęła rękę, ale Mamie wyrywała się. Leona jeszcze raz mocno chwyciła ją za nadgarstek. Dziewczynka poczuła, że dłoń kobiety się trzęsie. Wyrwała się znowu.

Ta druga kobieta próbowała coś powiedzieć do Patsy. Mamie to słyszała.

— Jak masz na imię? — Patsy mruknęła coś w odpowiedzi. — Chyba gdzieś już cię widziałam — ciągnęła kobieta. Leona próbowała uspokoić Mamie. Przytrzymując ją za ramię ruszyła w stronę Patsy. Kobieta w turbanie nie ustępowała:

— Tak, teraz pamiętam. Widziałam cię w gazecie. To ty jesteś tą małą zaginioną dziewczynką, tak? — Nagle Leona chwyciła Patsy za rękę i ciągnąc dziecko ruszyła przed siebie. — Czy tak? — jeszcze raz zapytała kobieta, teraz przyglądając się Leonie. — To jest ta mała dziewczynka.

Prawie biegli. Leona ponaglała Waltera. Sufit sklepu przesuwał się nad nimi. Jakieś pudełka waliły się na podłogę tworząc bezładną, kolorową masę.

Na chodniku przed sklepem Mamie próbowała dotknąć butami ziemi, ale leciała w powietrzu bardzo szybko. Leona ich ponaglała. Wreszcie pochyliła się i chwyciła Mamie wpół. Tak przebiegli ulicę, kierując się z powrotem do garażu i samochodu.

Przelecieli zaśnieżony chodnik, mijali sklepy udekorowane na Święto Dziękczynienia, wielki tort weselny zapraszał do piekarni. Włosy Leony rozwiewał wiatr. Jej stopy ślizgały się po lodzie. Śnieg padał coraz obficiej. — Dalej! — krzyczała z wiatrem, który smagał śniegiem ich twarze. — Dalej, dalej! — goniła ich przed sobą, jak stadko kur. Kiedy jedno z dzieci zatrzymywało się, chwytała je za rękę i podnosiła. — Biegiem! — Czuła prawie namacalny strach. Mieli tylko parę minut, żeby uciec. Tamta kobieta odkryła, kim są i pewnie już poszła po policję.

Przy końcu rzędu sklepów Leona zobaczyła buicka zaparkowanego przed garażem. Wciąż ciągnąc za sobą dzieci, pobiegła po kluczyki do mechanika, który teraz pracował przy czerwonym samochodzie. Mechanik powiedział: — Właśnie go zrobiłem, jest już gotowy.

Klucze zostawił w stacyjce. Leona zawróciła. Patsy zatrzymała się i Walter stanął przy niej. Patrzyli na małego czerwonego forda.

— To jest samochód mamy — powiedział Walter. — To wygląda na samochód mamy. — Trząsł się i nie mógł złapać oddechu. Leona odpowiedziała, że są setki takich samochodów, i złapała Patsy za rękę.

— No chodź już, Walter. Musimy jechać. O Boże, pospieszcie się.

ROZDZIAŁ 12

— Jak idzie? — zapytał Sherman, prowadząc Chińczyka w stronę czerwonego coupé.

Z cienia, spod kaptura mechanik uśmiechnął się do niego. Padał gęsty śnieg.

— Zaraz kończę — odpowiedział. — Wszystko, czego trzeba, to nowy pasek klinowy.

Sherman jeszcze raz doszedł do skrzyżowania. Żadnego śladu Mamie. Jechał całą noc.

— Myślałem, że słyszę ją — powiedział do siebie.

— Widzę, że zrobiłeś zakupy — zauważył mężczyzna, zbierając narzędzia. Podciągnął spodnie i uchylił kaptur.

— Tak — powiedział Sherman. — Ile jestem winny?

— Zaraz sprawdzę — odparł mechanik i poszedł do garażu.

Wciąż rozglądając się na wszystkie strony, Sherman położył torbę z zakupami na tylne siedzenie i wyjął tylko baton czekoladowy. Chińczyk wskoczył do samochodu i przysiadł na siedzeniu. Machał żwawo ogonem. Sherman odłamał kawałek czekoladki i rzucił psu, potem sam zjadł trochę. — Lubisz to? — zapytał, gładząc psa po głowie i grzbiecie. — Co? Jak to lubisz? Powiedz? — Ale pies nie szczekał i nie spuszczał wzroku z ręki chłopca. Ślina ciekła mu z pyska. Sherman dał psu resztę czekoladki. Dlaczego jej tu nie ma? — myślał. Pięćdziesiąt kilometrów stąd jakiś mężczyzna w restauracji powiedział, że kobieta w buicku pojechała właśnie tutaj, ale teraz ślad po niej zaginął. Wrócił obsypany śniegiem mechanik.

— Jesteś pewien, że masz dostatecznie dużo lat, żeby prowadzić taki samochód?

— Jasne, że tak — powiedział Sherman, a jego głos stał się nagle lodowaty. — Jestem w odpowiednim wieku. — Schował z powrotem zdjęcie do kieszeni.

— No dobrze — westchnął mechanik odchodząc. — Jak mówisz, tak jest. To moja zasada.

Ruszył przez miasteczko. Bolała go głowa. Siedział wyprostowany, ale i tak siedzenie było za nisko. Oczy miał na poziomie środka kierownicy. Obok niego leżała

buteleczka z ostatnią tabletką którą oszczędzał od wczorajszego popołudnia. Był bardzo śpiący. Powieki opadały mu same i zamykały się. Droga była pokryta świeżym śniegiem i musiał być bardzo ostrożny, żeby nie wjechać do rowu. Zdjął nogę z gazu i nacisnął hamulec. Samochód się ślizgał. Czuł tępy, pulsujący ból w skroniach, z oczu płynęły mu łzy — prawie nic nie widział. Zmrużył powieki i gwałtownie zamrugał. Zobaczył zardzewiałą tablicę z napisem: HORSESHOE COURT. DOMKI DO WYNAJĘCIA.

Kiedy wjechał w boczną drogę, popatrzył na rządek małych domków kempingowych oddalonych trochę od drogi. Podjechał jeszcze ze sto metrów, zanim uderzyło go to, co zobaczył. Przejechał, a potem zawrócił na wstecznym. Przy jednym z domków stał niebieski buick.

Wciąż na niego patrzył.

— Tak, mam go! — krzyczał. — Mam, mam, mam go!

Samochód był zasypany śniegiem. Stał przodem do drogi. Tuż przy domku. Nagle wszystko wokół niego wyostrzyło się. Znowu zredukował przełożenie. Przesunął się o centymetry. Popatrzył na ulicę, potem do tyłu. Zaparkowany buick wciąż był wyraźnie widoczny. Zobaczył kobietę z trójką dzieci, wychodzących z domku. Szli do samochodu. Wtedy dostrzegł Mamie.

— Mamie! — krzyknął. — Mamie! Mamie! Mamie! — Podskakiwał nad kierownicą na siedzeniu. Nie mogli go usłyszeć — głos tłumiła szyba samochodu. Był szczęśliwy. Zakręcił kierownicą szybko zawracając. Podjechał i zatrzymał się pod frontowymi drzwiami głównego budynku motelu.

Z pewnej odległości obserwował kobietę i układał w myślach plan działania. Chciał jej zrobić niespodziankę. Chciał, żeby go błagała. Otworzył buteleczkę i połknął tabletkę.

— No nie — powiedział do Chińczyka. — Czy widzisz to samo co ja?

* * *

Ta okropna kobieta — pomyślała Leona — na pewno już zawiadomiła policję. Jej nerwy były tak napięte, że nie wiedziała, co robić. Poczuła ciężar niebezpieczeństwa. Musiała się bronić, przede wszystkim — odzyskać spokój. Pochyliła się nad otwartym kufrem samochodu, przesunęła walizki i otworzyła czarną skórzaną walizeczkę. Miała wrażenie, że logika następujących po sobie wypadków nieuchronnie prowadziła ją do tej właśnie chwili. Wyjęła automatycznego browninga zawiniętego w miękką wełnę i włożyła do torebki.

— Czy to jest pistolet?

Zdziwiona głosem dziecka, Leona wzdrygnęła się i odwróciła. Tuż za nią stała Patsy, a za jej plecami Mamie.

— Mogę go zobaczyć? Czy mogę zajrzeć do twojej torebki? — zapytała Patsy prawie szeptem.

— Nie — powiedziała Leona. Spojrzały sobie prosto w oczy. — Patsy, ja nie żartuję. Mówiłam, żebyście wsiadały do samochodu.

— Dobrze — zgodziła się dziewczynka. — Ale nie bądź na mnie zła. — Odwróciła się.

Leona włożyła rękę do torebki. Poczuła zimną kolbę i odbezpieczyła broń.

Śnieg był coraz gęstszy. Wepchnęła dzieci do samochodu. Patsy i Waltera do tyłu, Mamie tym razem z przodu. Leona zamknęła drzwi od środka i zatrzasnęła je. Pochyliła głowę, postawiła kołnierz i pobiegła na drugą stronę samochodu. Przez ośnieżony dach buicka zobaczyła stojący nie opodal czerwony samochód, na który zwróciły uwagę dzieci w garażu. Drzwi od strony kierowcy były otwarte...

Usłyszała dziwny odgłos. Padający śnieg zasłonił jej widok, ale była pewna, że coś się poruszyło i znikło. To tylko śnieg — pomyślała. Wśliznęła się za kierownicę. Położyła torebkę na kolana, zamknęła drzwi. Śnieg pokrył twardą warstwą przednią szybę i zaciemnił wnętrze samochodu. Dobry Boże — pomyślała — żeby tylko samochód zapalił. Przekręciła kluczyk w stacyjce i buick ruszył gwałtownie. Wycieraczki przetarły większość śniegu z szyby, pozostawiając zamarznięte pasy. Nie miała czasu, żeby je zeskrobać. Samochód wyskoczył do przodu po trzeszczącym lodzie.

Z odległości pięciu metrów usłyszał, jak uruchomiła silnik, a kiedy podbiegł bliżej, zobaczył przez zamarzniętą szybę niewyraźny kształt jej głowy. Samochód gwałtownie ruszył. Zatrzymać ją — pomyślał. Przedzierał się przez śnieg. Chińczyk długimi susami gonił za nim. Wyciągnął pałkę policyjną z kieszeni i biegnąc po trzeszczącym śniegu, rzucił się na przejeżdżający samochód. Jego ramię przecięło powietrze. Pałka zatrzymała się na bocznej szybie z donośnym hukiem.

W chwili uderzenia Leona odruchowo cofnęła głowę i zasłoniła sobą Mamie. O Boże, co to? Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce. To ją zaskoczyło. Pomyślała, że ktoś strzelił. Na jej gęste włosy, kołnierz i płaszcz spadła większość odprysków szkła. Malutkie okruszyny powbijały się jej w policzek i lewą brew. Bała się otworzyć oczy.

Kiedy zarzuciło buickiem, tylny zderzak uderzył Shermana i przewrócił go na ziemię. Poderwał się na kolana i wstał, wciąż ściskając pałkę. Chciał podbiec znowu do samochodu, do tej kobiety, kiedy nagle zobaczył migające czerwone światło. Odwrócił się. Wszystko w nim zamarło. Przed motelem stało czarne, błyszczące duże auto.

Policja.

Poruszał się najbardziej ostrożnie, jak mógł i zastygł w bezruchu. Czuł płatki śniegu na policzkach. To była jego jedyna zasłona. Słyszał, jak buick odjeżdża. Chciał się rzucić za nim, ale nie mógł. Musiał się ukryć. Przez zasłonę śniegu

zobaczył, że policjant wysiadł z radiowozu i ruszył w kierunku małego czerwonego samochodu. Kiedy policjant się odwrócił, Sherman dał nura pomiędzy dwa samochody zaparkowane tuż obok. Przycisnął Chińczyka do siebie i przytrzymał pysk psa, żeby nie szczekał.

Serce waliło jej w piersi. Oparła się o zagłówek i wzięła głęboki oddech. Potem zaczęła ocierać twarz. Wreszcie, kiedy nie czuła już ostrych odłamków na skórze — otworzyła oczy. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności szyba nie wypadła całkowicie. Trochę się obawiała siedzieć tak blisko potłuczonych odłamków szkła. Ale teraz nie miała wyboru, nie mogła już jechać wolno. Musiała się spieszyć.

Znowu odetchnęła. Odsunęła się od Mamie i usiadła za kierownicą. Jej stopa zatrzęsła się, gdy wciskała hamulec. Popatrzyła do tyłu na Patsy i Waltera. Byli wystraszeni.

— Nic się wam nie stało? — zapytała drżącym głosem. — Czy wszystko w porządku? — Sięgnęła do torebki i oparła dłoń na browningu.

— Ja się źle czuję — powiedziała Patsy.

Była blada jak płótno. Walter zaczął szlochać. Palce wbił mocno w siedzenie. Ale zanim odwróciła się do niego, zobaczyła czerwony błysk światła, rozjaśniający wnętrze samochodu. Policja — pomyślała. Ta kobieta w sklepie...

Czy to oni strzelali? Nie widziała niczego dokładnie — przez tylną zaśnieżoną szybę dojrzała czarny policyjny samochód. Serce podeszło jej do gardła. Śmiertelnie przerażona puściła pistolet. Nie zrobię tego — pomyślała. Musimy stąd uciekać.

Shermanowi to wszystko wydało się nierealne. Czerwone coupé było odcięte przez policję. Dwa radiowozy stały przy samochodzie, a ich słabo widoczne znaki połyskiwały przez zasłonę śniegu. Czterech policjantów zebrało się z tyłu przy bagażniku, przeszukiwali samochód. Słyszał ich. Potem w świetle reflektorów zobaczył, jak podnoszą do góry jego zakrwawione ubrania. Już wiem — pomyślał — oni mnie szukają nie jej. To nagłe odkrycie sparaliżowało go strachem. Był w pułapce. Wyprostował się.

Wznosząc się nad psem wyglądał jak wystraszone zwierzę, zdane tylko na swój instynkt. Pobiegł poprzez śnieg do domku numer 10, chwycił za klamkę — drzwi były zamknięte. Podbiegł do następnego domku i uderzył ramieniem w drzwi. Skobel zatrzeszczał, ale drzwi nie ustąpiły.

Słyszał za sobą znany odgłos, jakby czyjeś kroki. Serce podskoczyło mu do gardła. Rzucił się na ziemię. Nic. Nikogo. Nikt nie strzela. Ale coś było nie w porządku. Chińczyk brodził w śniegu.

Starając się nie podnosić głosu, próbował przywołać psa z powrotem. — Do nogi — krzyknął przez wiatr może dwa, albo trzy razy. Pies zatrzymał się i podniósł

głowę. — Chodź tu, Chińczyk. Do nogi. — Sherman poklepywał się po biodrze, ale pies nie przychodził. Wciąż węszył po śniegu. Wszystkie mięśnie grały pod jego ciemną sierścią, jakby wstąpiły w niego nowe siły. — No dalej — mruczał Sherman. Zobaczył, że pies porusza się w kółko, stawia uszy i wysoko unosi głowę. Teraz zobaczył, dlaczego.

Buick zawracał.

To dlatego Chińczyk zaczął szczekać.

— Chińczyk! — krzyczała Mamie. — Chińczyk! Chińczyk! Chińczyk! To on! To on! — obróciła się i wspięła na siedzenie. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć jak najwięcej. Całą jej istotę ogarnęła szalona, nieokiełznana radość. — To on! To on! Chińczyk! To on! — Jej dłonie na oślep szukały czegoś przez chwilę. Wreszcie znalazła i nacisnęła klamkę obiema rękami.

Drzwi buicka otworzyły się i Mamie wypadła przez nie. Upadła w śnieg. Poderwała się szybko i zobaczyła głowę Chińczyka, wynurzającą się z zaspy. Samochód jechał w drugą stronę. — Chińczyk! — Zarzuciła ramiona wokół jego brzydkiego pyska i przytuliła się mocno do sierści psa. Gorące, długo skrywane łzy zalały jej twarz. Zaszczekał raz — ochryple i nisko. Zaczął lizać jej twarz.

— Och, Chińczyku. — Czuła jego szorstki język. Przechyliła głowę. — Chińczyk, idziemy! Gdzie jest Sherman? — wyszeptała. — Zabierz mnie do niego, zabierz.

Pies odbiegł od niej odrobinę i zaszczekał.

— Zabierz mnie do domu — powiedziała. Zaczął biec, odwrócił do tyłu łeb, potem znowu szczeknął i pognał przez śnieg. Pobiegła za nim.

— Idę, Chińczyk. Idę. Poczekaj na mnie!

* * *

Przez chwilę czuła tylko obezwładniający strach. Ochłonęła natychmiast. Jej umysł zaczął działać jak bezduszny komputer. Mocno wcisnęła pod siedzenie swoją torebkę, chwyciła kluczyki i wybiegła z samochodu. Teraz chciała odzyskać dziecko.

— Mamie, nie! Nie idź tam!

Pochyliła się jak do ataku i biegła. Dopadła do dziewczynki, chwyciła ją i pociągnęła. Mamie krzyczała na całe gardło, wyrywając się na oślep. Leona starała się trzymać ją w mocnym uścisku.

Kiedy próbowała dotrzeć do samochodu, zauważyła dziwnie poruszający się kształt na śniegu. Popatrzyła znowu i zobaczyła ciemną masę pokrytą płatkami śniegu, która się do niej zbliżała. Jęknęła. To był ten pies! Ciągnąc Mamie biegła do samochodu. Chińczyk zwalił się na nią swym olbrzymim cielskiem. Chwycił ją zębami za włosy i tylną część kołnierza. Szarpnął nią i pociągnął do góry. Leona poczuła, że pies zawisł na płaszczu. Przewalali się przez chwilę w powietrzu. Potem

runęła ciężko na ziemię. Chciała się oprzeć na ręce przy upadku, ale wciąż trzymała Mamie. Słyszała trzask rwącego się materiału. Ślizgali się po zamarzniętym śniegu i lodzie.

Chińczyk skoczył i rwał jej płaszcz, jak kawałki mięsa.

— Mamie, wstawaj! Uciekaj do samochodu!

Pies rzucił kawałek płaszcza. Wciąż trzymając Mamie, spróbowała wstać.

— Do samochodu!— krzyknęła.

Wiedziała, że znów się zbliża, widziała jego nastroszoną sierść i tylne łapy uginające się do skoku.

W panice zrobiła krok, ale on skoczył na nią, uczepił się jej i ciągnął w dół. Kiedy padała, poczuła, że płaszcz rwie się na całej długości pleców. Mamie wyrwała się i Leona znowu chciała ją osłaniać.

— Zostaw mnie! — krzyczała dziewczynka. — Zostaw!

Uderzyła psa mocno, celując w nos. Podniosła ramię, rzucił się na jej rękę. Część rękawa odpadła. Broniła się, ale on był za szybki, za silny. Przygniótł ją swoim ciężarem. Poczuła krew spływającą po twarzy. Już po mnie — pomyślała i poczuła zęby wbijające się w jej ciało.

Ktoś krzyknął, a potem rozległ się przejmujący gwizd. Pies odwrócił się i postawił uszy. Znowu gwizdek. Leona zobaczyła odchodzącego psa. Jego wielkie łapy wbijały się w śnieg. Wciąż wołając psa, Mamie rzuciła się za nim, ale Leona przytrzymała ją. Dziewczynka nie dawała za wygraną. Wpatrywała się w domki, aż pies zniknął.

— Niech idzie — powiedziała Leona, nadal drżąc. — Mamie, na miłość boską.

Potem dostrzegły małą, ośnieżoną postać na białym tle, która wyłoniła się nagle spomiędzy domków. Mamie wykrzyknęła w pustą przestrzeń: — Nie-e-e!

Nadbiegło dwóch policjantów. Coś krzyczeli, ale Leona nie słyszała dokładnie. No to nas mają — pomyślała. Starała się poruszać szybko, lecz nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

— Proszę pana... — zawołała — moja dziewczynka, to moja mała dziewczynka.

Zbliżały się do samochodu. Policjant podszedł bliżej.

— Proszę pani, czy pani nie słyszała? — krzyknął. — Proszę stąd natychmiast odjechać! Proszę natychmiast odjeżdżać! W pobliżu jest groźny morderca!

Położyła Mamie na tylne siedzenie i wskoczyła do samochodu. Minęła dwa policyjne radiowozy. Wciąż drżała i nie mogła się opanować. Nie zwracając uwagi na znak zakazu wjechała na autostradę. Dodała gazu mijając czerwone światła. Mamie wolno odwróciła się od czarnego okna. Kiedy Leona spojrzała w lusterko, zobaczyła małą twarzyczkę z oczami pełnymi łez i wyrazem dzikiego, szalonego triumfu.

* * *

W ustach smak krwi.

W padającym śniegu zobaczył dach buicka, który minął budynek motelu i zapadł się gdzieś w przestrzeń. Znowu uciekła, jak wtedy, tamtej nocy w szpitalu. Chociaż tym razem upuścił jej trochę krwi. Następnym razem nie uda się jej tak łatwo. Chińczyk lizał jego zabandażowaną rękę. — Dobry pies — powiedział Sherman.

Następny radiowóz podjechał w stronę forda, mignęło czerwone światło. Trzasnęły drzwi. Rozległ się suchy szczęk metalu, jakby przeładowywano karabiny.

— Wy gnoje.

Ogarnął go strach i gniew. Czy ktokolwiek go widział? — zastanawiał się. Czy policja mnie zna, czy wie, kim jestem? Trzeba zaryzykować. Musi zaryzykować. Drżąc ze strachu podszedł krok w ich stronę. Bał się i instynktownie czuł niebezpieczeństwo.

— Chińczyk — powiedział. — Chodź tu. — Zebrał się w sobie i wyszedł na otwartą przestrzeń. Rozejrzał się wokoło. Policjanci byli wszędzie. — Nie możecie mnie zatrzymać — mruczał pod nosem niby zaklęcie. — Nikt tego nie może. No dalej.

Rzucił śnieżkę. Chińczyk pobiegł za nią, a Sherman za nim w kierunku autostrady. Policjant krzyknął, żeby się zatrzymał. Gnoje — pomyślał, zbierając więcej śniegu. Nie dam się.

— E tam, zostaw go w spokoju — powiedział jeden z nich. — To jakiś dzieciak bawi się z tym cholernym psem. — Opuścili lufy i odeszli.

ROZDZIAŁ 13

Drżącą ręką Leona chwyciła wsteczne lusterko i ustawiła je tak, by obserwować Mamie. Ona wie — pomyślała Leona. Ktokolwiek to jest, Mamie wie, dlaczego to robi. Ona zna tego psa. Wołała go po imieniu. Tak wiele spraw zaczynało nabierać sensu. Ktoś był z psem. Ten kształt na śniegu. I Mamie chciała do niego biec. Ale kto to mógł być?

Wiatr wygiął rozbite szczątki okna, ostre odłamki rozprysnęły się na Leonę. Zaskoczył ją strach. To zaczęło się wtedy w szpitalu, tamtej nocy. Wciąż widziała buty, wystające spod zasłony. Pamiętała dokładnie, jak chwyciła Mamie i jak uciekały. I wtedy ten sam pies. Drgnęła na samo wspomnienie. To pies zaatakował jej samochód. Wszystko było tak samo — ten sam pies, ten sam... Policjant powiedział — groźny morderca. Ta myśl zmroziła ją. Mamie biegła w stronę mordercy.

Drobne szczegóły układały się teraz w całość, detale, które kiedyś przeoczyła albo nie przyjrzała się im dokładnie — podeptane miejsce z kawałkami papierosów i sznurków w ogrodzie Emmy. Emma wiedziała. Próbowała jej powiedzieć, że coś jest nie w porządku. Jaka byłam głupia — myślała Leona. Powinnam domyślić się, że Emma wie o wiele więcej, niż chce powiedzieć.

Och, Emmo, co wtedy chciałaś powiedzieć? Co ja najlepszego zrobiłam? Morderca. Morderca. Emmo, mój Boże.

Od kiedy opuściła Graylie, nie spróbowała nawet zadzwonić do siostry. Był jeden powód — policja mogła czekać na taki telefon. Ale teraz musiała zrobić to jak najszybciej. Zakładając, że wszystko jest w porządku, Emma mogłaby jej powiedzieć, co strasznego stało się w rodzinie Mamie Abbott.

Jej lewe ucho wciąż krwawiło. Rana napuchła i stwardniała. Czuła, jak mocno pulsuje. Gdzieś w mrokach jej świadomości błąkała się myśl, że może powinna zjechać do rowu swoim niebieskim buickiem, pozbyć się samochodu, jedynego samochodu, jaki kiedykolwiek miała. Nie podejrzewała, że policja może ich gonić. Ale choć tym razem się udało, następnym może być gorzej. Musiała pozbyć się sentymentów i zatrzeć wszystkie ślady.

Po jakichś czterdziestu kilometrach dotarli do stacji benzynowej. Przez rozbitą

szybę wiał mocny wiatr i śnieg, poprosiła pracownika stacji, żeby jakoś uszczelnił okno.

— Proszę szanownej pani — powiedział właściciel. — Co się pani stało?

Zapytała, czy może skorzystać z telefonu.

Ale w domu Emmy nikt nie odbierał. W toalecie umyła twarz i krwawiące ucho. Starała się doprowadzić do porządku. Poprawiając ubranie, badała swoje ciało. Chociaż pies rzucił się na nią to zdołał poszarpać tylko gruby płaszcz, który był teraz w opłakanym stanie. Część jej brzucha i nogi były podrapane i posiniaczone, ale nie poranione, czego się wcześniej obawiała. Wciąż bolały ją kości. Wygładziła ubranie, włożyła sweter i letni płaszcz przeciwdeszczowy. Pozostałości futra wrzuciła do kubła na śmieci przeznaczone do spalenia. Już nigdy więcej nie zostawi żadnego śladu. Potem szybko włożyła browninga do torebki, którą trzymała na przednim siedzeniu. Chciała go mieć pod ręką. Właściciel stacji zebrał resztki szkła z okna. Zakleił je taśmą klejącą i kawałkiem tektury.

Przejechała następne czterdzieści kilometrów. Zatrzymała się i znowu zadzwoniła. Stała drżąc w przydrożnej budce. Wsłuchiwała się w sygnał odległej linii. Żadnej odpowiedzi. W restauracji samochodowej, skąd zadzwoniła raz jeszcze, zamówiła hamburgery na wynos. Znowu nikt nie podniósł słuchawki. Zastanowiła się, gdzie może być Emma — oczywiście mogła być wszędzie. Był czwartek. Mogła pójść po zakupy albo do sąsiadów.

Do Zachodniej Wirginii dotarli około trzeciej po południu. Zaraz po przekroczeniu rzeki Monongahela Leona spróbowała zadzwonić raz jeszcze. Telefon dzwonił i dzwonił. Odbierz, Emmo, odbierz, błagała, postukując nerwowo w metalową obudowę automatu. I znów cisza. Pojechali najpierw na południe, a potem na zachód, przez Barrackville i Pine Grove Hollow. Telefonowała z każdego automatu po drodze. Kiedy popołudnie chyliło się ku wieczorowi, ból w całym ciele dokuczał jej coraz bardziej.

Smutny wiatr rozwiewał chmury na ciemniejącym niebie. Na pewno jest teraz w domu — pomyślała Leona. Jest już prawie ciemno. W Fairmont zobaczyła oświetloną budkę telefoniczną na trawniku przy bibliotece. Podjechała do krawężnika.

Podała telefonistce numer Emmy. Czekała zniecierpliwiona. Ktoś jednak odebrał.

Przycisnęła słuchawkę mocno do ucha, ale mimo to słabo słyszała.

— Frank... Halo, Frank?

— Leona... to ty?

Trudno jej było złapać oddech, wreszcie powiedziała:

— Tak, Frank, to ja.

— Gdzie jesteś?

— Jestem w drodze, Frank. Mamy złą pogodę.

— Leona... tak myślałem, czy zadzwonisz.

— Frank, czy mogę rozmawiać Emmą? Czy jest w domu? Próbowałam dzwonić. Chcę z nią porozmawiać.

— A niech cię wszyscy diabli, Leono, czy ty wiesz, co zrobiłaś? To wszystko przez ciebie...

W słuchawce coś trzasnęło, jakby Frank rzucił nią o podłogę. Po chwili usłyszała inny głos.

— Ciocia Leona? Mówi Charlie, syn Emmy. Ojciec rzucił słuchawką ale chce, żebym ci powiedział, że mama jest w szpitalu. Jest w bardzo ciężkim stanie, nie wiemy... Naprawdę jest źle. Ciociu? Czy mnie słyszysz? Tej nocy, kiedy odjechałaś, ktoś się tu włamał i ją pobił... prawie na śmierć. Ona jest wciąż nieprzytomna. Ciociu, czy tam jesteś? Ojciec nie może ci wybaczyć, ale nie wiń siebie. Przeniesiono ją do Scranton, do szpitala w Scranton... Ciociu... jesteś tam?

Leona chciała odpowiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić słowa. Łzy napłynęły jej do oczu. Stała przed budką zasłaniając twarz rękoma. Przeszła chwiejnie przez trawnik. Z trudem chwytała powietrze. Szlochała.

Kiedy chciała otworzyć drzwi do samochodu, poczuła, że musi zwymiotować. Odwróciła się do buicka i odeszła parę kroków. Jęknęła. Zgięła się za żywopłotem i wymiotowała. Była tak słaba, że ledwo trzymała się na nogach. W końcu odwróciła się i wróciła do samochodu.

Trzymając się za głowę, powiedziała dzieciom: — Nie czuję się dobrze. — Milczały. Może odczuły głębię jej bólu. Łzy wypełniły jej oczy. Nie potrafiła opanować płaczu. Leona jechała w noc. Reflektory zbliżających się samochodów oślepiały ją, potem gwałtownie znikały. Słychać było jakieś trąbienie. Światła znów migotały jak złe oczy psa.

Emmo — myślała — nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, tylko dobry Bóg to wie. Jestem tak zmęczona... nie mogę spać... nie mogę ani na chwilę o tym zapomnieć. Nie mogę teraz do ciebie pojechać, a tak bardzo tego chcę. Och, Emmo, a jeśli ten szaleniec znowu zaatakuje — mnie i moje dzieci i wyśle swego psa... Ja go zabiję. Przysięgam na Boga. Zabiję ich obu... Zabiję tego sukinsyna, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Dzieci były spokojne, nie bały się. Wyglądały jak stadko, które zagubiło się wśród księżycowych promieni. W swoim cierpieniu Leona była samotna, oddzielona od nich jakąś niewidzialną szybą. Gdybym posłuchała Emmy — myślała — wszystko byłoby w porządku. Mogłam zostać i byłoby jak dawniej. Nagle przypomniała sobie, jak tańczyły z Emmą w ogrodzie, tuż przed jej wyjazdem. I przypomniała sobie te brzydkie, tanie buciki Emmy. Och Emmo, Emmo. Musiała zjechać z drogi. Płakała, nie mogąc się opanować. Zgięła ramiona na kierownicy i ukryła w nich twarz. Beznadziejny smutek, żal i rozpacz. W końcu Walter obudził się i przechylił nad wysokim przednim siedzeniem. Zapytał zaspanym głosem:

— Dlaczego płaczesz? Czy pies zrobił ci coś złego?

— Tak — powiedziała machinalnie. — Och, Walterze, nie. To nie tak. Po prostu nie chcę, żeby komukolwiek się stała krzywda.

Nie wiedziała, jak długo jechali. Słabe światła połyskiwały w oddali i autostrada przeszła w węższą asfaltową drogę pomiędzy wzgórzami. Coś się nie zgadza —

pomyślała — tu powinna być autostrada. Pomyliła drogę. Zwolniła i szukała szerszego miejsca, żeby zakręcić.

Droga była pokryta śniegiem. Nie zdawała sobie sprawy, że jedzie po lodzie. Poczuła, jak tył samochodu powoli zsuwa się na jedną stronę. Szybko odbiła kierownicą w drugą i wydawało się, że opanowała sytuację. Wtedy tył zarzuciło jeszcze raz. Straciła panowanie nad samochodem. Wpadła w poślizg.

Kręciła kierownicą bez skutku. Naciskała hamulec, ale nie potrafiła się zatrzymać. Wtedy zdała sobie sprawę, że zbliżają się do stromego zbocza. W świetle reflektorów zamajaczyło druciane ogrodzenie. Dzieci podniosły się zaspane i zdziwione.

— Co się stało? — pytały. — Gdzie jesteśmy?

Minęło kilka chwil. Posuwali się niezmiennie do brzegu drogi w kierunku zasłony przeciwśnieżnej. Uderzenie mogłoby ich zatrzymać albo chociaż osłabić upadek ze zbocza.

— Wstawajcie szybko — krzyknęła. Trzymała kurczowo kierownicę. — Walterze, wstań i przesuń się do Patsy.

Gdyby udało jej się wydostać przez drzwi od strony kierowcy, mogliby bezpiecznie wylądować na drodze.

— Dalej — komenderowała. — Szybko, wstawać.

Wspinały się na siedzenie, kiedy samochód uderzył w zasłonę. Zarył w śniegu i odrobinę zwolnił. Wlókł za sobą drut siatki. Wiedziała, co się może zdarzyć. Przekrzywiając się, otworzyła drzwi pasażera i krzyczała z całych sił.

— Wyskakiwać. Nie mogę tego zatrzymać. Dalej, wyskakiwać! Szybko! Wyskakiwać! — Mamie skoczyła. Walter był już na samym brzegu, ale zawahał się i Leona sama go wypchnęła.

Samochód przechylił się i nabrał szybkości, bo wjechał na początek zbocza. Sięgnęła po klamkę, ale przód samochodu zasłonił jej kąt widzenia.

Podmuch i zgrzyt rozgniatanego żwiru, ogłuszający huk, a potem nic. Żadnego dźwięku. Droga leżała w stromym kanale. Po jednej stronie kamienne płytki, po drugiej drewno. Widziała lód, wszędzie lód. Wiatr rozganiał płatki śniegu. Lód wydawał się idealnie gładki i odbijał promienie księżyca. Czyste żywe srebro.

Tył buicka już się ślizgał, kiedy zderzył się z pierwszą przestrzenią lodu i wciąż jechał do przodu. Próbowała zatrzymać samochód, naciskała hamulec z całych sił. — Proszę — mamrotała. — Proszę, Boże pomóż.

Buick jak pocisk wpadł na dwumetrową ścianę śniegu. Szkło rozsypało się. Kierownica wypadła jej z rąk tak szybko, że zatrzeszczały stawy w nadgarstkach. Jeszcze raz chwyciła za kierownicę i z całej siły wcisnęła hamulce. Ale samochód odbił się o lód jeszcze raz. Wszędzie lód — jakby samochód gnał przez wyciszony bęben wszechświata.

Wtedy zdała sobie sprawę, że powierzchnia oddala się od niej. Silnik zawył przeraźliwie i wiedziała, że koła są w powietrzu. Leciała.

Nagle przed jej oczami wynurzyły się betonowe ochronne barierki mostu. W tysiącu małych zgrzytów buick zahaczył o jedną z barierek i sunął po niej jak po szynach. Podrzuciło ją. Uderzyła głową w przednią szybę, a potem opadła do tyłu. Jak spadający meteor samochód zsunął się jakieś półtora metra w dół na betonowy pas. Podwozie zatrzeszczało. Drzwi otworzyły się w locie i Leona wyleciała na zwały śniegu.

Potem tylko cisza.

Śnieg spadał z drzew. Woda w strumieniu poniżej szumiała. Wiatr gwizdał pod mostem. Delikatnie przewracając się na bok, stary niebieski samochód przesunął się, zatoczył i zarył w śnieg.

Wciąż otrzepując ubranie ze śniegu, dzieci ześliznęły się do poziomu mostu i dalej z nasypu. Jedno po drugim podchodziły do niej. Otoczyły ją. Patrzyły na kobietę, która czuwała nad ich snem, kiedy zasypiały, i uratowała im życie. Teraz leżała na kupie śniegu. Miała ramiona szeroko rozpostarte, jak w powitalnym geście. Na jej twarzy była krew. Stali jak zaklęci. Potem schylili się. Mamie przykucnęła i dotknęła krwi na czole Leony. Po chwili podniosła się. Wolno się odwróciła i zawołała, żeby szli za nią. Ruszyli przed siebie.

Pochylając się przed wiatrem, trójka dzieci kroczyła po oświetlonej księżycem drodze, która znikała wśród drzew zastygłych w oczekiwaniu.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 14

Gałęzie chyliły się nad nimi. Cienie spowijały ich baśniową figurą pajęczej sieci. Księżyc pojawiał się na niebie i znikał w chmurach. Nagle Patsy krzyknęła:

— Nic nie widzę. Kompletnie nic nie widzę! — Wyciągnęła ręce szukając Waltera i Mamie i zamilkła przytłoczona ogromem swojej samotności.

Oddychali z trudem. Było coraz zimniej. Ich twarze były napięte; z trudem powstrzymywali płacz. Podbiegali parę kroków, potem zbijali się w małe stadko, żeby po chwili znów się rozejść. Śnieg skrzypiał im pod nogami.

Patsy i Walter coś szeptali, potem zaczęli się głośno zastanawiać, co powinni zrobić. Stopniowo ich głosy nabierały siły i pewności.

— Wracajmy do niej. Poczekamy, aż ktoś przyjdzie — prosił Walter. — Kto oprócz niej opiekował się nami? — Mamie milczała. Walter odwrócił głowę do tyłu, a potem ukrył ją w kołnierzu kurtki, jak żółw szukający schronienia.

— Proszę — powiedział. — No chodźcie. Musimy wracać.

— Nie — odrzekła Patsy głosem ostrym i zadziwiająco silnym. — Uciekajmy stąd! Tu jest jakiś potwór! Nie słyszysz go?

— Słyszę — powiedział Walter. — Słyszę go i dlatego musimy wracać.

— Ja nie wracam. Muszę iść do domu. Widziałam krew! Nie widziałeś? Krew! Ja widziałam.

— Ale możemy się zgubić — powiedział Walter. — Naprawdę się zgubimy i zamarzniemy na śmierć.

Od strony drzew przy drodze usłyszeli trzask gałęzi i łodyg krzaków. Ktoś tu był. Zachrzęściły kamienie. Przerażone dzieci odwróciły się gwałtownie.

— Widzisz? — krzyknęła Patsy. — Coś tam jest! Widzicie! Mówiłam.

Ale wiatr zagłuszał wszystko. Ruszyli parę kroków do tyłu, patrząc na ciemne miejsce, w którym coś się poruszało. Nikt nie powiedział ani słowa. Patrzyli na siebie przerażeni. Mamie odwróciła się i pobiegła przed siebie wzdłuż ośnieżonej drogi. Pozostała dwójka popędziła za nią.

— Co to było? — zapytała cicho Patsy.

— Nie wiem — powiedział Walter. Bał się. Przeszli przez drewniany most, belki

mieniły się światłem pod ich stopami. Wiatr powiał od konarów drzew. Zdawało się, że burza nigdy się nie skończy.

— To jest ten potwór — zadecydowała Patsy. — Patrzy na nas. Chce nas złapać. Tego chce! — Wykrzykiwała pojedyncze słowa. Drżała. — Złapie! Złapie!

Nagle, po drugiej stronie mostu, zaśnieżone krzaki gwałtownie zadrżały. Wielka fala śniegu i wiatru wyrzuciła z siebie ciemny kształt. To coś pognało za nimi.

— Uciekamy! — krzyczał Walter. — Uciekać! Uciekać!

Rozbiegli się po pustej, lodowatej przestrzeni. Rzucili się w kierunku zaśnieżonych zarośli w pobliskim rowie i wtedy śnieg opadł. Przerażająca postać zmaterializowała się w świetle księżyca. Na poboczu stał jeleń. Był pokryty puchem szronu. Wyglądał jak posąg. Przez ułamek sekundy dzieci pomyślały, że nie powinny się go bać, był jednak przerażający w swojej władczej sile. Powietrze drgało wokół jego czarnych nozdrzy.

Królewski i górujący podszedł bliżej. Promieniował boską mocą i niespożytą energią. Dzieci zamarły w podziwie i przerażeniu. Podniósł się bardzo wysoko na tylnych nogach. Mordercze końce jego poroża błysnęły w blasku księżyca. Kopyta zwierzęcia uderzały o śnieg. Jeleń zrobił nagły ruch do przodu, wznosząc tumany śniegu. Dzieci cofnęły się i zastygły w bezruchu. Pierwszy raz w życiu widziały coś podobnego. Wielka korona morderczych rogów zakołysała się lekko. Czarne oczy jelenia wypatrywały czegoś gdzieś daleko nad nimi. Wolno obniżył swoją wszechwładną głowę. Popatrzył na nich, a oni dostrzegli w jego oczach bezbrzeżne okrucieństwo. Jęknęli, z trudem łapiąc oddech. Niespodziewanie, bez rozbiegu, jeleń przeskoczył ich i pobiegł w noc.

Głęboka cisza powróciła na drogę.

Nie mogąc opanować drżenia, dzieci wyszły z rowu. Kiedy otrzepywały śnieg z ubrań, Mamie odezwała się pierwsza. Była przestraszona nie mniej od nich, ale powiedziała, że ta noc wiele zmieniła. Ta noc mówiła o Shermanie.

Wiatr huczał między pniami drzew, jakby w tysięcznym lamencie ludzkich głosów. Wiał tak mocno, że dzieci prawie unosiły się nad ziemią. W skąpym blasku księżyca oczy Mamie miały kolor dymu. Czuła dreszcze. Szła szybko obok nich. Rysy jej drobnej twarzy były zdecydowane i twarde. Powiedziała, że sami nie dadzą rady, ale że jest ktoś, kto im pomoże. I wtedy zdradziła swoją tajemnicę. Napisała duże X na płaszczykach. Lodowaty wiatr ponaglał ich, by ruszyli naprzód. Zęby im szczękały, ale nie poddawali się i szli dalej. Mamie opowiedziała im o tym, co się naprawdę stało tamtego popołudnia przed motelem, że widziała Chińczyka z jej bratem Shermanem. Zapytała, czy pamiętają psa.

— To był ten, który na nią skoczył i zrobił jej coś złego — powiedział Walter, a Mamie przytaknęła.

— Tak, to był Chińczyk. — I dodała: — Kiedyś dawałam mu cukier.

Trzęśli się na mrozie, ich głosy drżały. Szybko opowiedziała o spalonym domu i wszechwładnym ogniu, i jak udało się jej stamtąd wydostać, i Shermanowi, ale nikomu więcej — ani jej mamie, ani ojcu, ani Toddy'emu. Wszyscy zginęli.

Sherman przyszedł po nią do szpitala, ale ta kobieta, Leona, zabrała ją wcześniej.

Słuchali z zapartym tchem. Mamie porwała ich swoją nieprawdopodobną opowieścią. Potem odkryła przed nimi straszną prawdę, przerażającą rzecz, którą skrywała przez długie tygodnie.

— Jeśli coś powiecie, jeśli powiecie cokolwiek, ludzie pomyślą, że jesteście nienormalni. To właśnie powiedziała mi pielęgniarka. Więc nie mówcie ani słowa. Bo wsadzą was z innymi nienormalnymi do pokoju zamkniętego na zawsze, bez drzwi i okien, i nigdy się stamtąd nie wydostaniecie, i nie pozwolą wam iść do domu, ani gdziekolwiek. Nie pozwolą bo ludzie będą myśleli, że jesteście stuknięci. Jeśli powiecie choć...

Patrzyli w milczeniu, nie mogąc wyrazić, ani pojąć tego, co usłyszeli.

— Czy pójdziemy do więzienia? — zapytał Walter. Miał przeraźliwie bladą twarz.

— To jest jak więzienie — powiedziała Mamie. — Więzienie na zawsze.

Przejęci nagłym strachem odskoczyli od niej. Zadrżeli, otulając się jeszcze mocniej płaszczykami. Wspinali się na wzgórze, które wydawało im się przeogromne. Ze szczytu dostrzegli oświetlone okna.

— Ale pamiętajcie — jeszcze raz powtórzyła Mamie. — Nic nie mówcie. Jeśli to zrobicie, oni zadzwonią po policję, która was zabierze.

Minęli dwie skrzynki pocztowe i skręcili w ośnieżoną drogę. Kiedy przechodzili obok stodoły, Patsy wybiegła naprzód. — Lepiej tam nie idźmy — powiedziała, patrząc na wysokie dachy zabudowań. — A jeśli tam są czarownice? A jeśli jest tak jak w tej bajce? Nie chcę, żeby mnie w coś przemieniły.

Popatrzyli na siebie, potem na wybieg dla kur, kurnik i stosy drzewa opałowego. Jeszcze padało. Nagle powietrze zawirowało obok nich i zabielało kupą śniegu.

— Nie mamy dokąd pójść — powiedział Walter. — Popatrz dookoła. To jest jedyne miejsce.

— Patsy, nie możemy tutaj czekać — powiedziała Mamie. — Nie przejeżdżał tędy żaden samochód. Ani jeden.

— Tak — powiedział Walter. — I jesteśmy przemarznięci.

Przeszli obok budynków gospodarczych i doszli do bramy ogrodzenia, które otaczało dom mieszkalny. Ich rękawice dotknęły drewnianych skobli. Przeszli przez dziewiczy śnieg do drzwi wejściowych.

— Co to było? — krzyknęła Patsy i cofnęła się. Walter zadrżał.

— Nic nie słyszałem — powiedział.

Drzwi prowadziły do ciemnego przedsionka wypełnionego narzędziami, śrubokrętami, piłami, heblami i uchwytami stolarskimi. Zapukali do drzwi.

— Chyba nas nie słyszą — odezwała się Mamie.

— Ja tam nie idę — wyszeptała Patsy. — Nikt mnie do tego nie zmusi.

— Ja też nie idę — dodał Walter. — Tu jest strasznie.

— Ktoś tu musi być — powiedziała Mamie. — Tylko pamiętajcie, nic nie mówcie.

Wcisnęli palce pomiędzy szparę w drzwiach i otworzyli je. Mamie potknęła się o jakieś narzędzie. Podeszli do następnych drzwi, załomotali w nie i zrobili krok do tyłu. Zamknęli za sobą pierwsze drzwi i stanęli w przedsionku, trzęsąc się i patrząc z nadzieją.

Drzwi otworzyły się wolno. Odruchowo odskoczyli do tyłu. Ręka trzymająca lampę wolno wynurzyła się z otwartych drzwi.

— Hej — powiedziała Mamie drżącym głosem. — Jesteśmy tutaj.

Lampa zbliżała się do nich. Promień światła oświetlił ramię kobiety i jedną stronę jej pociągłej twarzy. Była wysoka. Ubrana w sweter, fartuch i niebieską roboczą koszulę. Barwna chusta zakrywała jej włosy.

— Kto tam? — zapytała. — Kto tu jest?... Dzieci? Wszyscy Święci...

— Wypadek — zapłakała Patsy i podbiegła do kobiety. — Wypadek. Mieliśmy wypadek!

Trzymając ją za ramiona, kobieta pochyliła się, oświetlając ich światłem lampy. Każde mówiło oddzielnie, ich głosy tworzyły niezrozumiały polifoniczny zgiełk. Patsy nie mogła złapać tchu. Walter wskazywał w stronę pól.

— Ona jest ranna — powiedział. — Krew. Ona nie żyje!

— Wejdźcie tutaj — rzekła kobieta. — Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówicie. No szybko. Chodźcie tutaj i powiedzcie wszystko od początku.

Zebrała ich przy dużym stole, rozpięła płaszczyki i masowała ich zmarznięte dłonie. Powoli zaczynała rozumieć, co się stało.

— Teraz posłuchajcie. Gdzie to jest? Jak daleko stąd?

Powiedzieli, że niedaleko mostu, niskiego mostu.

Szybko podeszła do telefonu i wykręciła numer. — Mark, mówi Vivian. Szybko przyjeżdżaj. Zdarzył się wypadek pod mostem Forky Creek. Są ranni.

Narzuciła na siebie płaszcz i usiadła na krześle, żeby wciągnąć zimowe buty. Kiedy była gotowa do drogi, zaprowadziła dzieci do dużego, ciepłego pokoju.

— Mamo — powiedziała do siedzącej w fotelu staruszki. — Mamo, przypilnuj dzieci. Ja zaraz wrócę.

Zostali w pokoju ze starą kobietą, której oczy żarzyły się w głęboko osadzonych oczodołach. Gdy płomień z pieca strzelił jaśniej, widać było ciemne drewniane ściany ogromnej izby z niskim, belkowanym sufitem. Wciąż dygotali ze strachu. Stali patrząc na piec i postać, która bardzo, bardzo wolno kołysała się w bujanym fotelu.

Nieprzytomną Leonę przywieźli na farmę starym samochodem marki Willys, który należał do Marka Hardesty'ego. Zanieśli ją do łóżka Vivian, do dużego pokoju. Mark wyglądał trochę podejrzanie, ale jednocześnie jakoś bardzo interesująco i tajemniczo. Wysoki, o ciemnej czuprynie — człowiek czynu. Szepcząc coś do siebie, dzieci przepychały się, żeby go lepiej obejrzeć.

— Lubię go — wyszeptał Walter. — On jest jak tata.

— Ci-i-i. Nie mów tak. Mogą coś zacząć podejrzewać — szepnęła Mamie. Jej wątle palce jak obcęgi ścisnęły go za rękaw.

Vivian usiłowała zadzwonić do doktora, ale po chwili odwiesiła słuchawkę.

— Nie mogę się dodzwonić — powiedziała. — Teraz wszystko zależy od nas.

— Może gdybym od razu pojechał... — zastanawiał się Mark Hardesty. — Może udałoby mi się dostać do miasta.

Vivian potrząsnęła głową.

— Jest burza. Nie uda ci się. Nawet jeśli dotrzesz do miasteczka, to nie uda ci się wrócić. Nie możesz tego zrobić. I tak mamy szczęście, że udało nam się ją tu przywieźć.

Potem Vivian szybko podeszła do Leony, okryła ją kołdrami i podłożyła drew do pieca. Hardesty przyniósł walizki z samochodu. Vivian zapytała, w której są ubrania. Mamie wskazała dwie z nich.

— No dobrze. Powiedzcie mi. Jak ona się nazywa? Patsy i Walter odwrócili się i popatrzyli na Mamie.

— To jest Leona — odpowiedziała Mamie unikając wzroku Vivian.

Potem Vivian przyniosła jeszcze kilka koców z szafy. Wręczyła je Hardesty'emu i powiedziała, żeby zabrał dzieci na górę i położył je spać. Gdy ucichły ich kroki na schodach, odwróciła się do matki, która przyglądała się wszystkiemu.

— Mamo, musisz sama się położyć do łóżka. Ja mam masę roboty.

Laska starej kobiety rytmicznie uderzała o podłogę. Wolno zatrzymała się. Jej twarz wykrzywił grymas, jakby przypadkiem w ciemności wpadła na sieć pajęczą, a głos drżał.

— Vivi, posłuchaj. Ktoś jest w twoim łóżku. Jakaś kobieta z dziećmi. Musisz uważać. Nie daj się zwieść...

Vivian odprowadziła ją do kuchni i zawróciła.

Burza huczała za oknami farmy. Lampa naftowa jarzyła się wątłym, ruchliwym płomieniem, jakby na przekór mroźnej, zimowej nocy. Vivian rozebrała Leonę, umyła ją i okryła jedną z własnych koszul, po tym jak Mark zaszył okropną ranę na jej czole za pomocą wygotowanej nitki i igły. Stali przy niej, czekając na jakiś znak życia.

— Dobry Boże, popatrz na nią. Nie wiem, czy dożyje do rana — powiedziała Vivian ze smutkiem. — Ciekawe, kim jest.

— Daj spokój, Vi. Wygląda całkiem dobrze. Wyjdzie z tego, jestem pewien.

— Jest bardzo ładna i wyglądałaby o wiele lepiej, gdybyśmy spotkali ją w innych okolicznościach. Na pewno ktoś na nią czeka.

— Możemy się dowiedzieć, kim ona jest, jeśli tego chcesz — powiedział Hardesty. — Możemy przeszukać jej torebkę.

— Nie — odparła Vivian. — Nie zrobimy tego, chyba że zmuszą nas okoliczności. Nie chciałabym, żeby ktoś grzebał w moich rzeczach. A to, kim ona jest, nie ma większego znaczenia.

Kiedy okazało się, że Leona przeżyje noc, Vivian wysłała Marka do domu, prosząc go, żeby przyszedł rano pomóc w gospodarstwie. Nie powiedziała mu o tym, co zobaczyła.

Ubrania Leony były dobrze skrojone, uszyte z drogich materiałów, nie jak te,

które nosiła Vivian, więc z żalem je rozcinała rozbierając nieprzytomną kobietę. Na brzuchu i biodrach zobaczyła rany i zadrapania, które nie miały nic wspólnego z wypadkiem. Więc co zdarzyło się naprawdę? I czego szukała na takim pustkowiu? Nie miała na palcu obrączki, ale miała trójkę dzieci. Kim była? — zastanawiała się Vivian. Dlaczego jechała tą niebezpieczną drogą w taką noc? Z trójką dzieci w samochodzie? Dlaczego im się nic nie stalo, a ona została ranna? Lecz w końcu... Mój Boże, wygląda tak źle, jest taka chora. Vivian lekko dotknęła jej ręki.

— Już dobrze, Leono — powiedziała. — Nic z tego nie rozumiem. Ale widzi mi się, że przeszłaś przez prawdziwe piekło.

Następnego ranka, kiedy Hardesty i matka czuwali przy Leonie i pilnowali bawiących się dzieci, Vivian zajęła się codzienną pracą w zagrodzie. Była szczęśliwa, że oddycha świeżym powietrzem, nawet w taką pogodę. Hardesty chciał wydoić krowy i oporządzić zwierzęta, ale nie chciała jego pomocy. Była dumna ze swojej farmy. Opiekowała się dziećmi jak umiała najlepiej. Przygotowała im wygodne miejsca do spania, dobre jedzenie prosto z pieca, a przede wszystkim ofiarowała im ciepło i serdeczność. Nawet jej matka, osiemdziesięcioletnia staruszka, słabnąca z każdym dniem, odżywała, kiedy patrzyła na trzy małe urwipołcie, jak je nazywała.

Przez trzy dni i trzy noce Leona leżała w łóżku Vivian w dużym pokoju. Jej głowę i twarz zakrywały bandaże. Od czasu do czasu podrywała się i coś szeptała, ale mówiła bez sensu i niewyraźnie. Była dla wszystkich tajemnicą. Vivian obawiała się trochę chwili, kiedy kobieta odzyska przytomność. Wiem, jak to jest, kiedy człowiek budzi się nagle — myślała Vivian — i kiedy nieznane nabiera znajomych kształtów.

— Leż spokojnie i wypoczywaj. To tylko zły sen.

Dochodziły do Leony pojedyncze, wyrwane z jakiejś całości słowa, których nie rozumiała. Powietrze miało konsystencję wody, ciepłej i łatwej do picia. Słyszała ciche kroki poruszających się wokół niej ludzi. Z daleka dobiegały ją dźwięczne odgłosy śmiechu. Otworzyła oczy, uderzył ją blask. Widziała jakieś przedmioty, były zamazane. To sen — pomyślała, ale zaraz zdała sobie sprawę, że nie jest sama w tej jasnej i pustej przestrzeni. Stał przy niej mężczyzna, którego nie znała.

Chciała się podnieść na łokciu i coś powiedzieć, ale jej ręka opadła na piersi. Usłyszała głos mężczyzny:

— Nie podnoś się. Jesteś za słaba. Popatrz na mnie — na jego ustach błąkał się uśmiech. — Czy mnie widzisz? — Spróbowała odpowiedzieć, ale nie wydała żadnego dźwięku. — Nie mów nic — mówił dalej. — Jeśli rozumiesz, po prostu popatrz na mnie. — Miejsce, w którym stał, zapadło się wśród mlecznej mgły. Zamknęła powieki.

Czuła jakiś ciężar na piersiach, zbyt ciężki, by mogła go odsunąć. Otworzyła oczy. Drgnęła. Każdy ruch sprawiał jej ból. Poruszyła wargami.

— Dzie... — wzięła oddech i zwilżyła usta. — Dzieci. — Chłodna chusta dotknęła jej czoła. Jakiś głos odpowiedział:

— Są bezpieczne. Wszystkie bezpieczne. Nie martw się.

Kiedy przebudziła się następnym razem, pokój był zaciemniony, nieprzyjemnie ciemny. Światło wędrowało po ścianach. Usłyszała suchy trzask. Podniosła głowę i zobaczyła wesołe płomienie w otwartym piecu. Palcami dotknęła twarzy, ust, brwi. Wymacała gruby bandaż wokół czoła. Wyjęła spod kołdry drugą rękę i położyła ją na chłodnej pościeli. Czuła się świeżo i dobrze. Poruszyła palcami u nóg. Na szczęście nie mam połamanych nóg — pomyślała.

Fotel przy piecu zatrzeszczał. Wąski cień poruszył się, zawirował i zszedł ze ściany na podłogę. Usłyszała miękkie, ciche kroki. Ktoś się do niej zbliżał.

Postać podeszła do żółtawego światła. Chuda, o pociągłej twarzy kobieta pochyliła się nad nią.

— No tak — powiedziała i usiadła przy łóżku. — No to się przebudziłaś na dobre.

— Tak. Chyba tak — Leona mówiła z trudem, tak jak z trudem oddychała. — Gdzie...

— Szszsz — powiedziała kobieta. Nie była stara. Miała łagodne rysy, inteligentne, stalowoniebieskie oczy.

— Przepraszam, ale wszyscy śpią. Nawet ja się odrobinę zdrzemnęłam. — Uśmiechnęła się. Jej włosy przeplatały pasma siwizny, policzki były ogorzałe i czerstwe. — Jest trzecia nad ranem. Niczego się nie obawiaj. Wszystko jest w porządku. — Gdy mówiła, wrzuciła coś do szklanki i zalała to wodą. — Proszę — powiedziała. — Napij się odrobinę. Doda ci sił. — Wsunęła rękę pod głowę Leony i lekko ją uniosła, pomagając chorej przełknąć parę łyków. Potem wolno położyła ją i wyjęła ramię. Zabrała szklankę. — Mam trochę rosołu. Wypijesz, jak ci przyniosę?

Leona zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

— Jak się czują dzieci?

— Dobrze — powiedziała kobieta. — Wszystkie są na górze. Śpią dobrze. — Znowu uśmiechnęła się i usiadła w fotelu na biegunach. — Wciąż ci to powtarzałam.

Leona zamknęła oczy i wolno je otworzyła.

— Co się stało? — zapytała.

— Nie pamiętasz? To niesamowite, że martwiłaś się wtedy o dzieci, a nie o siebie. Powiedziały, że wypchnęłaś je z samochodu.

— Tak. Nie mogłam się zatrzymać. I myślałam, że to moja wina.

— Nie, na pewno nie — kobieta wstała i znowu usiadła. Jej oświetlona twarz zamigotała i gdzieś odpłynęła.

— Czy to ty mnie stamtąd wyciągnęłaś?

— Y-hy. Razem z Markiem Hardestym. On mieszka zaraz pod wzgórzem. Nie wiedzieliśmy, jak ci pomóc, ta rana na głowie i odmrożenia.

— Jestem szczęśliwa, że zrobiliście cokolwiek — powiedziała Leona. I wtedy przypomniała to sobie. Powróciły przerażające obrazy — pękające okno, żółte

wyszczerzone kły, okropne uczucie opadania w jakąś czarną przestrzeń. Poruszyła się na poduszce i ostry ból przeszył jej mózg. Wyglądała jakby z czymś walczyła. — Muszę natychmiast wstać. Nie powinniśmy tu być.

— Spokojnie — powiedziała kobieta przytrzymując ją. — Leż spokojnie. Kiedy byłaś nieprzytomna — majaczyłaś. Musisz się uspokoić.

— Nie — wyszeptała Leona ze strachem. — Nie rozumiesz. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Tu jest człowiek, szaleniec...

— Dobrze — kobieta powiedziała uspokajająco. — Nie bój się. Jego nie ma. Musisz się trzymać. — Poprawiła poduszkę pod jej głową. — Tutaj nie ma nikogo. Jesteśmy dobrze ukryci na tym pustkowiu. Nikt cię u nas nie dostanie, nawet gdyby bardzo chciał. Jest pół metra śniegu, a na drodze jeszcze więcej. Elektryczność wysiadła, telefon jest nieczynny. Studnia od wczoraj zamarzła. Pompujemy wodę ze studzienki głębinowej. Tutaj nie przychodzi nawet listonosz.

Leona chwyciła oddech i opadła na poduszkę.

— Którego dzisiaj mamy?

— Zaraz zobaczę. Jeśli się nie pogubiłam, to dziś jest poniedziałek. Jesteś tu od trzech dni.

Trzy dni — pomyślała Leona. Trzy dni zmarnowane, a ten szaleniec jest wciąż na wolności i wciąż nas ściga. Ale jej opór gdzieś odpłynął. Kołyszący, rytmiczny ruch kobiety w fotelu spowodował, że zakręciło jej się w głowie. Chciała zadać wiele pytań, ale nie potrafiła ich uporządkować. Zamknęła oczy.

— Kim jesteś? — zdołała jeszcze zapytać.

— Nazywam się Vivian Turner. Ale możesz mówić do mnie Vi. Mieszkamy jakieś piętnaście kilometrów od Rocky Comfort w Zachodniej Wirginii. Ten wypadek zdarzył się bardzo blisko stąd.

Zapach bekonu i jajecznicy, smażonych ziemniaków, świeżych ciasteczek, kawy, wszystko przesycone słabą wonią dymu, przyszło do niej z drugiego pomieszczenia. Stara kuchnia pachniała wędzonym mięsem i całym bogactwem ziemi — ziemniakami, pietruszką, czosnkiem i cebulą. Zapach domu. Nie pojmowała, jak znalazła się właśnie tu, niesiona niezwykłym zrządzeniem przypadku. Była w domu.

Cisza. Budynek zamarł w bezruchu. Na pobielonych ścianach wisiały portrety przodków o surowych twarzach. Podłoga była poniszczona i popękana. W rogu stała masywna, duża dębowa szafa. Dom nie miał podbudówki, był wkopany bezpośrednio w ziemię.

Drzwi otworzyły się na oścież i wspaniały zapach śniadania wypełnił pokój. Vivian Turner podeszła do dwóch odbiorników radiowych, postawionych jeden na drugim i włączyła jeden z nich. Poranne światło odkryło piegi na jej twarzy i skroniach. Podwinęła rękawy swetra i wzięła się pod boki. Popatrzyła na Leonę.

— Oj — powiedziała. — Cieszę się, że się obudziłaś. Teraz nie będę się martwić, że mogę cię czymś obudzić. Nie chcę przegapić prognozy pogody — pokręciła gałką

na skali radia. Radio zasilane bateriami zatrzeszczało. Głos stawał się coraz wyraźniejszy.

— ...Służby miejskie pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby odśnieżyć ulice naszej stolicy. Rekordowa ilość śniegu spadła począwszy od Północnej Karoliny do New Jersey. Wieją bardzo silne wiatry. Miasteczka i miasta w większości Wirginii, Zachodniej Wirginii i Marylandu są odcięte od elektryczności. Burza zerwała łącza telefoniczne. Na dzisiaj przewidywana jest kolejna silna fala opadów.

— To o nas — powiedziała Vivian. — Wszędzie śnieg aż po horyzont.

Przełączyła radio na inny kanał, coś trzasnęło.

— A teraz wiadomości lokalne: policyjne śledztwo w sprawie porwania dwójki dzieci z regionu Pensylwanii stanęło w martwym punkcie. — Vivian przekręciła gałkę radia, głos zamarł i zgasł.

Zaszokowana Leona wpatrywała się w drewnianą obudowę odbiornika. Wciąż słyszała głos spikera. Poruszała lekko nozdrzami. Usta wciąż miała blade, ale czuła, że na jej policzki wracają rumieńce. Obawiała się najgorszego.

Leona popatrzyła wprost na Vivian, a kobieta popatrzyła na nią. Obie zamarły na chwilę. Czy ona wie? Czy się domyśla, że to ja? Czy dzieci jej powiedziały?

Vivian zmarszczyła brwi.

— Uratowaliśmy co się tylko dało z twojego samochodu — wskazała rząd walizek stojących przy łóżku. — Nie zdołaliśmy chyba przynieść wszystkiego. Hardesty poszedł tam następnego ranka, ale nie przyniósł wiele. Znalazł twoje klucze. Myślał, że może będziesz ich potrzebowała. Mam nadzieję, iż nie masz mi za złe, że dałam dzieciom świeże ubrania.

— Jasne, że nie — słabo powiedziała Leona. Opuściła wzrok. — W porządku. W jakim stanie jest mój samochód?

— Jest przewrócony do góry kołami, leży na samym końcu zbocza. Prawie kompletnie rozbity.

Leona pokiwała głową.

— Tak. Nie potrafiłam nad tym zapanować. — Popatrzyła na walizki. Palce jej drżały, gdy dotknęła czoła. — Chciałabym wstać i zobaczyć dzieci. Dlaczego ich jeszcze nie widziałam?

— Tylko dlatego, że jeszcze śpią. Ciągle im powtarzam: dzieciaki, zostawcie Leonę w spokoju. Ona musi wypoczywać i zdrowieć. Ale mogę zostawić drzwi uchylone, żebyś je zobaczyła. — Potem wyszła.

Leona poczuła falę mdłości. Było jej słabo. Co wie? Musiała przecież grzebać w moich rzeczach. Zna moje imię. Kiedy usłyszała, że Vivian wchodzi na górę, do dzieci, zmusiła się, by wstać. Chwiejąc się na nogach podeszła do walizek. Sprawdziła zawartość walizeczki i torebki. Buteleczki były porozbijane. Powinna je wyrzucić razem z wycinkami prasowymi o Mamie. Browning i pieniądze były chyba nieruszone. Nikt tu nie grzebał — oceniła w myślach. Opadła na brzeg łóżka i schowała torebkę za stolik nocny. Przekręciła twarz na poduszce i popatrzyła przez zaśnieżone okno.

Nie wiedziała, co zobaczy na zewnątrz, to było dla niej nowe. Nagle opanowało ją uczucie niepohamowanego niepokoju i jedna rzecz była pewna. Gdzieś, może nie tak daleko stąd, policja ich szuka. Szuka ich ktoś jeszcze.

Tego pierwszego dnia Leona czuła się bardzo słabo. Słuchała dzieci bawiących się w kuchni. Widziała ich niewyraźnie sylwetki, rozróżniała głosy.

— To moje — powiedział Walter. — Ona mi to dała. Powiedziała, że mogę to sobie wziąć.

— Oddawaj — Patsy nie dawała za wygraną.

W kłótnię włączył się głos Vi.

— Zaraz zniszczycie moją pelerynę. Niedawno ją nareperowałam.

— Ale ona jest mi potrzebna do szabli — Walter odpowiedział smutniejąc. Dwa razy usłyszała głos trzeciego dziecka — to musi być głos Mamie, lecz nie była tego pewna. Dzieci nazywały wysoką chudą kobietę ciocią Vi. Teraz ona miała je na głowie. Musiała je uspokajać, tłumaczyć długo różne rzeczy, myć, karmić i karcić. Ubrana w roboczą koszulę, takież spodnie i wytarty sweter była stanowcza, ale miła. Leona słyszała jeszcze inny głos — trzeszczący i drżący. Ledwie słyszalny.

Dopiero wieczorem Leona otrząsnęła się ze strachu, obaw i napięcia. Otworzyła oczy. Panował niezmącony niczym spokój. Dom wydawał się pusty i przeogromny. Cichutkie dźwięki, ogień palący się wciąż w piecu, zegar tykający cicho. Nie słyszała dzieci, ale przez okno widziała je bawiące się w śniegu. Ustało dokuczliwe kłucie w tyle głowy. Czuła teraz tylko lekki ból w całym ciele. Co za luksus — pomyślała. Leżała wygodnie — spokojna i prawie bez bólu.

Burza uspokoiła się. Śnieg fosforował jak niezwykła, bajeczna perła. Zapadał zmierzch. Po raz pierwszy Leona uświadomiła sobie, gdzie się dokładnie znajduje. Próbowała zapamiętać położenie domu, stodoły, szop i kurników. Zobaczyła Vivian niosącą wielkie wiadro. Miała na sobie grube zimowe ubranie. Przystanęła i powiedziała coś do mężczyzny, który się koło niej zatrzymał. Rozeszli się w przeciwne strony. Vivian poszła do szopy, a dzieci za nią. Mężczyzna zbliżył się do stosu poukładanego drewna na opał. To musi być Hardesty — pomyślała Leona.

Sprawiał wrażenie kogoś silnego, zdecydowanego i pełnego energii. Takie były pierwsze odczucia Leony. Wyglądało, że nie zwraca uwagi na pogodę. Poruszał się swobodnie w wysokim śniegu.

Zajął się swoją pracą. Układał drewno na niskim pieńku, brał siekierę i rozłupywał większe kawałki. Leona słyszała przez szybę świst siekiery i jęk drewna. Jego ruchy wydawały się naturalnie wkomponowane w zimny, mroczny pejzaż. Znowu i znowu opuszczał siekierę ze świstem. To fantastyczne — pomyślała.

Była w nim jakaś twarda, szorstka elegancja i godność. Powiesił kapelusz na sztachetach ogrodzenia, potem otarł czoło rękawem. Nie wiedział, że Leona go obserwuje. Oceniła, że jest mniej więcej w jej wieku, chociaż mógł być trochę

starszy. Jego brak samoświadomości uderzył ją. Zatrzymywał się na chwilę, uważnie spoglądał na drewno, potem zbierał się w sobie i wracał do pracy. Widziała jego wznoszące się ramię, zanim opuścił siekierę. Jego zwyczajna praca miała na nią jakiś hipnotyczny wpływ. Czasem wietrzna bryza przynosiła kawałki lodu i śnieg, ale on trwał nieporuszony, jakby wykuty w skale. Ruchy jego ramion stapiały się z naturalnym rytmem wiatru.

Potem Vivian i dzieci pojawiły się na nowo, idąc w stronę domu. Mark zebrał naręcze podpałki i dołączył do nich. Leona słyszała, jak drzwi kuchni zamykają się za nimi. Mówił coś do Vivian. Dochodził ją miły, niski tembr jego głosu.

Usłyszała zbliżające się kroki. Idzie tu — pomyślała Leona. Szybko się poderwała i ostry ból wybuchł na nowo w jej głowie. Spróbowała poprawić fałdy sukienki, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, już przeszedł przez próg. W ręku trzymał filiżankę parującej kawy.

— Powinnaś się trochę napić — powiedział. — Odrobina ci nie zaszkodzi.

Nie była przyzwyczajona do takich gestów. Zaniemówiła na chwilę. Jakie to przyjemne — pomyślała.

— To bardzo miło z twojej strony — zaczęła.

Próbowała popatrzeć na niego, ale pokój był tak mroczy jak wieczór za domem. Może biorąc jej wahanie za niechęć wycofał się do wyjścia, trzymając kapelusz w ręce.

Starała się podnieść i usiąść.

— Nie ruszaj się — powiedział. — Po prostu cieszę się, że czujesz się lepiej. Przeszliśmy niemało. — Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Jesteś pewnie Markiem Hardestym, sąsiadem Vivian.

— Tak jest — odrzekł. — A ty jesteś Leona. Trochę o tobie wiemy.

— Chciałam ci podziękować — powiedziała. — To ty mnie stamtąd wyciągnąłeś. Z Vivian.

— Tak, proszę pani — odparł, wpadając w formalny ton. — Proszę nie czuć się zobowiązaną do czegokolwiek. To była czysta przyjemność. — Potarł brodę takim ruchem jakby się nie ogolił. Jest prawie nieśmiały — pomyślała, ale była oczarowana jego zachowaniem i staroświeckimi manierami. Potem rzucił na nią spojrzenie swoich ciemnych oczu, i odniosła wrażenie, że chce coś powiedzieć. To trwało tylko ułamek sekundy. Wybąkał jakieś usprawiedliwienie, odwrócił się i odszedł. Długo o nim myślała. Potem Vivian przyniosła jej tacę z kolacją.

Bladoniebieski horyzont i niebo połączyły się w jedno. Owiewany silnym wiatrem dom zdawał się wolno poruszać po powierzchni planety, jakby czas się cofnął, a wszystkie grzechy i lęki zostały zapomniane. Oświetlona blaskiem księżyca do pokoju wkroczyła mała procesja. Dzieci jeszcze nie zdjęły z siebie kostiumów, w których się bawiły: pióropusze z kurzych piór na głowach, czarna przepaska na oku Waltera. Prowadziła ich Mamie, niosąc lampę naftową, która trzęsła się w jej małych dłoniach. Patsy popatrzyła na Leonę.

— Świętujemy — powiedziała uroczyście.

— Tak — odparła Leona. — Widzę, widzę.

Za nimi szła niska, starsza kobieta. Podpierała się laską z pozłacaną rączką. Jej głowa wydawała się mała i jakby skurczona. Przezroczysta skóra opinała jej kościstą twarz.

Dzieci nazywały ją Wesołą Babcią bo przy niej było zawsze wesoło. Powiedziały o tym Leonie. Potem Leona im powtarzała:

— To nie jest grzecznie dawać komuś takie imię. Dlaczego takie? Bo potrafi was rozśmieszyć?

— Czasem potrafi — odpowiedział Walter.

— Czasem się jej boimy — dodała Patsy.

— Dlaczego się boicie?

— Bo... bo ona robi dziwne rzeczy.

Wesoła Babcia pachniała tandetnymi, lawendowymi perfumami i to jej oczy i usta mówiły najwięcej o jej wieku. Czasem nosiła grube okulary. Jej oczy były jakby zatopione w głowie. Usta były puste. Tam, gdzie kiedyś były zęby, policzki zapadły się. Zwykle przesiadywała w swoim bujanym fotelu z rękoma założonymi na kolanach. Dłonie miała wielkie i sękowate. Leona myślała, że ukształtowały je lata pracy fizycznej.

Noc rozpinała się ponad ich domem jak ogromny namiot. Dzieci słuchały radia i grały w jakąś prostą grę w karty, której nauczyła je ciocia Vi. Grały w wojnę i zwariowane ósemki. Po zmyciu naczyń ciocia Vi dołączyła do nich. Zagadnęła i usiadła przy matce, chciała trochę odpocząć po pracy. Jej ręce były zaczerwienione i wciąż pachniały płynem do mycia naczyń. Po chwili rozprawiały z ożywieniem na tle odgłosów audycji radiowej.

Głosy kobiet stawały się łagodniejsze. Mówiły o swoim życiu i o losach innych ludzi, z którymi kiedyś połączył je przypadek. Rozwijały wśród nocy niewidzialne sieci wieczornych, zawsze tych samych wspomnień.

— Bessie Silk ożenił się z Clarence Hargis — powiedziała starsza kobieta.

— Tak — potwierdziła ciotka Vi. — I to był najsmutniejszy dzień jej życia. Nigdy już nie zaznała spokoju. Kiedy zamordowano jej drugiego syna, och, jak on miał na imię?

— Jacob... chyba? — Ich rozmowa zdawała się dotyczyć tajemnicy, niezwykłych pragnień i nadzwyczajnych cudów.

— Hollywood International Sterling ma zaszczyt przedstawić „Przygody Ozzie i Harriet", występują Ozzie Nelson i Harriet Hilliard — najpopularniejsza amerykańska młoda para.

Dzieci zachowywały się niezwykle delikatnie i cierpliwie wobec starszej kobiety. Rozdawały karty, które trzymała posłusznie w swoich zniszczonych dłoniach.

— Wesoła Babciu — Walter karcił ją żartobliwie. — Znowu oddałaś kartę. Nie mogę ci jej zabrać. Proszę, to ona.

Jakiś czas potem dwie kobiety słuchały Ozzie i Harriet, wciąż plotkując. Patsy złożyła karty i włożyła je do specjalnego pudełka podobnego do piórnika. Ktoś zmienił kanał radiowy.

— No, a Urban, ten brat Bessie, żył potem długo w Sandison w Ohio — powiedziała Vivian. — Sprzedawał materiały żelazne. Jeździł czerwoną ciężarówką. — Vivian starała się nie patrzeć na Leonę. Kiwała głową marszczyła brwi albo spoglądała w ogień. Tylko kiedy Leona była odwrócona, czuła na sobie jej ruchliwe niebieskie oczy. Parę razy, kiedy rzuciła spojrzenie w jej kierunku, zobaczyła, że Vivian odwraca głowę. Ona coś podejrzewa — pomyślała Leona. I poczuła ucisk w żołądku.

— Mortimer, jak to możliwe, że jesteś aż tak głupi?

— Hm... chyba mam szczęście. Tak sobie myślę.

Dzieci, nawet Mamie, śmiały się. Walter odwrócił się w stronę radia i powtarzał:

— Och, Mortimer — podnosił zabawnie ramiona. — Jesteś taki głupi.

Kiedy zegar wybijał ósmą, dzieci szły spać na poddasze. Wesoła Babcia kołysała się w swoim fotelu i długimi zgrubiałymi w stawach palcami gładziła okładkę Biblii. Parę minut później Vivian wróciła i starsza kobieta wzdrygnęła się.

— Wstyd mi za ciebie, mamo. To ja, twoja córka. To ja, Vivian. Otworzyła jedno oko.

— Zagrajmy jeszcze raz.

— Mamo...

— No, zagrajmy jeszcze raz, urwipołcie.

— Mamo, już czas się położyć.

— Nic z tego. — Zaczęła się kołysać jeszcze mocniej, a jej buty głośno uderzały o podłogę. Biblia zamknęła się z trzaskiem. — Widzisz, co zrobiłaś? Czy ja teraz znajdę miejsce dla siebie?

— Idź spać, mamo. Podnieś się, proszę. Jest już późno.

Wciąż kiwając głową, staruszka wzięła laskę, wymacała dłonią uchwyt i podpierając się wstała. Vivian wyszła razem z nią. Po chwili wróciła i usiadła z filiżanką kawy w ręce.

— Czy masz ochotę na odrobinę? — zapytała.

Leona uśmiechnęła się, ale odmówiła. Tykanie zegara i trzask palącego się drewna w piecu były jedynymi odgłosami zakłócającymi ciszę uśpionego domu. Vivian oparła łokieć na kolanie.

— Nie miej za złe mojej starej mamie — powiedziała w końcu. — Do tej pory nie miała się z kim bawić. Ale teraz czasem nawet nie wie, kim jest. Myśli, że widzi różne rzeczy i rozpoznaje tajemnicze znaki. Czasem myśli, że te dzieci są jej. Mówi, że będzie przychodziła do nich po śmierci. Ostatnio właśnie to najchętniej obiecuje różnym ludziom.

— To naprawdę nic takiego — powiedziała Leona.

Wiatr uderzył w szyby okna. Prawie nie podnosząc głowy Vivian popatrzyła w noc. Leona powędrowała za nią wzrokiem. Vivian powróciła do kawy.

— Nie obraź się, proszę, ale muszę cię o coś spytać. — Objęła dłońmi filiżankę. — Coś jest nie tak, prawda?

Zanim Leona zdołała wymyślić jakiś wykręt, Vivian wstała i spojrzała jej prosto w oczy.

— Te dzieciaki — powiedziała — one nie są twoje, prawda?

Serce Leony biło bardzo mocno. Badawcze spojrzenie inteligentnych niebieskich oczu. Co wie ta kobieta? Jeśli skłamie, Vivian i tak odkryje prawdę. Szybko szukała w kłębiących się myślach odpowiedzi, która by jej nie kompromitowała. Czas mijał i Leona zdała sobie sprawę, że nie może już dłużej milczeć. Łzy stanęły jej w oczach.

— Nie — powiedziała — nie są moje.

Vivian wciąż patrzyła na nią.

— Wiedziałam. — I jakby zażenowana szczerością Leony, spuściła wzrok. — Zbyt wiele rzeczy tu nie pasuje. Czyje więc są? W jakiś sposób twoje?

— Tak — powiedziała Leona, z trudem przełykając ślinę.

— A co z nimi zamierzasz zrobić?

— Zabieram je do domu. Na Święto Dziękczynienia. — Właściwie powiedziała prawdę.

Vivian zakołysała się przygryzając dolną wargę.

— No to ma jakiś sens — podsumowała. — Czy miałaś z nimi jakieś problemy?

Leona zamknęła oczy i oddychała bezgłośnie. O co teraz chodzi?

— Och, nie musisz mi mówić. To jest po prostu... Ciągle czegoś zapominam. Gdzieś kładę łyżkę, patrzę — już nie ma. Ciasteczka zniknęły, moja stara paczka papierosów. To drobiazgi. Trzymam kilka srebrnych dolarów w naczyniach w kredensie. I też ich nie ma. Powiedziałam o tym mamie. Wygląda na to, że ktoś przygotowuje się do małej wycieczki. — I dodała: — Albo ktoś planuje to w grupie. — Uśmiechnęła się.

Leona nie powiedziała już ani słowa. Patrzyła w noc, na malutkie lusterka na szybie. Vivian wyjęła z szafy koszulę i szlafrok. Zabrała swoją filiżankę i poszła do kuchni. Zaraz wróciła przebrana do snu. Jej cień odbijał się w oknie. Poprawiła poduszki i kołdrę.

— Och, Vivian — Leona przerwała ciszę. — Nie musisz czuwać przy mnie w nocy, czuję się lepiej. Powinnaś pójść do łóżka.

Przytrzymując dłoń nad oprawką lampy Vivian zdmuchnęła płomień.

— Kiedy pogoda się pogarsza, wolę spać przy piecu. W tamtym pokoju jest za zimno. — Ciemność rozjaśniał czerwonawy blask pieca. Podeszła do szafy. — Tak czy inaczej ta kanapka jest odrobinę połamana. Właśnie tak jak lubię.

Leona znowu zaprotestowała, ale Vivian jej nie posłuchała. Zapadła noc. Nieśmiało życzyły sobie dobrej nocy.

Powiało mocniej śniegiem. Zasypało wszystkie ślady. Byli bezpieczni. Nikt nas tu nie znajdzie — pomyślała Leona, i to była prawda. Nikogo na drodze, nikogo w obejściu. Przychodził tylko Mark Hardesty. Telefon nie działał. I jeśli Vivian i jej matka chciałyby podzielić się swoimi podejrzeniami z policją, to i tak nie mogłyby tego zrobić.

Nagle Leona uświadomiła sobie, że od chwili, gdy dowiedziała się o Emmie, jej sytuacja zmieniła się jak w kalejdoskopie. Chciała pozbyć się samochodu, i już go

nie miała. Chciała odpocząć i odpoczywała. Modliła się o jakieś bezpieczne miejsce, i znalazła schronienie. Ich życie — przerażenie i desperacja, strach i ucieczka bez końca — wszystko zredukowało się do tego jednego domu z trzaskającym ogniem w piecu, słuchaniem radia, dziećmi bawiącymi się w tych przestronnych pokojach, śmiechem i spokojem. Jak długo to może trwać?

O jedenastej Leona znowu usiłowała zasnąć. Podciągnęła kołdrę pod samą szyję i wpatrywała się w żółtawy mrok, czekając, wbrew logice i rozsądkowi, na wynurzającego się z kuchni szaleńca i palące ślepia czarnego psa.

ROZDZIAŁ 15

„To jest program Arthura Godfreya. Arthura jeszcze nie ma". — Muzyka. Kuchnia i duży pokój wypełniało jasne światło. Dzieci kończyły śniadanie. Ciocia Vi zaniosła tacę Leonie.

— Bardzo lubię Arthura Godfreya — powiedziała. — Ale to tak mnie zajmuje, że spóźniam się z robotą. Tak to jest. Czy słyszałaś jak opowiadał o kondukcie żałobnym F.D.R.? Mówię ci, wysiadłam, kiedy zaczął płakać.

Leona powiedziała, że o tym nie słyszała, a Wesoła Babcia spytała:

— Czy F.D.R, nie żyje?

Vi wytłumaczyła, nie wiadomo który raz z rzędu, że stało się to dobrych parę lat temu i że staruszka zapomniała.

Farma była dla dzieci czymś, czego nigdy wcześniej nie widziały, źródłem niezliczonych i niezwykłych miejsc i przygód. Do tej pory nie miały pojęcia, co znaczy budzić się na chłodnym poddaszu i schodzić po skrzypiących schodach na dół, do ciepłej kuchni. W kuchni spędzały najwięcej czasu. Tutaj bawiły się całymi godzinami i stąd Mamie zabierała różne przedmioty.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to robiła. Lubiła przecież ciocię Vi. Coś ją do tego zmuszało. Jakby pragnęła cofnąć czas i stać się znowu taką, jaką była w domu, z Shermanem. Tego poranka przez szklane ściany słoja z różnymi drobiazgami zobaczyła małe zdjęcie w złotej oprawie. Malutkie zdjęcie mężczyzny i kobiety. Chciała to mieć.

Patsy i Walter grali w bierki na stole kuchennym, a trzy kobiety wciąż rozmawiały o F.D.R.

— On duchem zleciał z nieba — powiedziała Wesoła Babcia. — Jego dusza mówiła do mnie.

Odwrócona Mamie uchyliła drzwiczki kredensu. Popatrzyła do tyłu na duży pokój. Z radia dochodził głos. „Jak się mamy? Jak leci? Jak życie?" Zagrały bałałajki. Mamie delikatnie przekręciła pokrywkę słoika.

— Hej — Walter zwrócił się do Patsy. — Ona oszukuje.

Spiker mówił: „A teraz ostatnie wiadomości międzynarodowe. Jest środa rano osiemnasty listopada..."

Mamie cofnęła rękę i powoli obróciła się na palcach. Nie słyszała nic więcej. Osiemnasty listopada. To moje urodziny — pomyślała. A nikt o nich nie wie. Pamiętała ostatnie urodziny, jak na nie czekała.

— Oszukujesz — powtórzył Walter i nagle oderwał się od gry. — Ciociu Vi — płakał, drepcząc do dużego pokoju. — Patsy oszukuje. Ona nie gra uczciwie.

Mamie podeszła do Patsy. Uderzyła się obiema rękoma w kolana.

— Patsy, no zgadnij, co!

Wzruszyła ramionami.

— Patsy, dziś są moje urodziny. Dzisiaj. Mam osiem lat. — Kiedy Patsy spojrzała na nią obojętnie, Mamie wyszeptała: — Kiedy przyjdzie ciocia Vi, powiedz jej. A potem udawaj, że nic nie wiesz. Chcę, żeby to była niespodzianka.

— Jak się czujesz? — Vi zapytała Leonę. — Chcesz usiąść? — Było południe. Wszystko migotało w świetle dnia.

— Tak — przytaknęła Leona. — Tak myślę. Jeszcze wszystko mnie boli, ale już mogę zebrać myśli. — Próbowała przesunąć się do brzegu łóżka.

— Nie, nie, jeszcze nie teraz — powiedziała Vi, idąc w jej stronę. — Coś się dzieje.

— Co? — zapytała z niepokojem Leona.

— Szszsz — Vi przyłożyła palec do ust. — Nie podnoś się. — Podsunęła fotel bliżej i szybko usiadła na jego brzegu. — Nie chcę, żeby usłyszeli. — Popatrzyła szybko w stronę kuchni. — Ta mała dziewczynka, blondynka, powiedziała, że dzisiaj są jej urodziny. Ma już osiem lat.

— Mamie?

— Y-hy. Tak jest.

Ostrożnie, żeby się nie zdradzić, Leona pomyślała chwilę nad odpowiedzią.

— Nie myślałam o tym. Ale to chyba prawda. Nie wszystko pamiętam.

— No tak, łaskawa pani — zaczęła podekscytowana Vi.

W tej chwili Walter wbiegł do pokoju.

— Czy mogę dostać jeszcze jedną kanapkę?

— A pewnie, że tak — odrzekła Vi. — Za chwilkę. Zaraz idę do kuchni.

— Patsy też chce.

— To jej zrobię, możesz jej powiedzieć. — Odwróciła się do Leony. — Więc musimy coś postanowić. Byłoby grzechem przegapić takie święto. — Uśmiechnęła się. — Szczególnie że przeżyła tyle nieszczęść.

— No pewnie — zgodziła się Leona. — Ale Vi... ja nie mam nic, co mogłabym jej dać. Nic, co chciałaby taka dziewczynka na prezent urodzinowy.

— Ja się tym zajmę — powiedziała Vi. — Mam pewien plan, ale musisz mi pomóc, jeśli dasz radę. A teraz — zerknęła w kierunku kuchni — zaraz wyślę je na podwórko. Będziemy na przykład... na przykład ulepimy bałwana. Mark obiecał, że pomoże. Więc kiedy będziemy przed domem, czy mogłabyś przygotować ciasto?

A kiedy Mark będzie się z nimi bawił, ja przyjdę i upiekę. Tylko powiedz, dasz radę to zrobić?

— Tak. Jeśli zdołam dojść do kuchni, to zrobię wszystko.

— Dobrze. Ona nic nie wie i to będzie niespodzianka.

Vi wyszła. Po chwili wróciła. Stojąc w progu mówiła coś do dzieci, potem odwróciła się do łóżka. W fartuchu ukrywała pudełko po cygarach. Pudełko, które, jak się okazało, było pełne małych zabawek i upominków: piłeczka do gry w jo-jo, stara biżuteria, głowa lalki, parę kart z talii, błyszcząca, całkiem nowa blaszana harmonijka ustna i inne drobnostki.

— Zbierałam to od dawna — powiedziała Vi. — Mój kuzyn Emery kiedyś przychodził tu z dziećmi, więc to dla nich zbierałam. Potem przeniósł się do Arkansas. I... myślisz, że to się jej spodoba?

— Nie wiem — zawahała się Leona. — Myślę, że tak. Tyle tu rzeczy. Zabierze jej trochę czasu, żeby wszystkie obejrzeć.

— No, to postanowione. Znajdę tylko jakiś papier, żeby to zawinąć. Ty jej to dasz.

— Ale Vi. Ja nie mogę tego zrobić. To przecież od ciebie. Ja pomyślę o czymś innym.

— Nic z tych rzeczy. O nie, łaskawa pani. To powinna dostać od ciebie. — Vi zamknęła pudełko po cygarach i położyła je na łóżku Leony. Mrugnęła znacząco i poszła do kuchni.

Przebierając palcami po pudełku z upominkami, Leona otworzyła je i przerzuciła kilka drobiazgów — ozdobna broszka, sztuczny pączek jakiegoś kwiatka. Nie miała pojęcia, czy Mamie spodobają się takie rzeczy. Gdyby byli w innej sytuacji, dałaby jej coś nowego i wspaniałego — rower albo małego pieska. Ale tutaj nic nie mogła zrobić. Nie mogła też urazić Vi swoją odmową. Może powinna zawinąć jedną z sukienek, które kupiła Mamie przed wyjazdem. To mógłby być prawdziwy prezent.

Leona usłyszała, jak wychodzą. Kiedy usiadła, poczuła silne pulsowanie w głowie. Prawie zemdlała. Poczekała, aż ból zelżeje, i wstała. Czuła się okropnie. — Nie jestem z nimi tak związana, jak myślałam — mruczała pod nosem. Przyciskając dłoń do pękającej głowy, ruszyła do kuchni. Przystawiła krzesło do kredensu, usiadła i trzymając misę na kolanach, zaczęła mieszać składniki na ciasto. Naprawdę nie powinnam jeszcze wstawać — pomyślała.

Dom był cichy. Staruszka poszła do swojego pokoju na popołudniową drzemkę. Minuty ciągnęły się jak we śnie. Bolesne pulsowanie rozsadzało czaszkę Leony. Pragnęła jednak mieć swój wkład w urodziny Mamie. To było najważniejsze.

Przez okno widziała trójkę dzieci. Razem z Vi lepiły bałwana. Dobiegały ją radosne okrzyki. Kiedy wymieszała wszystkie składniki, zobaczyła, że ciasta jest za dużo. Zastanawiała się, co mogła zrobić źle. Jakie ciasto chciała upiec Vi? Ale nie miała ani czasu, ani siły, żeby długo nad tym myśleć.

W pewnym czasie zdała sobie sprawę, że głosy na dworze ucichły. Podniosła głowę. Mark Hardesty rozmawiał z Vi, a dzieci poruszały się wokół nich, jakby w rytualnym tańcu. Patrząc na nich, miała wrażenie, że ogląda film z wyłączoną fonią. Hardesty odwrócił się i porwał Mamie na ramiona. Wziął rączkę Patsy i zniknęli wśród drzew, z Walterem biegnącym przodem. Jak oni do siebie pasują — pomyślała Leona. Jacy są szczęśliwi.

Kiedy Vi weszła do kuchni, Leonie wydawało się, że głowa pęknie jej z bólu. Kobieta podtrzymała ją żeby nie upadła.

— Ależ Vi — Leona opierała się. — Już wszystko w porządku. To przecież jej urodziny. Nie mogę tego przegapić.

— Nie martw się — uspokoiła ją Vi. — Nikt o tobie nie zapomni.

— Gdzie on je zabrał?

— Och, naopowiadał im o tych niewidomych rybach. To kupa bzdur, ale spodobało się im. I postanowił, że pójdą je zobaczyć.

— Czy one naprawdę są niewidome?

— Oczywiście, że nie. Kto to słyszał o takich rzeczach?

* * *

Usłyszała szuranie i odgłos szybkich kroków. Otworzyła oczy. Naprzeciwko łóżka, na krześle od fortepianu stał tort urodzinowy, składający się z czterech warstw z cukrową polewą na wierzchu. Było w nim osiem małych różowych świeczek.

— Obudziła się — powiedział Walter. Nie wystawał dużo nad poziom ciasta. — Patsy, biegnij powiedzieć cioci Vi, że się obudziła.

Patsy wybiegła z pokoju. Przy Walterze stała Mamie, a za nimi, w fotelu, siedziała Wesoła Babcia. W głębi pokoju, przy piecu stał Mark Hardesty, jak wielka ciemna kolumna. Był półmrok. Świeciła się tylko jedna lampa naftowa na fortepianie. Leona nie widziała go wyraźnie, ale wiedziała, że patrzy na nią. Czuła się lepiej. Vi podeszła do niej i poprawiła poduszki, żeby mogła usiąść. Czuła jeszcze lekkie pulsowanie w skroniach. Przesuwając się, poczuła coś przy biodrze pod kołdrą. To było pudełko dla Mamie. Vi ukryła je tam, kiedy spałam — pomyślała.

— Wyglądasz o wiele lepiej — odezwała się Vi.

— Tak. Spałam. Która godzina?

Dzieci się niecierpliwiły.

— Czy nie trzeba zapalić nowych świeczek? — zapytał Walter.

— To są stare świeczki — powiedziała Patsy i szturchnęła go łokciem. — One były używane.

Vi wyjęła z kieszeni swetra pudełko zapałek.

— Wzięliśmy stare świeczki, ale mamy za to duży tort. — Popatrzyła na Marka. — Czy mógłbyś zapalić świeczki? Czas zacząć ceremonię. Zobacz, nie mogą się już doczekać.

Leona spojrzała na Mamie. Dziewczynka uśmiechała się promiennie. Hardesty

podszedł do nich i zapalił zapałkę. Pochylając się nad dziećmi i osłaniając dłonią płomień, zapalał po kolei wszystkie osiem świeczek. Przypalał knot i czekał, aż płomień się ustabilizuje, potem zapalał następną. Małe płomyki oświetlały jego twarz.

Leona spojrzała na niego, był taki surowy i męski. Żadnych śladów dzieciństwa... Był chudym, twardym mężczyzną. Zauważyła, że ma zniszczone ręce.

— Słyszałam — odezwała się, kiedy zapalał ostatnie świeczki — że masz niewidome ryby.

— To prawda — odpowiedział. Nie zdążył dokończyć. Dzieci przerwały mu, krzycząc jedno przez drugie.

— Tak, tak — wołał Walter. — Daliśmy im ziarna kukurydzy.

— Tak, tak. Potem uciekły do swojej kryjówki — dodała Patsy.

Leona zauważyła, że wszyscy patrzą wprost na nią.

— Jestem pewna, że to się podobało — powiedziała i spojrzała na Marka. — Pewnie czujesz się bardzo szczęśliwy? No, jeśli masz taką hodowlę.

— To jest coś takiego, co każdy powinien zobaczyć — odrzekł Hardesty. Wciąż się uśmiechał. Mrugnął, zabierając zapałki, i cofnął się. Jego twarz zniknęła w cieniu.

Wszyscy zwrócili się w stronę Mamie i tortu z ośmioma świeczkami.

— Teraz pomyśl jakieś życzenie — zarządziła Patsy.

— Ale najpierw zamknij oczy — nakazał Walter.

— Wiem, jak to się robi — powiedziała Mamie.

— Szybciej — poganiał ją Walter — bo zaraz same zgasną.

— Pozwól Mamie to zrobić, a my zaśpiewamy — odezwała się Leona. Zaintonowała „Sto lat", włączyła się Vi. Patsy i Walter nucili pod nosem, przypatrując się z uwagą, jak Mamie pochyla się nad ośmioma żółtymi świeczkami i zdmuchuje je za jednym razem.

— Jakie było twoje życzenie? — zapytała Patsy.

— Nie mów jej — przerwał Walter. — To ma być tajemnica.

— No, zabieramy się do tortu — odezwała się Vivian. — Starczy dla wszystkich. Patsy, pomożesz mi rozłożyć talerze, a ty, Walterze, możesz przynieść widelce.

Świeczki dymiły, a wokół każdej tworzył się obłoczek białe pary. Żeby nie upadły i nie rozpłynęły się w polewie tortu, Leona chciała je wyjąć. Mamie nie pozwoliła jej tego zrobić.

Mark Hardesty zauważył reakcję Mamie i wyraz cierpienia na twarzy Leony. Mamie pozwoliła zabrać świeczki dopiero Viviane.

Kawałki tortu szybko znalazły się na talerzykach. Kiedy Mamie spróbowała swój kawałek, Leona powiedziała:

— Mamie, tu jest prezent dla ciebie... od cioci Vi i ode mnie.

Wyjęła zapakowane pudełko po cygarach.

— Widziałam światło ze wschodu w blasku chwały — powiedziała Wesoła Babcia.

Vi zapakowała pudełko w aluminiową folię. Mamie wzięła je od Leony i usiadła na podłodze.

— Jakie to ciężkie — szepnęła.

Podpełzli do niej podekscytowani Patsy i Walter.

— Ciekawe, co to jest? — dopytywał się Walter.

Mamie przedarła opakowanie.

— Tu jest wszystko — odezwała się po chwili. — Tu jest wszystko. Zobaczcie.

Vi pochwyciła spojrzenie Leony, skinęła głową i powiedziała:

— Mamie powinna się tym podzielić.

Dziewczynka posłusznie podała Walterowi jo-jo, a Patsy harmonijkę. Dzieci podziwiały skarby. Vi zebrała talerzyki. Kiedy podeszła do Marka, powiedział, że musi już iść. Poszli do kuchni. Nagle przenikliwy krzyk rozdarł powietrze, jak nóż rozrywający serce. Leona podskoczyła na łóżku, Vi i Mark wrócili do pokoju. Wesoła Babcia rzuciła się do przodu. I wtedy Mamie znowu krzyknęła. Upominki wypadły z pudełka. A ona biegała po pokoju. — Zobaczcie! — krzyczała.

— Zobaczcie! Och, patrzcie! Patrzcie! — Łzy leciały jej z oczu. — Patrzcie, to jest pierścień Toddy'ego! To jest pierścień Toddy'ego!

Biegała od jednego do drugiego, trzymając uniesiony wysoko w górze metalowy pierścień w kształcie czaszki ze szklanymi oczami.

— To jest pierścień Toddy'ego! — Zatrzymała się na jedną chwilę i wykrzyczała:

— Ten pierścień podarował mi Toddy. To jest pierścień Fantomasa.

Pokazała go Vi, Hardesty'emu i Wesołej Babci. Płakała i ocierała łzy. Pokazała swój skarb Patsy i Walterowi. Obróciła się i zatrzymała przed Leona. Mamie szlochała. Zakryła twarz dłońmi, a kiedy odsunęła ręce, jej policzki błyszczały od łez. Przełknęła.

— Och, dziękuję — powiedziała do Leony. — Gdzie to znalazłaś?

Mamie nie czekała na odpowiedź. Nie była jej potrzebna. Leona nie mogła wykrztusić słowa.

— To jest pierścień mojego Toddy'ego, ten... który on wyrzucił. — Wytarła łzy i odwróciła się do Patsy i Waltera, wsuwając pierścionek na palec. — Zobaczcie. Można go regulować.

Leona nie mogła oderwać od niej wzroku. Po raz pierwszy w oczach Mamie było coś ciepłego.

— Myślę, że ona go lubi. Widziałeś, jak na niego patrzyła? Może zostaniemy tu na zawsze? — zastanawiała się Patsy.

— Lubię go — odpowiedział Walter. — Wygląda całkiem jak nasz tata.

— Nie, na pewno nie. Przestań tak mówić. On wygląda jak ktoś inny.

— Jak kto?

Toddy jest takim dobrym chłopcem, panie Abbott. Naprawdę potrafi się uczyć... Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak on bardzo cierpi...

Mamie zapamiętała te słowa. Pamiętała też tamtą noc. Gdzie jest Toddy? — pytała Shermana. — Idzie z nami? — A wtedy Sherman odpowiedział: — Śpi na górze, wszystko w porządku. — Ale nic nie było w porządku. Już nic nie było w porządku. Tej nocy wspominała Toddy'ego. Jego słowa. Mówił, że nie potrafi przestać myśleć o Shermanie. Cichutko leżała na łóżku. Płakała i ściskała pierścień Fantomasa w dłoni. Rok temu Toddy podszedł do niej z pudełkiem po spinkach do mankietów. W środku ukrył ten pierścień. Nikt oprócz niego nie pamiętał. Czuła, że minęły wieki.

W końcu ukryła głowę w poduszce, żeby nikogo nie zbudzić. Będzie musiała długo czekać, bo aż do rana, żeby ześliznąć się schodami na dół i oddać rzeczy cioci Vi: guziki, szpilki, agrafki i srebrne dolarówki.

Miała osiem lat. Odzyskała swój pierścień. Leona jej go dała.

ROZDZIAŁ 16

Wczesny ranek.

Skrzypnęły zawiasy.

Leona otworzyła oczy. Słabe światło padało na zaciągnięte zasłony. Co to było? — przestraszyła się. Jej wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, ale po paru sekundach zauważyła, że nie ma w tych odgłosach niczego nadzwyczajnego. Potem usłyszała kroki. Były za ciężkie i zbyt zdecydowane, by mogło to być któreś z dzieci. Ktoś był w domu. Oblała się zimnym potem. — Och nie... nie — mówiła cicho, próbując odpędzić natrętne myśli. Ale kto inny mógłby tak hałasować? Vivian spała głęboko. Leona zasłoniła twarz ramieniem. Zza rękawa mogła zobaczyć tylko część pokoju.

Ciemna postać zatrzymała się przy oknie. Stała w cieniu. Pewnie tak samo było z Emmą. Zamazany kształt, cień rzucany przez cień. To on! — pomyślała. Znalazł nas. Stoi tak bardzo cicho. Jej serce waliło w piersi. Myśli o Emmie mroziły jej serce. Spojrzeniem przeszukiwała pokój, by znaleźć coś, czym będzie się mogła się bronić. Nie znalazła niczego. I wtedy przypomniała sobie o torebce ukrytej za łóżkiem i pomyślała — gdybym tak mogła sięgnąć po pistolet.

Blade poranne światło majaczyło w półmroku, tworząc na ścianach świetlne prostokąty. Jakby patrzyła przez koronkową wstęgę. Zastanawiała się, czy on ją widzi wyraźniej niż ona jego. Zadecydowała, że musi zaryzykować.

Bardzo wolno przesunęła rękę pod kołdrą do końca zimnego brzegu prześcieradła i opuściła palce. Myślała — jeśli podejdzie... jeśli zobaczy co robię, będzie szybszy. Poruszył się. Zapalił papierosa. Zobaczyła nikły płomień. Skoncentrowała się na miarowym opuszczaniu ręki. W końcu jej palce dotknęły górnej części torebki. Bardzo ostrożnie otworzyła zamek, jeden, potem drugi. Torebka była otwarta.

Wyrzucił papierosa.

Podnosząc się odrobinę, wciąż zakrywając twarz, przeszukiwała wnętrze torebki. W końcu znalazła pistolet, chwyciła jego rączkę i wolno wycofała ramię. Jej ręka powróciła do poprzedniej pozycji, broń ukryła pod kołdrą. Wyglądało to tak jakby po jej łóżku wędrował kret. Podciągnęła pistolet blisko boku — w tej pozycji

mogła nim manipulować już bez obawy, że jest to widoczne. Potem cień cofnął się o krok i zawrócił. Zamknęła oczy. Jeśli usłyszy zbliżające się kroki albo wyczuje jego obecność — zabije go. Prosty strzał spod kołdry.

Próbując zachować spokój odbezpieczyła broń. W tym czasie słyszała, jak się porusza, nic więcej. Poczuła jego bliską obecność. Trzymała palec na cynglu. Na sekundę otworzyła oczy. Zobaczyła rozmazany kształt jego dłoni tuż przy twarzy. Nie mogła się poruszyć, nie mogła krzyknąć. Potem przewracając się, przesunęła się jakby we śnie. Jego rękaw mignął, zapadając się w ciemności wejścia do pokoju.

Pistolet zadrżał w jej dłoni. Usłyszała otwierające się i zamykające drzwi wejściowe, podwójny głuchy zgrzyt zawiasów. Przerażona badała niepewną ciemność. Odetchnęła wreszcie i usiadła na łóżku. Teraz była bezpieczna. Nie potrafiła jeszcze pojąć tego, co się wydarzyło. Przy poduszce leżało pudełko zapałek, ogrzane ciepłem jego ręki. Odłożyła pistolet. Podniosła małe prostokątne pudełeczko, odwróciła je i otworzyła. Patrzyła. Dopiero po chwili zrozumiała — malutki pączek kwiatu wielkości półdolarówki. Co... O Jezu!

Podeszła do okna. Trzęsąc się, podniosła zasłonę i zobaczyła Hardesty'ego. Szedł koło drzew w stronę swojego domu. Widziała biały obłoczek jego oddechu.

O Boże! O Boże! To był Hardesty! Prawie do niego strzeliłam! Nie skrzywdziłabym go nigdy! To było tak blisko! Rozpłakała się.

Jeszcze długo po tym jak zniknął z pola jej widzenia, wpatrywała się w ciemną plamę drzwi. Wciąż dotykała kształtów rzeźbionego pączka leżącego na jej otwartej dłoni. Wyglądał tak niewinnie. To, co się stało przed chwilą, wydawało jej się nierealne, niemożliwe i nieprawdopodobne.

Muszę z tym skończyć — pomyślała. Nie mogę tak żyć! Muszę to przerwać! Muszę, zanim zrobię coś strasznego! Wytarła oczy palcami. Tu nas nikt nie skrzywdzi.

Nie mogła prawie patrzeć na pistolet. Szybko wsadziła go z powrotem do torebki i zamknęła ją na oba zamki, a potem wepchnęła głęboko za łóżko. Dopiero wtedy wrócił jej spokój.

Opanowała się. Mogła już kontrolować całą sytuację, jak zawsze w ostatnich tygodniach. Jej nogi trzęsły się jeszcze ze strachu. Przytrzymała się filaru łóżka, potem oparła się o framugę okna. Cicho podniosła zasłony i zimowe światło zalało mroczny pokój. Wkrótce to światło miało obudzić Vi. Początek nowego dnia. Na palcach podeszła do dużego lustra w szafie.

Jej obraz był przygnębiający. Wyglądała blado, szpecił ją bandaż opasujący głowę. Niechętnie patrzyła na swoje odbicie. Jednak poza słabym cieniem pod okiem, jej twarz nie nosiła już śladów tego, czego tak niedawno doświadczyła.

Dlaczego to zrobił? — wciąż się zastanawiała. W przechylonym lustrze widziała pudełko po zapałkach i wyrzeźbiony pączek — wciąż leżał na poduszce, tam gdzie go zostawiła. A jeśli on wróci? Natychmiast zapragnęła wyglądać lepiej, tak jak

kiedyś. Znalazła coś w rodzaju agrafki, którą był spięty bandaż. Odpięła ją i zaczęła odwijać gazę.

Vivian usiadła na łóżku i przetarła oczy.

— Nie powinnaś tego robić. Za wcześnie, żeby to zdejmować.

— Tak — powiedziała wesoło Leona. — Wiem. — Zaśmiała się cicho do siebie, kiedy skończyła z bandażem. — Ale czy widziałaś mnie wcześniej? Nie mogę tak leżeć i nie zwracać uwagi na to, jak wyglądam. Muszę o siebie zadbać.

Słysząc wesołość w głosie Leony, Vivian uśmiechnęła się.

— No tak, to jest twoja głowa. Tylko głupi mógłby myśleć, że ci się to podoba. — Wzdrygnęła się zabawnie i ciągnęła: — Następna rzecz to mycie. Wiem, że chciałabyś wyglądać lepiej.

— Tak — Leona odwróciła się. — Chciałabym umyć włosy.

Zdjęła ostatni bandaż. Wysoko na jej czole, blisko linii włosów była blizna długa na kilka centymetrów. Pięć równych szwów zamykało ją dokładnie. Skóra była trochę posiniaczona, ale prawie cała opuchlizna już zeszła. Pod palcami wyczuwała ranę. Jeśliby ułożyła starannie włosy, niczego nie byłoby widać.

Vi spieszyła się. Zawiązała fartuch. Nastawiła radio — posłuchała prognozy pogody i zmieniła stację. Kiedy rozpoczęła się audycja Arthura Godfreya, było już jasno. Przez chwilę Leona pozwoliła sobie być frywolną. Myślała o Hardestym. Może przydałby się makijaż? Vi położyła na stoliku ręcznik, gąbkę, mydło i szampon. Wypełniła balię wodą i postawiła ją obok pieca, blisko łóżka Leony.

— To jest wanna, o której mówiłam — uśmiechnęła się. — Niech trochę ostygnie. — Wróciła do kuchni i przyniosła małe wiaderko z wodą. — Woda do płukania. — Zaciągnęła zasłony i wytarła ręce o fartuch. — Tu nikt nie będzie ci przeszkadzał. Dzieci są w swoim pokoju i obiecałam im, że pójdziemy razem nakarmić kury. Trochę pobędą ze mną, więc nie musisz się śpieszyć.

A potem on tu będzie — pomyślała Leona.

Minęło prawie pół godziny, zanim usłyszała, że wychodzą. Trochę niepewnie stojąc na nogach, podniosła rąbek zasłony i popatrzyła na ciepło ubrane dzieci. Rozbiegły się po podwórku. Odwróciła się, lekko zanurzyła gąbkę w wodzie i przytrzymała ją — wilgotną i parującą — przy twarzy. Poczuła błogie ciepło. Różowa kostka mydła była tak stara, że jej brzegi pobielały. Myła twarz, szyję, wciąż bolący kark. Wyobraziła sobie zawinięte w chusteczki porcelanowe pudełko, które Vivian dostała dawno temu, jako prezent od nieproszonego gościa. Vivian stłukła delikatną porcelanę. To było wzruszające i słodkie, ale trochę smutne.

Usłyszała głośne krzyki i szybko podbiegła do okna. Bawili się w śnieżki. Mamie, Patsy i ciocia Vi kryjąc się za stertą drew obrzucały śnieżkami Waltera i Marka Hardesty'ego. Więc wrócił. Teraz chciała przyjrzeć mu się dokładnie, ale wyjrzało słońce i śnieg odbijał jego promienie, tak że musiała mrużyć oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Hardesty lepił śnieżki, mówiąc coś do Waltera. Pokazała się Vi. Nagle jedna z kul Hardesty'ego rozbiła się na jej głowie. Jej starą czapkę porwał wiatr. Cofnęła się wstydliwie i śmiejąc się pogroziła pięścią Markowi.

Śnieżki fruwały w powietrzu. Potem Mamie pobiegła za czapką Vi. Śnieg był głęboki. Uważaj — myślała Leona — uważaj, szybciej! Mamie chwyciła czapkę w tej właśnie chwili, kiedy Hardesty wybiegł zza starej przyczepy i porwał ją na ramiona. Śmiali się oboje. Jest taki bezpośredni — pomyślała Leona, niczego nie udaje.

Odeszła od okna i wzięła głęboki oddech. W końcu Mamie zaczęła mówić. Dzięki Bogu. Ten uśmiech... — przypomniała sobie jej uśmiech, jak ona się do mnie uśmiecha! Kto by pomyślał, że taki mały pierścionek może wszystko zmienić?

— Walterze, uważaj na kaczkę — krzyknął Hardesty i roześmiał się.

Co ja tu robię? Potrząsnęła bawełnianą koszulą Vivian. Chwyciła jej końce i związała w luźny węzeł na biodrach. Myła ramiona i piersi, jej sutki twardniały pod szorstką powierzchnią gąbki.

Od czasu do czasu kąpiąc się zerkała na swoje odbicie w długim lustrze. W końcu podeszła do zwierciadła. Rozluźniła koszulę na biodrach i pozwoliła jej się zsunąć na podłogę. Zadrapania i siniaki na jej brzuchu i talii tworzyły żółte i szare smugi. Nieczęsto patrzyła na swoją nagość i nigdy przedtem w obcym miejscu. Przyglądała się sobie uważnie i zadecydowała, że jest wciąż ładna i ma niezłe kształty. Wyglądasz na zaniedbaną — pomyślała — i to ci się wcale nie podoba. Ale nie jest tak źle. Słyszała śmiech dochodzący z zewnątrz.

Pochylając się nad wanienką, moczyła włosy strumieniem wody, myła je szamponem, potem stojąc chwyciła wiaderko i spłukała białą pianę. Mydło lekko szczypało w oczy. Odstawiła wiadro i sięgnęła po ręcznik. Usłyszała zbliżające się dzieci, Vivian i Marka. Chwyciła ręcznik i wytarła oczy, potem osuszyła całe ciało i obwiązała włosy ręcznikiem. Światło słoneczne przemieniło zasłony w bogato rzeźbione brązowe tarcze. Otworzyła walizkę, wyjęła z niej ubranie i szybko je nałożyła. Kiedy tak stała wyprostowana, w jednej chwili poczuła się lepiej, nabrała pewności siebie.

Chciała popatrzeć na Hardesty'ego, ale nie chciała, by ktokolwiek to zauważył. Z włosami owiniętymi ręcznikiem podeszła do drzwi i otworzyła je cicho. Stała tam szukając pretekstu, żeby wejść do kuchni. Spojrzała na niego. Był odwrócony od niej, rozmawiał z dziećmi. Widziała tylko jego ramiona i tył głowy — ciemne kręcone włosy, ciemniejsze niż jej, ledwo dotykające brzegu kołnierza kurtki.

Walter zobaczył ją a ona nakazała mu gestem, by podszedł.

— Masz rozwiązany bucik — powiedziała. — Zaraz coś na to poradzimy. — Pochyliła się i zaciągnęła mocno sznurowadło. Zawiązała końce i podniosła głowę. Spojrzała na Hardesty'ego. Odwrócił się i ich oczy spotkały się na ułamek sekundy.

— Już chyba dobrze — powiedział Walter. Poruszył nogą, a ona ukryła uśmiech patrząc na niezgrabną kulkę węzełka na węzełku, które przed chwilą zawiązała myśląc o czymś zupełnie innym. Podniosła się i wyszła. Poczuła nagłe podniecenie. To być nie może — pomyślała.

Rankami i wieczorami Mark przychodził na farmę. Obserwowała go stojąc w oknie, widziała, jak przechodził pod drzewami orzechowymi za ogrodzeniem i słyszała, jak wchodził domu. Zawsze miał na głowie ten sam kapelusz — brązowy, z szerokim rondem, krótką kurtkę w kolorze khaki i zielone gumowce, które sięgały mu do kolan. Jego koszule były zawsze czyste i uprasowane, włosy starannie przyczesane, każdego ranka był świeżo ogolony. Zawsze wesoły i spokojny. Siadał na starym kuchennym krześle, mieszał kawę i bawił dzieci kolejną barwną opowieścią. Pewnego popołudnia pokazywał całej trójce, jak się bawić kulkami leżącymi na białym obrusie. Patrzyła wtedy na niego.

Kiedyś, lata temu, prawie wychodziła za mąż. Prawie kupowała suknię ślubną. To było długo po tym jak kochała Alfreda. Piąty rok pobytu u Merchassenów, wtedy właśnie go spotkała. Właściwie to on odkrył w niej kobietę. Nazywał się Jack Wilkinson i przychodził do gabinetu doktora. Sprzedawał medykamenty. Przyjeżdżał zwykle wieczorem i zabierał ją do kina albo na kolację. Miał pieniądze i, jak mówił, potrafił zatrzymać czas.

Na początku myślała, że jest żonaty. Pewnej nocy przeszukała mu portfel, kiedy spał. Ale niczego nie znalazła. Nigdy nie zachowywał się jak żonaty mężczyzna, nigdy się nie śpieszył, nigdy nie musiał być gdzieś na określoną godzinę. Po kinie zawsze gdzieś jechali i zawsze wpadali gdzieś na drinka. Lubiła go najbardziej za to, że potrafił słuchać. Słuchał każdego. Kiwający się na krzesłach pijacy znajdowali w nim wytrwałego słuchacza. Kiedy go pytała, dlaczego ich słucha, powiedział:

— Oni wszyscy mają coś własnego do opowiedzenia. Zawsze się czegoś uczę. — Ale to było nie tylko to — on po prostu lubił tych ludzi i martwił się o nich. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie pochodzi z takiego środowiska, i w ten sposób wspomina młodość. Nie znała odpowiedzi.

Kochała go właśnie za to. Teraz, z perspektywy czasu, myślała, że kochała go tylko za to. Wynajmowali pokoje w podrzędnych hotelach. Nie potrafiła się mu oprzeć. A zakończyło się tak, jak przeczuwała. Po prostu przestał przyjeżdżać. Zniknął. Chciała go jeszcze spotkać i przekonać się, czy zgodziłaby się jeszcze raz jechać z nim samochodem z otwieranym dachem i szukać jakiegoś pokoju na godziny. Ale nigdy nie miała okazji się o tym przekonać.

Nie była przygotowana na spotkanie kogoś takiego jak Mark Hardesty. O czymś podobnym śniła w marzeniach wiele lat temu. Pragnęła szczęścia z mężczyzną. Takim jak on. Jego obecność była dla niej jak ciepły ognik rozświetlający długą i bardzo ciemną noc. Każde słowo, każde spojrzenie, każdy skrywany uśmiech były ważne i tak bardzo obiecujące. Lecz wciąż była pełna obaw.

Każdego dnia czekała na wieczór, kiedy mogła go znowu ujrzeć. Zawsze ją pytał, jak się czuje, opowiadał o dziwnych anomaliach pogodowych. Dzieci zbierały się przy nim. Vivian przychodziła z zaczerwienionymi policzkami, a Wesoła Babcia opowiadała własne nonsensy. Ale nie chodziło o to, co mówił, ani jak brzmiał jego głos. On na nią patrzył. Nawet wtedy, gdy byli w innych pokojach, Leona wiedziała, że przeżywają to samo. Sposób, w jaki na nią patrzył, z lekkim przechyleniem głowy, łagodnością w oczach, był jak czary. Wieczorem, kiedy już odszedł, dzieci

były w łóżku, a Vi dokładała drew do pieca, Leona zdmuchiwała płomień lampy i czuła otaczającą ją noc. Życie jest gdzie indziej — myślała — i uśmiechała się do tej starej prawdy.

Pewnego wieczoru, kiedy miał wychodzić, poszła do dużego pokoju po jego kurtkę. Podniosła ją z oparcia krzesła. Odwróciła się do tyłu, rozmawiał z Vi. Pod wpływem impulsu wzięła kurtkę w ramiona. Zapach skóry, tytoniu i cedru pobudził jej zmysły. Wyobraziła sobie, że to Mark trzyma ją w objęciach, i gorący, podniecający dreszcz przeniknął jej ciało. Usłyszała jego śmiech. Pomyślała, że ją zobaczył. Popatrzyła za siebie, ale nikt nie stał w progu.

Kiedy nie było go w pobliżu, próbowała o nim nie myśleć. Ale ciągle patrzyła w kierunku odległej smugi dymu z jego komina. Wyobrażała go sobie, jak pracuje w gospodarstwie.

Zbliżało się Święto Dziękczynienia i Vi opowiadała dzieciom, co będą jedli na uroczystą kolację. Miało przyjść kilku sąsiadów. Na początku Leona czuła się obco i nie chciała przeszkadzać. W końcu jednak przełamała się i zaproponowała, że pomoże w przygotowaniach. Związała włosy w koński ogon i zabrała się razem z Vi do porządków. Kiedy sprzątała, podawała jedzenie dzieciom czy pomagała Vi przy zmywaniu, spoglądała ukradkiem przez okno za ogrodzenie i przez ogołocone z liści czarne drzewa wpatrywała się w drogę, którą zwykle przychodził. Dym z komina wydawał się wtedy tak blisko, jak obecność wyłaniająca się z nicości.

Niewiele o nim wiedziała. Tutaj się wychował, tutaj chodził do szkoły i wstąpił do wojska, w wieku siedemnastu lat. Wyjechał na jakiś czas za granicę i wrócił parę lat temu na farmę. Vi nie wiedziała, dlaczego. Leona pomyślała, że jest od niej starszy. Może zbliżał się do czterdziestki. Czekała na okazję, żeby z nim porozmawiać, ale kiedy się nadarzała, wszystko, o co chciała spytać, wydawało jej się zbyt prywatne. Zapytała tylko, czy nie mógłby zawieźć jej do najbliższego miasta, kiedy drogi będą już przejezdne.

— Dokąd chcesz pojechać? — uśmiechnął się.

— Obawiam się, że nigdzie, jeśli nie będę miała samochodu. Nie jestem całkiem przekonana, że jesteśmy tu... całkowicie... bezpieczni... Ale w mieście mogłabym kupić jakieś auto.

Pokiwał głową na zgodę. Znowu, jak ważki łączące się w locie, ich spojrzenia zlały się w jedno, wybuchnęło coś bardzo ważnego, i za chwilę zgasło. Potem zmrużył powieki, patrząc na poranne niebo.

— Zobaczymy, jak to z tym będzie. Zwykle kiedy drogi są nieprzejezdne, zostawiam mojego willysa w szopie u Vi, ale ostatnio nie mogłem go uruchomić. — Odkaszlnął. — Myślałem o tym, żeby pójść dzisiaj do Mose'a Yerby'ego. Ma małą radiostację. Jeśli chcesz, mogę kogoś zawiadomić, że u ciebie wszystko w porządku.

Na początku pomyślała, żeby się dowiedział czegoś więcej o Emmie, ale nie mogła ryzykować.

— Nie — powiedziała. — Nie nie ma nikogo takiego.

* * *

Vivian zamykała właśnie bramkę na drucianą zaszczepkę i zobaczyła zbliżającego się do niej Hardesty'ego.

— Pomogę ci.

— Dam radę — powiedziała. — Potrzymaj tylko lampę. — Podała mu latarnię, potem pochyliła się i podniosła wiadro z mlekiem. Ruszyli w stronę domu.

— Kończy się czas wielkiej burzy — zauważył. — Jest coraz cieplej.

— Taa — odparła. — Będę szczęśliwa, kiedy przyjdzie wiosna. Gdzie byłeś? Widziałam, że szedłeś od strony mojego pastwiska?

— Zobaczyć Mose'a. Słyszałaś o tych włamaniach w Guthrie? Ostatnio do apteki, tam gdzie zwykle zachodzisz. Cholernie blisko. Niezła rozróba — jak mówił Mose. Ludzie się budzą i nie mogą znaleźć ubrań, puste lodówki. W miasteczku panuje już panika.

Vivian zmrużyła oczy i przełożyła wiadro do drugiej ręki. Pokręciła głową.

— Tacy ludzie jak my... czasem mamy z kimś na pieńku, prawda? Ale to się dzieje w Guthrie. To nie moja sprawa.

— Kto wie — powiedział Hardesty i lekko ją trącił. — Co ty możesz wiedzieć? Może jakiś zazdrosny znajomy cię szuka.

Wesoły uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Nie trzeba jej o tym mówić. Z tymi dziećmi i tak ma wystarczająco dużo kłopotów.

Vivian popatrzyła na niego uważnie. To co, powiedziała, nie było tym, co pragnął usłyszeć.

— Z nią jest wszystko w porządku — zapewniła Vivian. — Coś się jej przydarzyło i możliwe, że chodzi o mężczyznę, nie wiadomo. — Postawiła wiadro na ziemi, zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na oświetlone okna domu. — Nie dowiemy się tego. Nie będę jej pytać. Lepiej ją zostawić w spokoju. — Popatrzyła na niego. Wpatrywał się w swoje buty. — Jest na pewno związana z tymi dziećmi. Ma uczciwość wypisaną na twarzy. Za to lubię ją najbardziej.

Uśmiechnął się do niej i oczy mu poweselały.

— Vi — powiedział. — Nikt, kto wygląda tak jak ona, nie może być zawsze dobry.

— Lepiej trzymaj się tych swoich zasad — uśmiechnęła się i ruszyła w stronę domu.

— Idę zobaczyć, czy samochód zapali — rzucił Hardesty.

Tego wieczoru, gdy wrócił do domu, Mark Hardesty zatrzymał się przy płocie i zajrzał przez okno dużego pokoju, szukając Leony. Na początku przypominała mu kota — tak samo wrażliwa, płochliwa i obawiająca się własnego cienia. Każdego dnia, jakby pragnął ją oswoić, zachodził do niej, nawet kiedy nie było mu po drodze, bo wiedział, że tak jak kot mógł przypadkowo wsadzić nosek do garnka z

mlekiem, tak samo Leona może znaleźć sposób, by oderwać się od swoich zmartwień.

Zobaczył przez okno biegające dzieci i Leonę. Śmiali się razem i bawili. Wyglądała na szczęśliwą i pełną życia, kiedy dotykała dzieci i gładziła ich główki. Na chwilę odwróciła się do okna w ferworze zabawy, jakby go przywoływała. Ale wiedział, że go nie widzi. Panował mrok. Wtedy nagle zakryła oczy dłońmi i zaczęła odliczać. Wyglądała tak niewinnie, a zarazem biła z niej siła i odwaga. Pragnął jej właśnie za to, choć za wszelką cenę chciał ukryć swoje uczucia.

* * *

— Pora zdjąć te szwy — powiedział któregoś ranka w przeddzień Święta Dziękczynienia. Tak mocno się zmuszała, żeby o nich nie myśleć, że prawie zapomniała, iż wciąż je ma.

Wyszedł z pokoju i wrócił z czystą szmatką butelką alkoholu i małymi nożyczkami.

— Powinnam się położyć czy stać?

Uśmiechnął się.

— Możesz zostać, tam gdzie jesteś. To nie potrwa długo. — Usiadła w bujanym fotelu. Pochylił się nad nią i delikatnie odsunął włosy z rany.

Byli tak blisko jak nigdy przedtem. Czuła jego ciepło i zapach.

— Czy będzie boleć? — zapytała. — Nigdy nie miałam szwów.

— Tego nie przewiduję — odpowiedział. Jego głos zabrzmiał w najgłębszych zakamarkach jej jaźni. — Tylko spokojnie.

Jego oczy były tuż przy jej oczach. Czuła jego oddech na twarzy. Gorączkowe pożądanie spadło na nią tak gwałtownie, że z trudem je opanowała. Czuła jego chłodne palce na czole.

— No, zaraz kończymy. — Zwilżył róg szmatki w alkoholu i przytrzymał przy ranie. Potem odłożył szmatkę na bok. — No, to zobaczmy, co tu mamy.

Bardzo oficjalny — pomyślała. Jego twarde dłonie dotykały delikatnie jej policzków. — Będziesz miała bliznę — mruknął, prawie przepraszająco. — Ale jeśli ułożysz odpowiednio włosy — wciąż patrzyła na niego — zakryją ślad i nikt nie zauważy. Mogło być gorzej.

— Jeśli to, co się zdarzyło, nie jest najgorsze... — Leona przerwała i uśmiechnęła się. — Naprawdę nie szkodzi — powiedziała. — Jestem szczęśliwa, że tu jestem. — Dotknęła zaczerwienionej blizny. — Dziękuję.

— Nie mnie dziękuj — odrzekł. — Podziękuj Panu Bogu. — Zebrał przybory i chciał wyjść.

— Zostań jeszcze — poprosiła. — Zostań ze mną.

Uśmiechnął się i odwrócił.

— Tylko to zaniosę. — Przyniósł dwie filiżanki kawy i jedną jej podał.

Poczuła ciepły żar w dłoni.

— Co robisz, kiedy nie jesteś tutaj? — zapytała.

Przysunął fotel bliżej niej i usiadł.

— Jestem farmerem.

— Tak — patrzyła na niego znad filiżanki. — Czy masz ryby?

— To prawda.

— Opowiedz mi coś o tych rybach — zaśmiała się. — Wiesz, dzieci nie mówią niczego dokładnie.

— Pewnie — odpowiedział z uśmiechem. — Co chciałabyś wiedzieć? Nie miały oczu już za czasów czerwonoskórych. Nie wiem, dlaczego są właśnie tutaj. Przypominają z wyglądu łososia. Kiedyś ci je pokażę.

— Kiedy? — Leona była szczęśliwa, promieniowała. Tak właśnie chciała z nim rozmawiać — spokojnie i swobodnie. Lubiła jego obecność. Czuła się przy nim bezpiecznie. Już prawie zapomniała, jak się flirtuje z mężczyznami. Bawić się powolnym posuwaniem się do pewnej szczególnej granicy intymności.

— Vivian mówiła, że mieszkasz samotnie.

— Tak — przytaknął. — Tutaj osiedlił się mój dziad, zanim umarł. Często przychodził tutaj, kiedy byłem dzieckiem. Pamiętam Vi, kiedy była o wiele młodsza. Prawdziwa tygrysica.

— Nie wierzę. — Przed następnym pytaniem przełknęła ślinę. — Więc nie jesteś żonaty?

Patrzył na nią, potem spuścił wzrok.

— Nie. Już nie. Kiedyś byłem.

Czekała, co jeszcze powie, on jednak zamilkł. Usiadł bokiem do niej przy drzwiczkach pieca. Nie chciała być wścibska, ale nagle pragnęła wiedzieć o nim wszystko. Powoli przechyliła głowę w jego kierunku.

— Powiedz, co się stało.

Zanim zdążyła zamilknąć, rzekł: — Umarła. — Potem popatrzył na nią. Widziała wzbierający ból w jego oczach. To jakoś nie pasowało do jego twardych rysów. Przypadkowo dotknęła czegoś bardzo bolesnego. — Widzisz — ciągnął. — Nie lubię o tym dużo mówić. To nie jest wcale interesujące.

— Ale wciąż cierpisz z tego powodu — powiedziała łagodnie. — Czyż nie?

Muskuły na jego twarzy stwardniały.

— Ona tak bardzo bała się umierać. Tego nie mogę sobie wybaczyć... Przerażona i samotna, a ja nie mogłem jej pomóc, nie mogłem zrobić jednej przeklętej rzeczy, żeby jej ulżyć. Czułem się, jakbym był gdzieś bardzo daleko. Pewnego dnia dzieje się coś, o czym nawet nie śniłaś, że może się zdarzyć. To jakby życie przekraczało jakąś niewidzialną granicę, i nie możesz w to uwierzyć. Minęło trochę czasu. Przykro mi — powiedział w końcu. — Nigdy przedtem nie starałem się tego ubrać w słowa. Nie myślę, że możesz to zrozumieć.

— Ale ja rozumiem. Znam to bardzo dobrze. Kochałeś ją. — Chciała go dotknąć.

— O tak — powiedział. — Pewnie, że tak.

Kiedy wstał, wyciągnął rękę po jej filiżankę. Ona też wstała. A gdy jego palce zbliżyły się po podstawkę, Leona w tej samej chwili dotknęła talerzyka. Filiżanka uderzyła o podstawkę, jakby jedność ich uczuć spowodowała równoległość ruchów

fizycznych. Potem on opuścił filiżankę, zamilkli i patrzyli na siebie. Nigdy jego oczy nie były tak ciemne i tak łagodne, i w tej chwili Leona poczuła się tak głęboko odkryta, że musiała usiąść, żeby nie upaść.

Usłyszała, jak Mark Hardesty odwraca się i wychodzi przez kuchnię. Jeszcze długo czuła jego obecność. Nawet cisza poranka była jakby jego częścią, którą zostawił w tym pokoju. Czekała na wieczór, czekała na odgłos kroków na śniegu. Myślała tylko o nim. Nie słyszała, jak podnoszą się firanki w oknie.

Mamie cicho weszła do pokoju. Zrobiła parę kroków i stanęła. Przez tych parę dni Leona się zmieniła. Mamie to czuła. Leona nie zauważyła dziewczynki, nie odwróciła się, nie rzuciła przelotnego spojrzenia. Nie słyszała jej małych cichych kroków. Patrzyła gdzieś w dal. Jakieś zapomniane ciepło nagle powróciło do Mamie. Zamiast długo skrywanej pretensji, którą wciąż czuła do Leony, za to, że zabrała ją od Shermana, zrozumiała, że ją traci, i na chwilę Mamie zapomniała o tym urazie. Zimny smutek zapanował nad jej sercem.

ROZDZIAŁ 17

W porannej szarówce w dniu Święta Dziękczynienia ludzie uzbrojeni w strzelby i dubeltówki wyruszyli w lasy otaczające Prescott i Otello. Jeden obok drugiego pochylali się nad spróchniałymi konarami. Szukali śladów. Nikt nie mówił ani słowa. Pola i zarośla były kredowobiałe od śniegu, powietrze chłodne i rześkie. Otoczona oszronionymi sosnami łania podniosła głowę, jej oczy błyszczały jak owoc jagody, nozdrza falowały. Nasłuchiwała. Nagle sprężyła się i odskoczyła, mignęła pomiędzy młodymi drzewkami. Ciemność lasu rozjaśnił ogień wystrzałów. Potem myśliwi szukali krwi na miejscu, gdzie była przed chwilą. Nie znaleźli. Poszli dalej.

Przed świtem powrócili do swoich domów. Upolowaną zwierzynę zwieźli samochodami. Zebrali się przed garażem Willinghama, dzielili łupy. Przypominali sobie głośno wydarzenia sprzed paru godzin, ktoś przyniósł whisky. Ludzi przybywało. Rozpalono ognisko w pustej beczce po oleju. Zebrani wokół ognia popijali whisky. Opowiadali różne historie. Do zebranych mężczyzn podszedł młody chłopiec, prowadząc wielkiego czarnego psa.

Paru myśliwych widziało już Shermana tego ranka, ale dla większości był tylko jednym z wielu przypadkowych przechodniów. Przyszedł zza garażu. Zatrzymał się na chwilę. Miał brudną twarz i pozlepiane włosy. Był ubrany w znoszoną kurtkę, dwie warstwy ubrań i za duże wysokie gumowce. Spod jego swetra wystawał koniec brudnej koszuli.

Patch Willingham, który czekał na klientów przy małym przenośnym browarze, pomyślał, że dzieciak jest chyba chory. Chłopak wydawał się zagubiony i nie bardzo świadom tego, co dzieje się wokół niego. Może po prostu — pomyślał Patch — tylko nie czuje się całkiem dobrze. Z całą pewnością było w nim coś dziwnego, ale trudno było powiedzieć, co. Obok niego stał groźnie wyglądający pies.

Sherman pociągnął Chińczyka za sznurek i odszedł od garażu Patha. Bał się tych mężczyzn. Pili whisky, żuli tytoń i wymachiwali strzelbami. Otaczał ich zapach dzikiej krwi. Kiedy jeden z mężczyzn zbliżył się do niego, Sherman zaczął szybko uciekać.

Mamie i kobieta zapadły się jakby pod ziemię. W każdym mieście, które mijali, pokazywał zdjęcia i zadawał pytania — nikt jednak nie widział niebieskiego buicka. Wiedział, że pojechały w tym kierunku i wiedział, że nie mogły odjechać daleko. Szalała burza. Sherman zatrzymał się w jakimś miasteczku. Żeby zdobyć tabletki, włamał się do apteki. Postanowił poczekać na polepszenie pogody. Każdego dnia przystawał przy jakichś drzwiach, słuchał wiadomości radiowych. W nocy chował się do starych, porzuconych samochodów i próbował uruchomić radia. Nie dowiedział się niczego nowego. Tego ranka, kiedy przechodził koło garażu Patcha, nie wiedział, co dalej ma robić.

— Tak, panie Feels, chyba się przejaśnia — powiedział jeden z mężczyzn. Sherman słyszał urywane zdania.

— Powinno dojść do dziesięciu — odezwał się inny.

I wtedy, kiedy już stracił wszelką nadzieję, usłyszał to, na co czekał od wielu dni.

— Powinieneś to wiedzieć — mówił jakiś nie ogolony, podpity mężczyzna. — To wyglądało na buicka. Przewrócony na zboczu przy gospodarstwie starej Bess Turner. Wiesz, gdzie to jest, przy drodze Forky Creek. Rozwalony zupełnie.

Shermanowi zrobiło się słabo. Wypadek? Mamie miała wypadek?

— Jaki kolor miał tamten samochód? — zapytał mężczyznę.

— No... czarny chyba. Nie wiem, było jeszcze ciemno.

— Jak to daleko?

— Zaraz. Piętnaście kilometrów, co, Tom? Coś koło tego, jeśli pojedziesz przez Rocky Comfort. Ale nie myślisz chyba tamjechać? Synu, nie powinieneś tego robić. Zresztą i tak nie dojedziesz. Drogi są zasypane.

Smutny, pochmurny i mglisty dzień rozjaśniły promienie słońca.

O dziesiątej trzydzieści Hardesty wciąż nie przychodził. Leona patrzyła na zegarek. Przeniosła wszystkie srebrne naczynia Vivian do dużego pokoju, żeby je wypolerować. Czyściłaje cierpliwie flanelową szmatką. Była coraz bardziej zaniepokojona. Trochę po jedenastej usłyszała go wchodzącego do kuchni.

— Muszę teraz iść do domu — zaczął — chcę ci tylko powiedzieć, Leono — pomyślała, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu — że mogę cię zabrać do każdego miasta, gdzie tylko będziesz chciała. Samochód zapalił. Jeśli powiesz dokąd chcesz jechać, przyniosę mapę.

— Dzieci o niczym ci nie mówiły?

— Powiedziały o wyspie, ale taka wyspa może być wszędzie. Nie bądź na nie zła. Musiałem z nich to naprawdę wyciskać.

— Tak — powiedziała. — Podejrzewam, że to były prawdziwe tortury — roześmiała się.

Pomyślała, że on jest gotów uwierzyć w każde jej słowo, ale nie potrafiła kłamać. Jej pragnienie, żeby ochraniać wszystkie tajemnice, było niczym wobec uczucia dla niego. Bez namysłu wyznała, że zamierza pojechać do domu, do Brandenburg

Station w stanie Kentucky. Uśmiechnął się i pożegnał. Coś dla ciebie przygotuję — pomyślała. Coś wspaniałego. To będzie niespodzianka. Tuż przed południem włączono elektryczność.

— No, no, no — powiedziała Vi. — Będziemy mogli w końcu przygotować *spadającą* kąpiel.

— Ja nie chcę *spadającej* kąpieli, ja chcę się wykąpać w mojej misce. Jak zwykle — zaprotestował Walter.

Vi zaśmiała się i pogłaskała go po główce.

— Moje złotko — wyjaśniła — ja ciągle mówię tak, jak się mówiło dawniej. Nie wiesz, że mamy prysznic?

Minęła następna godzina. Już niedługo — pomyślała Leona. Poszła do piwniczki po jabłka. Przyniosła je na górę. Wolną ręką odgarnęła włosy, które opadły jej na oczy. Drogą przejechał pierwszy samochód, jaki mijał farmę. Powróciła przed dom, przystanęła i patrzyła na roztapiające się sople lodu zwisające z dachu. Krople wody spadały z gałęzi drzew. Na jej pożyczonych butach zamiast śniegu, było błoto. To prawdziwy świat — pomyślała. To było to, czego zawsze pragnęła. Ale teraz... śnieg się roztopi i odkryje wrak buicka, a potem policja... Musimy jechać — pomyślała. Ale perspektywa wyjazdu wcale jej nie ucieszyła. Kochała te dni na farmie bardziej, niż potrafiłaby to sobie wcześniej wyobrazić.

Teraz miała szansę. Jej życie nie musiało już być nieustannym cierpieniem i ucieczką. To wystarczało, żeby poczuć się tak dobrze i żywo. Obrała jabłka ze skórki i pestek. Ułożyła wysokie białe ozdoby na pasztecikach. Zrobić coś własnoręcznie dla Marka. Przeszła przez werandę i otworzyła drzwi. Weszła do kuchni.

Jutro — pomyślała. — Porozmawiam z Markiem i pojedziemy jutro.

Od czasu do czasu, kiedy przygotowywali świąteczną kolację, Leona przyłapywała się na tym, że wpatruje się w pusty wazon albo w pojemnik na zapałki, albo naczynia w kredensie, starając się zatrzymać w pamięci jak najwięcej z miejsca, które miała opuścić.

Dowody wypadku zostały porozrzucane jak szczątki po eksplozji. Chromowana oprawa przedniej lampy leżała pognieciona w czarnych krzakach. Długie kawałki blachy z niebieską farbą błyszczały poniżej zbocza stromej skały. Zdejmując jedną rękawicę Sherman dotknął zielonkawych odłamków szkła w rowie wypełnionym wodą. Wstał i pobiegł w dół stromego urwiska.

Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi, było coraz chłodniej. Ostre mocne porywy wiatru uderzały w gałęzie czarnych wiązów i wysokich dębów, które posłusznie falowały. Jego skradzione buty, przez to że za duże, były niewygodne. Wysoko nad nim pojawił się blady księżyc. Przed nim jak cień poruszał się Chińczyk. Szedł po rampie mostu. Podmuchy wiatru skręcały wieczorną mgłę w szerokie spirale. Kiedy Sherman dostrzegł samochód przewrócony na wale poniżej, chwycił się za żelazną poręcz mostu. To był ten buick.

Niezgrabnie rzucił się w dół zbocza. Buick był na brzegu wału. Drzwi samochodu były wyrwane z zawiasów i leżały wbite w zamarzniętą ziemię. Śnieg nieregularnymi płatami naniesionymi przez wiatr pokrył karoserię samochodu. Chińczyk podbiegł do samochodu i zaglądał do środka. To ten — pomyślał Sherman. Nikt nie ma o tym pojęcia! Ani kobiety, ani dzieci nie odnaleziono, dlatego nie mógł usłyszeć żadnych wiadomości przez radio. Upadł na kolana, zaczął kopać w śniegu, przez dziurawy, pogięty dach wyciągał pełne garście wilgotnych komiksów. Obejrzał wybrzuszenie na śniegu o nienaturalnym kształcie i pomyślał, że to może być ciało. Potem popatrzył na zieloną wodę falującą w niewielkich przeręblach. Czy lód załamał się pod nimi? Czy utonęli?

Od razu pobiegł w dół wału nad sam brzeg. Uważnie popatrzył na zamarzniętą taflę, ale nie zauważył żadnego śladu. Odwrócił się i pośpieszył z powrotem na górę. Serce mu wciąż waliło. — Przeklęta baba — mruczał pod nosem. — Przeklęta baba. — Wśliznął się do ciemnego wnętrza buicka i uderzył lekko głową w połamane koło kierownicy. Przeszukiwał zawieszone nad nim duże siedzenia. Szukał krwi. Nie było niczego. Nawet przednia szyba była kompletnie rozbita. Prawie rozpaczliwie chciał coś znaleźć, coś co mogłoby wyjaśnić tajemnicę tamtego wypadku. Ale zdał sobie sprawę, że szuka nie tego, co trzeba. Nie ma kluczyków w stacyjce. Wygramolił się. Nagle poczuł się lepiej. Oni z tego wyszli, czyż nie? Ale dlaczego zabrała ze sobą kluczyki? Muszą być gdzieś w pobliżu. Jego oczy zatrzymały się powyżej wału na wijącej drodze.

O piątej po południu kuchnia żarzyła się czerwonym zachodem słońca. Goście już byli. Holtsowie przyszli pierwsi, przynieśli słoiki marmolady domowej roboty, potem zjawili się Jessupowie z dwoma pasztetami z królika. Za nimi przybył grubas o imieniu Grudge Drummond ze swoją piękną żoną której kręcone włosy i szerokie, wzbudzające pożądanie biodra falowały, gdy się śmiała. Parę minut po nim Hoot Lawrence z mężem Filmore, potem bliźniaki Hostettler, Imogene i Flo. Zrobiło się gwarno. Leona została przedstawiona wśród żartów i serdecznych pozdrowień, ale zapominała ich imiona i twarze, kiedy wciąż przyjeżdżali następni.

— Prosimy bardzo — zapraszała ciocia Vi.

W dużym pokoju ludzie rozmawiali z matką Vi, rozsiadając się w fotelach.

— Jak tam samopoczucie w taką pogodę, droga pani Turner? — Zareagowała, kiedy dotarły do niej głosy.

— Takie zwykle kłopoty — odpowiedziała.

Ktoś wyjął gitarę, skrzypce i mandolinę. Wysoki i chudy chłopiec imieniem Billy przeszedł przez kuchnię niosąc wiolonczelę. Drzewo instrumentów błyszczało łagodnie — długie szyjki o ozdobnych zakończeniach, struny, rzeźbienia z macicy perłowej. Walter stał zafascynowany przy człowieku, który małymi mosiężnymi talerzami zaczął wydawać rytmiczne dźwięki.

— W jakiej jesteś tonacji? G-dur?

Hoot Lawrence rzekł:

— Zagrajcie coś, co wszyscy znają. Zagrajcie tę słowicza piosenkę — powiedział Hoot Lawrence.

Zabrzmiała muzyka. Kobiety zaczęły przytupywać i poruszać się w takt piosenki, ktoś podśpiewywał: — *Więc pościel łóżko i zapal światła. Do domu powrócą późno. Mój słowiku, żegnaj, żegnaj...* — To było nie do odparcia, nawet Leona poczuła, że jej ciało lekko się porusza. Skeeter Johnson, mały, porządnie ubrany mężczyzna w roboczej koszuli zapiętej pod samą szyję, wszedł z ganku i zagrał parę nut na francuskiej cytrze.

Pokój żył śmiechem i gwarem. Talerze i kieliszki grzechotały, a piękna wisząca lampa huśtała się. Leona popatrzyła na zegarek.

Mamie była wesoła, kręciła się i tańczyła. Śmiała się do nieznajomych, którzy ją otaczali, potem odwracała się i szybko odbiegała.

— Czyją jesteś dziewczynką? — ktoś zapytał.

— Niczyją — odpowiedziała i pobiegła w drugą stronę. Była ubrana w białą sukienkę. Ukryła się za firankami, potem pod stołem, i znowu wybiegła do gości.

— Boże błogosław te dzieci — powiedziała jakaś sąsiadka. — Nie biegaj tak szybko, bo zrobisz sobie coś złego — dodała.

Mamie była zarumieniona i spocona. Zatrzymała się przy kredensie. Zobaczyła, jak wchodzi Hardesty i zobaczyła Leonę, która odwróciła się do niego. Patrzyła na nich. Ich ręce prawie się dotykały. Z uśmiechem mówili coś do siebie. On pochylił się i szeptał jej coś do ucha, ona odpowiedziała.

Składane stoły do gry w karty przeniesiono z drugiego pokoju i dostawiono je do stołu kuchennego, potem wszystkie zasłano białymi obrusami. Kobiety ubrane w fartuchy zajęły się zastawianiem stołu. Powtarzały ostatnie plotki. Jeszcze jedna kobieta pojawiła się przy drzwiach, niosąc kompoty domowej roboty.

— Och, May, właśnie marzyłam o jakichś owocach— powiedziała ciocia Vi.

— Mam nadzieję, że dorównają w smaku twoim marzeniom.

Mamie pamiętała taki dzień jak ten. Grała muzyka, rozbrzmiewał śmiech, a jej mama nakrywała do stołu. Ojciec stał w progu. Jego głos był głęboki i dźwięczny, jak głos Hardesty'ego. Smakowite zapachy, świąteczny nastrój. Słońce już zaszło, ptaki chowały się do gniazd, brzmiała muzyka. Stara kuchnia rozmazała się w pamięci Mamie. Patrząc na Leonę przypomniała sobie taki sam blask w oczach mamy, bardzo dawno temu. Coś traciła. Nie potrafiła tego nazwać ani wyrazić w jakikolwiek inny sposób.

Leona zatrzymała się w tańcu i rozejrzała się wokoło, aż dojrzała Hardesty'ego, potem ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Inne kobiety zajmowały się kolacją. Żadna niczego nie zauważyła. Tylko Mamie. To było widać w ich ruchach, w ich przyjaznych jasnych oczach i uśmiechach. Tylko raz, wcześniej, widziała twarze tak otwarcie wyrażające uczucia. Mamie poczuła pustkę. Chciała do kogoś należeć, chciała być czyjąś dziewczynką, małą dziewczynką. Chciała dzielić z nimi to sekretne, niedostępne dla innych uczucie. Bo teraz byli jak jej mama i tata. Przez tę krótką chwilę wszystko wydawało się takie realne. Takie prawdopodobne.

Ciocia Vi podeszła do progu i zawołała innych. Odkładając instrumenty mężczyźni powstali, dając przejście starszej damie. Laska o pozłacanej główce postukiwała o podłogę. Kobieta posuwała się wolno, szurając nogami. Na środku stołu ustawiono pieczonego kurczaka, sosy, plasterki szynki ułożone jak strony otwartej książki, ziemniaki z masłem, słodkie ziemniaki, zielony groszek, słodką kukurydzę, sałatki rybne, gorące paszteciki. Kompoty, marmolady, dżemy. Kobiety i dzieci pierwsze zajęły swoje miejsca, potem mężczyźni.

— Filmore, czy mógłbyś zaintonować modlitwę? — powiedziała Vi.

Zapadła niczym niezmącona cisza.

— Pochylmy nasze głowy przed Panem. Nasz Ojcze Niebieski, w tym uroczystym dniu Święta Dziękczynienia...

Wszystko nagle się zmieniło. Umarło. Mamie powróciła ze swojego świata. Głos jej ojca umilkł. Nic nie wyglądało znajomo. Wszystkie twarze wydawały się obce. Ukryj się — pomyślała. Ukryj się, zanim ktokolwiek cię zauważy. Ale siedziała wciąż przy stole. Kolacja właśnie się rozpoczynała. Nie mogła odejść w połowie modlitwy. Ukryj się — powtarzała w myślach. Ukryj się choćby za swoją twarzą.

Leona podniosła wzrok, żeby popatrzeć na innych. Jak była wdzięczna losowi, że znalazła się tutaj, wśród tych dobrych, prostych ludzi. Jaka szczęśliwa. Srebra, które wyczyściła, lśniły wspaniale, porcelana błyszczała, szklanki wydawały się przezroczyste. Ona i dzieci siedzieli przy końcu stołu. Patsy i Walter obok niej — pochylone główki, złożone ręce. Jacy wydawali się mali pośród innych ludzi. Jacy niewinni i kochani. Mark siedział naprzeciwko. Obok niego Mamie. Podniosła głowę. W jej oczach błyszczały łzy.

— Dziękujemy za to, że mogliśmy się tu zebrać, dziękujemy za rodzinę, przyjaciół i dobrodziejów...

Mamie płakała, ale po cichutku. W końcu szybko wstała, odsunęła krzesło i pobiegła na górę. Zadudniły jej kroki. Modlitwa skończyła się.

— Amen — zamruczeli sąsiedzi, ktoś kaszlnął. Wróciła przyjazna rozmowa.

— Mark — powiedziała cicho Leona. — Czy możesz im pomóc, jeśli czegoś będą potrzebowali? — Przytaknął. Ona odsunęła swoje krzesło i wstała. — Zobaczę, co się stało — powiedziała do Vi. — Nie czekajcie na nas.

Usłyszała płacz Mamie. Promienie zachodzącego słońca rozświetlały dwa okna przy końcu długiego pokoju. W ich delikatnym blasku Mamie była tylko kształtem. Zobaczyła Leonę.

— Nie wchodź tutaj — ostrzegła. — Lepiej nie wchodź.

Leona zrobiła krok w jej stronę. Zaczerwieniona, dziko wyglądająca Mamie patrzyła na nią. Zdjęła sukienkę i rzuciła ją na podłogę. Wyglądała, jakby chciała zaatakować. Jej oczy wciąż połyskiwały łzami. Jak musi być ci ciężko — pomyślała Leona — jak strasznie ciężko. Jak bardzo musisz tęsknić za domem. — Mamie...

— Odejdź stąd! — krzyknęła Mamie.

— Mamie, co to znaczy? Proszę, przestań — Leona wyciągnęła ręce, ale Mamie wyrwała się.

— Nie chcę!

Leona przypomniała sobie chorą małą dziewczynkę — wieczór, kiedy zabierała ją ze szpitala tak bardzo samotną i przerażoną. O Boże, to się znowu stało. Wiem przecież, co to znaczy być samotną.

— Proszę — powiedziała. — Powiedz mi, co byś chciała.

— Odejdź stąd! — krzyknęła Mamie i tupnęła nogą. — To jest mój pokój, idź sobie do swojego. — Jej głos pałał nienawiścią po każdym słowie wydobywał się z niej szloch. — Wynoś się! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Czy tego nie widzisz?

— Wiem, że to boli — powiedziała Leona. — Tak bardzo ci ich brakuje. — Znała to uczucie. Pomyślała o Emmie leżącej w jakimś obcym białym pokoju. Wielkie cierpienie ogarnęło nagle całą jej duszę. Męczarnia samotności. Przełknęła i odzyskała głos. — Te panie na dole tak się starały, żeby przygotować to święto dla ciebie. Nie bądź nieszczęśliwa. Chodź ze mną. Proszę. Wyglądasz tak ładnie w swojej nowej sukience.

— Kłamca! — krzyczała Mamie. — Kłamiesz!

— Och, Mamie... — jej głos zadrżał.

Mamie zacisnęła dłonie, wstrząsnął nią dreszcz.

— Kłamałaś mi! — Jej twarz wykrzywił grymas złości i strachu. Krzyczała. — Kłamałaś! Tylko kłamałaś! Już nas nie lubisz. Nie lubisz mnie! Wszystko widziałam! Ty jego lubisz! Mnie już nie! — Jej krzyk ranił serce kobiety.

Jest zazdrosna! — pomyślała Leona. Nagle zrozumiała. W jednej chwili. Kiedy ona próbowała odzyskać siebie, Mamie poczuła się opuszczona i zdradzona.

— Mamie, nawet przez chwilę nie pomyślałam, że mogłabym o tobie zapomnieć — powiedziała. To było tak, jakby wszystkie cierpienia były tylko po to, żeby wybuchnąć w tej właśnie chwili, tym niepohamowanym atakiem zazdrości. Mój Boże, Mamie, jesteś zazdrosna! Czy nie wiesz, co to znaczy?

Mamie zrobiła krok do przodu wciąż żądając, żeby Leona odeszła. Teraz, kiedy odsłoniła swoje uczucia, musiała je znowu ukryć. A najlepszym sposobem był gniew.

Leona podniosła ją ale Mamie w furii rzuciła się na nią.

— Przyrzekałaś — łkała Mamie. — Przyrzekałaś, że będziesz mnie lubić. Nie chcę, żebyś lubiła jego.

— Och, Mamie ja go lubię — Leona powiedziała prawdę. — Tak jest, ale ja go lubię w inny sposób niż ciebie.

— Nie — Mamie wciąż płakała, próbując złapać oddech. — Nie lubisz nas tak jak dawniej.

— Oczywiście, że lubię. Wiesz, że to prawda. Dobry Bóg wie. Mogłabym zrobić wszystko dla ciebie, Mamie. Kłamałam dla ciebie. Oszukiwałam dla ciebie. Wszystko to robiłam dla ciebie.

Otworzyły się drzwi na dole i Vi zawołała:

— Leono, wszystko w porządku. Zejdziecie na dół?

— Nie teraz — odpowiedziała Leona. — Vi, wszystko dobrze. Wszystko dobrze.

Łzy kapały z oczu Mamie spadając na Leonę. — Nie chcę, żebyś lubiła kogokolwiek innego. Chcę, żeby było jak dawniej... jak było. — O mało nie zwymiotowała. Leona czuła kwaśny zapach jej oddechu.

— Proszę — powiedziała. — Mamie, musisz przestać.

Mamie gwałtownie przywarła do niej. Nagłym ruchem jej małe ramiona wzniosły się do góry i oplotły Leonę. Ciężko oddychając Mamie przytuliła się tak mocno, że Leona czuła malutkie kości jej nadgarstka na swojej szyi.

— Ja chcę być czyjąś dziewczynką — szlochała.

Leona poczuła, jakby ziemia zatrzęsła się pod nią.

— Ty jesteś moją dziewczynką. Wiem, że ci ich brakuje — powiedziała. — Brakuje ci tak bardzo domu. — A potem słyszała samą siebie, jak mówi dalej: — Ale ja cię kocham, Mamie, i nigdy nie będzie inaczej. Jesteś moją dziewczynką. — Przez cały czas walczyła ze łzami napływającymi do oczu. — Nic co się może stać, nic co zrobisz nie zmieni mojej miłości do ciebie. Nie wiem, dlaczego tak się wszystko układa. Nie wiem, Mamie. Chciałabym się cofnąć i zmienić tak wiele, ale nie możemy już tego zrobić. Nie możemy wrócić. Przecież o tym wiesz. Teraz o tym wiesz. — Straciła poczucie czasu. Tuliła Mamie. Promienie zachodzącego słońca zastąpił blask księżycowej poświaty.

Leona zeszła na dół. Weszła do kuchni. Miała wrażenie, że wkraczała w inny świat. Wszystko tu było inaczej, była zdezorientowana. Kolacja się skończyła, naczynia pozmywane i pochowane, długi stół złożony. Drzwi do dużego pokoju były otwarte. Cicha muzyka unosiła się w powietrzu jak jej obudzone do życia sny. Odwróciła się. Patrzyła przez okno. Na zewnątrz mężczyźni palili papierosy. Rozprawiali o czymś. Vivian podeszła do drzwi, weszła do pokoju i zatrzymała się w cieniu.

— Zostawiłam twój talerz — powiedziała. — Pozwól, że zapalę światła.

— Och, proszę — odezwała się Leona — proszę, nie. Tak dużo już zrobiłaś. Raczej nie zapalajmy teraz światła. Nie, niczego nie chcę.

— No nie, to jest Dziękczynienie. Powinnaś zjeść kolację. Jest ciepła. — Vi wyjęła przykryty talerz z pieca i położyła go na starym dębowym stole. Kiedy wyjmowała sztućce z szuflady i układała je przy talerzu Leony, Hardesty wszedł na ganek i otworzył drzwi. — No dalej — zachęcała Vi. — To jest wciąż ciepłe. Muszę teraz pójść i posiedzieć trochę przy matce. Ona gra na fortepianie i szybko się męczy. — Potem zwróciła się do Hardesty'ego: — Gdzie byłeś? — Roześmiali się.

Leona podeszła do stołu i usiadła. Vivian zatrzymała się w progu.

— Nie wyglądasz najlepiej. Czy Mamie czuje się dobrze?

— O tak — powiedziała Leona, nie potrafiąc ukryć emocji. — Czuje się dobrze. Śpi. Chciałam, żeby zeszła na dół, ale się położyła. — Czuła, że mówi jakimś obcym głosem. — Mam nadzieję, że nie zakłóciłam ci kolacji.

— Nic podobnego — powiedziała Vivian. — Nic nie mogłoby przeszkodzić moim gościom. Jeśli Mamie zmieniła zdanie, to jest tu drugi talerz na piecu.

Wyszła z kuchni. Leona małymi kęsami jadła kurczaka z sosem ze świeżo upieczonych borówek. Nie chcę tego — myślała.

— Brakowało cię nam — powiedział Hardesty, a kiedy usłyszała jego głos, wiedziała, że Mamie miała rację. Jej uczucia do niego były głębsze, niż się spodziewała. Zebrała sztućce i wstała. Podszedł do niej. — Mam coś dla ciebie. — 7 kieszeni koszuli wyjął zawinięty papier i rozpostarł go. Chciałem dać ci to wcześniej — powiedział — ale jakoś nie miałem okazji. — To była mapa, jedna strona wyrwana z atlasu. Głośno odczytał nazwy dróg. Mówił, gdzie powinna skręcić. Jego paznokieć pokazywał linię — przez stan Kentucky do Brandenburg Station. Złożył mapę. — Weź to — powiedział. — Połóż w jakimś bezpiecznym miejscu.

— Położę to obok tej rzeźby, którą mi dałeś — odparła i uśmiechnęła się. Wracając do dużego pokoju Leona minęła jakiegoś sąsiada siedzącego w bujanym fotelu. Włożyła mapę do torebki i wróciła do kuchni. Miała wilgotne palce. Kiedy Hardesty wziął ją za ręce, poczuła, że należy do niego.

— Umiesz tańczyć? — spytała.

— Tak, pani — odpowiedział. — Kiedyś umiałem.

— Czy zatańczysz ze mną... tu w kuchni?

Przez chwilę ich oddechy zamarły. Przechylił głowę i uśmiechnął się. Przestrzeń, która ich dzieliła, znikła. Oparła policzek na jego ramieniu i zaczęli się wolno posuwać w rytm muzyki dochodzącej z drugiego pokoju. Zamknęła oczy. Poddała się nastrojowi. *Obraz przeszłości ulatuje wolno, kradnąc... I wtedy nagle czuję ten czas odległy i nic na to nie mogę poradzić, że wciąż cię kocham...*

Tak długo jak jej myśli były gdzieś daleko, taniec wydawał się czymś naturalnym, ale kiedy wróciła do rzeczywistości i zdała sobie sprawę z ich bliskości, poczuła się niepewnie. Zapytała, gdzie uczył się tańczyć. W liceum — powiedział — dawno temu. Słuchała jego głosu, nie jego słów. Ale robię z siebie idiotkę — pomyślała. Muzyka ucichła i Leona chciała oderwać się od niego.

— Chodź ze mną — szepnął. — Pokażę ci mój dom.

— Nie powinnam — odpowiedziała. —Dzieci...

— Wiesz, że Vi będzie z nimi — odparł. — Nie znajdą lepszej opieki. To blisko. Chodź ze mną — zanim odjedziesz.

Zabrzmiała muzyka. Jedna z kobiet zaczęła śpiewać wysokim tonem. *Jak wiele nocy leżysz i marzysz o niebie o złotej barwie... był biednym chłopcem o złamanym sercu i słuchał śpiewu wiatru.*

— Wiem, że też to czujesz — powiedział Hardesty stając za nią. — Czasem w nocy tak bardzo mi ciebie brakuje. Popatrz na mnie i powiedz, że nie chcesz pójść.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Jak często chodziliśmy na spacery, z tobą spędziłam najszczęśliwsze chwile... Myślałam, że twoje serce należy do mnie na wieki, a teraz myślę, że zapomniałam się.

To przypomniało Leonie jej młodość, duszne letnie wieczory, ozdobne węże i falbany, konfetti, papierowe lampiony zawieszone wśród drzew, wycieczki łodzią z dansingiem. Emma była już mężatką i zaszła w ciążę. Czasem jechali tym, co Frank

nazywał swoim pancernym samochodem, a potem wracała w ramiona Jana. Pożądanie zadrżało w niej jak neurotyczne wspomnienie. Zatapiała się w świecie czaru, muzyki i pożądania.

— Położę tylko Waltera i Patsy spać — powiedziała. Było prawie wpół do dziesiątej.

Zaczekała do końca piosenki i zawołała dzieci. Kobieta, którą pamiętała jako żonę Grudge'a, wciąż śpiewała. Jej wielkie biodra kołysały się w rytm muzyki. *Moje kochanie, kochanie, och, jak cię kocham. Tego jak cię kocham, nie wyrazi nikt... A ty kochasz innego, kochanie, mojego przyjaciela.*

Dwie kobiety uniosły ręce i połączyły swoje głosy w chórek. Muzyka wzniosła się do ostatniego crescendo. Część artystyczna kończyła się — jak przewidywała Leona. Żona Grudge'a usiadła. Muzycy przerwali grę. Grała już tylko Wesoła Babcia — coś w rodzaju fortepianowej sonaty. Naciskała klawisze w długich pochodach harmonicznych. Vi wstała i patrzyła na małą widownię.

— Przepraszam — powiedziała. — Mama już kończy występ. — Muzycy popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

Na poddaszu Leona położyła dzieci do łóżek. Poczekała, aż zasnęły. Potem pochyliła się nad Mamie i otuliła ją kołdrą. Wyszeptała dobranoc i pocałowała jej ciepły policzek. Z pokoju znów pobrzmiewała muzyka. W ciemnej kuchni nałożyła płaszcz, który podał jej Hardesty.

— Moja torebka — powiedziała.

— Nie potrzebujesz jej — odrzekł. — Nikt jej nie dotknie, a sąsiadki będą miały o czym mówić.

Uśmiechnęła się i popatrzyła na jasne wejście.

— Powinnam jednak powiedzieć Vi.

— Będzie wiedziała — uspokoił ją. Leona kiwnęła głową i wyszła przed nim. Mgła opadała, kiedy przechodzili przez bramkę. Niebo było pokryte postrzępionymi chmurami. Szopa i inne budynki gospodarcze czerniały na tle księżycowej poświaty. Obrócili się i poszli wzdłuż ścieżki przy ogrodzeniu. Muzyka cichła, w miarę jak oddalali się od domu. Obróciła się i spojrzała w okna. Nitki opadającej mgły sprawiły, iż przesuwający się ludzie wyglądali jak otuleni jedwabiem. Leona widziała kształty tańczących, zarys instrumentów. Nagle poczuła się młodziej, jakby wróciła przeszłość.

Ścieżka zakręcała wokół ogrodu owocowego, potem szli wzdłuż wysokich drzew. Zamarznięte łodygi łamały się pod ich stopami. Powietrze było czyste jak w czasie deszczu — świeży i wilgotny zapach. Doszli do wznoszącej się w górę drogi. Zobaczyła pokryty szronem dom Marka w dolince poniżej.

Znowu dziwny odgłos ostrzenia noża rozległ się z komórki z narzędziami. Dwa razy tej nocy Sherman myślał, że słyszy zbliżające się kroki, nie odgłosy mężczyzn palących papierosy na ganku, ale kroki po śniegu. Za każdym razem podbiegał do okna i obserwował, nasłuchiwał.

Teraz znowu usłyszał ten odgłos. Podniósł nóż. Cicho jak cień zbliżył się do

małego okienka i popatrzył na półciężarówki i wozy konne stojące za ogrodzeniem. Ale nikogo nie było. Nikły blask od okien domu rozjaśnił mrok. Kiedy chmury się rozstąpiły, ogromny księżyc pojawił się nad czarnymi kominami, oświetlając część jego chłopięcej twarzy. Była jak z granitu — usta prawie białe, rozbiegane błyszczące niebieskie oczy. Mógł tylko czekać. Zabandażowaną ręką poklepał głowę Chińczyka.

— Oni są tutaj — powiedział. — Wiem, że są. — Chińczyk cicho zawył, ale Sherman skarcił go. — Nie rób tego — wyszeptał. — Już niedługo. — Splunął, a stalowe ostrze noża błysnęło błękitem i srebrem w mroku.

Kiedy doszli do jego domu, była pełna wspomnień i szczęśliwego podniecenia. To było odurzające i podniecające, jak chodzenie po bardzo wysokiej trampolinie. Weszli do środka. Przez małą szybę okna widziała drogę, którą szli. Ośnieżone wzgórza i długa nić drogi rozpościerały się przed nimi. Popatrzyła na pokój — izba z drewnianych belek, ciepły piec. Ich głosy dryfowały tam i z powrotem.

— Więc to tutaj mieszkasz? — poczuła się odrobinę zażenowana przyglądając się obcym ścianom. Duży pokój był posprzątany i przygotowany do pracy. Obok pieca wielkie okno wychodzące na dolinę. Przy oknie stał stół.

Patrzył na nią. Spojrzała na stół. Kawałki drewna. Rzeźbił drewniane kaczki. Podniosła jedną z nich już gotową — pomalowaną na zielono, złoto i czerwono.

— Jesteś w tym bardzo dobry.

— Robię to dla przyjemności, tylko dla siebie — powiedział. — Zimą czas wlecze się bardzo wolno.

Nie potrafiła się skoncentrować. Spojrzała na czarny lok jego włosów opadający na kołnierzyk koszuli. Gdyby tak mogła odpiąć mu tę koszulę i go dotknąć, poczuć... i zbliżyć swą głowę w jego stronę... potem okryłby ją jak noc.

— Wiesz — powiedziała — naprawdę nie powinnam tu przychodzić. — Popatrzyła na niego. — Powinnam wrócić. Nie powiedziałam, dokąd idę. Dlaczego nie mógłbyś wrócić ze mną?

— Dlaczego nie chcesz tu zostać? — zapytał. — Poczekaj chwilę. — Jego słowa brzmiały tak nieprawdopodobnie dziwnie i czarująco.

— Co powiedziałeś? — Światło z pieca odbijało się na jego bladych policzkach. Odwróciła się, żeby wyjść, ale nagle znalazła się w jego ramionach. Pochylił się i znalazł jej usta. Po chwili z małym drżącym spazmem ich wargi rozłączyły się. Chciała go całować o wiele dłużej. Jego dłonie dotknęły jej włosów i uniosły je lekko, odsłaniając twarz. Dotykał jej policzków, szyi. Poczuła, że się zapada, spytała:

— Czy na to czekałeś?

— Wiesz o tym — powiedział. Wyprostował się i popatrzył jej prosto w oczy. — Nie uciekniesz od tego, przecież wiesz.

Pochwycił ją w pułapkę spojrzenia. Wiedziała, że go kocha. Dotąd nigdy się do tego nie przyznała, nawet sama przed sobą. Chciała zapomnieć jego śmiech, jego

głos, jego czar. Chwile okrążyły ich i wypełniły wszystkim, co zostało niedopowiedziane. Wiedziała, że nie ma wyboru. To los. Dotknęła ostrożnie jego twarzy. Wszystkie uczucia, dotąd uśpione, ożyły i żądały spełnienia. Jeśli naprawdę zamierzam to zrobić, to musi to trwać do końca mojego życia — pomyślała. Pocałowała go jeszcze raz. Zadrżała na myśl, co stanie się potem. Zaczął odpinać jej ubranie.

— Nie, nie tak. — Odetchnęła ciężko. — Ja to zrobię.

Nic nie zostało powiedziane. Odwróciła się od niego i choć nie znała dobrze drogi, poszła do jego sypialni. Czuła jego palce na swoim ciele. Zapaliła lampkę. Knot zaświecił niebieskim płomieniem. Wciąż na nią patrzył. Czuła łomotanie serca. Zaczęła zdejmować ubranie. Popatrz na mnie — powiedział pierwszego poranka, kiedy otworzyła oczy. Popatrz na mnie — pomyślała teraz. Rozebrała się, potem spojrzała na niego i gdy się zbliżył, zdjęła mu koszulę. Odwróciła się, odkryła narzutę z łóżka, jej piersi trafiły na jego dłonie. Jęknęła.

Drżała, kiedy się do niego odwróciła obejmując go i unosząc się szukała jego ust. Poczuła, że całuje jej policzki.

— Zawsze cię chciałam — powiedziała i wciąż drżała. Podniósł ją i położył na plecach na łóżku.

Nagle z pasją, nie myśląc o niczym i nie chcąc o niczym myśleć — oddała mu się. Z początku odrobinę bolało, poczuła, że coś się w niej rozrywa jakby młody liść, ale on wyrósł nad nią i pomiędzy jej lędźwiami.

— Mark — szeptała — Mark...

Potem leżeli obok siebie, a jego pełne uwielbienia ciemne oczy patrzyły na nią. Westchnęła i skierowała jego głowę w dół, żeby tam go poczuć.

— Nie przestawaj — mruczała — nie przestawaj.

— Noc wciąż przed nami — powiedział.

— Czy oni się domyślają, co zrobiliśmy? — uśmiechnęła się.

— Zbyt się tym przejmujesz — odpowiedział rozbawiony.

— Nie — odparła. — To nie to. To tylko... ta noc jest taka długa.

— Nic nie trwa tak długo, jak tego pragniemy.

— Może dla mnie będzie. Chcę być z tobą. — Zobaczyła ogniki w jego oczach, chciał coś powiedzieć. — Proszę. Nic nie mów... nie mów.

Jej wargi przemierzały jego ciało i nie zatrzymywały się w żadnym miejscu. Jego muskuły drżały pod wolnym ruchem ust i języka. Nie żałowała niczego, przytulała go i pieściła, jej piersi poruszały się na jego klatce piersiowej, ustach i oczach. Całowała jego miękką skórę na brzuchu. Jakby z daleka słyszała jego pomruki. — Ach — śmiała się unosząc się na ramionach.

— Daj mi popatrzeć na siebie — powiedział. Usiadła przed nim olśniona. Jego dłonie pieściły jej sutki, wywołując nagłe skurcze całego ciała. Chciała go pochłonąć, jak ogień. Zmrużył oczy.

— Co się stało? — szepnęła. — Powiedz.

— Leono... — jego głos pulsował w niej. Zamknęła powieki. — Na Boga, Leono, ty odebrałaś mi tchnienie. — To były słowa nie z tego czasu, nie z tej epoki.

Zbliżyła się do niego i odrobinę wyprężając plecy poczuła go w wolnym, łagodnym połączeniu. Jej ciało poruszało się własnym rytmem, tak swobodnie i nieograniczenie, jak światło połyskujące przez pryzmat. Blask lampy tworzył wokół nich długie smugi, ale nie widziała kształtów jego twarzy. W nieopisanie słodkim nacisku poruszał się w niej głęboko.

— Mark. Dotykaj mnie. — A kiedy nie mogła wytrzymać już dłużej, opadła na niego. Jej napięte biodra poruszały się z wysiłkiem, a przeciągły krzyk wydobył się z głębi jej gardła.

— Mój Boże!... Boże!... Boże. — Jej włosy opadły na jego twarz. Poczuła, że już nie jest sobą i wielka rozkosz przeniknęła całe jej ciało. Fala za falą jak długa słodka wstęga, którą ktoś z niej rozwijał.

ROZDZIAŁ 18

Staruszka zapadała w sen. Usłyszała jeszcze Vivian, która żegnała towarzystwo przed bramą.

— A wpadajcie częściej— krzyczała.

— Do widzenia, do zobaczenia. Dzięki za wszystko.

Jej stare palce dotknęły stolika nocnego. Wzięła okulary. Z trudem wsunęła je na nos. Były ciężkie. Teraz dopiero widziała. Wstała i podeszła do okna. Spoglądała na cienie drzew, na płot, stosy drewna i budynki gospodarskie. Światła samochodów świeciły prosto w oczy tak, że musiała je mrużyć. — Jesteście tam i czekacie — powtarzała cicho, jej usta pracowicie wymawiały każde słowo. — Po prostu czekają. Jeśli się dobrze wsłuchasz, to ich usłyszysz.

— Dobrej nocy — krzyczała Vivian. — Proszę nie zapomnieć. Odwiedzajcie nas. Do widzenia, do widzenia. — Brama zamknęła się. Vivian wróciła na ganek i zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

Staruszka wróciła do łóżka. Ułożyła się wygodnie, głowę oparła na na łokciu. Chwilę później znowu do kogoś mówiła, choć nikogo nie było w pobliżu.

— Dlaczego mnie nie słuchasz? Jestem starą, bardzo starą kobietą choć nie żyłam bardzo długo. Widziałam dużo rzeczy i robiłam wiele rzeczy, których nie powinnam robić, ale, Vi, jeśli pożyję jeszcze trochę, to udowodnię, że mam rację, że jest coś, czego nie można usłyszeć. To nie ma znaczenia, jak się przed nimi bronisz, oni i tak nas okradają. — Jej głowa poruszała się nerwowo na poduszce. Powieki zamykały się, a oddech stawał się głębszy i wolniejszy. — Nie wiem, dlaczego ojciec się na to zgadzał. Dlaczego ich nie zabił?

Śniła, że widzi ich wszystkich przykucniętych za krzakami, z oczami połyskującymi blaskiem księżyca.

Vivian podeszła do niej.

— Mamo, wstydź się, jeszcze się nie przebrałaś do spania.

Staruszka podniosła się w stronę twarzy, której rysy były takie jak jej samej, tylko młodsze o całą wieczność.

— Vi, musisz mnie posłuchać. Słyszysz? — I zaczynała od początku. — Oni są

tam, przed domem, chcą ukraść naszą kukurydzę, dla której wypruwamy sobie żyły.

— Ja wiem, mamo — zgodziła się Vi. — Wiem. Już dobrze, dobrze... ja wiem. No, zobaczmy, czy możemy nałożyć tę koszulę nocną.

Przez ściany szopy z narzędziami doszedł go szum samochodów. Chińczyk chciał zawyć. — To już ostatni — powiedział Sherman i przytrzymał pysk psa jeszcze mocniej. Cienkie pasemka mrugającego światła przesunęły się przez szpary w ścianach szopy. Samochód zawrócił, Chińczyk skamlał przez zaciśnięty pysk.

Ostatnia półciężarówka odjechała. Minęło parę minut. Chińczyk chciał się poderwać, ale Sherman go przytrzymał.

— Teraz masz być cicho — szeptał. — Leż cicho. Cicho. — Na drodze powoli zanikał hałas silnika, żeby przemienić się w odległe bzyczenie. Zapadła cisza.

Sherman wrzucił tabletki do ust prosto z buteleczki. Połknął trzy, potem popatrzył na buteleczkę i zamknął ją. Te tabletki nie są tak mocne jak tamte — pomyślał. Podszedł do drzwi, otworzył je, rozprostował nogi. Chińczyk wyszedł za nim. Przemykali pod ciemnawym światłem księżyca. Była mgła. Kiedy szedł, śnieg kruszył mu się pod nogami, a hałas podniecał go coraz bardziej.

Bałwan na podwórku. Musiały tu być dzieci.

Zatrzymał się przy stosie drew na opał. I przyglądał się cichemu domowi. Patrzył na werandę. Potem zbadał wzrokiem wysokie okna, rozjaśnione ogniem z pieca. Trzymając Chińczyka blisko siebie poszedł ścieżką. Stanął przy oknach. Teraz mógł zajrzeć do środka.

Kiedy lek zadziałał, zachwiał się mocno na nogach. Otaczająca noc zmieniała kształty i przesunęła się gdzieś w bok, potem wszystkie zmysły wyostrzyły się tak, że prawie bolało. Sherman czuł, że to nadchodzi niby lodowata woda. Mięśnie mu stwardniały, oddech się skrócił. Nie było tu nic innego, jak tylko dom, a w nim ludzie — i Mamie. Nic innego go nie obchodziło, nie było żadnego innego świata. Jeśli ta kobieta spróbuje mu przeszkodzić, ta kobieta, której tak nienawidził... jeśli ktokolwiek spróbuje mu przeszkodzić, zrobi wszystko, co trzeba. Po prostu ich pozabija. Błysnęło ostrze noża. Tym razem nikt nie zabierze Mamie. Zajrzał przez okna do wnętrza domu. Nic się nie poruszyło. Potem zawrócił i gwizdnął na psa.

Vi zdjęła kolorowy fartuch i rzuciła go na oparcie kuchennego krzesła. Teraz dom wydawał się pusty i samotny. Widziała Leonę, jeszcze zanim podała deser. Hardesty'ego też nie było. Vivian wiedziała, co się stało. Uśmiechnęła się. No tak — myślę — że miło spędzi czas. To jej dobrze zrobi. Teraz, oprócz brudnych filiżanek po kawie i deserowych talerzyków, które zostawiła na stole, wszystko było na swoim miejscu. Dzieci na górze, pokój posprzątany. Było jakoś za czysto. Zdążyła się już przyzwyczaić do walających się wszędzie zabawek. Przez próg z dużego pokoju pulsowało światło z pieca.

Po zabawie poczuła się bardzo samotnie. Otworzyła szparę w jednym z wysokich okien, żeby wpuścić trochę powietrza. Nieprzyjemny zapach dymu papierosowego wolno wypływał z mieszkania. Wieczorne niebo pochylało się coraz niżej. Miała wrażenie, że mogłaby po drabinie wspiąć się prosto na tarczę księżyca. Wstydź się, Vi Turner — dlaczego tak nisko się oceniasz? Jest pełno kukurydzy w stodole, kury znoszą ją jka, prawdziwe nioski, i trójka dzieci mocno śpi na poddaszu. Za chwilę już wiedziała, co powinna zrobić. Pójdę na górę i dotrzymam im towarzystwa — postanowiła — póki nie wróci Leona. Zamknęła okno, zasłoniła firanki, pościeliła łóżko Leony i poszła na górę.

Słysząc kroki, Mamie wstała na łóżku.

— Ty nie jesteś nią — odezwała się.

— Nie, nie jestem — Vi odpowiedziała cichutko. — Ale jestem następną najlepszą rzeczą. Posuń się odrobinę, położę się przy tobie.

— Zostań — wyszeptał Sherman zginając się nisko. Jego głos był suchy i rozkazujący — Czekaj. Waruj. — Chińczyk posłusznie położył się, jego gruby puszysty ogon uderzał o śnieg. Chłopiec wyprostował się i nasłuchiwał.

Zrobił krok w stronę domu. Chmury przesłoniły księżyc. Mgła zamieniła się w deszcz.

Pochylając się w oknie staruszka zobaczyła zbliżającego się Shermana. Potem usłyszała, jak wszedł do domu. Słabe uderzenia serca zabrzmiały głębokim akordem.

Zadźwięczał talerz. Wszystko nagle ucichło. Siedząc na łóżku z bijącym sercem słyszała go przez ściany domu.

— Ja ci pokażę — wymamrotała. — Ja ci pokażę, skurwysynu! Nie będziesz po nocy straszył starej kobiety. — Podniosła się, zmrużyła oczy. Popatrzyła przez szklaną szybę drzwi.

— Vivi! — zawołała i zakaszlała ochryple. Poczuła mocne ukłucie w sercu. Nikt jej nie odpowiedział, nikt nie podszedł do drzwi. — Jest tutaj ktoś obcy!

Sherman wyłonił się w progu pomiędzy kuchnią i dużym pokojem. Ogień z kaflowego pieca dawał mglistą poświatę. Zobaczył pościelone łóżko. Zastanawiał się, kto tu jest. Żałował, że zgubił swoją małą latareczkę. Zapalił zapałkę. Żółte światło zadrżało i trochę się wydłużyło. Nic nie wskazywało na to, że dzieci są tutaj. Zapałka wypaliła się, wyrzucił ją i zapalił następną. Potem jeszcze jedną. Wciąż się zastanawiając minął piec. Czy dobrze trafił? Nagle ugryzł się w wargę i wyrzucił za siebie tlącą się zapałkę. Oparzył się. — Cholera — zaklął cicho, possał palec. Łóżko było pościelone — co to może znaczyć? Dla kogo? Widział, że wszyscy odjechali. Gdzie są pozostali? Przy łóżku stały walizki. Odkładał je, jedną po drugiej, aż wreszcie zobaczył torebkę.

Odwrócił się w stronę drzwi. Cisza. Chwycił torebkę i otworzył ją. W środku było trochę papierów, które wyrzucił na łóżko. Potem wyjął z niej album ze zdjęciami.

Przerzucał fotografie. Nie miały znaczenia. Szukał czegoś z nazwiskiem — zobaczył prawo jazdy. Zapalił przedostatnią zapałkę i odczytał: Leona Hillenbrandt. Gdy ujrzał jej nazwisko, błysnęło mu w oczach. Wiedziałem — pomyślał. Wrzucił z powrotem wszystko do torebki. Wiedział. Potem zobaczył mapę.

Staruszka podeszła do szafy. Przyszli tu w nocy. Żeby nas okraść z naszej kukurydzy... z naszego własnego domu. Czuła mocne uderzenia serca. Chwyciła drewniany uchwyt i otworzyła lustrzane drzwi szafy. Chwilę pogrzebała w ubraniach i wyciągnęła dubeltówkę, która kiedyś należała do jej zmarłego męża. Z półki z kapeluszami po drugiej stronie zdjęła pudełko z nabojami. Poruszała się z wysiłkiem. Potrząsnęła pudełkiem. Żadnego poszanowania dla nikogo! Rozerwała je, a zawartość wysypała na łóżko. Naboje upadły z łoskotem.

Rozłożyła ramiona. Serce nie przestawało łomotać. Udało się jej zgiąć lufę i otworzyć komory na naboje. Pochyliła się nad łóżkiem, chwyciła pocisk i wsunęła go do jednej z dwóch komór. — Ha — mruknęła. Sięgnęła po następny pocisk, ale jej ręce trzęsły się zbyt mocno i wypadł na podłogę. Łuska uderzyła głośno i potoczyła się pod łóżko. — A niech to — mruknęła i na chwilę zamarła. Wzięła głęboki oddech. Potem schyliła się po następny nabój i z łatwością umieściła go w lufie. Złożyła strzelbę. Rozległ się suchy trzask. Odbezpieczyła zamek i pociągnęła do siebie dwie iglice. Trzymając kolbę przy piersi przeszła przez uchylone drzwi. Palec środkowy prawej ręki położyła na cynglu.

Weszła do kuchni. Zmrużyła oczy i uważnie zlustrowała wnętrze. Mdławe światło księżyca oświetlało krzesła i stół. Wieje wiatr i nawieje deszcz — pomyślała. Otworzyła drzwi szerzej. Stawiając ostrożne kroki rozglądała się wokół. Ciemny kształt na ścianie zmienił się nagle w uprząż. — Cholerny cień — powiedziała i odetchnęła. — Nie ruszaj się i stój spokojnie. — A potem, żeby dodać sobie otuchy, żeby się nie bać tej okropnej rzeczy, jaka zakradła się do domu, zaczęła mówić do siebie. — Nie boję się w ogóle — mruczała. — Nie boję się — powtarzała. Bezszelestnie posuwała się do przodu.

Brandenburg Station.

Podszedł do pieca, zbliżył mapę do otwartych drzwiczek. Palcem przejechał zaznaczoną ołówkiem drogę przez Kentucky aż do końca, do zakreślonego kółkiem miasta nad rzeką. Zaśmiały mu się oczy. Z trudem odczytywał słowa. Kilka razy powtórzył nazwę. — Chciał dobrze zapamiętać. Chciał zabrać dokumenty, ale zdecydował, że zostawi wszystko tak jak było, żeby nie zauważyła żadnych zmian. Szybko zapiął torebkę i odłożył ją na miejsce. Z drugiego pokoju usłyszał hałas. Ktoś coś mówił, bardzo cicho. Po chwili posłyszał to znowu — słaby niewyraźny głos, jakby ktoś majaczył we śnie. Zesztywniał, odwrócił się i popatrzył na cień zbliżający się do drzwi. Wyglądał jak kobieta. Przed nią kołysała się połyskująca lufa dubeltówki.

W pośpiechu szukał miejsca do ukrycia, poruszył fotel. Cienie zachybotały nad nim, jakby w szalonym śmiechu.

— Widziałam wiele różnych rzeczy dobrych i złych, które spotykałam na swojej drodze. Widziałam kobiety, które zabijają własne dzieci. Widziałam mężczyzn, którzy zabijali się w bójkach o nic... — Czarną noc przeszył głośny grzmot. Zdrętwiały jej ramiona. Dubeltówka była za duża i za ciężka, z trudem trzymała ją w rękach.

Sherman stanął przy pościelonym łóżku za przezroczystymi firankami i obserwował staruszkę.

— Ja wiem o rzeczach, o których ci się nie śniło... — Zatrzymała się i stanęła wyprostowana. I wtedy Sherman ją zobaczył — była mniejsza od niego, jej stara skóra marszczyła się tworząc wzory jak deseń skóry węża, głęboko osadzone, przesłonięte ciężkimi okularami oczy wodziły po pokoju, niby oczy sokoła, który wypatruje ofiary, zaciśnięte, nieruchome usta nadawały twarzy wyraz pełnej determinacji. W rękach trzymała strzelbę, która wydawała się dłuższa niż ona sama.

Sprzęty i meble w pokoju chybotały się w niepewnym świetle z pieca. Poły koszuli nocnej staruszki poruszyły się, a jej twarz drgnęła mimowolnie. Usłyszała dźwięk, ale był tak niewyraźny, że nie mogła się zorientować, skąd dochodził.

— Gdzie jesteś? — powiedziała groźnie.

Poruszał tylko powiekami.

— Kim ty, u diabła, jesteś? — zapytała jeszcze głośniej. — Zakłócasz mój. spokój.

Nagle usłyszała, skąd pochodzi narastający hałas. Odwróciła się szybko w tamtą stronę. Na zewnątrz przy oknie stał wielki cień. Podeszła bliżej. Duży kształt — czarny, ociekający wodą. Jej kręgosłup zesztywniał ze strachu. Szyba zasnuła się mgłą jej oddechu, było cicho. Trzęsąc się zacisnęła wargi jeszcze mocniej.

— Kim jesteś? — zapytała głośno i wyraźnie. — Pokaż się!

To coś wciąż stało opierając się o szybę.

Nie odrywając wzroku od tego czegoś staruszka cofnęła się do drzwi. Otoczyła ją ciemność.

— Wyłaź, do jasnej cholery! — Kształt poruszył się nagle.

Cichy jak kot Sherman obserwował ją. To na pewno Chińczyk — pomyślał. Ale póki stara kobieta była wciąż przy drzwiach, znajdował się w pułapce. Ona była zdolna do wszystkiego. Wytarł wilgotną rękę o spodnie i mocnej ścisnął nóż. Grzmot uderzył wysoko nad domem. Chińczyk chciał wejść do środka.

Niebo rozjaśniła błyskawica. Światło padło na okno i zobaczyła, że to nie człowiek — to coś miało sierść i żarzące się ślepia.

— Nikim nie jesteś — krzyknęła, podnosząc broń wyżej i mierząc w psa.

Ona chce go zastrzelić! Sherman poczuł się słabo. Ona naprawdę chce go zastrzelić. Odchylił gwałtownie zasłonę.

— Ej! Ej! to mój pies!

Ciemny kształt pędził w jej kierunku. Obróciła się, chcąc wycelować, ale instynkt sparaliżował jej mięśnie. Zobaczyła w jego ręku błyszczące ostrze zamierzające się na nią, zbliżało się z oszałamiającą prędkością. Jego zabandażowana ręka uniosła się, żeby odsunąć na bok lufę i jej pająkowaty palec zacisnął się na cynglu.

Strzelba wypaliła.

Siła odrzutu popchnęła staruszkę do tyłu i zbiła ją z nóg. Ogień dosięgnął jednego z czterech okien pokoju. Wypadła cała szyba, roztrzaskując się z głośnym hukiem. Było czuć zapach spalonego gipsu, prochu i swąd osmalonego drewna. Ktoś na górze krzyczał przeraźliwie. Rozległy się kroki. W głowie dudnił mu wystrzał, który na chwilę go oszołomił. Podniósł się na kolana, nie zobaczył nikogo. Nie trafiła go, chociaż lufa była skierowana prawie w jego twarz. Poderwał się na nogi, wyskoczył przez rozbite okno i zniknął w mroku.

Hałas przebił się przez pokłady nieświadomości Leony, jak kamień lecący przez głęboką wodę. Zamrugała. To nie był grzmot — pomyślała. Wciąż oszołomiona snem uniosła się na łokciu. Nasłuchiwała uważnie.

— Słyszałeś to? Mark?

Zbliżył do niej twarz i przetarł oczy.

— Taka pogoda — powiedział zaspany. — To nic. — Dotknął jej bioder i podniósł się. Usiadł na łóżku i wyjrzał przez okno. — Ale to był jakiś dziwny odgłos... jakby ktoś strzelał.

— Bardzo blisko — dodała. — Chyba od strony domu Vi. — Okrywając się prześcieradłem ześliznęła się na brzeg łóżka i zaczęła się ubierać. — Chcę wracać. Jedziesz ze mną?

Zapalił lampę. Jakieś dziwne przeczucie opanowało Leonę, każdy jej nerw i mięsień. Czuła się bardzo zmęczona. Jej ruchy były powolne, palce niezgrabne. Nie mogła znaleźć butów. Chciała uczesać włosy, ale zrezygnowała. Spieszyła się. Myślała tylko o jednym.

Ktoś strzelał.

— Muszę coś jeszcze zrobić — powiedział Mark. — Idź pierwsza. Zaraz cię dogonię.

Nie była w stanie czekać. Pobiegła. Ośnieżona ścieżka znikała pod jej stopami. Kamienie rozpryskiwały się spod nóg. Zobaczyła zardzewiałą bramkę. Poczuła ucisk w żołądku. Nie powinna ich zostawiać samych. Mój Boże, mój Boże. Zacinający deszcz zasłonił jej widok. Nie zauważyła korzenia leżącego na ścieżce i zaczepiła się o niego. Upadła całym ciałem na lodowate krzaki.

Hardesty podniósł ją. Deszcz wciąż padał.

— Spokojnie — powiedział. — W ten sposób nie będziesz tam szybciej. Podał jej rękę. Zauważyła, że miał strzelbę. I to ją przeraziło.

— Boże, co się dzieje? A jeśli coś im się stało? Och, Mark... Wyrwała rękę z jego dłoni i pobiegła na skróty przez zarośla. Stary dom był już blisko, wszystkie światła

były zapalone. Dostrzegła Vi. Stało się coś złego.

Strach ściskał jej gardło. Prawie nie była w stanie otworzyć drzwi wejściowych. Drzwi do kuchni były uchylone, wolno weszła do środka. — Vi! — krzyknęła, odpowiedziało jej tylko echo. Słyszała szurające odgłosy z dużego pokoju. Zrobiła krok w tamtym kierunku, ale coś zmuszało ją żeby poruszać się wolno.

— Mój Boże, Vi! — wykrzyknęła pełna najgorszych myśli.

— Jesteśmy tutaj — odezwała się Patsy.

Walter i Mamie stali za nią. Nad nimi przy piecu Vi pochylała się nad matką. Kiedy Leona klęknęła przy dzieciach, zobaczyła wybite okno i osmaloną ścianę.

— Vi, na miłość boską, czy nikomu nic się nie stało?

— Chyba nie — powiedziała Vi z wahaniem. Leona przycisnęła do siebie dzieci.

— Moje dzieci — starała się opanować drżenie głosu. — Co tu się wydarzyło?

— Pomogliśmy się podnieść Wesołej Babci — powiedziała Patsy. Była blada. Zaczęła płakać.

— Proszę, nie płacz. Och, nie płacz. Powiedz tylko, co się stało.

— Wesołej Babci wystrzelił karabin. — Mamie łapała powietrze z trudnością.

— Taa — zauważył Walter. — Ona kogoś zabiła. — Miał wilgotne rzęsy.

Vi stała przy fotelu matki.

— Mamo — powiedziała. — Nikt cię nie podejrzewa, że to wszystko wymyśliłaś.

Staruszka wskazała na wybite okno, popatrzyła niewidzącym wzrokiem i otworzyła bezzębne usta.

— Wiem — mówiła ciocia Vi. — Ale teraz ich nie ma, odeszli. Musisz nam wszystko opowiedzieć. Zobacz, jak się dzieci przestraszyły. Nie powinnaś tak straszyć dzieci. —Dzieci oderwały się od Leony, patrząc z lękiem na wybite okno. Vi odwróciła się do Leony. — Nie można się z nią dogadać. Coś się stało, ale nie wiem dokładnie co.

Hardesty szedł przez kuchnię w ich stronę.

— Myślałem, że słychać coś od stodoły — oznajmił. — Ale ten deszcz wszystko zagłusza.

Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, Vi przerwała mu.

— Odłóż strzelbę — zażądała. — I przestań już gadać. — Popatrzyła na dzieci. — One się wciąż boją. — Potem zrobiła krok w jego stronę i pochyliła się do przodu. — Ona myśli, że zobaczyła coś i strzeliła do tego. Wiedziałam, że w końcu do tego dojdzie. Od dawna mówi, że widzi różne rzeczy.

— Słusznie — odezwała się staruszka. — Przyszło do mnie z nożem. Po prostu przyszło. Przyszło jak cholerny złodziej.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Mark patrząc na Vi. Przytaknęła i wzięła głęboki oddech. — W porządku — powiedział. — Sprawdzę, co tam jest na dworze. — I wyszedł.

Mamie odwróciła się do fotela przechylając główkę.

— Wesoła Babciu, czy jesteś ranna? Wesoła Babcia popatrzyła na nią z góry.

— Czemu tak bardzo przypominasz mi, moje dziecko, moją małą Phoebe.

— Spaliśmy — tłumaczyła Patsy ocierając wilgotne policzki.

— Taa — powiedział Walter. — A potem zatrzęsła się podłoga.

— On wszedł przez to okno. Jak jeden z chłopców od Frake'ów — zabrzmiał słaby głos dopominając się uwagi.

— Mamo, ale chłopcy od Frake'ów chodzili z tobą do szkoły. A teraz leżą na cmentarzu w Hope od dwudziestu lat. Przecież o tym wiesz— powiedziała Vi.

— To co, że nie mogę poznać, kto to był — zdenerwowała się staruszka. — Widziałam, jak się tam szwendają. Widziałam jak w biały dzień.

— Nie powinniście tutaj stać na bosaka — Leona zwróciła się do dzieci. — Zmykajcie na górę i kładźcie się do łóżka.

— Ja już nie zasnę — odparła Patsy. — Jest za głośno.

— No szybko — powiedziała ciocia Vi. — Chyba nie chcecie dostać zapalenia płuc. Już koniec. Wszyscy idą za mną. — Potem zwróciła się do Leony: — Pozwól, że ja je zaprowadzę na górę. Może je trochę rozbawię. Przestraszyliśmy się wszyscy. A ja o mało nie umarłam ze strachu we śnie. — Zebrała dzieci i uśmiechnęła się do Leony, kiedy zaczęli wchodzić po schodach. — Twoje rozpuszczone włosy wyglądają o wiele lepiej. Wyglądasz znacznie młodziej.

Leona popatrzyła na nią i uśmiechnęła się do siebie. Była już spokojniejsza. Wydarzyło się zbyt dużo. To wszystko nie było jasne, ale jej najgorsze obawy nie ziściły się, dzieciom nic się nie stało. Poczuła ulgę. Usiadła na stopniu schodów. Przez ciemne okno widziała Hardesty'ego — chodził w deszczu. W końcu wszedł do kuchni. Podeszła do niego. Podniósł rękę i dotknął jej policzka.

— Tam nie ma nikogo — powiedział. — Nikt nie strzelał, nie znalazłem żadnych śladów. Jeśli nawet były, to deszcz je rozmył. — Pochylił się do niej blisko. — Naprawdę, Leono, wszystko jest w porządku. — Podszedł do staruszki, a Leona postąpiła za nim. Co za noc — myślała — co za noc.

Wiatr nawiewał deszcz przez pustą framugę okna.

— Nigdy nie widziałam w swoim życiu czegoś takiego. Stara kobieta nie może już spać spokojnie w swoim łóżku. Nie zostawię tak tego. Mówię ci, Vivi. — Podniosła się z fotela i zbliżyła do Marka. — On tam stał przy oknie i ujadał. — Wskazała palcem. — Pomyśleć tylko. Podchodzić mnie we śnie. Nie boję się niczego, niczego, nawet tego wstrętnego psa!

Pies! Leona poczuła dreszcz. Wszystko to, czego bała się najbardziej, było tutaj, było na wolności, ukryte gdzieś bardzo blisko. To był on! Poczuła bolesny skurcz w żołądku. To był on mimo wszystko. To był on! Nagle zamarła.

— Mark, on tam jest! Nic go nie powstrzyma.

Pełen wątpliwości popatrzył na nią, potem zmrużył oczy.

— Czy coś widzisz?

— Nie — krzyknęła Leona. — Nie! On tu jest. On tam wciąż jest. Mark, on wróci. On wróci! — Hardesty chciał jej dotknąć, ale ona wyrwała mu się. — Posłuchaj,

Mark, proszę — on tam jest. On nie odejdzie. Wszyscy jesteśmy zagrożeni. Musimy coś zrobić! — Zdesperowana pochyliła się nad staruszką i chwyciła ją za ramiona.

— Powiedz mi... Wesoła Babciu! Jak on wyglądał?

— Do widzenia, do zobaczenia. Dobrze, że wpadliście. — Głowa kobiety opadła na oparcie fotela.

— Tak — nalegała Leona. — Ale naprawdę nie pamiętasz? Ten mężczyzna? Mężczyzna z psem. Jak on wyglądał? Przypomnij sobie!

Staruszka zamknęła oczy, ale jej usta wciąż się otwierały i zamykały. Zaczęła się kołysać i mruczeć coś do siebie. Jej kapcie uderzały rytmicznie o podłogę. Leona odwróciła się do Hardesty'ego.

— Och, Mark, tak się boję. — Już wiedziała, co musi zrobić. — Musimy wyjechać — powiedziała mu. — Musimy natychmiast wyjechać. Ja i dzieci.

Zaczął protestować, ale nie pozwoliła sobie przerwać. Odwracając się spojrzała na swoją torebkę. Podeszła szybko i sprawdziła zawartość. Wszystko było na miejscu, mapa tkwiła w jednej z przegródek.

— O co chodzi — spytał Mark. — O co tu chodzi? — powtórzył. — Leono, powiedz mi.

— Nie mogę — odrzekła. Nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. — Nie możemy tu zostać. Nie jesteśmy już bezpieczni. Nikt nie jest tu bezpieczny. Musimy jechać.

Leona klęczała przy dzieciach zapinając im płaszczyki i przygładzając włosy pod zimowymi czapkami. Hardesty przechodził przez pokój. Wynosił walizki do samochodu. Kiedy dzieci były gotowe do wyjścia, ciocia Vi przywołała je.

— Wiem, że Wesoła Babcia ma worek prezentów pod choinkę dla was. Trochę różnych drobiazgów. Idźcie się z nią pożegnać. — Kiedy dzieci skierowały się w stronę drzwi, odwróciła się do Leony.

— Powiedz mi prawdę. Czy wyjeżdżasz z tego powodu, o którym wspomniałaś wcześniej? Pamiętasz, powiedziałaś o jakimś człowieku, który idzie za tobą?

— Tak! — odparła Leona zdziwiona, że Vi to pamiętała. Popatrzyła na dzieci i położyła palec na ustach. — Tak, Vi. To się nigdy nie skończy.

— Tak myślałam — powiedziała Vi, odwróciła się i poszła za dziećmi.

Kiedy wyszła, Leona wyjęła walizkę zza łóżka. Zapięcie było otwarte. Bała się tego dotykać, ale zmusiła się, by zajrzeć do środka. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby pojęła, że nie ma pistoletu. Nie... Boże! Znalazł to, co chciał. Nie ma! Więc po to tu przyszedł — pomyślała. Zamiast całej torebki. Wziął... wziął tylko pistolet. Więc jak mogę się teraz bronić, jak mogę go teraz powstrzymać?

Usłyszała głos Vi: — Mamie, przestań już zaglądać do tego worka świętego Mikołaja. Proszę cię.

Leona zamknęła walizeczkę, wzięła ją w dłoń i poszła do nich.

Potem żegnali się idąc w stronę bramki. Dzieci szły przodem, długim jasnym

korytarzem świateł samochodowych. Leona odwracała się co kilka kroków. Wciąż się bała, wciąż czekała, że ktoś może wyskoczyć na nią z ciemności. Muszę tam jechać — pomyślała.

— Szkoda, że odjeżdżasz — powiedziała Vi i objęła ją swoimi mocnymi ramionami. — Tak — szeptała Leona. — Tak.

Kiedy rozłączyły się, Leona zobaczyła w jej błękitnych oczach tyle ciepła, dobroci i przyjaźni, że nagle poczuła się silna i gotowa na wszystko. Mówię ci do widzenia, Vi — pomyślała Leona. I nigdy już cię nie zobaczę. — Och, Vi — powiedziała i ścisnęła jej twardą przyjazną dłoń.

— Teraz po prostu się trzymaj. Niech Bóg cię nie opuszcza — powiedziała Vivien.

Leona, Hardesty i dzieci wsiedli do samochodu. Światła padały na ogrodzenie, oświetlając sylwetkę Vi. Podniosła rękę. Leona jeszcze raz spojrzała na nią ale łzy w jej oczach zamazały pole widzenia.

— Weźmiesz mój samochód — zarządził Hardesty.

— Nie, Mark! Twój samochód? Nie, nie mogę.

— Musisz — nalegał. — Pojedziesz, dokąd zechcesz. Wrócę i zostanę z Vi do rana. Jedź do Kentucky, tam kupisz samochód, jeśli to właśnie chcesz zrobić, a mój tam zostaw. Wyślij kartkę, gdzie jest. Zabiorę go. — Ale jego oczy mówiły zupełnie coś innego.

Deszcz przestawał z wolna padać. Stali w łagodnym szarym świetle na wiejskiej drodze. Prawie półtora kilometra od domu Vivian Turner Hardesty delikatnie wziął ją za ramiona. Prosił, żeby została.

— Nie rób tego — powiedział. — Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogę tu mieszkać bez ciebie. Co mi zostanie, jak odejdziesz? Wspomnienia? To za mało. Przysięgam, że będziesz ze mną bezpieczna.

Tak bardzo pragnęła poddać się, zostać z nim. Na wszystko się zgodzić.

— Nie mogę. Nie mogę — powtarzała. — Jak mogłam do tego dopuścić? Nie powinnam cię do tego mieszać. Myślałam, że czuję się tu bezpiecznie, z tobą i to było... — Łzy napłynęły jej do oczu, ale szybko je otarła. — Och, Mark, nie kochaj mnie. Ja ci złamię serce.

— Więc musisz złamać. Czego się obawiasz?

— Boję się zostać — powiedziała. — I boję się odjeżdżać.

Dzieci patrzyły na nich przez szyby samochodu. Leona zobaczyła je i uśmiechnęła się lekko. Wiatr targał gałęziami drzew. Hardesty mocno ją przytulił.

— Więc nie mów — wyszeptał. — Nie mów mi żadnych kłamstw. Nie obchodzi mnie, co to jest. I tak cię odnajdę, taką jaką byłaś tutaj — ze mną.

— Może nie będziesz chciał. Nie znasz mnie. Chyba myślisz, że mnie znasz, ale to nieprawda.

— Jesteś piękną gwiazdą która spadła z nieba pewnej nocy.

Nadeszła chwila, gdy nie mieli już nic więcej do powiedzenia. Stali w milczeniu. Ranili się nawzajem. To było jakby oślepnąć — nie zobaczyć się nigdy więcej. W końcu powiedział jej imię, powtórzył, że ją kocha. Ale nic nie potrafiło uwolnić jej od strachu. Próbowała mu powiedzieć, że nigdy go nie zapomni. Popatrzyła na opustoszałą drogę. Wstrzymując oddech, przytuliła się do niego, potem pocałowała gorąco, pocałunkiem, który miał trwać do końca jej życia.

ROZDZIAŁ 19

Gdzieś piał kogut. Czas wlókł się w nieskończoność. Zamglony poranek. Deszcz zamarzał tworząc gołoledź, która połyskiwała jak ślady meandrycznej drogi ślimaka. Poranne światło padało przez gałęzie wysokich pni, między którymi szedł chłopiec. Jednak wciąż panował nocny mrok, niedający się łatwo pokonać spokojnemu kolorowi indygo.

Lewa strona twarzy Shermana wciąż piekła od ognia wystrzału. Przyciskał do policzka zimny rękaw. Miał cholerne szczęście.

— Chińczyk — krzyknął. — Do nogi.

Idąc po kamieniach przeszedł strumień i ruszył dalej. Pod nogami czuł cienki jak papier lód. Zastanowił się, która może być godzina. Mamrotał coś do siebie i przeklinał. Znowu zawołał Chińczyka, ale psa nie było.

— Chińczyk — krzyknął jeszcze głośniej. — No dalej, pies do nogi. — Znowu nic. Żadnego ciemnego kształtu przeskakującego pnie drzew, żeby go spotkać. Nagle usłyszał przejmujący dźwięk. Przeraźliwy, bolesny krzyk — wołanie o pomoc.

Przy strumieniu, który Sherman właśnie minął, pojawił się Chińczyk. Chwiejąc się przeciskał się przez zarośla, nagle padł w śnieg. Skowyt psa narastał. Sherman poczuł miękkość w kolanach i pobiegł przez kamienie.

— Chińczyk — powiedział zdyszany. — Co się stało? — Wyciągnął rękę, ale pies odsunął głowę i zawył znowu. — To ja! Chińczyk, to ja! Co ci jest! Nie widzisz mnie? Gdzie cię boli? — Ale czarna morda podniosła się w następnym skowycie.

Na początku Sherman nie rozumiał, co się stało i dlaczego pies wyje. Wydawało się nie do pomyślenia, że Chińczyk mógłby być ranny. Uspokajał psa łagodnie i w końcu dotknął go i znalazł wilgotne, ciepłe miejsce na sierści.

— Mój chłopie — powiedział łagodnie. — Więc ona cię trafiła. Ta przeklęta zwariowana starucha. Dostałeś. — Poczuł krew na palcach. To spostrzeżenie zapadało się w nim głębiej i głębiej. Drżąc rozejrzał się. — Nie możemy tu zostać — zadecydował.

Wysoko nad nimi, przeświturające przez nagie gałęzie zimne niebo stawało się

coraz jaśniejsze. Z wolna znikały cienie. Sherman wstał. — Chińczyk, wstawaj. Musimy cię wymyć. Nic się nie martw, zaopiekuję się tobą. No dalej. Wstawaj. — Pies spróbował unieść się na chwiejnych łapach. Chłopiec wyciągnął koszulę ze spodni i oderwał od niej szeroki kawałek materiału.

— Chińczyk — powiedział Sherman. — Wszystko będzie dobrze. — Zamoczył szmatkę w potoku, a potem obmył psu ranę. Plama czerwieni zabarwiła na chwilę zimną, rwącą wodę. Powtórzył zabieg. Złożoną szmatkę przyłożył do czarnej sierści Chińczyka, ale pies wciąż był niespokojny. Próbował dotknąć rany pazurem tylnej łapy. — Spokojnie — powiedział Sherman. — Spokojnie, daj to obejrzeć.

Pies krwawił. Długie odłamki szkła wystawały z czarnej sierści. To wygląda źle, pomyślał Sherman — bardzo źle. — Zamoczył szmatkę jeszcze raz.

Gruby nos Chińczyka i powierzchnia skóry wokół jego oczu były pokryte cienką pajęczyną krwawych śladów, a kawałki szyby powbijane w skórę świeciły jak kawałki lodu. Bardzo delikatnie wytarł szmatką pysk psa i wypłukał ją w wodzie. Potem bardzo ostrożnie, jeden po drugim, wyjmował szklane odpryski ze skóry zwierzęcia. Nie mógł jednak oczyścić wszystkich ran.

Szczególnie źle wyglądała poszarpana rana na piersi. Kiedy chciał ją zbadać, pies zawarczał ostrzegawczo i pokazał kły. Sherman cofnął się.

Słońce wzeszło wyżej. Gdzieś w oddali wciąż piał samotny kogut. Mam nadzieję, że czujesz się trochę lepiej — pomyślał Sherman. Rzeczy wydają się inne w świetle dnia. — Napij się — pies podniósł się na łapy i kołysząc się schylił łeb i pił. Wciąż krwawił. Stał coraz niepewniej. Sherman zbliżył się do niego. — A niech cholera weźmie tę starą zwariowaną babę. Widziałeś, co się stało? Widziałeś, co narobiłeś? A teraz jesteś poważnie ranny.

Powalone drzewo przecinało potok, Sherman wspiął się na najwyższe miejsce i rozejrzał się wokół. Nie wiedział, gdzie są. Ostry wiatr powiał w stronę strumienia. — Do nocy pewnie zamarznie — powiedział. Chińczyk wył i wycierał łapą krwawiący łeb. Sherman zszedł na dół. — Nie rób tego — krzyknął. — Chińczyk, nie rób tak. Wiem, że to boli. Przyniosę ci coś. — Zamoczył szmatkę w wodzie, wycisnął ją i delikatnie przetarł pysk psa. Czuł, jak ciało zwierzęcia się napina. Pies popatrzył na niego ufnymi oczami przez pajęczynę ran. — Chciałbym, żebyś mógł mówić.

Zdrową ręką chłopiec zaczerpnął trochę wody, przystawił do ust i pił. Czas uciekał. — Musimy znaleźć jakieś miasto, żeby ci pomóc. — Obmył twarz lodowatą wodą i wytarł ją rękawem kurtki.

Posłyszał odgłosy samochodów przejeżdżających pobliskim mostem. Tam musi być droga. — No, wstawaj, chłopie. Musimy się tam dostać. Musisz spróbować. Jesteś za duży, żeby cię nieść. No dalej. Wstań. — Poszli wzdłuż brzegu strumienia, aż wyszli na otwartą przestrzeń.

Przy końcu pola była droga. Szumiały gałęzie drzew. Szli nieskończenie długo. Zatrzymywali się, Sherman podtrzymywał psa. Potem szli dalej. Samochody

pędziły drogą jak rakiety. Gdzieś — pomyślał Sherman — jedzie ta kobieta. Mógł podążać za nią tylko w myślach. Znaki drogowe, małe miasteczka znikały za kołami jej pędzącego samochodu.

Doszli do miasteczka. Sherman przeczytał tabliczkę. DOOLITTLE FALLS MIESZKAŃCÓW 530. Skręcili w stronę pierwszej stacji benzynowej. Zatrzymali się pomiędzy stosami opon. Chińczyk się położył. — Zostań tu. Zostań. Ja będę za minutę. — Poszedł do garażu i powiedział do mężczyzny: — Mój pies jest ranny. Nie wiem, jak go leczyć. Czy jest tu jakiś weterynarz?

— Nie, proszę pana.

— Czy ma pan cokolwiek, żeby mu pomóc? — Mężczyzna zapytał, co psu się stało.

— Wpadł na szkło, pociął się nim i pokaleczył — wyjaśnił Sherman. — Poważnie krwawi.

— Nie, proszę pana. Niczego takiego tu nie ma — powiedział mężczyzna i wrócił do pracy. Sherman podszedł do wystawy małego sklepiku z zakurzonymi paczkami papierosów i cukierkami. Zauważył buteleczkę z aspiryną. — Myśli pan, że trochę aspiryny by mu pomogło? — Mechanik podszedł do niego wycierając brudne ręce szmatą. — Możliwe.

— Spróbuję — postanowił Sherman i wyjął dziesięć centów z kieszeni.

Przewracając się i skamląc Chińczyk doczołgał się do samej drogi. Sherman odciągnął psa pomiędzy opony. — Proszę bardzo — powiedział. — Poczekaj jeszcze chwilę. To ci pomoże. — Ale nie mógł otworzyć buteleczki. Uderzył kamieniem i ją rozbił. Wysypało się parę tabletek, reszta rozkruszyła się od uderzenia. Sherman pozbierał te całe. Trzymał tabletkę w koniuszkach palców.

— No, weź to Chińczyk, weź.

Pies obwąchał aspirynę i odwrócił głowę.

— No, dalej Chińczyk, weź to. To nie zaszkodzi. Poczujesz się lepiej.

Znowu przeraźliwy ochrypły skowyt wyrwał się z gardła psa — głośniej i głośniej, rwąc każdy nerw Shermana. I nie mógł temu zapobiec. Skowyt trwał i trwał. Musiał zaczekać, aż sam ucichnie. Znowu zaczął mozolnie wyrywać kawałki ostrego szkła. W końcu chwycił Chińczyka za nos, na siłę otworzył mu pysk i położył aspirynę na język. Jakiś czas potem Chińczyk oparł się o niego i ułożył się na jego nogach.

No, lepiej — pomyślał. Musimy odpocząć tak czy inaczej. Nogawki jego spodni, tam gdzie leżała głowa Chińczyka, zaczęły nabierać krwawej barwy. Ale nie ruszył nogi. Sherman słyszał podjeżdżające samochody, słyszał śmiechy i słyszał, jak mechanik zabawia kierowców dowcipnym przeklinaniem pogody, jak rozmawiają o polowaniu. Minuty mijały nieodwracalnie. Zajęło im całą noc, żeby się tu dostać. Sherman zamknął oczy tylko na chwilę. Czuł bicie psiego serca, wolno zapadł w drzemkę.

Ocknął się, kiedy pies oddychał mu w dłonie. Nie wiedział, ile czasu minęło. Chińczyk polizał go w policzek, jak za dawnych czasów, ale wilgotna krwawa gruda wciąż zwisała mu z piersi. Sherman poczuł niepokój, jakiego dawno nie doświadczał.

— Och, Chińczyk — westchnął. — Jest coraz gorzej. — Wytarł ślinę z policzka i wstał. — Musimy się pośpieszyć i poszukać pomocy.

Chińczyk wyglądał jednak lepiej. Szli powoli. Obładowani zakupami wracający ze sklepów ludzie rozchodzili się przed nimi. Niektóre kobiety cofały się na widok krwi, schodziły na brzeg chodnika, ciągnąc za sobą dzieci przy krawężniku. Człowiek w niebieskim fartuchu podszedł do drzwi sklepu. — Synu, powinieneś go stąd zabrać, bo brudzisz chodnik. — Inny, wychylając się z taksówki, krzyknął: — Co się stało pieskowi? — Minęli sklepy i hałas ulicy. Dochodzili do końca miasta nie zauważeni, nie zaczepiani przez nikogo. Głowa Shermana pulsowała znanym bólem. Wyjął buteleczkę z tabletkami, wyciągnął dwie i połknął jedną, a drugą przegryzł na pół. Jeden kawałek włożył do pyska Chińczyka. — To ci pomoże — powiedział. Wiatr uderzał w drzewa przeginając gałęzie w jedną, a potem w drugą stronę. Nagle wiatr wydał się jakby trochę cieplejszy.

Na skrzyżowaniu minęli tablicę z napisem — HAVERSTOWN 5 KM. W końcu dotarli do miasteczka położonego u podnóża góry. Sherman wbiegał do garaży, na stacje benzynowe i do zakładów fryzjerskich, wszędzie tam, gdzie zbierali się ludzie. Pytał ich prosto i szczerze, czy ktoś mógłby pomóc Chińczykowi. — Mój pies jest ranny — mówił. — Chyba ktoś do niego strzelał. Pełno w nim szkła jakby wpadł na okno. Proszę tu podejść. Pokażę panu. — I niektórzy szli za nim.

Bardzo gruby mężczyzna, który żuł kawałek cygara w ustach, popatrzył sceptycznie na psa.

— Nic dla niego nie możesz zrobić — zawyrokował. — On ma rozległe rany wewnętrzne. Popatrz tu, mały, różowa obwódka na nosie? On oddycha przez krew. Może przetrzyma dzień, nie więcej.

— Ty nic nie wiesz! — krzyknął Sherman, zaciskając pięść, żeby nie uderzyć grubasa. — On tylko próbował się lizać. To dlatego. Musi być coś, co mu pomoże.

— Gdyby było, mój mały, wiedziałbym co zrobić. Nie dałbym mu tak cierpieć — mężczyzna wzruszył ramionami.

Sherman poczuł strach. Wpatrywał się w mężczyznę, potem spojrzał w dół.

— Nie — powiedział suchymi ustami. — Oszalałeś chyba. Nie potrafiłbym tego zrobić. On potrzebuje tylko trochę reperacji.

— Jak do ściany — stwierdził mężczyzna.

Był południe, potem druga po południu. Sherman stracił poczucie czasu. Byli na drodze. Nie pamiętał, jak się tam dostali. Chińczyk kroczył obok niego, jego pazury uderzały o chodnik. Krew zaschła na jego przednich łapach. Kiedy oddychał przez nos, w jego gardle coś bulgotało, potem wył. Sherman bał się o niego. Nie wiedział co robić. — Chciałbym, żeby to się już skończyło — mamrotał do siebie. — Chciałbym, żeby to się nigdy nie wydarzyło.

Wszystko niespodziewanie się skomplikowało. Potrząsnął głową. Oni wszyscy są przeciwko mnie — myślał. Widział, jak ludzie odsuwają się od niego, kiedy prosił o pomoc. Oni wiedzieli, co trzeba zrobić, ale milczeli. Świat był mądrzejszy od

niego. Wszystko, co Sherman wiedział to to, jak odnaleźć kobietę. Miał nad nią przewagę. — Znam ją — szeptał. Nie znała go i tym razem dokładnie wiedział, dokąd ona zmierza.

To była jego ostatnia szansa. Wiedział to. Nie mógł iść z Chińczykiem w takim stanie. I musiał być ostrożniejszy. Jeśli znowu ją wystraszy, to potem nigdy już nie odnajdzie Mamie. Czas uciekał. Ból głowy był coraz silniejszy. Tabletki już nie pomagały. Musiał ją powstrzymać i to zakończyć. Musiał! Musiał odzyskać Mamie i zabrać ją daleko, a potem... Nagle zza pleców doszedł go znowu ten dźwięk, dźwięk jak żaden inny. Bolesny skowyt Chińczyka. Parę metrów za nim Chińczyk upadł na krawężnik. Próbował się podnieść, ale tylko bezwładnie przebierał łapami. Z drugiego końca ulicy pędził w ich stronę samochód. Sherman chciał podnieść psa, ale nie potrafił. W ostatniej chwili wyrzucił ręce w górę. Samochód gwałtownie zahamował i minął ich. Podmuch powietrza uderzył go prosto w twarz, tak że o mało nie stracił równowagi.

Chińczyk zawył. Sherman próbował wziąć go w ramiona. Usłyszał następny samochód. Próbował go zatrzymać, lecz samochód ominął go trąbiąc. — Ty skurwysynu! — krzyknął za nim Sherman. Podszedł do psa. — Wstawaj! — prawie płakał. — No wstawaj, Chińczyk! — Chwycił psa za sierść i pociągnął za sobą. Przeraźliwe wycie rozdarło powietrze. Przejechał inny samochód. Potem następny. — Proszę, musisz wstać! — Łzy spływały mu po twarzy i rozmazywały widok. — Chińczyk musisz! Musisz! — Prawie nieświadomy tego, co robi, Sherman chwycił w objęcia przednie łapy psa i podniósł go. Podniósł psa, który był większy od niego. Ściągnął go z jezdni. Przez tych parę sekund pies wydał mu się niesamowicie lekki. Z głośnym piskiem mijały ich samochody. Opony rzucały piasek i drobne kamyki na psa, we włosy i na twarz Shermana.

Powróciła idealna cisza, zakłócana tylko szumem wiatru.

Chińczyk wolno i słabo poruszył się. Sherman chwycił oddech. Nic nie wydawało mu się realne. Droga była pusta. I nie było nawet śladu zbliżającego się samochodu.

Sherman wiedział, co musi zrobić. Wydawało się, że zawsze to wiedział. Ale jeszcze nie był do tego zdolny. Podniósł psa i przytulił, głaszcząc jego gęstą sierść. Nie nadeszło żadne słowo pociechy. Stali razem, blisko siebie, przytuleni, tak jak zawsze. Popołudniowe światło zaświeciło pomiędzy drzewami.

W szarości zmierzchu ciężarówka z węglem zwolniła mijając opłotki Gentryville w Kentucky. Wysokie drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i mężczyzna wyszedł na jezdnię. Zbliżył się do chłopca i psa. Kierowca pomógł podnieść zwierzę. Powoli pies stanął na nogach. Kierowca pokazał palcem na skrzynkę na listy i boczną drogę.

— Tą drogą dojdziesz to białego domu. Ktoś tam może ci pomóc. Zapytaj o starego Toma Phelpsa.

Sherman widział, jak ciężarówka odjeżdża.

Po obu stronach drogi rosły wiecznie zielone drzewa. Wyszli na białe zabudowania

wznoszące się na skraju szerokiego, oszronionego pola. Jasny, duży dom. Sherman podszedł do drzwi i zapukał.

Wycierając ręce o ścierkę pani Phelps odeszła od sprzątania i poszła otworzyć. Kiedy podeszła do drzwi, bezkształtna postać zaglądała do środka. Pani Phelps zobaczyła wewnętrzną część dłoni przyciśniętą do szybki. Wtedy zapaliła światło na ganku. Dopiero gdy wszedł do przedpokoju zorientowała się, że był chłopcem. Miał na ubraniu ślady krwi. W znoszonej i brudnej kurtce, nie podnosząc wzroku powiedział:

— To jest mój pies. Jest poważnie ranny. — Jego głos brzmiał słabo. — Kierowca ciężarówki powiedział, że może tutaj dostanę pomoc. Miałem się zapytać o Toma. — Chłopiec podniósł głowę i popatrzył na nią. Wyraz jego oczu sprawił, że szybko się cofnęła. Ale po chwili zobaczyła tylko chłopca ze łzami w oczach.

Usta mu się trzęsły. Chciał się na czymś skupić i wpatrywał się w nią kiedy mówiła.

— Doktora nie ma — powiedziały jej usta. — Jest u Bena Sizemore, którego klacz się ośrebiła.

Sherman odwrócił się, niczego nie widząc, i zszedł z ganku.

Odwrócony do niej tyłem, połknął znowu dwie tabletki. Kobieta chwyciła za drzwi, żeby je zatrzasnąć. Zobaczyła chłopca siadającego na brzegu światła. Głowę miał pochyloną prawie do ziemi, a piersi zakrwawione. Zamarła. — O dobry Boże. — Nagle przełamała odrazę i dodała: — Możesz poczekać, Tom będzie w domu lada chwila.

Spojrzał na nią, potem popatrzył na autostradę poprzez wiecznie zielone drzewa i na feerię świateł miasteczka.

— Dobrze — powiedział.

Wskazała na szopę. Pozwoliła, żeby tam zaprowadził psa.

— Przełącznik światła jest na ścianie na prawo i kilka starych sienników, z których możesz zrobić posłanie. Poczekaj tam — powiedziała. — Tom przyjdzie do was zaraz, jak tylko wróci do domu.

Mówiąc coś do Chińczyka Sherman dwa razy spojrzał na kobietę, która zamknęła drzwi na klucz i poszła z powrotem do kuchni. Chciałaby mu pomóc. W lodówce miała kanapki, które zrobiła po południu, i jabłka w pucharze. Wyłożyła papierem dno małego wiaderka i włożyła do niego trzy kanapki i jabłko. No i ten biedny pies. Nalała wody do miski, wzięła kilka szmat. Przez okno zobaczyła, że światło w szopie jest zapalone. Podniosła wiaderko i miskę z wodą, ale położyła to z powrotem i podeszła do telefonu.

Wykręciła numer Bena Sizemore.

— Marcella, tu mówi Ruth Phelps. Czy możesz mi dać Toma do telefonu? — Nie widziała chłopca, gdy podchodził do okna. — Jest u mnie jakiś chłopak z psem. Przestraszyłam się nie na żarty. Nie wiem. Myślę, że pies musi mieć ranę postrzałową. Wygląda bardzo źle...

— Dobrze — powiedziała w końcu. — Dobrze. Przyjeżdżaj tak szybko, jak tylko będziesz mógł.

Ogarnięty paniką Sherman wybiegł z zasięgu światła. Wiedziałem! — pomyślał. Zadzwoniła na policję.

* * *

Było ciemno. Noc.

Ledwie stał na nogach.

Ból głowy nie ustawał. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Stracił poczucie czasu i orientację w terenie. Szli wzdłuż rzędu okien. Wiatr wiał mu prosto w oczy. Cienie psa i chłopca wyglądały jak posuwające się gdzieś do bram piekieł dusze potępieńców. Przejechał samochód i jego tylne światła zakrwawiły na chwilę noc. Coś błysnęło. Na świetlnej tablicy zobaczył sylwetkę psa, nogi zwierzęcia poruszały się do przodu i do tyłu. Wyglądał wspaniale i pięknie. Wydawało się, że płynie, bez żadnego wysiłku. Nad nim biały mrugający neon obwieszczał Psie Wyścigi.

Od strony dworca autobusowego przyjechał wielki chromowany autobus. Gwałtownie się zatrzymał. Jaskrawe, kolorowe światła w środku świeciły jak światła statku, który wypływa na podbój gwiazd. Autobus — pomyślał Sherman. Autobus! Chciałbym być w tym autobusie. Trzęsąc się z zimna i głodu poprowadził Chińczyka. Wokół niego błyszczały lampy.

— Co się stało twojemu psu? — zapytał kierowca.

Sherman popatrzył na niego, odwrócił się i zaczął odchodzić. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tam właśnie się znajdował. Nagle powiedział:

— Jak daleko jest do Kentucky?

— Jesteśmy w stanie Kentucky — powiedział mężczyzna. — Gdzie się wybierasz?

Sherman popatrzył na niego, potem przez ramię na pustą jezdnię.

— Wiem, gdzie to jest na mapie — powiedział.

Mężczyzna wyjął mapę ze schowka i rozłożył ją. Sherman przez chwilę przypatrywał się uważnie kolorowej płachcie i pokazał mu kropkę, nazwę Brandenburg Station. Mężczyzna powiedział:

— No tak, to jest blisko Louisville.

— Więc jak daleko?

— No, nie wiem dokładnie. Na oko jest jakieś sześćset, może siedemset kilometrów.

— A ile to zajmie czasu, żeby tam dojechać?

— No, zobaczmy — mężczyzna zmrużył oczy. — Biorąc pod uwagę stan dróg, to powinno jakieś trzy dni. Może dwa, jeśli sprzątną śnieg.

— Trzy dni?

— Tak. Wyobrażam sobie, że gdzieś koło tego.

Sherman wśliznął się do łazienki na tyłach dworca i wciągnął za sobą Chińczyka. Zamknął drzwi. Trzy dni — pomyślał. Trzy dni, a jeden dzień już się prawie skończył. Szybko zdjął kurtkę. Mamie oddalała się od niego. Tamta kobieta na

pewno zawiadomiła policję i pewnie go teraz szukają. Przełożył wszystkie papiery za koszulę. Poniszczone kawałki gazet, ostatni banknot tysiącdolarowy, przeznaczony na ucieczkę z Mamie, fotografię kobiety, którą dokładnie obejrzał dla odświeżenia pamięci. Wszystko układało się źle. Popatrzył na Chińczyka. Pies zlizywał własną krew z płytek podłogi. Wiedział, że nie może iść dalej. Przeraźliwa, przeszywająca serce samotność spadła na niego. Będę sam, tylko sam, bez ciebie — pomyślał. Samotny. Tylko Mamie została. Miał pieniądze... Mogliby znaleźć jakieś miejsce do życia, nowe miejsce. Była wszystkim, co miał.

Podniósł kurtkę. Wokół otworu rękawa podszewka była rozpruta. Wepchnął tam wszystkie papiery, które opadły na dół kurtki. Teraz, jeśli policja będzie go przeszukiwać, niczego nie znajdą. Pomógł wstać Chińczykowi i wyszli na zewnątrz. Samochód policyjny skręcił gdzieś w końcu ulicy. Sherman stanął niepewnie. Miał gotowy, jasny plan.

Weszli przez chromowane drzwi dworca autobusowego. Zatrzymali się przy tablicach z kredowobiałymi napisami i cyframi. Szukał nazwy miasta, do którego chciał jechać. Ale nie potrafił go odnaleźć, litery skakały mu przed oczami.

Cały dworzec był wielkim, pustym pomieszczeniem z ławkami dla śpiących i oczekujących na autobus. Nie czekał na strażnika, który zbliżał się do niego, żeby go wyrzucić. Wysokie lampy sufitowe wirowały w górze. Muszę coś zrobić — pomyślał. Zobaczył czerwony automat ze słodyczami. Wsunął monetę i pociągnął za uchwyt. Trzy batony czekoladowo-orzechowe wypadły mu na rękę. Włożył je do kieszeni i wyszli.

Chińczyk kuśtykał przyj ego boku. Sherman popatrzył na niego. Szli między jakimiś szynami. Posuwali się dalej i dalej do przodu, zostawiając z tyłu światła miasta. Cichł hałas ruchu samochodowego. Zapuszczali się w ciemne regiony lokomotyw i gąszcz chwastów. Popatrzył wzdłuż torów, gdzie ulica przecinała szyny. Mała, oświetlona krzyżówka zamajaczyła przed jego oczami jak odległy miraż. Rozwinął jedną czekoladkę i jadł ją, długo przeżuwając każdy kęs. Palce tak mu drżały, że baton prawie wypadł mu z ręki. Dał kawałek psu.

— Lubisz to, prawda? — powiedział patrząc na niego. Chciał spędzić tych kilka ostatnich chwil tylko z nim. — Boli cię, jak przełykasz? Przecież to twoja ulubiona. — Chińczyk pochylił się i przysiadł. Sherman dał mu drugi kawałek, potem jeszcze jeden i odwrócił się. Kiedy pies przeżuwał czekoladę, chłopiec wyjął nóż z kieszeni i otworzył go. Patrzył przez chwilę na błyszczące ostrze i położył go na żelaznym zderzaku lokomotywy. Potem zdjął kurtkę.

Nagle ruszył przed siebie wzdłuż ciemnych połyskujących szyn. Ciężko oddychał. Odwinął jeszcze jedną czekoladkę, połamał na kawałki i dał psu. Pot ściekał po twarzy chłopca, wycierał czoło rękawem koszuli. Wiatr był coraz zimniejszy. Westchnął. Wiedział, że zwierzęta wyczuwają zagrożenie. Zabandażowaną dłonią pogłaskał szeroką, wilgotną głowę.

— Wszystko w porządku — mruczał. — Chińczyk, wyjdziesz z tego. — Noc urosła wokół nich w brylantową mgiełkę. Odwrócił się. — Jesteśmy tacy sami — ty i ja.

Mocny dreszcz przeszedł jego ciało, kiedy odwijał ostatni batonik i kładł go na ziemi. Pies już nie próbował żuć, połykał kawałki. Sherman wytarł rękę o spodnie i chwycił nóż. Jego strach urósł do monstrualnych rozmiarów, zatrzymał powietrze w płucach. Teraz. Nagle zgiął się nad Chińczykiem. Jego zabandażowana dłoń zamarła nad głową psa i uderzyła w sierść już sztywną od krwi. Chociaż wykonał to szybko, wydawało mu się, że minęły wieki. Wyczuwając niebezpieczeństwo Chińczyk odchylił się, ale za późno. Patrzył. Ostrze zatopiło się i cięło gardło psa.

Obrzydliwy, rzężący skowyt rozdarł powietrze. Chińczyk odskoczył w paroksyzmie zdumiewającej siły. Krew popłynęła strumieniem z rany. Sherman zrobił krok do tyłu, był zaszokowany. Trząsł się. Pies podskakiwał i opadał. Krew sączyła się teraz rytmicznie powoli. — Przestań! — krzyczał Sherman. — Nie płacz! — W dzikim podnieceniu zamachnął się i znowu krzyknął: — Nie płacz! — Nóż uderzył, chybił. Pies zrobił unik i wyszczerzył kły, potem zawył i zapiszczał jak dziecko. — Nie płacz! —Sherman wciąż krzyczał. — Nie płacz! Nie płacz! — Zanurzał nóż raz po raz. Wreszcie opadł z sił i nie potrafił już unieść ramienia. Chińczyk przewalił się na bok. Opadał i podnosił się. Ostatnim porywem dawnej szybkości uskoczył w chaszcze.

Ból Shermana był tak ogromny jak przestrzeń powietrza. Przepełniony ohydą tego, co zrobił, zaczął szlochać, jak nigdy dotąd w całym swoim życiu. Jego głos załamywał się pod wpływem rozmiaru cierpienia. — Ja nie-e chcia-ałem — jąkał się. — Ja nie-e chcia-ałem, nie-e chcia-ałem, nie-e chcia-ałem. — Na oślep pobiegł do Chińczyka. Pies wył. Ukląkł przy nim. Jego dłonie przesuwały się po sztywnym ciele zwierzęcia. Podniósł go delikatnie i przytulił. Błagał. — Ja to cofnę. Chińczyku, ja to cofnę, cofnę, cofnę. — Łzy oślepiały go.

Wydawało się, że minęło mnóstwo czasu. — Nie, Chińczyku, ja naprawdę nie chciałem. — I nie potrafił zrobić najmniejszego ruchu, a pazury skrobały jego buty. Udało mu się podnieść psa, ale po chwili opadł z powrotem na kolana. Już nic nie miało znaczenia, czarne, wciąż otwarte i żywe ślepia Chińczyka patrzyły na niego.

Ręce i koszula Shermana były mokre od ciepłej krwi. Chciał cofnąć czas i zdawało mu się, że wystarczy tylko bardzo mocno tego chcieć. Zwierzę wymykało mu się z rąk, wielka głowa zakołysała się luźno. Poczuł spazm, który przeszedł po tylnych łapach jak drżący oddech. I Sherman cofnął się, i patrzył. Wyciągnął rękę i pogłaskał głowę Chińczyka. Nieruchome oczy psa patrzyły gdzieś daleko, w mrok — czarnymi, błyszczącymi źrenicami.

Nie żył.

Sherman sięgnął po dużą łapę i trzymając ją delikatnie głaskał. Potem płacz wyrwał się z jego krtani tak głośny i wysoki, że rozpostarł się po całej okolicy. Z pobliskich domów odpowiedziało mu smutne, grobowe ujadanie psów. Wiatr wiał i uderzał w Chińczyka, lekko jeżąc jego czarną połyskującą sierść wokół szyi, tak jakby za sprawą jakiegoś dziwnego zbiegu okoliczności ta jego część wciąż żyła.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 20

Czarny pontiac pędził w noc. Patrząc na rzekę, prześwitującą między drzewami Leona widziała pierwsze promienie poranka przebijające ciemność. Potem światło rozjaśniło pola, drzewa, ocienione domy — z oddali wyglądało, jakby cały krajobraz uniósł się w górę. Pejzaż z popularnej bożonarodzeniowej pocztówki. Parę chwil później, przeczuwając nadchodzący dzień, dzieci zaczęły się budzić.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedziała. — Już niedaleko.

W zimnym mieniącym się poranku pontiac śpieszył przez opłotki Brandenburg Station, zwalniając przy ograniczeniu prędkości. Skręcili w pochyłą główną ulicę pogrążonego we śnie miasteczka. Całą noc temperatura oscylowała w okolicach zera. Jechali wymarłymi ulicami. Leona zobaczyła przed sobą nieoczekiwany, jak na tę okolicę, widok. Spowita mgłą rzeka Ohio była zamarznięta. Powierzchnię pokrywały wielkie, pochyłe płaty lodu.

Hazard Road, która wiodła do najdalej wysuniętego punktu na lądzie w stronę wyspy, była odcięta. Tablica informowała: WSTĘP NA RZEKĘ SUROWO WZBRONIONY. LÓD GROZI TĄPNIĘCIEM. Leona wahała się przez chwilę. Czy czeka tu na nią policja? Nie mogła ryzykować. Przekręciła kierownicę, przejechała wolno wzdłuż szlabanu i wjechała w Hazard Road. Widziała te znaki już wcześniej. Co parę lat rzeka zamarzała, mieszkańcy miasteczka przychodzili tu ślizgać się na łyżwach. Podjechała do brzegu. Lód był czasem niebezpieczny, ale znaki ostrzegawcze stały tam bardziej dla zasady niż z powodu faktycznego zagrożenia. Dla Leony przejście lodu pieszo z dziećmi nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa.

Czuła się jak w domu. Wszystko tu było znajome. Nawet zaschnięte brązowe łodygi chwastów, przebijające się przez śnieg wywoływały wspomnienia. Jechała bez wysiłku. Mgła unosiła się nad ziemią. Hazard Road była starą, szeroką drogą leżącą pomiędzy brzegiem rzeki i bardzo wysoką, stromą kamienną skarpą. Chodnik wzdłuż drogi pokrywały nieforemne pasy cienkiego śniegu. Leona zwolniła. Mijali stanowiska wędkarzy, potem droga obniżyła się i przeszła w błotnisty teren porośnięty krzewami i wysokimi drzewami. Dalej była już tylko plaża i tafla

zamarzniętej rzeki. Wśród zmarzliny na środku rozciągała się ziemia wyspy. *Ile des Chats*. Kocia Wyspa.

Pontiac przejechał zamarznięte kałuże i zatrzymał się pomiędzy drzewami. Leona wyłączyła silnik i przetarła zmęczone oczy. Poczuła ulgę, miała poczucie zwycięstwa.

— Spójrzcie tam — powiedziała. — To jest to, co wam obiecałam. — Otworzyła drzwi, chłodne powietrze smagało ich twarze.

Dzieci chciały wyjść z samochodu. Przypomniała o włożeniu czapek i rękawic, a potem pozwoliła im wkroczyć w czysty, zimny poranek.

— Gdzie jest to miejsce?

— To jest rzeka Ohio, tak jak wam mówiłam.

— Ale jak się tam dostaniemy? Nie ma łódki.

— Po prostu pójdziemy — powiedziała im Leona.

— Ale tam jest woda.

— Tak — roześmiała się. — Kiedy się roztopi, będzie woda.

— A jeśli wpadniemy do rzeki? — zapytał Walter.

— Och, nie wpadniemy. Nie pozwolę na to.

— Mama powiedziała, że mogę wpaść. Powiedziała, że wpadnę na pewno.

— Walterze, zaufaj mi, tu jest zupełnie inaczej.

Wyjęła z bagażnika najniezbędniejsze rzeczy, mały kanister benzyny i torebkę zjedzeniem.

— Czy możemy wziąć prezenty świąteczne? — zapytała Mamie. — Ja chcę je zabrać.

— Pewnie — zgodziła się Leona. — A kto chce ponieść moją walizeczkę?

Patsy i Walter natychmiast skoczyli do przodu.

— W porządku — powiedziała Leona. — Poniesiecie ją na zmianę. Zostawiła duże walizki i dużą torbę zjedzeniem. Postanowiła przenieść je później. Prowadząc dzieci pomiędzy drzewami podeszła do rzeki. Wiatr zdmuchiwał śnieg z powierzchni lodu. Tam, gdzie lód miał wąskie pęknięcia, można było dostrzec jego grubość. Był mocny i głęboki. Nic się nie poruszało.

— Boję się — powiedziała Patsy. — Nie chcę chodzić po zamarzniętej wodzie.

— Więc możecie tu poczekać, będę was po kolei przeprowadzać.

Zdążyła przejść tylko parę kroków w głąb lodu, gdy usłyszała Mamie.

— Hej, poczekaj na nas.

Ruszyli jej śladem.

— Tylko ostrożnie — ostrzegała. — Idźcie bardzo wolno i spokojnie. — Poczekała, aż podejdą bliżej.

Lód dochodził do gęsto porośniętego brzegu wyspy i gdzieniegdzie wystawała łodyga jakiegoś krzaka. Tutaj lód był cienki i zielonkawy. Leona wskazywała dzieciom te miejsca i ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Minęli pokręconą alejkę solidnego lodu i zobaczyli kamienny dom, taki sam, jak opisywała go Leona.

Mały drewniany pomost, gdzie doktor Merchassen przywiązywał swoją

motorówkę każdego lata, wciąż stał nienaruszony. Pale, na których się opierał, przezierały z bladozielonych kołnierzy lodu. Przy samym brzegu Leona położyła kawałek deski pod nogi i przeniosła dzieci jedno po drugim na ląd. Płytka plaża chyliła się do rzeki. Cały teren pokrywała gruba warstwa śniegu. Nie było żadnej ścieżki. Poszli prosto w stronę domu, minęli niskie drewniane osłony dla łodyg róż. Długie sople zwisały z rynien dachu tak, że prawie sięgały ziemi.

Leona postawiła wszystkie ich rzeczy na pokrywie małego basenu na wodę. Przesunęła zasuwę i otworzyła drzwi do piwnicy. Zawiasy zaskrzypiały. Zobaczyła ciekawość na twarzach dzieci.

— Coś wam powiem — odezwała się. — Musimy na razie rozpalić ogień. Poszukacie suchego drewna?

Patrząc na dziewczynki Walter powiedział: — Takie same szczapki jak u cioci Vi?

— Tak. Po prostu rzućcie je gdzieś tutaj. A ja wejdę do środka i spróbuję otworzyć drzwi frontowe.

W piwnicy znalazła wilgotne pudełko ze świecami. Umocowała świece na podstawkach i zdołała zapalić cztery z nich. Za pomocą benzyny uruchomiła stary generator prądu.

— Co to jest? — zapytała Mamie, stojąc na szczycie schodów do piwnicy.

— To jest generator. Powinien wytworzyć prąd i będziemy mieli światło.

Kiedy zaczął cicho pracować, Leona podłączyła pompę wodną i podgrzewacz gorącej wody. Odwróciła się, ale Mamie już nie było, tylko promienie rannego słońca odbijały się od kamiennych schodków. Przekręciła kurek butli gazowej i zapaliła płomyk w małym piecu. Wzięła jedną ze świeczek i wyszła schodami na górę w kierunku pomieszczeń mieszkalnych. Nie wiedziała, co może tam znaleźć, chociaż z zewnątrz dom nie nosił żadnych śladów włamania.

W pokojach nad podmurówką nic się nie zmieniło. Stanęła w dużym, ciemnym pokoju o grubych ścianach z belek. Zapaliła lampę naftową i na małej szufladce drewnianego stołu w holu znalazła klucze od drzwi frontowych, gdzie zostawiła je tak wiele miesięcy temu. Drzwi uchyliły się, od wewnątrz blokowała je szeroka deska. Przyniosła drewniany młotek z kuchni i odbiła deskę. Przejście było wolne.

Wyszła przed dom i zawołała dzieci. Potem poznosiła wszystkie przywiezione rzeczy w jedno miejsce i zatrzasnęła klapę zamykającą zejście do piwnicy. Dzieci zabrały walizeczkę i worek ze świątecznymi prezentami. Leona zaprowadziła je do małego pokoiku z półkami, gdzie wszystko rozmieściła.

— Po prostu tutaj to zostawcie — powiedziała.

Czas mijał szybko. Razem rozpalili ogień w kominku. Każdy coś robił. Dzieci ścierały kurze z mebli i wietrzyły pościel. Leona wyjmowała specjalnym młotkiem gwoździe i odblokowywała okna, które wcześniej zabiła deskami. Jedno w dużym pokoju i dwa w kuchni. Godziny mijały. Zabrała się do przygotowywania kolacji. Odkręciła krany w kuchni, woda przepłukiwała rury. Obierała ziemniaki i marchew, a dzieciom pozwalała kroić je na kawałki. Były głodne, więc dała im kanapki z razowego chleba z masłem orzechowym. Popatrzyła przez okno i ze zdziwieniem

spostrzegła, że znowu pada śnieg. Przez padające płatki przeświecały promienie słońca. Jest za zimno na śnieg — pomyślała — to tylko przelotne opady.

Mijał dzień, a ona pracowała z energią i radością. Byli nareszcie bezpieczni — i ona, i dzieci. Kręciła się po domu ze szczotką zdejmując ze ścian pajęczyny, potem powycierała meble. Było tak dużo do roboty. Musiała przygotować łóżka, wyprać pościel, zrobić coś do jedzenia. Wszystko robiła chętnie.

Jeśli do tej pory nie wałęsał się tutaj nikt, to — była przekonana — będą tu bezpieczni przynajmniej do Nowego Roku, może dłużej. Mnóstwo czasu, żeby zadecydować, co robić dalej. Od czasu do czasu spoglądała na Mamie. Jak pełne znaczeń wydawało jej się to, że w końcu udało im się tu dotrzeć. Leona obserwowała każdy ruch dziewczynki, kiedy bawiła się przed domem.

Wróciły dzieci. Poprosiły o picie. Mamie ze szklanką w rączkach odwróciła się do Leony i zapytała:

— Czy tutaj mieszkasz?

— Tak, Mamie — odpowiedziała Leona pochylając się nad nią. — Ale ty także tutaj mieszkasz. Ty i ja, Patsy i Walter. Będziemy tu razem mieszkali. Podoba ci się?

Mamie stała w milczeniu ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby chciała się zdecydować. W końcu nie podnosząc główki wolno przytaknęła.

— To jest miejsce z bajki — wyszeptała i cofnęła się do dzieci.

Do trzeciej po południu słońce ukryło się za wysokim stromym brzegiem rzeki. Znieruchomiało. Leona zrobiła sobie w pamięci spis rzeczy, których będzie potrzebowała. Musiała w jakiś sposób postarać się o jeszcze jedną butlę gazową. I wszystkie niezbędne składniki do ciasta, wyśmienitego, czekoladowego ciasta — pomyślała. Nigdy właściwie nie miała powodu, żeby piec. Raz upiekła piernik dla Marka Hardesty'ego, a kiedyś, parę razy, okrągłe miękkie bułeczki dla Heleny Merchassen. Potem, w Graylie, gotowała Emma. Emma! Kiedy Leona poszła do spiżarni, postanowiła, że znowu zadzwoni do szpitala. Dzwoniła dwa dni wcześniej i Emma wciąż była w śpiączce. Jej stan był stabilny. Pomyślała o Franku, słyszała jego oskarżenia. Ale nie było nic, co mogłaby mu powiedzieć, nic co mogłoby złagodzić jego cierpienie. Postanowiła przestać o tym myśleć. Wróciła do ostatnich chwil z Markiem Hardestym. Nie odchodź— powtarzał. Proszę, nie odchodź. Pamiętała ciepło jego ramion, sposób, w jaki dotykał jej twarzy. Prawie fizycznie czuła swoją reakcję na tamte cudowne ruchy jego rąk. Dała się ponieść marzeniom. Boleśnie odczuwała jego nieobecność. Chciała widzieć jego ciepłe, ciemne, śmiejące się oczy, pragnęła tego, i jeszcze o wiele więcej. Muszę do niego koniecznie napisać — pomyślała.

Dzieci podeszły do niej. Odwróciła nieobecną bladą twarz i Walter zapytał:

— Co ci jest?

— Tylko sobie przypominam waszą ciocię Vi. Jacy byliśmy tam szczęśliwi. — Uśmiechnęła się.

Pokazała im, jak się gra w domino. Poczuła się bardzo zmęczona. Potem złożyli

domino do drewnianego pudełka. Wyjęła karty do gry i zagrali w zwariowane ósemki. Wygrała trzy razy.

— Graliśmy w zwariowane ósemki z Wesołą Babcią — powiedziała Mamie, a Leona uśmiechnęła się.

— Tak. Wiem, pamiętam.

Zanim skończyli grać, Walter zapytał:

— Czy możemy zrobić bałwana?

— Możesz spróbować, jeśli chcesz, ale śnieg jest za suchy i nie będzie się dobrze lepił.

Szczęśliwi, że nareszcie nie są już w samochodzie, chcieli się bawić na dworze. Kiedy to zrozumiała, szybko dodała:

— Ale tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia.

— Czy będzie duży? — spytał Walter.

— Tak — odpowiedziała. — Wielki.

— Wspaniaaaale. — Nałożyli na siebie ciepłe ubrania i wybiegli na dwór.

Schody na balkon i do sypialni na piętrze miały balustradę zrobioną z pionowych listewek. Balkon był pusty z wyjątkiem małego stołu w stylu królowej Anny. Postawiła go tam Helen Merchassen. Przy nim stały dwa bardzo stare delikatne krzesła. Leona chodziła tymi schodami, w górę i w dół, całe popołudnie. Zdjęła deski z dwóch okien sypialni, ale nie potrafiła sobie poradzić z trzecim. Siedząc na swoim łóżku wyjęła z torebki pączek zrobiony przez Marka i położyła go. Wszystko powróciło z dawną siłą — jego śmiech, jego głos, nieznaczne przechylenie głowy, kiedy pierwszy raz się do niej odezwał; ranki i wieczory. Ale teraz te wspomnienia były już tylko bolesne.

Powróciła do pracy. Markowi by się tu podobało — pomyślała. Chociaż było zimno, otworzyła okno, żeby wywietrzyć pokój. Błękitne popołudniowe światło zamieniło się w ciemność. Właśnie powlekała pościel, kiedy Patsy zawołała ją z dołu.

— Hej?

— Co?

— Gdzie jesteś?

— Jestem tu na górze — powiedziała wychodząc na balkon. — Co się stało?

— Walter jest chory — powiedziała Patsy patrząc w górę. — Chyba będzie rzygać.

Niosąc grubą puchową kołdrę Leona zeszła na dół.

— Chwilę temu wydawało mi się, że czuje się całkiem dobrze — rzuciła kołdrę na fotel.

— No tak, ale nie teraz.

— Gdzie on jest? Czy na podwórku?

— Yhy.

Walter miał wypieki. Zwymiotował na rękawicę i płaszczyk. Pochlipywał, bo się zabrudził. Leona podprowadziła go do ognia.

— Walter, co się stało? — zapytała. — Nie czujesz się dobrze? — Dziewczynki patrzyły ciekawie zza kanapy.

— Źle się czuję. Jest mi zimno.

— Proszę, podejdź tu. No, zobaczmy, co się stało — Leona zdjęła mu rękawice i płaszczyk. Chciała to potem wyczyścić. Przyłożyła rękę do jego czoła. — Chodź, usiądziemy na kanapie. Okryjemy cię i na pewno poczujesz się lepiej.

Położył głowę na wykrochmalonych poduszkach, a ona okryła go kocem z afgańskiej wełny. — Dziewczynki, idźcie się bawić — powiedziała. — Jasię nim zajmę. — W łazience, w apteczce znalazła termometr. Wytarła go spirytusem i zmierzyła chłopcu temperaturę. Trzydzieści osiem i dwie.

Dziewczynki wciąż stały. Patsy przy fotelu przy ogniu, a Mamie po drugiej stronie kominka.

— Jeśli nie wychodzicie, to zdejmijcie płaszczyki — powiedziała Leona. — Wszystko będzie dobrze.

Temperatura zaniepokoiła Leonę, nawet jeśli — jak wiedziała — nie była rzadkością u małych dzieci.

— Walterze, powiedz, gdzie się boli?

— To moje ucho.

Podniosła go i odwróciła głowę.

— Tylko zobaczę. — I nie musiała się długo przyglądać. Na poduszce był ślad ropy. Ucho. Jego naderwane ucho. — Muszę to wyczyścić. — Wilgotną szmatką wytarła mu ucho w środku. Było zainfekowane prawdopodobnie od wielu dni. Nie miała nic oprócz aspiryny, którą miała w torebce. Dała mu ją.

Siedząc przy nim wycierała wciąż i wciąż jego zalaną gorącym potem twarz.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Położyła Waltera do łóżka i zaprowadziła dziewczynki do kuchni. Dała im po talerzu zupy. Otworzyła metalowe pudełko z krakersami, które wrzucały do talerza i tak jadły. Były nadzwyczaj spokojne, prawie nic nie mówiły, a Leona straciła apetyt. — No dalej, Patsy, jedz zupę. Musisz jeść, żeby mieć siły.

Kiedy potem poszła do Waltera, koc był zrzucony na bok, a on mocno się pocił i narzekał na ból ucha. Przyłożyła mu zimny kompres do czoła, żeby obniżyć gorączkę. Aspiryna nie pomagała. Gdyby tylko miała swoje lekarstwa w walizeczce… ale nie miała. Obudził się i zmierzyła mu temperaturę. Była wciąż wysoka. Wiedziała, że zaniedbana infekcja ucha może przejść w coś o wiele poważniejszego.

Piętnaście po szóstej znowu zmierzyła temperaturę. Nie opadła. Zaczęła się poważnie martwić. Obudziła go i dała mu jeszcze jedną aspirynę.

— Walter, czy kręci ci się w głowie?

— Nieee — odpowiedział. — Tylko bardzo boli.

— Czy boli cię ucho?

— Cały środek — pokiwał głową, przewracając się z jednej strony na drugą.

Jeśli pojedzie z nim do szpitala, to… A co, jeśli będą komplikacje? Nie mogła ryzykować. Ale też nie mogła jechać do szpitala, bo… Usiadła. Patrzyła w ciemne okno dużego pokoju. Noc. Po piętnastu minutach trzeci raz zmierzyła temperaturę. Wciąż trzydzieści osiem i dwie. Aspiryna nie działała. Naprawdę był chory, potrzebował czegoś. Ciężko oddychał.

Wiedziała, że jedna apteka w mieście pracuje do ósmej wieczorem. Tak stanowiło prawo. I jeśli nic się nie zmieniło, tą czynną jeszcze apteką w Brandenburg Station powinna być apteka Wetzela. Było ciemno — to dla niej lepiej — nikt nie mógł jej zauważyć i rozpoznać. Obawiała się zostawić dzieci same w domu, w tym odległym od świata miejscu. Ale musiała pomóc Walterowi. Był zbyt chory, żeby mógł wyjść na taką pogodę. W końcu wszystko stało się proste i jasne — miała dziecko, które potrzebuje lekarstw.

Ubrała się i wzięła torebkę. Zawołała dziewczynki.

— Walter jest chory. Ma chore ucho — powiedziała. — On potrzebuje lekarstw i muszę je dla niego zdobyć. Rozumiecie? Rozumiesz, Mamie? — Mamie przytaknęła. — Niedługo wrócę. Nie chcę was tu zostawiać samych, ale ktoś musi przypilnować Waltera. Jeśli się przebudzi, dajcie mu szklankę wody i powiedzcie, że zaraz wracam. No, nie martwcie się. Nosy do góry. Będę szybko. Dobrze?

— Ja się trochę boję — odezwała się Patsy.

— Wiem — powiedziała Leona. — Ale zamknijcie za mną drzwi. Nikt tu nie przyjdzie. Wszystko będzie dobrze. Ja wrócę niedługo. Przyrzekam.

Szybko przeszła przez nierówny lód i zapaliła samochód. Znowu przypomniała sobie o browningu, lecz nic nie mogła poradzić. Była bezbronna. Musiała jechać prawie pół kilometra, zanim droga poszerzyła się, wtedy skręciła za domkami rybaków. Wjechała na drogę do miasta. Pomyślała, że mogłaby jechać bez świateł, ale księżyc schował się za chmury. Dopiero kiedy zobaczyła zarysy miasta, zgasiła światła i zwolniła. Ciemność przesłoniła przednią szybę jak kurtyna. Nawet kiedy wyjechała na prostą, nie przyśpieszała, jadąc po cienkiej warstwie śniegu. Zatrzymała pontiaca przy krawężniku Teatru Paragon. Stąd widziała biegnącą w górę ulicę. Trzecie drzwi po drugiej stronie jezdni były oświetloną neonem apteką Wetzela.

Kiedy siedziała w samochodzie i obmyślała sposób, jak zdobyć lekarstwa, zauważyła, że coś się poruszyło po drugiej stronie drogi. Zobaczyła chłopca stojącego bez ruchu na skraju parku. Musi tam być od dawna — pomyślała — tylko że nie zauważyłam go wcześniej. Widziała, że marznie, że wstrząsają nim dreszcze. Było jakieś dziesięć stopni poniżej zera. Stał samotnie, ubrany tylko w kurtkę — zwykły dzieciak. Zapaliła światła, ruszyła, przejechała skrzyżowanie i zaparkowała. Wyjęła parę banknotów z torebki i ukryła je pod siedzeniem. Zamknęła samochód. Parę minut później wchodziła do apteki.

Oglądając kartki świąteczne na obrotowej podstawce poczekała, aż dwie kobiety kupią swoje lekarstwa i wyjdą z apteki. Pod sufitem świeciła lampa jarzeniowa. Stała bardzo cicho, prawie na środku apteki i obserwowała całe wnętrze. Przez parę minut nikt nie przychodził. Odwróciła się i zobaczyła tego samego chłopca stojącego przed wystawą. Miał znoszone, za lekkie ubranie jak na tę pogodę. Nosił za dużą skórzaną kurtkę. Nie mogła nic dla niego zrobić, nie teraz. Miała własne problemy, z którymi musiała się uporać.

No dalej — pomyślała. Nad czym się zastanawiasz? Przed oczami miała obraz czekających na nią dzieci. Kompletnie samych w domu na pustkowiu. Kiedy usłyszała, że przechodzi koło niej następny klient, szybko odwróciła się tyłem.

Usłyszała charakterystyczne uderzenie wysokich obcasów. Dzwonek przy drzwiach znowu zadzwonił.

Podeszła do wysokiego okienka aptekarza. Charlie Wetzel popatrzył na nią, a potem szybko zniżył głowę powracając do pracy. Leona chrząknęła. — Czy mnie pan sobie przypomina? — zapytała.

— Oczywiście, pamiętam panią — odrzekł nie odrywając się od swojego zajęcia. — Leona, co ty tu robisz, na miłość boską?

— Potrzebuję pomocy.

— Tak właśnie myślę.

Dzwonek znowu zadzwonił.

— Czy mogę na ciebie liczyć?

— Idź na zaplecze — powiedział. — Zaraz tam przyjdę.

Leona skręciła w korytarz za okienkiem i otworzyła drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony". Czekała tam przeglądając magazyny leżące na małym stoliku do kawy. Jeśli zadzwoni na policję, jestem skończona — pomyślała. Wreszcie otworzyły się drzwi i stanął przed nią. Popatrzył jej w oczy.

Charlie Wetzel zdjął okulary, przymknął powieki i pomasował nos. Szybko wyjaśniła, o co jej chodzi — potrzebowała penicyliny. Jego ręka powoli wzniosła się i dotknęła czoła.

— Leono — powiedział oglądając się. — Jeśli dobrze usłyszałem — zatrzymał się w pół zdania i przesunął dłonią po rzadkich włosach — jestem w niezłych tarapatach. Czy wiesz, że powinienem od razu pójść na policję, jak cię tylko zobaczyłem? Myślę, że wiesz.

Leona zorientowała się, że jej palce uderzają o poręcz krzesła, na którym siedziała, i cofnęła rękę. — Charlie, mam naprawdę chorego, małego chłopca. Jego stan wciąż się pogarsza, a wszystko co mam, to aspiryna. Doktor Merchassen powiedział kiedyś, że czasem pomagasz ludziom. Mam pieniądze, mogę zapłacić. — Sięgnęła do kieszeni i wyjęła parę banknotów. — Ja naprawdę potrzebuję trochę penicyliny, Charlie.

— Powiedzmy to tak. Nie obrażaj mnie podtykając mi te pieniądze. Czy wiesz, że to o co prosisz, jest wbrew prawu?

— Tak. Wiem — odparła i zamknęła na chwilę oczy, kręciło jej się w głowie. — Ale...

— Cokolwiek było w przeszłości, to było pomiędzy mną i doktorem.

— Nie staram się sprzedawać jego dobrego imienia.

— Nie wiem, jak to inaczej nazwać, bo to jest do cholery właśnie to.

Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

— Nigdy tego nie zrobię, nigdy mnie o to nie proś — powiedział. — No, poczekaj tu na mnie. Muszę obsłużyć klientów. Nie wychodź. Zostań.

Wrócił po dziesięciu minutach. Podał jej tubkę z maścią i tabletki penicyliny w czystej nieopisanej buteleczce. Wyjaśnił, jak dawkować lek. Potem wręczył jej jakieś pudełeczko.

— Co to jest? — zapytała.

— To środek nasenny. Powinnaś się porządnie wyspać, bo nie wyglądasz za dobrze.

Chciała zapłacić, ale odmówił.

— Wpiszę to na kredyt doktora. Ale jeśli ktoś cię z tym przyłapie, to przysięgnę, że nigdy nie widziałem tego na oczy.

— Jeszcze jedno, Charlie — powiedziała. — Potrzebuję tych sanek, które masz na wystawie.

— One nie są na sprzedaż, Leono. To jest moja wystawa, do cholery.

— Tak, ale ty możesz kupić drugie, a ja nie. Znam małego chłopca, który chciałby mieć takie sanki. Ile są warte według ciebie?

Uśmiechnął się. — Położę je na chodniku. — Wziął dwadzieścia dolarów. — Gdzie zaparkowałaś?

— Przy sklepie z nasionami Sibleya.

Popatrzył na drzwi.

— Musisz się już stąd wynosić. No, szybko. Zostawię sanki na rogu. Gdybym był na twoim miejscu, nie kręciłbym się tutaj. Wyznaczyli nagrodę za wskazanie miejsca twojego pobytu, a jest dużo ludzi, którzy potrzebują pieniędzy.

Kiedy wróciła do samochodu, ogarnął ją paniczny strach. Zatrzymała się i poskrzypywanie jej butów ucichło. Wiedziałam — pomyślała — szukają mnie. Popatrzyła na róg ulicy. Aptekarz ciągnął sanki. Zostawił je i zawrócił. Na chodniku było pusto, nikt nie wchodził ani nie wychodził z teatru. Znowu padał śnieg, coraz szybciej i szybciej. Wydawało się, że żywi się własnym ruchem. Skrzyżowanie było puste, światła drogowe migały — od czerwonego poprzez żółte do zielonego. Nic. Ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś jest nie w porządku. W tym właśnie miejscu i w tym właśnie czasie.

Trzymając nowe błyszczące sanki pod pachą otworzyła drzwi od strony pasażera i włożyła sanki do środka. Zamknęła drzwi i znowu się rozejrzała. Nikogo, z wyjątkiem tego chłopca przy krawężniku. Był skulony i nie mogła zobaczyć, czy patrzy w jej stronę. Chciała do niego pomachać, ale zrezygnowała. Powinna jednak coś zrobić. Był taki samotny i opuszczony. Śnieg rozpryskiwał się na przedniej masce. Przypomniała sobie, że ma w bagażniku pudełko kakao. Może by się napił czegoś gorącego.

Zapaliła samochód i wrzuciła jedynkę. Pojechała do końca ulicy i zakręciła. Snop światła reflektorów prześliznął się po postaci chłopca. Czekała, aż zapali się zielone światło. Na ulicy nie było żadnego samochodu. Ciepłe powietrze wiało na nią z dmuchawy ogrzewania. Przejechała skrzyżowanie na żółtym świetle. Minęła chłopca. Czy on się pochylił, czy tylko jej się wydawało? Poczuła ukłucie współczucia.

We wstecznym lusterku zobaczyła, że się nie poruszył. Zatrzymała samochód, wrzuciła wsteczny bieg i wolno cofnęła się w stronę chłopca. Stał dalej nieruchomo. Pochylona nad siedzeniem opuściła trochę szybę i popatrzyła na niego.

— Czekasz na kogoś? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Tak i nie — odpowiedział.

Ściana śniegu odgrodziła ich od siebie. Na oko miał dwanaście, może trzynaście lat. Zniszczone i brudne ubranie. Śnieg leżał grubą warstwą najego czapce, na brwiach i ramionach. Trząsł się z zimna.

— Mieszkasz gdzieś tutaj?

Kiedy próbował odpowiedzieć, zatrząsł się tak mocno, że nie zrozumiała ani słowa. W słabym świetle lamp ulicznych widziała, że jest przemarznięty do szpiku kości.

— Nie powinieneś tu stać — stwierdziła. — Jak długo tu jesteś?

— Chwilę — odpowiedział z trudnością. Trzymał ręce w kieszeniach kurtki, kulił się, żeby nie tracić ciepła. Był odrobinę wyższy od dachu samochodu i musiał pochylać się do szyby, gdy odpowiadał na pytania Leony.

— Wsiądź na chwilę. Choćby żeby się trochę ogrzać.

— Dobrze. — Skwapliwie sięgnął po klamkę.

Leona zgasiła światła. Wszystko wokół było w porządku, nic nie wyglądało podejrzanie.

— Podnieś okno — zwróciła się do chłopca, a on wykonał jej polecenie.

Próbował siedzieć spokojnie, ale nie mógł, drżał, szczękał zębami i ciężko oddychał. Zapytała go o imię i chyba odpowiedział — But.

— Co? — zapytała, żeby się upewnić. — Powiedziałeś But?

— Taaa — wyszeptał.

Lampy świateł ulicznych oświetlały ich słabo. Badała go wzrokiem. Miał podrapaną twarz. Musiał ostatnio przegrać parę bójek. Budził tak wiele współczucia... Z wolna przestawał się trząść.

— Skąd się tu wziąłeś? Podniósł rękę do nosa.

— Ja tak sobie — wziął głęboki oddech. — To wszystko.

Popatrzył na nią, i w jego spojrzeniu było coś niepokojącego, jakby groźba. Otarł łzy.

— Masz gdzie przenocować? — zapytała cicho.

Nie odpowiedział, unikał jej wzroku, jakby wstydził się łez.

— Co zamierzasz robić?

Wzruszył ramionami.

— Chyba... ja nie wiem. Poczekam, aż mnie ktoś podwiezie.

Jakiś samochód zjeżdżał ze wzgórza rzucając mglisty żółty snop światła na pontiaca. Przez sekundę serce Leony zabiło mocniej. Policja? Nie. Odetchnęła.

— Nie możesz tam wracać. Jesteś jeszcze dzieckiem. Nikt nie będzie przejeżdżał tędy w taką pogodę. Lepiej będzie, jak pojedziesz ze mną.

Potem powiedziała mu o wielkim talerzu zupy, jaki ma w piecu, i o gorącym kakao, jakie mu przygotuje. Opuściła ręczny hamulec, poruszyła dźwignią biegów. Żółte światła auta skierowały się na Kocią Wyspę.

Poprzez szum skrzypiących wycieraczek chłopiec usłyszał:

— Spotkasz moje dzieci.

Sherman odwrócił głowę do okna i uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 21

Sherman!

Krzyk zamarł na ustach Mamie. Szybko zasłoniła twarz ręką. To był Sherman! Jej brat Sherman! Za plecami Leony dał jej znak, żeby była cicho. Mamie odwróciła się i spuściła wzrok. W radosnym zgiełku powrotu Leona przedstawiała ich sobie. Sherman próbował się uśmiechać. Stał przy samych drzwiach frontowych, trzymał ręce w kieszeniach. Chciał podbiec do Mamie, podnieść ją i objąć mocno. Ale jeszcze nie mógł. Nie teraz, gdy ta kobieta jest w pokoju.

— A to jest Mamie — powiedziała Leona, jej głos zamarł na chwilę, potem poklepała lekko jej główkę. Poczuł przejmujący ból widząc je tak blisko, podczas kiedy on nie mógł się nawet zbliżyć.

Patsy zrobiła krok w jego stronę.

— Kto ty jesteś? — zapytała. — Co tu robisz? — Ale Leona chwyciła ją za ramiona i odciągnęła.

— Chodź tu, Patsy, bądź grzeczną dziewczynką. Daj mu spokój.

Był bardzo zmęczony, ale jego plan się udał. Był z siebie dumny. Widok Mamie dodawał mu sił. Wodził wzrokiem za kobietą. Poczekaj tylko — myślał — teraz nie masz żadnych szans. Mamie patrzyła na niego, przechylała się w jego stronę, a jej szarozielone oczy połyskiwały podnieceniem. Zaczęła się uśmiechać, ale szybko się opanowała. Jesteśmy razem, Mamie — ty i ja. Pochylając się nad kanapą kobieta podniosła Waltera i trzymając go w ramionach poszła w stronę schodów.

— Zaraz wracam. Któraś z was niech przyniesie szklankę wody na górę.

— Ja — zawołała Patsy.

Sherman stał sztywno. Obserwował kobietę. Nie mógł tym razem zrobić żadnego błędu, nie teraz, kiedy był tak blisko i kiedy ona zdana była na jego łaskę.

— Mamie, możesz pomóc przynieść nasze rzeczy sprzed domu — zawołała z góry Leona.

Weszła do sypialni, a Patsy podążyła za nią ze szklanką wody w dłoniach. Ile czasu minęło, od kiedy byliśmy razem? — pomyślał Sherman. Ile czasu? Nie potrafił policzyć tygodni w pamięci.

Schodząc ze schodów Mamie i Sherman popatrzyli na oświetlone drzwi na górze, za którymi znikła kobieta, Walter i Patsy. Ich ręce połączyły się. Kiedy Mamie westchnęła, on chwycił ją w ramiona i obracali się wkoło — już nic nie mogło ich rozdzielić. Mamie miała ochotę krzyczeć z radości. Sherman z trudem się powstrzymywał, ale przycisnął usta do jej małych ramionek. Stali trzymając się za ręce, po policzkach płynęły im łzy radości.

Mamie szepnęła:

— Sherman, Sherman... och, Sherman, jak ty to zrobiłeś?

Ostrzegł ją spojrzeniem, ale tak długo na to czekał, na tę chwilę... Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Wiesz — powiedział łagodnie. — Tak się cieszę, że cię widzę.

Potem poszli do kuchni, cienie przesuwały się po ich twarzach. — Czekałem na nią, aż mnie tu przywiezie — śmiał się. — Wiedziałem, jak to zrobić, i ona zatrzymała się. Musiałem, bo nie wiedziałem, gdzie jesteś.

Podniecona Mamie powtarzała jego imię tak długo, aż wreszcie położył rękę na jej ustach, a ona zakryła jego swoją tak samo jak wtedy, w tamtą noc, kiedy leżał na wiklinowej kanapce i zdecydowali, że muszą uciec.

— Wszystko w porządku — wyszeptał jej do ucha. — Od teraz wszystko będzie w porządku — dodał po chwili. — Nie pokazuj po sobie, że się znamy. Ona się nie może dowiedzieć.

Kiwnął głową w stronę oświetlonego pokoju. Trzymał dłoń na jej ustach i Mamie musiała mówić cicho.

— Zobacz co mam, Sherman. — Pokazała mu pierścień Fantomasa, to jest pierścień Toddy'ego.

Prawie nie spojrzał.

— Sherman, chodźmy do domu. — Było tyle oczekiwania w jej oczach. — Chodź, wracajmy do domu, zaraz.

Do domu? Nie mógł się śmiać. To było zbyt absurdalne. W końcu powiedział:

— Mamie, nie możemy wracać, teraz, w tej chwili. Jestem strasznie zmarznięty. I zmęczony. Ona mogłaby nas ścigać. — Był zmęczony prawie śmiertelnie. Nie spał od dwóch dni. — Poczekaj, aż się położą spać. Przyjdę wtedy po ciebie.

— Ale nie powinniśmy tu zostawać — wyszeptała Mamie. — Ona się dowie, kim jesteś. Ona nigdy nie pozwoli nam odejść.

— Ona tylko tak myśli — wymamrotał. Gałęzie poruszane wiatrem uderzały o ganek. Odwrócił się w stronę hałasu. Przykucnął gotowy do skoku.

— Chińczyk — wyszeptała Mamie. — Gdzie jest Chińczyk?

Popatrzył na nią, a potem gdzieś w dal.

— Widziałam go tamtego dnia na drodze — mówiła Mamie. — Nie wziąłeś go ze sobą?

Twarz Shermana znieruchomiała, prawie stężała. Nie wiedziała, co ma myśleć.

— Sherman, gdzie on jest? Chcę go zobaczyć.

Słyszał ją, ale nie odpowiadał. Dostrzegła w wyrazie jego twarzy tajemnicę, a może kłamstwo. Chwyciła go za ramię.

— Co się stało, Sherman? Gdzie jest Chińczyk? Czy coś się stało?

Stali blisko siebie. Wreszcie Sherman powiedział:

— Postrzeliła go ta starucha. Wiesz, w tamtym domu. Ona go zastrzeliła. Już miałem ją dostać, ale Chińczyk podszedł do okna i strzeliła do niego. Już miałem ją zabić. Powinienem. Powinienem wrócić i ją zabić.

Jakby ktoś wbijał sztylet w jej serce.

— Ale Sherman — wyszeptała ze zgrozą. — To była Wesoła Babcia.

Pomyślała — on chciał zabić Wesołą Babcię! To było przerażające i nie miało sensu.

— Dlaczego? — zapytała łagodnie. — Sherman, ona się mną opiekowała.

Nie słuchał jej.

— Próbowałem wszystkiego — powiedział.

Mówił o domu weterynarza, o kobiecie, która zadzwoniła na policję, i o trzech batonach czekoladki orzechowej, i co radzili ludzie. Mamie puściła jego ramię.

— Czy ty zabiłeś Chińczyka?

— To jej wina — powiedział Sherman i wskazał oświetlony pokój. — Zabrała cię. Gdyby tego nie zrobiła, nic by się nie stało. — Otarł policzki rękawem. Mamie miała łzy w oczach. — Mamie, ja nie chciałem — tłumaczył. — Wszystko już obmyśliłem. Możemy mieć innego psa, nowego psa. I będzie tak jak dawniej — tylko ty i ja. I on. Mam trochę pieniędzy. Znajdziemy jakieś nowe ubranie i wszystko inne. Tylko musimy się stąd wydostać. Mam kupę forsy.

— Ale ty chciałeś zabić Wesołą Babcię — wyszeptała. — I to ty zabiłeś Chińczyka. — Nagle zrobiła krok do tyłu, odwróciła się i zanim zdołał ją powstrzymać, pobiegła do drugiego pokoju. Czuł, że dzieje się coś złego.

— Poradzę sobie — powiedziała Leona do chłopca, kiedy wyszła przed dom. — Lepiej idź do domu i się ogrzej. Wygląda, że nadal masz dreszcze.

Sherman był posłuszny, ale prawie nieświadomy tego, co robi. Kiedy przechodzili koło niej zobaczył, że nie była tak wysoka, jak myślał. Stojąc, sięgał jej do ramienia. Pierwszy raz zobaczył ją z bliska. Była ładną kobietą — z przyjaznym wyrazem oczu i płomiennymi włosami. Nienawidził jej. I ta nienawiść była siłą sprawczą całej jego siły i determinacji.

Kiedy Leona niosła dużą paczkę zjedzeniem do kuchni, powiedziała do Patsy:

— Wiem, że się martwisz o Waltera, ale teraz mamy lekarstwo i wszystko będzie dobrze. Przyrzekam.

Zapalając gaz pod garnkiem z zupą wytarła ręce o fartuch i poszła z powrotem do dużego pokoju. Dochodziło wpół do dziewiątej. Czas do łóżka. Patsy siedziała na poręczy fotela, Mamie stała obok niej pocierając pierścień na palcu. Kiedy Leona przechodziła, Mamie zrobiła krok do przodu. Chłopiec, trzymając ręce w kieszeniach, stał przy ogniu kominka.

— Mówiłam, że mam coś ciepłego do jedzenia. Jesteś głodny? — Nie była zdziwiona, że milczał. — Postawiłam zupę do odgrzania — dodała.

Kobieta przeszła koło niego. Mówiła coś do dziewczynek i śmiała się z tego, co powiedziała Patsy.

— Mam wilgotne włosy — stwierdziła. — Założę się, że twoje też są mokre. — Palcami strzepnęła odrobinę wody z jego głowy i podeszła do szafki z bielizną, która była pod schodami. Wyjęła dwa czyste ręczniki — jeden dla siebie, drugi dla niego. — Proszę.

— Całkiem niezłe — powiedział chłopiec i wziął ręcznik.

Kiedy wycierała głowę i twarz, poczuła coś na biodrze. Mamie stała przy niej, trzymając się mocno jej spódnicy. Patrzyła na chłopca. Dawno temu, kiedy ktoś obcy przychodził do jej domu, Leona chowała się za spódnicą swojej mamy. Tak samo zachowywała się Mamie. To ją ucieszyło. Patsy zapytała chłopca:

— Czy z nami zostaniesz?

Wciąż z przytuloną Mamie, Leona wyciągnęła rękę i dotknęła rudych włosów Patsy.

— Myślę, że może z nami zostać do jutra, prawda?

Patsy popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami

— Chyba tak — zgodziła się. — Leona uśmiechnęła się do chłopca. Wpatrywał się w nią i przez chwilę poczuła niepewność. To było dziwaczne uczucie, nie pasowało do sytuacji. Znowu zajął się wycieraniem włosów i głowy.

Zobaczyła, że jego lewa ręka jest owinięta żółtawym, zabrudzonym bandażem.

Robiąc krok w jej kierunku chłopiec podał jej mokry, zabłocony ręcznik. To jego oczy — takie dziwne i obce. Wtedy wydawało jej się, że odgadła powód.

Dobry Boże, pewnie bardzo się boi. Nie zrobiłam przecież wszystkiego, żeby się dobrze poczuł u nas w domu.

— Skaleczyłeś się — zauważyła. — To musi boleć. Co ci się stało w rękę?

Popatrzył na nią, drgnął i schował rękę za siebie.

— Skaleczyłem się, jak pracowałem przy starym samochodzie. Kwas akumulatorowy.

Powietrze zawirowało, poczuł, że kręci mu się w głowie.

— To brzmi poważnie. Czy byłeś u lekarza?

Sherman musiał się skoncentrować na odpowiedzi. Potrząsnął głową.

— Wszystko w porządku.

Kiedy mówiła, widział błysk jej białych zębów.

— Czy chciałbyś, żebym to obejrzała? Może mogłabym...

— Nie — powiedział odrobinę za ostro.

— No dobrze — zgodziła się. — Zrobimy to później. — Ruszyła w stronę kuchni, ale zanim doszła, odwróciła się.

— Daj kurtkę, powieszę ją na wieszaku. — Wyciągnęła rękę. Wiedziona bezbłędną intuicją Mamie stanęła pomiędzy nimi. Leona spojrzała na nią, pochyliła się i podniosła dziewczynkę do góry. Uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

— Mamie, co robisz? Wciąż zachodzisz mi drogę. — Ale Mamie nie patrzyła na

nią. Drżała. Zawstydziła się — pomyślała Leona i opuściła dziecko na podłogę. Mamie wpatrywała się w Leonę i Shermana. Jest zafascynowana tym chłopcem.

— Lepiej będzie, jak zatrzymam swoją kurtkę — powiedział.

— No dobrze — odparła Leona. — Ale chociaż ją zdejmij. Jest przemoczona i możesz się przeziębić.

Sherman zrobił to, co mówiła i wyciągnął ręce z rękawów. Na czarnej tafli okna widział odbity zwiewny kształt kobiety, kiedy wchodziła do kuchni. No proszę — pomyślał — ona o niczym nie wie. Oglądał dokładnie rozmieszczenie sprzętów w pokoju i starał się zapamiętać szczegóły, zanim pokój okryje noc. Śnieg uderzał w okno. Wyciągnął z kieszeni buteleczkę tabletek. Wysypał pigułki na dłoń i połknął wszystkie.

— Wziąłeś za dużo — powiedziała Mamie.

— To nie ma znaczenia — spojrzał na Patsy siedzącą na poręczy fotela. — I tak nie działają. Czasem, kiedy porządnie zaczyna mnie boleć głowa, muszę brać ich tak dużo.

Czekał, aż ból ustąpi, ale tego wieczoru tabletki zawiodły go zupełnie. Nie poczuł ulgi, żadnego wstrząsu, tylko wszystko, co było przed nim, rozmywało się jakby za mgłą. Sherman potrząsnął głową i zmusił się, żeby nie zamknąć oczu. Wszystko wokół wirowało. Niemal po omacku zbliżył się do kanapy i usiadł. Z kieszeni kurtki wyjął nóż, który wsunął pod poduszkę. Przewrócił kurtkę na drugą stronę. Potem jego ręka opadła do poziomu kolan i wtedy przez krótką chwilę poczuł sierść Chińczyka — wiernego, niestrudzonego strażnika. Tylko wtedy mógł poczuć się bezpiecznie i nie myśleć o niczym. Sen wchłonął go swoim oddechem.

* * *

— On śpi — powiedziała Patsy zaglądając do kuchni, gdy Leona układała serwetki i sztućce. — Zobacz.

Spał. Leona widziała jego rozluźnioną twarz, przymknięte powieki, lekko uchylone usta. Co za dziwny samotny chłopiec. Zawołała dziewczynki. — Szszsz — wyszeptała. — Niech śpi. Nie wiodło mu się ostatnio. Wy też powinnyście się położyć.

Wyjęła piżamy z walizki i powiedziała dziewczynkom, żeby się przebrały na górze. Kiedy odpinała górne guziki z tyłu sukienki Mamie, poczuła, że jej skóra jest nienaturalnie ciepła.

— Mamie, dobrze się czujesz? Nie masz temperatury?

— Nie, nie mam — odrzekła Mamie i odwróciła głowę. Cofnęła się do kanapy. — Czy mogę zostać na dole?

Trudno było przewidzieć nastroje Mamie.

— Nie, nie — powiedziała Leona. — Musisz pójść spać. Mamy mnóstwo roboty na jutro. Może poszukamy choinki.

— Choinki? — wykrzyknęła Patsy.

— Tak. Jeśli pogoda pozwoli.

Wzięła dzieci za ręce i ruszyły w kierunku schodów. Powiedziała im, który jest ich pokój, i pozwoliła, żeby same poszły na górę. — Przyjdę za chwilę, żeby powiedzieć wam dobranoc. — Patrzyła za nimi przez chwilę. Patsy pobiegła wzdłuż balkonu do sypialni, ale Mamie została w tyle, trzymając się poręczy balustrady. Zatrzymała się. — Mamie, no dalej — powiedziała Leona. — Idź do łóżka. Już późno.

— Przyjdziesz do nas zaraz?

— Tak — uspokoiła ją Leona śmiejąc się. — Zaraz przyjdę. No, idź, Mamie.

Przez chwilę Mamie patrzyła na nią, potem przeszła parę kroków szurając nogami. Znowu popatrzyła na dół. — A kiedy przyjdziesz?

— Mamie, na miłość boską co się z tobą dzieje. Proszę, idź już, bo — ale zanim dokończyła zdanie, Mamie już nie było. Kiedy zaskrzypiały drzwi, Leona przeszła przez duży pokój kręcąc głową. Jest taka uparta — pomyślała — zawsze chce, żeby było tak jak ona sobie życzy.

W kuchni Leona przelała zupę z talerza do garnka. Umyła talerz i odłożyła go na suszarkę. Wydawało jej się, że cały świat skupił się w tym jednym oświetlonym miejscu wśród dzikości nieba, drzew i śniegu. Przyjemne ciepło pokoju, zapach dymu z kominka — poczuła bezgraniczny spokój. Za niecałą godzinę miała dać Walterowi drugi raz penicylinę. Dopiero wtedy się położy — pomyślała. Wzięła szklankę wody, żeby ją zanieść na górę, podłożyła trochę drew do ognia i zgasiła światło. Kiedy przechodziła przez duży pokój, zatrzymała się przy śpiącym chłopcu. Gdy zapytała go o chorą rękę, zobaczyła panikę w jego oczach. Tak bardzo się bał. Był taki nieufny.

Teraz spał. Jego strachy i nieprzyjaciele odeszli na chwilę. Strączek groszku — tak mogła nazywać go matka. Tak — pomyślała Leona — smukły i twardy. Jutro, kiedy będzie już gorąca woda, zaproponuje mu kąpiel. Przykryła go kocem. Spojrzała na jego poniszczoną kurtkę. Była mocno porwana. Pomyślała, że mogłaby ją trochę pocerować, zanim odejdzie. Podniosła szklankę wody, wzięła kurtkę z końca kanapy i poszła na górę.

Sherman otworzył nagle oczy. Patrzył jak wchodzi po schodach i niknie w czerni nocy.

Masując sobie kręgosłup, Leona przebrała się w koszulę nocną. W przylegającej małej łazience przekręciła porcelanowy kurek, żeby napuścić wodę na kąpiel. Wróciła do sypialni. Tego wieczora siedząc przed lustrem i czesząc włosy, znowu popatrzyła na małą rzeźbę, która leżała na toaletce. Za oknem poświstywał wiatr, blask lampy oświetlał pokój. W tej tajemniczej scenerii przypomniała sobie noc z Markiem. Jego słowa takie niezwykłe...

Musi z tym skończyć. To nic dobrego. Ale wspomnienia były tak wyraźne...

Podeszła do wanny i zmniejszyła strumień wody. Pamięć ogarniała stopniowo każdą część jej jestestwa. Koszula opadła jej z ramion. Przypomniała, jak stała naga przed lustrem w pokoju Vi. Patrzyła wtedy na swoje ciało, a Mark za oknem rzucał śnieżkami. Był tak blisko. Prawie słyszała jego głos i śmiechy dzieci.

Sprawdziła wodę i zakręciła kurki. Weszła do wanny. Zamknęła oczy przesuwając ręce po ciele, tak jak on to robił. Słowa piosenki dotarły do niej z włączonego radia: *I zobaczą cię... Wśród tych samych liści drzew*. Woda w wannie falowała jak melodia w mrokach jej niepamięci, jak ich ciała połączone ten jeden raz. Wreszcie usiadła i porzucając marzenia sięgnęła po kostkę mydła.

Parę minut później stała w wannie, krople wody wolno spływały po jej ciele. Wzięła ręcznik i stanęła na miękkim dywaniku. Wtarła w wilgotne ciało pachnący balsam, potem nałożyła koszulę nocną, szlafrok i weszła do sypialni. Sprawdziła godzinę. Za dwadzieścia minut mogła już podać Walterowi pigułkę. Potem — pocałować dziewczynki na dobranoc i spokojnie pójść spać. Zobaczyła kurtkę chłopca. Czy powinna czekać z tym do rana? Nie, jutro będzie tak dużo roboty. Lepiej się tym zająć teraz.

W szufladzie biurka znalazła szpulkę z czarną nitką, a w starą poduszeczkę pani Merchassen wbitych było parę igieł. Leona wybrała jedną i nawlekła nitkę. Wzięła kurtkę do ręki, i przyjrzała się uważnie. Podszewka była porwana wokół ramienia, zresztą wszystkie szwy były naruszone. Gdybym miała dość czasu, mogłabym wymienić mu tę podszewkę. Kołnierz prawie odpadał. To będzie łatwo zaszyć. Potrząsając kurtką zdecydowała, od czego zacznie, i usiadła na stołku przy lustrze. Wtedy nagle coś usłyszała, jakby szelest papierów. Co ja zrobiłam? — pomyślała. Podniosła kurtkę jeszcze raz i przeszukała kieszenie. Były puste. Kiedy ścisnęła ubranie, wyczuła miękkie zgrubienie.

Wsadziła rękę za podszewkę i wyjęła pierwszy z brzegu skrawek. Wyrwany kawałek z gazety z nagłówkiem MATKA ZAGINIONYCH DZIECI ZAMORDOWANA, poniżej wydrukowane zdjęcie znajomej skądś kobiety i... Patsy i Waltera. Ich matka? Oniemiała Leona wpatrywała się w ładną twarz kobiety, potem przeczytała kilka pierwszych wierszy artykułu: Policja kontynuuje śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa pani Adele Aldridge...

Wielki Boże, ich matka zamordowana! Ale dlaczego ten chłopiec to ma? Bez sensu. Zupełnie bez sensu. Szybko wyciągnęła następny strzęp papieru. Inne zdjęcie z gazety. Bardzo zniszczone. Połączyła cztery części w całość, żeby je obejrzeć. Mamie! Przycisnęła dłoń do ust. Co to jest? Wydawało się to niemożliwe — to było stare zdjęcie Mamie. Pod zdjęciem jakaś notatka, ale tak wytarta, że nie mogła odczytać słów. Na tym zdjęciu Mamie była młodsza niż teraz. Ale co to znaczyło?

Podniosła się z kolan i rozłożyła następny zwitek papieru. Rozwinęła go. Koperta od Cornelii Durnham, Rigdefarm Road, Brandenburg Station Kentucky zaadresowana do niej.

Patrząc na własne imię poczuła uderzenie, jakby ktoś trafił ją kamieniem. W kopercie był tysiącdolarowy banknot. Dlaczego on... I zaczynała rozumieć. Poczuła gwałtowny zawrót głowy. Nogi się pod nią ugięły. Muszę to znieść — pomyślała.

Sięgając po pozostałe papiery zmusiła się, żeby nie upaść. Poczuła w palcach dziwnie gładką powierzchnię ostatniego kawałka, zbliżyła go do oczu i zobaczyła własną twarz. Była to jej własna fotografia. Chryste — pomyślała. Wszystko

wypadło jej z ręki. Co ja zrobiłam! Krew odpłynęła z jej twarzy. Poczuła strach tak silny, że nie potrafiła się ruszyć, nie mogła odetchnąć ani wydać żadnego dźwięku. O Boże. Co ja zrobiłam!

To on!

Ja go tu przyprowadziłam!

Jej całe życie zredukowało się do tej jednej chwili. On jest w domu! Nogi odmówiły posłuszeństwa. Po omacku sięgnęła po krzesło, ale zdjęcie wydawało się przyklejone do palców. Nie mogła się go pozbyć, oderwać się od niego. Pulsowało jej w skroniach. Nagle potrząsnęła ręką i fotografia upadła na podłogę — Leona siedziała sztywno, przyciskając kurczowo brudną kurtkę do piersi. Po chwili zrozumiała, co zrobiła, i odrzuciła kurtkę na podłogę daleko od siebie. Wzięła głęboki oddech, jęknęła.

To być nie może! Nie może! On jest przecież chłopcem! Ale na podłodze wciąż leżała ta fotografia.

Kurtka i papiery, które wypadły jej z rąk, walały się po pokoju. Stała wśród nich bojąc się dotknąć. Wstała z krzesła i podeszła do łóżka. Spojrzała na złożoną kopertę od Cornelii Durnham. Tę kopertę mógł mieć tylko od Emmy. Pamiętała, że list od Cornelii czytała dzień przed wyjazdem z Graylie. Mój Boże! Prawie krzyknęła, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Zakryła usta dłonią. Znowu wzięła fotografię i wpatrywała się we własne oblicze. Pamiętała dokładnie dzień, kiedy razem z Emmą roześmiane, objęte ramionami, pozowały beztrosko do zdjęcia. Teraz na fotografii została tylko ręka i ramię Emmy. Reszta była oderwana.

Siedziała sparaliżowana na brzegu łóżka. W trzech taflach lustra spoglądały na nią jej oczy. W zimnej szybie okna jej odbicie powiększało się i rozpadało. To on! Sekundy mijały wolno i boleśnie. Ale kim był?

Mamie! Przyszedł po Mamie! Poczuła zimny dreszcz. Muszę do nich iść! Nie mogę pozwolić, żeby... Muszę ją ochronić...

Mówiła do siebie, żeby powstrzymać paraliżujący strach, który zaciskał się na jej szyi kolczastą obręczą. On jest w domu! Musi zabrać Mamie, dzieci. Musi uciekać. Tak szybko, jak jest to możliwe. Zostawić wszystko... Ubierała się szybko. Starała się zapanować nad sobą. Narastający strach nie pozwalał jej niczego porządnie zrobić. Dzieci!

Muszę stąd wyjść.

Czuła się bardzo słaba. Próbowała się poruszać, ale jej ruchy przypominały zapadanie się w ruchomych piaskach. Bezgłośnie przeszła wąski pokój. Pochylając się do przodu sięgnęła po klamkę, zatrzymała się i cofnęła rękę. Nasłuchiwała. Z drugiej strony drzwi nie dochodził żaden odgłos. Znowu obniżyła rękę do zimnej powierzchni klamki i usłyszała cichy dźwięk. Coś skrzypnęło na balkonie.

Światła dwóch lamp przy łóżku przyciemniały i zgasły. Zapadła ciemność. Nie było słychać generatora. Wyłączył światło!

Jej palce były jak sople lodu. Ciemna sypialnia wydawała się obca. Jak ginący świat widziany przez ciemną wodę. Wciąż nie mogła się pozbierać. Teraz mam

szansę — pomyślała. Teraz muszę iść. On jest w piwnicy. Cicho przekręciła klamkę, uchyliła drzwi i wyjrzała. Na balkonie nie było nikogo. Wszędzie głęboka cisza. Pod palcami wyczuwała chropowatą tapetę. Weszła do następnej sypialni. Drzwi były uchylone, pokój ciemny. Przesunęła dłonią po pościeli. Łóżko było ciepłe, ale puste. — Walter? — jej głos się załamał. Przełknęła ślinę i zwilżyła wargi.

— Walter? — wyszeptała. — Nie bój się. Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi.

— Gdzie jesteś, Walterze? Jesteś tu?

W kieszeni znalazła pudełko zapałek i zapaliła jedną.

Waltera nie było.

Wiedziała, że nie wolno jej krzyknąć. Pewnie jest z dziewczynkami. Kształt lampy naftowej zarysował się niewyraźnie w ciemności. Zapaliła następną zapałkę i zauważyła, że nie dolała nafty. Osłaniając płomień podpaliła knot. Znowu nasłuchiwała. Żadnego dźwięku.

Trzymając lampę przed sobą sprawdziła balkon jeszcze raz i prawie biegiem ruszyła do pokoju dziewczynek. Lekki wiatr powiał na płomień od strony okna. Nerwowo lustrowała pokój — wysoka szafa z lustrem, poręcze łóżka, łóżko. Ale nikogo nie było. Jedna strona łóżka nie była nawet odkryta. — Dzieci? — powiedziała drżącym głosem. — Mamie? — Wysunęła się tyłem z pokoju. Weszła na balkon i trzymając lampę daleko od oczu popatrzyła na dół. Nikogo. Co on im zrobił? Teraz z oddali słyszała jakiś odgłos szurania, jak kroki.

Wyprostowała się gwałtownie. Strach krępował jej ruchy. Stała cicho idealnie wyprostowana — spięta i pełna obaw, że oddech też można usłyszeć.

— Dzieci?

Ogień w kominku wciąż się palił, rzucając słabe pomarańczowe światło na połowę pokoju. Blask księżyca przenikał przez niezasłonięte okno. Kanapa była pusta.

On je zabrał! Zabrał Mamie! Zabrał ich wszystkich!

W panice odwróciła się i na palcach posuwała się w stronę schodów. Zobaczyła nagły ruch. Bardzo blisko na granicy światła jej lampy przemknęło coś szybkiego i niewyraźnego. Ciemność opływała ją jak wielka kałuża. Światło prześliznęło się po jego butach i spodniach, i sięgnęło jego morderczych, niebieskich oczu.

— Kim — oddychała szybko, przełknęła z wysiłkiem: — Kim jesteś? — Nie słyszała, kiedy wchodził na górę po schodach.

Powietrze zadrgało jak pole magnetyczne i chłopiec przefrunął przez nie. Krzyk wyrwał się z jej ust i zanim zdążyła się obrócić i obronić, był już przy niej. Przechyliła lampę i uderzyła go. Ostrze noża świsnęło tuż przy jej oczach, poczuła pięść na policzku. Lampa wybuchnęła w ciemności. Jego dłonie były jak z żelaza. Leona jęczała. Ściskał ją za gardło. Przywarła do balustrady. Nóż błysnął znowu — pędzące z niewiarygodną prędkością ostrze. Starając się wyrwać Leona odrzuciła głowę i zatopiła zęby w bandażu. Jego ciało nagle zesztywniało, zadrżał jak w agonii i upuścił nóż. Otworzył szeroko usta i zawył tak głośno i przejmująco, że poczuła ból.

Skowyt i krzyk. Wciąż wyjąc, chłopiec odepchnął ją. Potem coś wrzeszczał, ale nie mogła dosłyszeć, spadała, spadała do tyłu.

Zahaczyła o poręcz schodów. Koziołkując znalazła się na dole. Poczuła w mózgu okropny, rozrywający ból. Każda część ciała bolała. Wolno otworzyła oczy i nie zobaczyła nic — tylko mgiełkę wokół ognia. Zza mgły znajome zarysy pokoju docierały do jej świadomości. Chwyciła za poręcz i dźwignęła się. Pełzając, badała rękami jaśniejsze miejsca na schodach, potem wzdłuż balkonu. Ale chłopca nie było. On tam jest — pomyślała. Będzie schodził na dół.

Zapadła cisza. — Dzieci! — chciała krzyknąć. Ale słowo zamarło boleśnie w jej gardle. Z wyjątkiem kominka pokój był ciemny. Znajdę je. Muszę. Znajdę światło. Obróciła się i chwiejąc się podeszła do stołu. Stała na nim jeszcze jedna lampa naftowa. Spróbowała ją zapalić.

Jej ręce trzęsły się zbyt silnie, nie potrafiła utrzymać palącej się zapałki. Jedna po drugiej gasły. Dymiące patyczki rzucała na stół. Czuć było spaloną siarkę. Nagle cała histeria gdzieś odpłynęła. Poczuła powracające siły — ogarnęła ją fala śmiertelnej nienawiści. Zapaliła zapałkę i spokojnie trzymała ją w ręku. Puls powracał do normy. Umysł miała jasny. Światło — pomyślała — pomoże tylko jemu, nie mnie. Zdmuchnęła zapałkę.

To ja znam ten dom.

Opierając się o ścianę sypialni Sherman odetchnął głęboko. Kciukiem nacisnął tętnicę na nadgarstku, żeby zatamować płynącą pulsującym strumieniem krew. Na łóżku, po drugiej stronie, poduszki oświetlało słabe światło księżycowe.

Przeciął nożem pokrowiec poduszki na trzy pasy, potem odciął ich końce. Ona nie odejdzie nigdzie bez Mamie — pomyślał. A Mamie z nią nie pójdzie. Nie teraz, kiedy ja tu jestem. Obwinął rękę. Krew przesiąkła momentalnie nieskazitelną biel materiału. Mocniej zawiązał następny pasek, żeby złagodzić ból i zatrzymać krwotok. Zębami rozerwał koniec trzeciego, obwiązał nim część ręki. Trząsł się. Poruszał ręką parę razy, aż mógł zacisnąć ją w pięść, potem wziął nóż i wyszedł z sypialni.

Dom był cichy. Drzwi frontowe otwarte. Uderzały w nie podmuchy wiatru, śnieg wpadał do wewnątrz. Gdzie ona jest? Otwarte drzwi i możliwość, że uciekła, denerwowały go. Ale ona nie odeszła — powiedział do siebie, nie mogła odejść bez dzieci. Ona jest wciąż na dole.

Pokój zapraszał go. Bolały go oczy, serce biło mocno, jeszcze raz obejrzał pokój. Wszystko wymykało się spod jego kontroli. Coś wciągało go głębiej i głębiej, gdzieś gdzie wcale nie chciał iść. Dlaczego zostawiła otwarte drzwi? To nie miało sensu.

Bezgłośnie zszedł na dół. Zrobił jeszcze jeden krok. Cienie kładły się na jego drodze jak dziury bez dna. Stał bardzo cicho nasłuchując, ale nic nie usłyszał, nawet oddechu. Jej zniknięcie zwielokrotniło nienawiść chłopca.

Dokąd mogła pójść?

Nie poddając się emocjom, Sherman analizował pokój. Po lewej stronie stała wysoka drewniana szatka pełna książek, za nią było wejście do kuchni. Naprzeciwko — jakieś sześć metrów dalej —huśtające się frontowe drzwi przepuszczały romb ostrego błękitnego światła. Wiatr nawiewał śnieg do środka. Przy drzwiach było jedno niezasłonięte okno i do pokoju przenikało światło księżyca. Na prawo, oprócz krzeseł i kanapy, był kamienny kominek. Po drugiej stronie — półki z książkami, okna i komórki. Popatrzył przez ramię. Za nim, pod schodami — szafa z bielizną.

Zawrócił na palcach. Wytarł czoło rękawem, doskoczył do szafki i potem do drzwi — szybko je otworzył. Wzniósł nóż. Natknął się na półki z ręcznikami. Rozejrzał się, wziął głęboki oddech. Wiatr niósł płatki śniegu, i jeszcze coś — głos, bardzo zimny, bardzo zły głos. Sherman nie potrafił zrozumieć, co mówił ten głos. Miał dreszcze i wilgotną, lepką skórę.

To było tak, jakby mówił wiatr. Niósł się w powietrzu. Był wszędzie. Podbiegł parę kroków. To ona! Ta kobieta! Jej głos! Jego umysł powtarzał dźwięki — słyszał je znowu, jak echo obijające się w tylnej części jego mózgu. Wciąż nie mógł rozróżnić słów, ale złowieszczy ton tego głosu zmroził go. Spojrzał w górę badając balkon, choć wiedział, że tam jej nie ma. Ale gdzieś była. Blisko. Balkon był ciemny i pusty. Powróciła śmiertelna cisza. Ona mnie obserwuje — pomyślał. Czuł jej oczy przesuwające się po nim, chciał w nie uderzyć z całych sił. Cofnął się do schodów i znalazł się po drugiej stronie cienia.

Wtedy znów usłyszał ten sam głos — bardzo zimny, bardzo twardy, odbijał się głuchym echem od ścian.

— Co zrobiłeś mojej siostrze?!

Sherman głośno przełknął ślinę.

Nie mógł się ruszyć. Poczuł chłód, jakby zimna garść lodu spadła mu na piersi. Kobieta płonęła ślepą nienawiścią, to jedno wyczuwał w jej głosie. Pot zalewał mu oczy. Starł go rękawem. Patrzył przez poręcz balustrady, ale wiedział, że nikogo tam nie ma. Duży pokój był pusty. Śnieg opadał na krzesła, kanapę i dywan. Gdzie ona jest? Skąd dobiega jej głos?

Nagle usłyszał:

— Ty skurwysynu! Morderca!

Ciemność zbliżyła się do niego, otoczyła go i zamknęła w zaciskającej się pięści. Wyprostował się i wpatrywał w najciemniejsze miejsca pokoju. Głos cichł. Ona gdzieś tam jest. Jest. Obserwuje mnie. Ale dlaczego? To obłęd! Musi być bardzo blisko, śledzi go z ukrycia. To było niemożliwe. Czuł, że traci kontrolę.

Nagle odbiegł od schodów. Przebiegł cały pokój i wkroczył w błękitny romb nocy. Wybiegł na ganek oświetlony księżycem, a noc uderzyła go przejmującym chłodem. Na śniegu nie było żadnych śladów. Wiedziałem — pomyślał. Ona nie wychodziła. Cofnął się do drzwi — jego cień poruszał się chybotliwie po pokoju.

— Powiedz coś teraz! — wykrzyczał.

Wbiegł do kuchni zatrzaskując za sobą drzwi. Przewracał wszystko, co mu

wpadło do ręki, naczynia padały z trzaskiem, rozpryskując się na ścianach i podłodze, sprzęty fruwały.

— Mów do mnie teraz! — wrzeszczał. — Powiedz coś teraz! — Wydawało mu się, że przez cały czas ona jest tuż za nim — niewidzialna i nieruchoma. Podbiegł do zlewu. Na blacie leżały równo ułożone noże kuchenne — sześć albo osiem, jeden obok drugiego. Zatrzymał się. To ona to zrobiła, żeby mnie przestraszyć. Gwałtownym zamachem Sherman zmiótł je ze stołu i usłyszał, jak spadają z łoskotem na podłogę. Biegnąc po skorupach potłuczonej porcelany, dysząc ciężko, pognał z powrotem do drzwi. Jego oczy badały ciemność. Wiał wiatr. Znów usłyszał jej głos — pełen nienawiści i gniewu.

— Nie możesz nas skrzywdzić. Nie pozwolę ci!

— To mnie powstrzymaj! — wrzeszczał z całych sil. — Zatrzymaj mnie ty, cholerna kurwo! — Jego krzyk przeciął pokój. Śnieg wirował.

Noc ożyła — tuż przed nim coś się poruszyło. Skoncentrował się maksymalnie. Bardzo wolno podniósł głowę i odwrócił się. Jego oczy zwrócone były na migoczący płomień kominka. Działo się coś podejrzanego przy drzwiach. Szklane okienko, przesłonięte białą firanką majaczyło na wprost jego twarzy. Widział w tej szybce własne odbicie, ale widział też coś jeszcze. Niewyraźny kształt wyższy od niego. — Była za mną! Ona pełzała za mną! — Dopadł drzwi i uderzył nożem.

W powietrze. Puste powietrze.

Obrócił się parę razy w kółko. Jej kształt gdzieś zniknął. Tylko zasłonki powiewały na wietrze, białe jak mgła. — Zasrane drzwi — mruknął. Każda pieprzona rzecz obracała się przeciwko niemu. Całą frustrację, całą swoją nienawiść skoncentrował na tych drzwiach. Chwycił za nie i zatrzasnął z całej siły.

Więc tam była.

Nagle pojął wszystko... tam za drzwiami.

Zobaczył, jak jej ręce się wznoszą —błysnął nóż. Odskoczył do tyłu, żeby uniknąć ciosu, ale nie zdążył. Kuchenny nóż zanurzył się w jego ciele odrobinę poniżej obojczyka. Leona poczuła, jak nóż wbija się w niego rozpruwając skórę. Na początku opornie, potem gładko i lekko. Jej ręka drżała.

Chłopiec zawył przeraźliwie.

Trzymała kurczowo nóż. Kiedy się odchylił, zakrwawiony koniec noża wyśliznął się z jego ciała. Na parę sekund ich oczy spotkały się. W jego spojrzeniu czaił się zwierzęcy strach, oddychał bardzo prędko. Leona pomyślała — przecież to tylko chłopiec i poczuła mdłości. Nie — pamiętaj o Emmie. Lecz nie potrafiła uderzyć jeszcze raz. Uciekła, żeby nie widzieć tego, co zrobiła.

Sherman znowu krzyknął. O mało nie upadł. Ból wstrząsał nim falami. Zatoczył się do tyłu zakrywając ranę rękoma. Ból narastał. Krew ciekła mu przez palce.

— Mamie! — krzyczał. — Mamie! Mamie!

Zakrył usta dłonią, czuł jak słabnie, ale tylko fizycznie. Furia, gniew i nienawiść dodawały mu sił. Ona próbowała mnie zabić! Na półce zobaczył coś błyszczącego. Pudełko benzyny.

Leona wpadła w panikę. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zrobiłam to — myślała. Czy powinnam... Co powinnam teraz zrobić? Iść do niego? Nie mogła opanować nieustającego strachu. Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma zakrwawiony nóż. Rzuciła go na podłogę. — Myśl — mówiła do siebie. — Zabieraj dzieci. — Była przy schodach, kiedy przypomniała sobie, że tam już sprawdzała. One muszą być... gdzie? Muszą być w piwnicy. Zawróciła. Ale on był w kuchni. To znaczyło, że musiałaby przejść obok niego. Patrzeć na niego, a tego nie chciała. Muszę. Była przy półce z książkami, kiedy chłopiec pojawił się w drzwiach.

Rzęził. Krew zaplamiła jedną stronę jego koszuli. Patrzył na Leonę, a w jego oczach czaiła się nieopisana wściekłość. — Ty... ty — mamrotał. — W ciemnym kącie pokoju nie mogła dostrzec, co chłopiec ma w rękach. Po chwili było to zbyt jasne.

Trzymając za dno puszkę benzyny w swojej sztywnej lewej dłoni, Sherman potrząsał nią i rozlewał płyn przed sobą. Leona stała jak sparaliżowana.

— Co robisz? — Przechylił puszkę i polał w jej kierunku.

— Mój Boże, przestań! — krzyczała. — Podpalisz dom! Tu są dzieci! Tu jest Mamie!

Nie przerywał. Plama benzyny rozlała się tuż przy niej. Odskoczyła.

— Proszę! — krzyczała.

— Zamknij się— powiedział. I podniósł głowę. — MAMIE! — wrzeszczał, posuwając się na środek pokoju. — MAMIE, CHODŹ TU!

I znowu rozlewał benzynę.

Na balkonie stała Mamie. Patrzyła na Shermana. Trzęsła się. Bała się zrobić krok. Coś do siebie mamrotała.

W powietrzu dawał się wyczuć zapach gazu.

Niosła worek z prezentami pod choinkę od Wesołej Babci. Rozwiązała go. Jeden po drugim wyrzucała prezenty, wreszcie znalazła to, czego szukała.

Kiedy puszka z benzyną była pusta, Sherman cisnął ją za siebie. Odwrócił się szybko w kierunku kominka. — Proszę — krzyczała rozpaczliwie Leona. — Nie możesz. Podpalisz nas! — Podbiegła do niego, chwyciła go za kołnierz i mocno pociągnęła.

Przewracając się Sherman zamachnął się na nią zdrową ręką.

Strzał wstrząsnął powietrzem.

Kula uderzyła w kamienny kominek i odbijając się rykoszetem poleciała w noc. Huk zatrząsł domem. Wszystko zamarło. Zanim Sherman i Leona zdali sobie sprawę z tego, co się stało, dobiegł ich wysoki krzyk — Nie-e-e, Sherman! — i odgłos kroków z balkonu. Mamie biegła na dół po schodach. W powietrzu unosił się zapach prochu.

— Sherman! — krzyczała Mamie. — Nie! Sherman, nie rób tego znowu. Nie podpalaj nas! — w dłoniach ściskała automatycznego browninga.

Lufa pistoletu podniosła się i skierowała w stronę chłopca. Sherman popatrzył i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Mamie, co ty robisz?

Leona stała bez ruchu. — Mamie, więc to byłaś ty? To ty zabrałaś pistolet. — Chwytała powietrze. — Mamie, ty go znasz. Kto to jest?

— To jest mój brat — powiedziała cicho Mamie, nie odrywając ani na chwilę oczu od Shermana.

— W nią wyceluj — żądał. — To jej wina. — Zrobił krok w stronę dziewczynki. — Mamie, zabij ją! Ona to zrobiła. To jej wina!

— Nie, Sherman — powiedziała Mamie przez łzy. — To ty. — Wciąż trzymając broń w dłoni zeszła ze schodów. — To ty ich wszystkich zabiłeś. Ty to zrobiłeś, Sherman — krzyczała ze złością. — Ty zabiłeś mamę! Tatusia! Ty zabiłeś Toddy'ego! Chińczyka... — Zrobiła krok w jego kierunku. — To ty nas podpaliłeś!

Sherman się cofnął.

Potworny strach odmalował się na jego twarzy.

Coś pełzało za nim. Coś wspinało się po jego plecach.

Ogień.

Próbował tego dosięgnąć. Krzyczał. To coś żywiło się nim, rozpościerając się po poplamionych benzyną spodniach, zaginając na palcach migoczące płomyki białego ognia.

Zanim mógł zrobić cokolwiek, wznoszący się płomień pokrył go całkowicie. To było jak błysk flesza. Ogień dosięgnął dywanu i rozbiegał się żarłocznie po całym pokoju. Chciały mu pomóc, ale były bezsilne. Pełen bólu krzyk chłopca przeciął powietrze.

— Dzieci! — krzyczała Leona nad wirującą białą pochodnią. — One się spalą! Mamie! Gdzie one są!

— Nie wiem! — odkrzyknęła, kiedy Leona chwyciła ją na ręce. — On zabrał.

— Gdzie? Mamie? Gdzie? Co on im zrobił?

Sherman rozpostarł ręce. Jego płonące ciało wydawało ohydny smród. W powodzi ognia, z głębokości nadchodzącej śmierci powiedział tylko: — Maj-mie. Maj-mie.

— Sherman! — krzyczała Mamie wyrywając się z rąk Leony. — Sherman! — Rozpaczliwie wyciągała do niego ręce.

— Mamie, odsuń się!

Leona chwyciła dziewczynkę i przeskoczyła płomienie tak, że liznęły tylko jej nogi. Słyszała jakiś łomot dochodzący z piwnicy. Chwyciła płaszcz z wieszaka, zarzuciła na Mamie i pobiegła do kuchni.

Zbiegły po schodach do piwnicy. Mamie wciąż wyrywała się z jej ramion. Czerwone płomienie połyskiwały przez szczeliny w podłodze. Usłyszały Patsy i Waltera zamkniętych w koszu na ziemniaki.

Przyciskając Mamie do siebie Leona przesunęła zasuwę i otworzyła wieko. Ręce i nogi dzieci były związane, usta zakneblowane chusteczkami. Jedną ręką trzymała Mamie, drugą szybko rozwiązała sznurki i pomogła dzieciom wyjść na zewnątrz.

— Prędzej — wołała. — Idziemy! Jeszcze możemy się stąd wydostać. Idziemy! Idziemy! Biegiem!

— Sherman! — krzyczała Mamie. Nie przestawała nawet na chwilę. Zaczęli wychodzić schodami z piwnicy. Z kuchni przeświytywało drżące światło.

On wciąż tam był!

Nagle pojawiła się przed nimi żywa pochodnia. Dzieci płakały i wtulały się w Leonę. Kawałki tlącego się ubrania odpadały od płonącego chłopca i spadały w dół. Framuga drzwi zajęła się ogniem.

— Tędy! — krzyczała Leona. — Tędy. Wyjdziemy tyłem! — Pchnęła skrzypiące drzwi w noc i niebo pełne gwiazd. Mamie wyrwała się jej i pobiegła w stronę schodów i brata.

— Sherman. Ja nie chciałam — płakała. A potem krzyknęła: — Kocham cię, Sherman!

— Mamie! — Leona pobiegła za nią, z trudem łapiąc oddech — Och, Mamie, proszę, nie możesz... — Podniosła ją i dziewczynka wtuliła się w nią gwałtowanie. Potem chwyciła Waltera. — Trzymaj! Trzymaj się mocno!

Na szczycie schodów Sherman wolno przyklękał.

Światło ognia tworzyło nad zamarzniętą wodą niesamowitą, połyskującą rzeźbę. Wyglądało jakby to niebo płonęło. Z głuchym trzaskiem, w platynowym blasku płomieni, zawalił się dach domku. Lód, odbijając od swojej powierzchni pożar, zwielokrotnił krwawe konwulsje. Czerwona korona objęła cały dom.

Uciekali. Długie pasma cieni sunęły przed nimi. Przy samym brzegu purpurowy blask był równie intensywny. Drzewa płonęły, a nowy czarny pontiac ożył w czerwonej poświacie. W końcu znaleźli się w samochodzie.

Cofnęła się do miejsca, gdzie mogła swobodnie zawrócić.

— Proszę! — krzyczała Mamie. — Pozwól mi odejść. To jest mój brat!

Zawsze było tak samo. Powtarzało się znowu i znowu. Znowu i znowu ktoś ją dokądś zabierał.

Mamie rzucała się na przednim siedzeniu. Jej blade ręce biły w szybę, jakby chciała dosięgnąć świecących płomieni, prześlizgujących się po samochodzie. Krzyczała jego imię, wciąż próbując się wydostać — jak ptak uwięziony w pułapce w zapomnianym pokoju.

Czerwone światło wydawało się wędrować za nimi, gdy odjeżdżali. Wydawało się, że próbuje dosięgnąć ich przez kikuty płonących drzew. Pontiac szybko nabierał prędkości, pozostawiając Shermana w straszliwym, krwawym żarze.

Mamie nie mogła już krzyczeć. Dźwięk wydobywający się jej z gardła był tylko cichym, monotonnym zawodzeniem.

Leona spojrzała na nią. Och, Mamie — pomyślała. Tracę Mamie — zaczęła

szlochać. Tracę ją. — Jej szloch połączył się z jękiem dziewczynki. Patsy i Walter rozpłakali się w jednej chwili. — Tracę ją. Muszę coś zrobić.

Leona chciała zatrzymać samochód i wziąć Mamie w ramiona, ale wiedziała, że musi jechać, że znowu musi uciekać i znaleźć bezpieczne miejsce.

Jechali nocą przez Brandenburg Station. Mijali domy, które przypominały jej inne, szczęśliwe czasy. Było już po północy, kiedy dotarli do motelu i wjechali na podjazd.

Leona wpisała się do rejestru gości i zaprowadziła dzieci do pokoju. Takiego jak inne, w których już tyle razy zostawali na noc. W kieszeni poczuła buteleczkę z pigułkami nasennymi i drugą z penicyliną Waltera. Nalała wody do szklanki. Popatrzyła na Mamie, która stała obok niej. Małe ramionka, zatrważająca samotność bijąca z oczu dziecka, łamały jej serce. Przeszli przez płonące piekło, a teraz byli już daleko, przesiąknięci dymem i potwornie zmęczeni. Mamie nadal pochlipywała.

Patsy i Walter przestali płakać, ale wciąż nie wyglądali najlepiej. Leona przełamała jedną tabletkę środka nasennego na dwie części. Dała im po jednym kawałku, potem dała lekarstwo Walterowi. Powiedziała, żeby poszli spać, i pomogła im zdjąć ubranie.

Ułożyła ich w łóżku, przytuliła i pocałowała mówiąc, żeby się nie martwili.

— Dobranoc — powiedziała miękko. — Śpijcie mocno. — Przykryła ich kołdrami, wyprostowała się i odwróciła.

Mamie nie było, drzwi były uchylone.

Leona wybiegła i zobaczyła dziewczynkę wolno odchodzącą w noc. Szlochała. Jej małe ramionka drżały. To sprawiało jej nieopisany ból. Pobiegła za nią. Żal był nie do zniesienia. Zaczęła płakać razem z Mamie. Nad nią, nad jej cierpieniami, nad tamtym przerażającym chłopcem, którego Mamie kochała tak mocno.

— Przykro mi — szlochała Leona. — Och, Mamie, tak mi przykro. — Nie mogła powstrzymać łez.

Mamie odwróciła się i z dna swojej rozpaczy powiedziała słowa, które miały powracać do niej już zawsze.

— To nie był — zająknęła się — to już nie był mój Sherman.

Klęcząc na śniegu Leona wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła.

— Ja wiem — powiedziała. — Ja wiem, Mamie, wiem...

W końcu przestały płakać, Leona zaniosła Mamie do pokoju i położyła do łóżka. Wilgotną chusteczką myła twarz dziecka, tak jak robiła to wiele razy w ciągu bezsennych nocy w szpitalu. Potem wzięła ją w ramiona jeszcze raz i trzymając bardzo blisko zgasiła światło.

Leżąc w ciemności odgarnęła włosy z policzka dziecka. Za domem huczał wiatr. Zapadła głęboka cisza. Czas płynął wolnym, spokojnym nurtem. Mamie odwróciła głowę. — Sherman — szeptała. — Sherman, Sherman. — Widziała go, jak stoi z Chińczykiem przy nodze obok jej łóżka i na nią czeka. Potem zniknęli w noc.

Więc kto tu jest? — pomyślała Mamie. Widziała pogrążony w cieniu kształt Leony na łóżku obok. Wolno wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy kobiety. Poczuła rękę Leony na swojej dłoni. Ciemność pochylała się nad nimi.

— Tak, Mamie — powiedziała Leona. — Jestem tu.

Wtedy, tak leżąc w półśnie, pomyślały obie o tym samym, chociaż nigdy nie zdradziły się z tym przed sobą. W marzeniach widziały Hardesty'ego. Tylko że Mamie myślała o nim jak o ojcu, którego kochała, jak nic innego na świecie, a dla Leony był kochankiem, któremu była przeznaczona jakby od początku wszechświata i którego miała już nigdy nie spotkać.

Po przebudzeniu nad ranem powitał je nowy, wspaniały dzień. Dzień z jego nieznośną lekkością błękitu.